

Victoria Holt

Skok tygrysicy

The Spring of the Tiger
Przełożyła Elżbieta Gepfert

Sceny angielskie

Tenton Square

Kiedy spoglądałam na splot wydarzeń, które przywiodły mnie do tego domu, gdzie wykluła się tajemnica, domu groźnych, ukrytych prądów, niepokojących ech i wszechobecnego zagrożenia, czasem ze zdumieniem myślę o braku doświadczenia i niewinności mych młodych lat. O tym, że jako dziewczynce w innym domu, tak dogodnie położonym blisko dzielnicy teatrów, nigdy nie przyszło mi do głowy, by kwestionować niekonwencjonalny styl życia, w jakim się wychowywałam.

Pamiętam, jak wyglądając przez okno, czekałam o zmroku na latarnika, który zapalał gazowe latarnie na placu. Pamiętam poranne przebudzenia i dźwięki ulicy: stukot końskich kopyt po bruku, nagły wybuch śmiechu służącej, wymieniającej jakieś uprzejmości z mleczarzem, gdy ten napełniał dzbany, szorowanie schodów, polerowanie brązów. Wszystko musiało być wykonane cicho i dyskretnie, by państwo mogli wierzyć — jeśli w ogóle o tym myśleli — że to, co konieczne dla ich wygod, dzieje się za sprawą magii.

Podstawowym nakazem w naszym domu przy Denton Square było zachowanie całkowitej ciszy rankami — z powodu mojej mamy. Rzadko wstawiała przed południem, a to dlatego, że zwykle kładła się do łóżka przed świtem. Jej wypoczynek był bardzo ważny, gdyż stanowiła rdzeń tego domostwa. Od niej zależała nasza egzystencja, a jej nastroje określały atmosferę. Gdy była wesoła, wszystkie byliśmy bardzo, bardzo wesołe, a gdy była smutna lub w depresji, co się jej czasem zdarzało, zaleźnione chodziliśmy na palcach, rozmawiając szeptem. Zupełnie jak ludzie żyjący u stóp wulkanu, powiedziałam kiedyś do Meg Marlow, którzy czekają na erupcję. Bardzo dużo czytałam i właśnie niedawno dowiedziałam się o zniszczeniu Pompei.

— Musimy się dostosować — stwierdziła Meg. — Sztuka ma swoje wymagania.

To prawda, że gdy nie wypoczywała, sztuka niosła ją do teatru każdej nocy i w niektóre popołudnia. Właśnie te okresy odpoczynku nazywałam zagrożeniem erupcją. Choć nie gniewu bałyśmy się tak bardzo, ale depresji. Na szczęście te nastroje nigdy nie trwały długo.

— Musisz pamiętać, kim ona jest.

Tak zawsze mówiła Meg, gdy któraś z nas zapominała o należytej czci.

Moją matką była Irena Rushton, przynajmniej tak brzmiał jej artystyczny pseudonim. Naprawdę nazywała się Irena Ashington, żona Ralpa Ashingtona, którego porzuciła, gdy miałam dwa lata.

Dumna i szczęśliwa słuchałam, kiedy Meg — w jednej osobie garderobiana mamy, jej pokojówka, a także kucharka i oddana niewolnica — opowiadała, jak moja mama odeszła od ojca.

— Nie mogła już tego wytrzymać. Cud polega na tym, że zabrała cię ze sobą. To była trudna decyzja. Takie małe dziecko nie mogło jej przecież pomóc w karierze. A jednak cię zabrała!

Stało się to kluczowym zdaniem mej młodości: „Zabrała cię ze sobą”.

— Chociaż — westchnęła kiedyś Meg — może byłoby lepiej, gdyby cię zostawiła.

Byłam zdziwiona i zastanawiałam się, gdzie byłabym teraz, gdyby mnie mama nie zabrała.

— W jakimś dalekim miejscu — wyjaśniła Meg, kiedy o to spytałam. — W ogóle nie powinna tam jechać. To nie życie dla takich jak ona. Gorąco... zupełnie inaczej niż w Anglii. Wszędzie coś pelza. Pająki! Fuj!

Meg strasznie bała się pajaków. Kiedyś pojechała z mamą na tournée. Gdy spała na wsi, znalazła w łóżku pajaka. Nigdy jej nie obrzydło wspomnianie grozy tego zdarzenia. „Nie ma jak w Londynie”, kończyła zawsze, jakby istniało jakieś prawo, zakazujące pajakom wstępu do stolicy.

— A więc wróciła do domu i przywiozła cię ze sobą. Oczywiście, była sławna już przed wyjazdem, więc znaleźli się dyrektorzy, którzy chętnie przyjęli ją z powrotem.

— I zabrała mnie ze sobą!

— Wiem, że nigdy tego nie żałowała. Kiedyś powiedziała mi: „Lubię wracać do domu. Czuję, że to prawdziwy dom, kiedy wracam do mojej Małej Siddons”.

Naprawdę nazywałam się Sara Siddons Ashington, bowiem mama nadała mi imię na pamiątkę osoby, którą uznawała za największą ozdobę swojego zawodu: Sary Siddons.

Kiedy była w dobrym nastroju, nazywała mnie Małą Siddons. Czasami budziło to we mnie lęk. Bałam się, że planuje dla mnie sceniczną karierę, a do tego zawodu z pewnością nie miałam żadnych zdolności.

Meg niewiele mogła mi powiedzieć o małżeńskim życiu mamy, ponieważ w tym czasie nie pracowała u niej. Była garderobianą jeszcze przed ślubem swojej pani i kiedy ta wróciła do Anglii, natychmiast podjęła dawne obowiązki. Przerwa trwała trzy lata.

— Mówiłam, że nie powinna jechać — twierdziła Meg. — Małżeństwo, owszem... ale nie takie małżeństwo. Wyobrażałam sobie, że wyjdzie za kogoś, kto ma rezydencję na wsi, ładny dom w mieście i może jeszcze jakiś tytuł do kompletu. To by było przyjemne. Aż nagle ona wychodzi za tego Ralpa Ashingtona... Dobra rodzina, trzeba przyznać. Spora posiadłość na wsi. Ale nie mieli domu w mieście... tylko to, co tam było za granicą. Ona niewiele o tym mówi, a to już coś oznacza. To właśnie cała Irena Rushton, powiedziałam sobie. Kiedy człowiek pomyśli, jak mogłoby się jej ułożyć... Nawet księżciem nie byłabym zaskoczona... a tu tylko pan Ralph Ashington, proszę bardzo, z plantacją herbaty, czy czegoś tam, na samym końcu świata.

— Jest moim ojcem.

— A tak, jest twoim ojcem. — Spojrzała na mnie z niesmakiem. — I nie był wcale taki młody. Wdowiec. Jak ona mogła!

— Widziałaś go, Meg? Widziałaś mojego ojca?

— Dwukrotnie. Raz przy wyjściu dla aktorów, a raz w jej garderobie. Zwykle kłębił się tam tłum wielbicieli, a on był ostatnim, na którego bym postawiła. Ale ona podjęła decyzję... szybko... pronto... i gotowe. Znasz ją. „Postanowiłam”, mówi. Jest jak dziki koń z wędzidłem w pysku: pędzi przed siebie i nie patrzy na boki.

— Musiał być bardzo przystojny, skoro spośród tych wszystkich książąt wybrała właśnie jego.

— Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. I do dziś nie mogę. No cóż, wkrótce się przekonała, że to był błąd. „Niczego nie żałuję”, mawia zawsze, „w końcu on dał mi moją Małą Sid — dons”.

Wiele razy prosiłam Meg, żeby opowiedziała mi tę historię tylko po to, by usłyszeć ostatnie zdanie.

Oprócz Meg w naszym domu mieszkała jej siostra, Janet. Gdyby nie Meg, Janet na pewno by tu nie została. Była przeciwieństwem siostry: surowa i bardzo zasadnicza. Nie podobało się jej u nas. Przyzwyczaiła się do lepszej służby. Pracowała u ludzi, którzy mieli lokaja, służących i cały hufiec pokojówek, nie licząc własnego powozu. Twierdziła, że pewnego dnia wrócą z Meg na wieś i zamieszkają z ich siostrą Ethel, która była właścicielką niewielkiego domu. Hodowała drób, sprzedawała świeże jajka, jarzyny, owoce i chciała zmienić swój domek w zajazd dla podróżnych. Do tego potrzebowała pomocy sióstr.

— Janet wyleciałaby stąd jak z procy — mawiała Meg. — Ale ja nie potrafiłabym zostawić mojej pani, a Janet nie potrafi zostawić mnie. Dlatego tu jesteśmy.

I to już całe nasze gospodarstwo. My cztery: Janet, Meg, mama i ja. Był też naturalnie wuj Everard, ale on właściwie z nami nie mieszkał. Zostawał tylko od czasu do czasu. On i moja mama bardzo się kochali.

— Powinni się pobrać — oceniała Meg — i zrobiliby to, gdyby nie „on” i nie „ona”.

„On” to był ojciec, który wciąż był mężem mojej mamy, a „ona” to żona Everarda. Dwie mgliste figury stały między nami a normalnym domem, który spodobałby się Janet. Oczywiście i tak byłby zbyt skromny, by całkowicie ją zadowolić. Meg nie była tak konwencjonalna.

— To Irena Rushton — mówiła. — W świecie teatru te sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Trzeba ich zrozumieć... oni żyją teatrem.

Mama nie chciała posyłać mnie do szkoły. Nie miałyby wtedy przy sobie Małej Siddons, do której mogła wracać. Oczywiście musiałam się kształcić i w związku z tym w naszym domu był — w pewnym sensie — jeszcze jeden mieszkaniec: Toby Mander, młody absolwent Oksfordu. Toby zostałby aktorem, gdyby posiadał choć odrobinę talentu.

— Jeden z wielu — nazywała go mama. — Są ich legiony, kochana Mała Siddons. Czują namiętność do teatru. To taka Brygada Niezpełnych. Prawie mogliby grać, lecz niezupełnie. Prawie mogliby pisać sztuki, ale nie całkiem. Z odpowiednim talentem mogliby reżyserować czy produkować, ale go nie mają.

Toby był jednym z nich. I kochał się w mojej mamie.

— A to — oceniła Meg — jest dolegliwością równie częstą jak różyczka. Podchodzą zbyt blisko i zarażają się, można by powiedzieć. Niewielu ludzi ma to coś tak silne, jak twoja matka.

— Tę zdolność zarażania?

— Właśnie. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto by tak potrafił to robić, a spędziłam w teatrze całe życie.

— Taka choroba jest chyba endemiczną dla teatru — powiedziałam, gdyż uwielbiałam trudne słowa. Stale czytałam słownik, znajdowałam nowe i natychmiast wypróbowywałam. — Jak beri-beri w Afryce — dodałam.

— Ach, ty, i te twoje dziwaczne słowa — parsknęła Meg. — Nie wiem, skąd je bierzesz. W każdym razie na pewno nie od matki.

To była przygana. Nic, czego nie odziedziczyłam po mamie, nie było warte uwagi.

Tak więc był z nami Toby, Tobias Mander, oddany niewolnik mamy. Załatwiła mu rolę statysty, a on — by się odwdziżyć — każdy ranek poświęcał na naukę jej córki. Byłam pilną uczennicą i nie mogłam się doczekać naszych wspólnych lekcji. Spiskowaliśmy obydwój, próbując zaskoczyć mamę. Mogliśmy przewidzieć, że moje sukcesy w zdobywaniu wiedzy nie wywrą na niej większego wrażenia. Miała ustaloną pozycję i była pożądanym gościem w salonach elity, mimo braku wykształcenia. Naprawdę chciała tylko, by Toby uczynił mnie taką jak ona. Martwiła się o moje powodzenie i wierzę, że byłam dla niej ważniejsza niż ktokolwiek inny, oprócz Everarda, naturalnie. A czasem nawet miałam wrażenie, że mu dorównuję.

I tak przyjemnie mijały dni przy Denton Square. To był przytulny świat, miły — dzięki towarzystwu Toby’ego Mandera i Meg Marlow, pracowitości Janet — i rozświetlany migotliwą obecnością mamy.

Pamiętam swoje emocje, kiedy usiłowałam wyciągnąć od Meg jak najwięcej wiadomości. Przeszłość była jak gigantyczna łamigłówka, a ja starałam się uzupełnić braki w obrazie.

Na przykład wuj Everard, mglista figura w tle, był ważną osobą w Izbie; w odpowiednim czasie dowiedziałam się, że chodzi o Parlament. Z okna na poddaszu można było zobaczyć tarczę Big Bena. Patrzyliśmy, czy pali się lampa na wieży, co oznaczało posiedzenie Izby, i to, że wuj Everard będzie wtedy zajęty. Miał dom w Westminsterze i posiadłość na wsi. Zawsze przynosił mi obwiązane wstążkami pudełka czekoladek. Wstążki pozwalano mi zachować, lecz czekoladki ulegały zwykle konfiskacie, bo szkodziły zębom.

Kiedy miałam osiem lat, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że istnieje spisek, by uczynić mnie podobną do mamy. Moje zdrowe zęby, wzmacniane zjadaną tuż przed pójściem do łóżka częstką jabłka, ujęto w klamry, gdyż istniało ryzyko, że przednie będą zbyt duże.

— Nie chcemy przecież, by Mała Siddons wyglądała jak królik, prawda? — powiedziała kiedyś mama i przez jakiś czas nazywała mnie Małym Królikiem lub po prostu Króliczkiem. Była niewyczerpanym źródłem przezwisk. Nienawidziłam aparatu do zębów.

Następnym problemem były moje włosy.

— Proste jak pudełko świec — burczała Meg.

Włosy mamy opadały na plecy w obfitych lokach, tak długich, że mogła na nich usiąść. Moje, całkiem inne, były powodem jej zmartwień, więc Meg w wolnych chwilach wieczorami zawijała je na papiloty, które rzadko dotrwały do rana. Irytowały mnie i wyjmowałam je w nocy. Kiedy się budziłam, moje włosy — w połowie proste, w połowie zakręcone — przedstawiały niezwykle widok.

— Nigdy nie będziesz piękną — rozpaczała Meg. Odpowiadałam na to, że jeśli musiałabym w tym celu co noc cierpieć tortury papilotów, to dziękuję bardzo, wolę być całkiem zwyczajna.

— Nie ma za co dziękować — stwierdzała groźnie Meg. Miałam ochotę się z nią kłócić, a to za sprawą Toby'ego, który święcie wierzył w ćwiczenia umysłu. Podejmowaliśmy na przykład jakąś kwestię, co do której się nie zgadzaliśmy, by argumentować wbrew własnym przekonaniom. Toby wyznawał teorię, że nic nie jest zupełnie białe ani zupełnie czarne. Każdy problem ma wiele stron, więc jeśli ktoś z całym przekonaniem z czymś się nie zgadza, powinien poszukać na to argumentów.

— To dobre dla ducha — mawiał.

Zabierał mnie na konne przejażdżki. Mama uważała, że muszę się nauczyć trzymać w siodle. Wysłała mnie więc do najbliższej szkółki jeździeckiej. Dosiadałam tam bezpiecznych starych szkap i ćwiczyłam pilnie z grupą młodych ludzi mniej więcej w moim wieku. W końcu uznano, że sobie poradzę. Potem jeździłam z Tobym. Bardzo lubiłam te przejażdżki. Toby był znakomitym kompanem, choć często się zamyślał i smucił z powodu tego, że zupełnie nie nadaje się na scenę. Wygłaszał panegiryki na cześć mojej mamy; akceptowałam je, gdyż zgadzałam się z nimi w zupełności.

Najszcześniejsze chwile tych lat spędzałam w towarzystwie Toby'ego.

Wiele razem czytaliśmy i o ile prawie wcale nie rozumiałam matematyki, to dobrze poznałam podstawy literatury francuskiej, niemieckiej i angielskiej.

Toby nauczył mnie cieszyć się życiem. Według niego rozwiązaniem wszelkich problemów jest umiejętność przystosowania się.

— Jeśli nie możesz czegoś zdobyć, naucz się żyć bez tego i znajdź sobie coś, co możesz mieć — mawiał zwykle.

Spirałam się, że to podejście słabeuszy i że jeśli naprawdę się czegoś pragnie, powinno się o to walczyć.

— Ktoś mógłby przy tym ucierpieć — zauważył. — Nie wolno ci deptać innych na swojej drodze.

Z pewnością był wtedy dla mnie wzorem. Próbowałam stosować jego teorie w moim życiu.

W okresie odpoczynku — to znaczy wtedy, gdy jedna sztuka schodziła z afisza, a nowe propozycje jeszcze nie nadeszły — mama wiele przebywała w domu. Z początku byłam zachwycona, że mogę z nią spędzać więcej czasu, a potem stwierdzałam, że nie jest dokładnie tą samą osobą, którą widywałam w rzadkich, cennych momentach. Miewała zmienne nastroje, czasem słyszałam, jak krzyczy na Meg, a ta odpowiadała krzykiem:

— Jeśli to się nie skończy, to wyjadę.

Meg zawsze się z nią kłóciła, ale nie traktowała tych kłótni poważnie.

— Ostrzeżenie sztormowe. — Mrugała do mnie i wiedziałam wtedy, że najlepiej nie wchodzić mamie w drogę.

Różni ludzie przynosili sztuki; miała je przeczytać i powiedzieć, czy widzi dla siebie rolę. Najczęściej zjawiał się Tom Mellor, jej agent. Czasem się złościła, jeśli rola nie była dostatecznie dobra. Przymilni producenci, męczący autorzy, aktorzy z różnych grup społecznych — przychodzili do naszego domu wszyscy. Panował okres chaosu.

A potem to mijalo i mama znowu zaczynała pracę. Dom stawał się cichy i pusty. To budziło depresję.

Toby zabierał mnie wtedy i chodziliśmy wzdłuż Shaftesbury Avenue, obok teatrów, aż trafialiśmy na ten, w którym teraz grała. Oboje puszyliśmy się, widząc jej nazwisko — zawsze dużymi literami i zawsze na szczycie. Upierała się przy tym. Irena Rushton w Irlandzkiej dziewczynie Diona Boucicaulta.

Czułam dumę na myśl o tym, że Irena Rushton jest moją matką.

Toby zaprosił mnie na pierwszy w moim życiu lunch do Cafe Royal i tam wśród szkarłatnych i złocistych dekoracji pokazywał sławnych ludzi. Było to dla mnie niezwykle wydarzenie. Jednak wszystko popsuła mama, zjawiając się w towarzystwie apatycznego dżentelmena w kwiecistym krawacie i monoklu. („Arystokrata”, wyjaśniła potem Meg, kiedy jej opowiedziałam. „Lord Lummy, albo ktoś taki. Kiedy pomyślę, ile mogłaby dla siebie zrobić... a ona wzięła i wyszła za tego Ralpa Ashingtona!”).

Toby zaczerwienił się i wyjąkał:

— Ja... ja myślałem, że sprawi to Sarze przyjemność.

— To nie jest właściwe miejsce dla... dzieci. Odeszła, a ludzie pokazywali ją palcami, mówiąc:

— To Irena Rushton.

— Ta Irena Rushton?

— Tak, no wiesz, gra w Irlandzkiej dziewczynie. Podobno cudowna.

Toby był zakłopotany. Dzień miał zepsuty, gdyż zawiódł moją mamę.

Nie rozumiałam, o co miała pretensje. Toby nauczył mnie podejścia analitycznego, więc teraz starałam się znaleźć jakąś odpowiedź. Być może nie podobało się jej, że Toby wyraźnie mnie lubił. Śmiałyśmy się właśnie z moich pierwszych w życiu prób skosztowania szampana, gdy się pojawiła. Nie była zadowolona, że jest taki szczęśliwy w towarzystwie kogokolwiek innego, choćby to była jej córka. A może uświadomiła sobie, że dorastam, że jestem już na tyle duża, by zjeść lunch w Cafe Royal. Była czuła na punkcie swojego wieku i od paru lat miała ich stale dwadzieścia sześć.

To było nowe odkrycie o niej i o mnie. Okazało się, że mogę wprawiać mamę w zakłopotanie.

Toby był bardzo markotny i przeprosił ją przy najbliższej okazji. Wyglądało na to, że oboje nie mieliśmy racji, gdyż roześmiała się tylko.

— To bardzo miło z twojej strony, że dbasz o nią, Toby — powiedziała. — Mam nadzieję, że się zbytnio nie nudziłeś.

Toby oświadczył z zapałem, że na pewno nie było nudno. To najprzyjemniejszy lunch, jaki jadł od... od czasu, gdy ona zstąpiła z wysokości i usiadła przy jego stoliku.

Potem powiedziała do mnie:

— A więc wyruszasz w świat, Siddons? No cóż, łagodny, mały Toby to nieszkodliwy towarzysz.

Łagodny! To brzmiało lekceważąco. Ja bym go tak nie nazwała. Mały! Miał metr osiemdziesiąt wzrostu. Śmiałyśmy się z tego.

— Pospiesz się i urośnij jeszcze parę centymetrów — mawiał. — Szyja mnie boli od tego schylania.

Dopóki nie minęły, nie zdawałam sobie sprawy, jakie szczęśliwe były tamte dni. W przyszłości często miałam przypominać sobie teorie Toby'ego i pytać samą siebie, dlaczego uświadamiamy

sobie szczęście dopiero wtedy, gdy przeminie. To chyba jedna z cech przekornej ludzkiej natury. A może scena przeszłości zalana jest różowym blaskiem, który oświetla tylko szczęśliwe chwile?

Bo to były szczęśliwe chwile. Wszystko było ciekawe: praca mamy i święto, gdy miała dla mnie trochę czasu; szorstkie, łobuzerskie uwagi Meg o życiu w ogóle i o mamie w szczególności. Bawiła mnie nawet Janet: jej surowa dezaprobata wszystkiego, co działo się w domu, ponure wypowiedzi o ludziach, którzy mieszają w kotle zgryzoty, bawią się, gdy płonie Rzym, i sugestia, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Pośród tych żałobnych wypowiedzi, „nic dobrego” miało oznaczać tragiczną katastrofę.

I zawsze był też Toby. Obawiam się, że przyjmowałam go jak coś naturalnego: mój pobłażliwy nauczyciel, który wykonywał swą pracę wyłącznie z miłości do mojej mamy i — co uświadomiłam sobie później — także do mnie.

Jego ojciec był kimś, kogo określano mianem przemysłowca. Człowiekiem, który doszedł do wielkiego majątku i nie mógł się powstrzymać, by go nie pomnażać.

— Zaczynał od niczego — stwierdziła lekceważąco Meg.

Oczywiście broniłam go.

— Tym większa jego zasługa — zauważyłam. — Trzeba być mądrym, by coś zdobyć, gdy zaczyna się od zera.

— To nie to samo — odparła Meg.

Janet jak zwykle wygłosiła kąśliwą uwagę:

— Z łachmanów do bogactw, z bogactw do łachmanów.

— Chodzi jej o to — wyjaśniła Meg — że ci, którzy przyjdą po nim, stracą wszystko, co on zdobył, i wrócą do łachmanów.

— Nie wyobrażam sobie Toby’ego w łachmanach — powiedziałam chichocząc. — A zresztą pan Mander też nigdy ich nie nosił. Sprzedawał gazety przy Piccadilly Circus. Toby mi opowiadał.

— Tak się tylko mówi — odparła z godnością Janet. — I zapamiętaj moje słowa, są bardzo prawdziwe.

Toby śmiał się, gdy mu to powtórzyłam.

— Dla tej rodziny nie ma powrotu do łachmanów — oświadczył. — Mój ojciec wszystko dobrze sobie zaplanował. To finansowy czarownik.

— Ale ty nim nie jesteś, Toby.

— Och, nie jest tak źle. Może nie czarownik, raczej wesoły skrzat.

Często się śmialiśmy, Toby i ja, lecz zawsze z powagą rozmawialiśmy o książkach. Opowiadał mi też o rodzinie. Był jedynym synem, co rozczarowało staruszka.

— Czarownik — pocieszałam go — byłby zadowolony jedynie z czarownika jeszcze bardziej złośliwego niż on sam. Od tego czasu jego ojca nazywaliśmy Czarownikiem. To był dość ponury starszy pan. Nie oszlifowany diament, mawiał Toby. Potem nazywałam go Diamentem.

— Mam wrażenie, że jest geniuszem, jeżeli chodzi o gromadzenie różnych rzeczy — zauważyłam. — Bogactwo, a teraz przezwiska. Czarownik. Diament. Co dalej?

— Praca jest jego manią — twierdził Toby. — Moją matkę zadowoliliby dużo mniej, ale gdy już zaczął, musiał iść dalej.

— I w ten sposób zdobył duży majątek. Przypuszczam, że jest milionerem.

— Tak sędzę.

— Kiedyś będziesz bogaty, Toby.

— Wszystko jest utopione w depozytach i różnych takich, dla moich dzieci, ich dzieci i tak dalej na najbliższe tysiąc lat.

Byliśmy bardzo rozbawieni. Wtedy łatwo wybuchałam śmiechem. Wyobraziłam sobie pieniądze zapakowane w worki i przekazywane po trochu Toby'emu, jego dzieciom i wnukom. Sam pomysł, że Toby może mieć dzieci, był jeszcze zabawniejszy niż te worki z pieniędzmi.

Poczuł się urażony, kiedy mu to powiedziałam. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby się tak boczył.

Czarownik nie był chyba takim złym czarownikiem. Też miał na imię Toby, choć zawsze mówiono o nim Tobias i byłam pewna, że mu to odpowiada. Rzecz w tym, że nie potrafił myśleć czy mówić o niczym innym prócz pieniędzy i o tym, jak je zarabiać i mnożyć. A Toby lubił rozmawiać o greckim dramacie, filozofach i wyjątkowym geniuszu Szekspira. Nie pasowali do siebie, i Tobias Czarownik z Tobym synem widywali się dość rzadko. Chociaż, jak zrozumiałam, kiedy się spotykali, byli dla siebie uprzejmi i okazywali wzajemny szacunek. Czarownik ukrywał swoje rozczarowanie, a Toby próbował zataić swoją ignorancję i brak zainteresowania gromadzeniem bogactw.

Kiedy siedzieliśmy w pokoju do nauki, jeździliśmy konno po parku, oglądaliśmy wspaniałości świata teatru i rozmawialiśmy bez końca, dni były tak podobne jeden do drugiego, że mijały nie zauważone.

* * *

Po długim wystawianiu Irlandzkiej dziewczyny sztuka zeszła z afisza. Gazety podały, że Irena Rushton była wspaniała i czarująca.

Ostatnie przedstawienie przyniosło ogromny sukces: gratulacje, kwiaty i specjalny bankiet. Teraz to się skończyło i przyszła pora na odpoczynek.

Wszystko przebiegało jak zwykle i wiedziałam, że pierwsze dni będą wspaniałe.

Nazajutrz po przyjęciu spytałam Meg, czy mogę zanieść mamie do pokoju kawę i bułeczki.

Spała, gdy położyłam tacę na stoliku. Spojrzałam na nią. Była piękna. Brązowe lśniące włosy okalały twarz w kształcie serca, a gęste rzęsy rzucały długi cień na blade policzki. We śnie wyglądała bardzo młodo, prawie jak dziecko.

Miałam podobną cerę, lecz brakowało mi jej regularnych rysów. Moja twarz, jak twierdziła Meg, miała skłonności do zaokrąglania. Nos był zbyt długi, usta za szerokie, no i oczywiście te niesforne włosy. Jedno, co po niej odziedziczyłam, to ciemne, gęste rzęsy i brwi.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Co robisz, Mała Siddons?

— Patrzę i podziwiam. Wyglądasz tak pięknie i tak... młodo.

Była zachwycona. Uwielbiała komplementy i nigdy nie miała ich dość, choć z pewnością obdarowywano ją nimi aż nadto. Wybrałam odpowiednie słowo, mówiąc, że wygląda młodo. Przyszło mi do głowy, że życie mojej mamy jest nieustanną bitwą z czasem. Sądziłam, że nie warto tracić sił na walkę z przeciwnikiem, który jeszcze nie zaatakował. Przecież kiedy to zrobi, i tak będzie zwyciężcą.

— Kawa! — zawołała. — Och, jesteś aniołem.

— Mam nalać?

— Tak, proszę. — Przeciągnęła się. — Ach, luksusy. Cóż to była za noc! Widziałaś kwiaty?

— Tyle ich, że nie widać pokoju.

— Cudownie!

— Janet powiedziała, że będą się sypać na dywan, a Meg jest pewna, że są w nich insekty.

— Mam nadzieję, że jest tam pełno pajaków, tarantuli, które nocą wślizną się do jej łóżka. Powtórz to Meg.

— Tak piękna i tak okrutna — zadrwiłam.

— Tom Mellor mówił, że ma dla mnie do przejrzenia z pół tuzina tekstów. Wygląda na to, że nie będę odpoczywać zbyt długo. — Uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Wzięłabym chyba dobrą tragiczną rolę.

Przez chwilę opowiadała o swoich rolach i sukcesach. Potem nagle, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy, stwierdziła:

— Upięłaś do góry włosy.

Twarz jej spochmurniała.

— Nie podoba ci się?

— Nie, Saro, nie podoba.

Była naprawdę zła, skoro nazwała mnie Sarą. Wyjęłam szpilki i potrząsnęłam głową.

— Tak lepiej. Jesteś zbyt młoda, by upinać włosy. Minie jeszcze z pięć lat, nim będzie to konieczne.

Moja fryzura zdecydowanie pogorszyła jej nastrój. Zniknęło rozradowanie, z jakim opowiadała o swoich sukcesach. Wyglądała na zdenerwowaną, jakby spojrzała w przyszłość, jakby upięte włosy córki oznajmiały światu, że Irena Rushton się starzeje.

— Wtedy będę miała dziewiętnaście — zauważyłam. Miałam taki irytujący zwyczaj, że kiedy coś mi przyszło do głowy, natychmiast o tym mówiłam. Powinnam z tego wyrosnąć, ostrzegała mnie Meg.

Niepotrzebnie to powiedziałam. Ona chciałaby, żebym zawsze miała czternaście. Ogarnęła mnie czułość. Przecież tak łatwo mogła mnie zostawić z tym mglistym Ralphem Ashingtonem, bym z wiekiem nie budziła jej zakłopotania. Zamyśliła się na chwilę.

— Naprawdę? — powiedziała z powagą. — Dziewiętnaście.

Wymówiła te słowa takim tonem, jakby osiągnięcie przeze mnie tego wieku było strasliwą katastrofą, czymś w rodzaju wojny krymskiej lub buntu sikhów. Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć. Próbowałam sobie przypomnieć zachwyty Toby'ego lub choćby Meg czy Janet.

Czy ktoś nie powiedział, że doświadczenie jest jedną z zalet, które przynosi nam starość, czy coś w tym rodzaju? Miałam jednak wrażenie, że ta uwaga nie będzie dla niej pociechą.

I wtedy odezwała się wolno:

— Więc to czternaście lat temu...

W jej oczach pojawiło się rozmarzenie. Wiedziałam, że wraca myślami do tego dnia, gdy się urodziłam. Wyobrażałam sobie to wiele razy: moje urodziny w tym niezwykłym miejscu, gdzie było tyle owadów, gdzie mieszkał pan Ralph Ashington i skąd mama, nie mogąc wytrzymać, wyjechała, gdy miałam dwa latka.

Może dzięki temu, że zjawiłam się z upiętymi włosami — tylko po to, by nie wpadały mi do oczu — uznała, że czas już powiedzieć mi nieco o moim pochodzeniu. A może dlatego, że ogarnął ją refleksyjny nastrój i chciała wrócić do wspomnień. Nie byłam pewna. Lecz tego ranka dowiedziałam się o moich korzeniach więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

— Czternaście lat temu — powtórzyła. — Więc to już piętnaście, odkąd pierwszy raz spotkałam twojego ojca.

Łyknęła kawy, a ja milczałam, by nie rozproszyć jej uwagi.

— Miałam wtedy ledwo siedemnaście — mówiła dalej, jakby do siebie.

To wyznanie dowodziło, że się nie pilnuje. Wprawdzie nie byłam dobra z matematyki, ale wiedziałam, że piętnaście i siedemnaście to nie dwadzieścia sześć, a do tego wieku się przyznawała.

— To były wspaniałe dni — powiedziała. — Zawsze miałam powodzenie. Nie było dziewczyny, która by miała więcej adoratorów ode mnie.

— Oczywiście — odparłam potakująco.

— Byłam młoda i beztroska. Kiedy pomyślę, jak mogłam wyjść za męż...

Za lorda Lummy, pomyślałam. Za diuka Denton Square, earla Edmonton czy księcia Putney... Tak, byłam pewna, że to prawda.

— Wiele dziewcząt wyszło za męża za arystokratów — powiedziała. — To dziwne, że ja nie.

Interesowało mnie, jakby to było mieć ojca arystokratę zamiast pana Ralpha Ashingtona. Inaczej, oczywiście.

— Wszystko zdarzyło się tak szybko...

Pochyliłam się, by lepiej słyszeć. Nie chciałam stracić ani jednego słowa. Odkąd pamiętam, próbowałam się czegoś od niej dowiedzieć.

Umilkła, więc podpowiedziałam cicho:

— Jaki on był... mój ojciec?

— Inny — odparła. — Niepodobny do pozostałych. Był w nim jakiś smutek, jakieś tragiczne spojrzenie, które zaczynało mnie fascynować.

— Dowiedziałaś się, dlaczego tak wyglądał?

— Niedawno zmarła jego żona. Przyjechał do Anglii, żeby ukoić żal. Jeden z przyjaciół przyprowadził go do teatru. Zauważyłam go na widowni. Przypatrywał mi się bezustannie. Następnego nocy przyszedł znowu i następnego także.

Nie było w tym nic dziwnego. Często słyszałam o mężczyznach, którzy co noc przychodzili, by ją podziwiać. To typowe zachowanie teatralnych Jasiów, jak nazywała ich Meg.

— Ale było w nim coś innego — przypominałam.

— Och, zupełnie innego. Wyglądał elegancko, miał piękną opaleniznę i włosy zjaśniające od słońca. To sprawiało, że...

— Wyróżniał się — podpowiedziałam — i był bardzo atrakcyjny.

Chyba nie usłyszała mojej uwagi.

— Poszliśmy na kolację.

— Do Café Royal — tchnęłam.

Skinęła głową.

— Mówił. Potrafił opowiadać, kiedy był ożywiony, zależało mu na rozmowie ze mną. W swojej rodzinnej posiadłości w pobliżu Epping Forest bywał rzadko. Miał plantację herbaty na Cejlonie, do Anglii przyjechał na krótko. Wiele opowiadał o tym miejscu i... po dwóch tygodniach spytał, czy wyjdę za niego.

— To bardzo romantyczne — stwierdziłam.

— Romantyczne! Nikt tak nie uważał. Meg złościła się. To jej się nie spodobało. Od roku była moją garderobianą i można by pomyśleć, że ona mnie wykreowała, że stanowiłam jej własność. Robiła mi gorzkie wyrzuty. „Wszystkie moje panie wychodziły za arystokratów”, powtarzała. — Mama zaczęła się śmiać. Ja także. Mówiła dalej. — Powiedziałam jej: „Przykro mi, Meg, nawet jeśli to popsuje twoje referencje, wyjdę za tego, za kogo będę chciała”. Czasem myślę, że podjęłam tę decyzję, by zrobić na złość Meg.

— Jestem pewna, że nie. Musiałaś go bardzo kochać.

— Sentymentalna Siddons! Ale ja wcale nie jestem sentymentalna, moje dziecko. Rzuciłam się w to małżeństwo bez namysłu. Fascynował mnie ten gorący ład, o którym tak pięknie mówił. Chciałam go sama zobaczyć. Te kolory, mglisty blask, turkusowe morze, rafy koralowe, rozkołysane palmy. Potrafił opowiadać. Czasem myślę, że masz to po nim. Wszyscy uważali, że się marnuję. Ale popłynęłam tam. Dokładnie pamiętam... to całe podniecenie, emocje przygotowań, statek, który nas zabrał. Ciemne noce z gwiazdami jak złoto na ciemnogrnatowym aksamicie... takim, jak ta moja ciemna suknia, wiesz która. Kiedy ją noszę, zawsze myślę o tym

statku. Wszystko było takie romantyczne i podniecające. Pamiętam swoje wrażenie, gdy pierwszy raz zobaczyłam ten dom. Zadrżałam, mimo tropikalnego upału. Była siódma wieczorem, gdy dotarliśmy na miejsce i...nagle słońce zniknęło. Tam ciemność zapada szybko... nie tak jak tutaj. Nie ma zmierzchu — w jednej chwili jest dzień, a w następnej noc. Dom był biały, po obu stronach drzwi świeciły latarnie. Powietrze wibrowało od brzęczenia owadów. Wokół bujna roślinność; tam wszystko rośnie o wiele szybciej niż u nas. Z ziemi unosi się jakiś parny zapach. Niczym z rozgrzanego wilgotnego koca.

— To musiało być niezwykle — szepnęłam.

Milczała przez chwilę, po czym oświadczyła gwałtownie:

— Zaczęłam tego nienawidzić. Brak mi było rzeczy, których w domu nie zauważałam. Myślałam o deszczu... o łagodnym deszczu, a nie ulewie. Chciałam słyszeć odgłos przejeżdżających powozów, widzieć konie ciągnące omnibusy, kwaciarki i stragany z owocami. Brakowało mi sklepów, szumu i ulicznego ruchu... ucieszyłaby mnie nawet mgła, gęsta jak grochówka. Pragnęłam wracać do domu. Czułam się schwytana... tak właśnie... w pułapce. Dlaczego ci to wszystko opowiadam, Siddons?

— Powinnaś mi opowiedzieć — odparłam. — To także część mojego życia. Urodziłam się w tym domu, w tym powietrzu jak gorący, parujący koc.

— Popełniłam błąd. Straszny błąd. Kiedy dowiedziałam się, że będę miała dziecko, nie wiedziałam co robić. Gdyby nie to, wyjechałabym stamtąd wcześniej. Trzy miesiące całkiem mi wystarczyły.

— Przykro mi. To moja wina.

Roześmiała się.

— Wiesz, niewiele miałaś w tej sprawie do powiedzenia. Kiedy już przyszedłaś na świat, byłaś dobrym dzieckiem. Stara Sheba przepowiedziała, że miałam szczęście i nie będziesz mi sprawiać kłopotów.

— Cieszę się, że byłam taka rozważna.

— To nie twoja zasługa, drogie dziecko.

— Kto to jest stara Sheba?

— Złośliwa, stara kobieta. Nienawidziłam jej. Prowadziła dom. Skradała się zawsze cicho... Oni wszyscy byli tacy spokojni, obserwowali, szpiegowali. Unosiłaś głowę i widziałaś, że stoi przed tobą. „Panienka wołać?”, pytała. Dostawałam dreszczy. Chętnie bym ją odprawiła, ale była niezbędna. Nie potrafiłabym sama prowadzić tego domu. Jestem pewna, że przejrzała moje rzeczy, szukając... sama nie wiem czego. Czegoś kompromitującego, jestem pewna. Czułam, że oszaleję, jeśli nie wrócę do teatru. Ralph zniknął często. Plantacja była najważniejsza. Pozostawał klub w Kandy i kilku Anglików, ale nie takich, którzy by mnie aprobowali. Siddons, czułam, że popadam w obłęd. Modliłam się co noc. Domyślasz się, w jakiej musiałam być rozpacz, żeby to robić! Niech coś się stanie, błagałam. I stało się. Ty!

— No to już coś.

— Zajrzyj do komody, Siddons. Jest tam pęk kluczy. Znalazłaś? Przynieś mi go. Weź ten mały kluczyk, o ten. Otwórz dolną szufladę, to zobaczysz paczuszkę opakowaną w bibułę. Podaj mi ją.

Nigdy przedtem mama nie była taka rozmowna. Gdy zaczynały się okresy odpoczynku, zbliżyłyśmy się do siebie, co trwało może tydzień, czasem trochę dłużej. Potem zaczynała tęsknić za pracą i zapominała o mnie. Ale teraz odslaniała więcej niż kiedykolwiek. Jakby mój widok z upiętymi włosami wzbudził w niej chęć opowiadania.

Podaliśmy jej zawiniątko. Odpakowywała powoli. Usiadłam na łóżku, żeby lepiej widzieć. Spod bibuły ukazał się portret mamy. Był niezbyt duży, o wspaniałych barwach. Choć miniatura przedstawiała ją tylko do połowy, zobaczyłam, że ubrana jest w sari. Jedno ramię miała obnażone,

a przez drugie przerzucone kaskady tiulu koloru lawendy, usiane srebrnymi gwiazdami. Widziałam już wiele jej portretów, ciągle robiono zdjęcia, ale nigdy tak pięknego jak ten.

— Trzy miesiące po twoim poczęciu — powiedziała. — Czy dostrzegasz tę macierzyńską zadumę w moich oczach?

— Nie — odparłam.

— To przyszło później. Ale wtedy zaczynałaś być niewygodą i przeszkodą, wręcz małym potworem. Miałam wrażenie, że minęły całe lata, zanim raczyłaś się pojawić i skończyć moje cierpienia.

— Ośmielę się zauważyć, że musiałam doczekać do odpowiedniej pory.

Roześmiała się.

— Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś chyba najbrzydszym dzieckiem na ziemi. Wiłaś się z czerwoną twarzą, jak mała ropucha.

— Powinnaś mieć serafina — odparłam. — Małego aniołka o złotych lokach.

— Poprawiłaś się, choć nie do anielskiego poziomu. Wiesz, właściwie zaczęłam całkiem cię lubić.

— To cud macierzyństwa — stwierdziłam. Podniosłam portret i przyjrzałam mu się. — Pasują ci te perły. Teraz nigdy nie nosisz pereł.

— Perły! — westchnęła. — To Perły Ashingtonów.

— Bardzo cenne — rzuciłam lekko.

— Masz rację.

— Gdzie są? Nigdy ich nie widziałam.

— Nie były moje. Tylko je nosiłam. Stanowią część rodzinnej legendy. Zapewniam cię, że ich nie chciałam. To znaczy przez pewien czas tak, a potem...

— Opowiedz mi o tych perłach.

— To długa historia. Nie wyobrażasz sobie, jak dumni są ci Ashingtonowie. Można by pomyśleć, że pochodzą z królewskiego rodu. Nie Ralph... ale inni. Wkrótce zostałam zaznajomiona z historią tych pereł. Zanim z twoim ojcem odpłynęliśmy na Cejlon, spędziłam trzy tygodnie w Ashington Grange, rodzinnej posiadłości w pobliżu Epping Forest. Możesz mi wierzyć, że nie były to najprzyjemniejsze tygodnie mojego życia. Chciałam jak najszybciej się wydostać z tej dusznej atmosfery cnoty, rodowej dumy i nieustannych przypomnień, jakie miałam szczęście wchodząc do takiej rodziny. Właśnie tam po raz pierwszy usłyszałam o perłach. Moja starsza sowa — gierka, Marta, bardziej groźna z dwóch, opowiedziała mi to niezwykle poważnym tonem. Można by pomyśleć, że składałam jakieś śluby religijne. Te perły to było święte dziedzictwo Ashingtonów. Trafiły do rodziny przed stu laty. Pułkownik Ashington służył na Cejlonie, gdy wybuchły tam jakieś zamieszki między Anglikami a Holendrami. Marta Ashington mówiła tak, jakby już niejednokrotnie powtarzała tę historię. Pewnie tak było. Chyba już ze sto razy odgrywała całą scenę. Chodziło o ukazanie wszystkich cnót Brytyjczyków, a zwłaszcza pułkownika Ashingtona. Była mowa o tym, że królowie Kandy byli despotami i to tak okrutnymi, że Syngalezi błagali, by trafić pod panowanie Brytyjczyków. Tym właśnie zajmował się bohaterski pułkownik... brał ich pod panowanie. Wyzwalał Syngalezów. Nie interesowało mnie to... chciałam tylko dowiedzieć się czegoś o perłach.

— To brzmi jak sztuka — wtrąciłam.

— Dzielni żołnierze, prowadzeni przez pułkownika, schwytali tyrana Kandy i wygnali go na resztę życia. Jego rodzina rządziła tam od dwóch tysięcy lat. To zapamiętałam. Brzmiało jak ostatnia linijka przed kurtyną w drugim akcie. Teraz wchodzi na scenę pułkownik. Doskonale znał się na lekach. Musiał, gdyż wierni poddani złego króla byli mniejszym zagrożeniem niż choroby, atakujące obcych na tej ziemi. Zdarzyło się, że syna jednego z potężnych nababów zaatakowała

kobra. Ashington przybył w odpowiednim momencie i zabił węża, lecz chłopiec umierał. Na szczęście jedno z ziół z apteczki pułkownika ocaliło życie dziecka. Tak, naprawdę sędzę, że ktoś powinien napisać o tym sztukę. Perły Ashingtonów! To byłby niezły tytuł. Perły, diamenty, rubiny, jest w nich coś pociągającego, nie uważasz?

Zgodziłam się, niecierpliwa, by usłyszeć więcej.

— Zauważ — mówiła dalej — że historia rozwija się w sposób możliwy do przewidzenia. Pewnie już domyśliłaś się zakończenia. Wdzięczny nabab zastanawia się, co może dać w zamian za życie syna. Nic nie ma takiej wartości, a bogowie nie będą zadowoleni, gdy nie okaże im należytej wdzięczności za sprowadzenie pułkownika we właściwej chwili. Bije się z myślami. Jaki przedmiot ceni najbardziej, poza swymi synami i córkami? Perły. Więc podarował twojemu pra-pra-pra... nie jestem pewna, ile tych pra... dziadkowi. Oto cała historia i to są te perły. Stanowią bezcenny majątek. Każda z pereł była doskonała, ogromna, a spinka z diamentów i szmaragdów sama w sobie stanowiła arcydzieło sztuki. Wręczając Ashingtonowi wspomniały dar, ten kandyjski nabab wygłosił coś w rodzaju przemowy odpowiedniej na taką okazję. Perły miały sprowadzać nieszczęście, gdyby trafiły w niepowołane ręce. Jedyne krew najstarszego syna jest porównywalna z ich wartością. Nabab wahał się, czy powinien je podarować, bo mogło to przynieść pecha... lecz te niezrównane perły były jedyną godną zapłatą za życie syna.

— To cudowne — zawołałam z entuzjazmem.

Uśmiechnęła się.

— Kochana Mała Siddons, jesteś jeszcze taka dziecinna.

By zadowolić mamę, byłam gotowa uznać ten fakt, gdyż wprowadzało ją to w dobry nastrój.

— Przez pewien czas perły należały do mnie. Nosiła je pierwsza żona twojego ojca, a potem przeszły w moje ręce... ale nie na zawsze. Nikt nie dostaje tych pereł na zawsze. To jedna z reguł. Nosiłam je, jak widzisz, gdy malowano mój portret. Znaleźliśmy pokój z odpowiednim oświetleniem. To był ciemny dom. Krzewy i drzewa gęsto rosły wokół. Śniłam nawet, że rozrosły się przez noc i uwięziły mnie już na zawsze. Sama widzisz, jakie przygnębiające wrażenie wywierało na mnie to miejsce.

— Ale uciekłaś i zabrałaś mnie ze sobą. Opowiedz mi jeszcze o perłach — prosiłam.

— Kiedy tylko dotknęły mojej skóry, poczułam rodzaj fascynacji. Myślałam o tym kandyjskim władcy i wszystkich osobach, które nosiły ten naszyjnik przede mną. Malarz, który malował ten portret, był sympatycznym młodym Anglikiem. Zakochał się we mnie. Mówił, że perły są jak moja skóra... bez skazy. Mnie namalował doskonale, ale z pereł nie był zadowolony. Twierdził, że zmienia się ich faktura, gdy próbuje je malować. Kiedy ukończył portret, wsiadł w małą łódkę i popłynął rzeką Mahaweli Ganga, a stamtąd podryfował na morze. Łódź powróciła, ale była pusta. Sheba stwierdziła, że perły przyniosły mu pecha. Albo ja. Nie traktowałam go poważnie, gdy mówił, że mnie kocha.

— I potem już nigdy nie lubiłaś pereł.

— Nie, nie lubiłam.

— A gdzie są teraz?

— Przypuszczam, że ma je Clytie. Należą do niej, chyba że twój ojciec ożeni się znowu i będzie miał syna... ale to niemożliwe, póki ja żyję. Przecież nie może się rozwieść. Ashingtonowie nigdy by do tego nie dopuścili. Więc przed Clytie droga otwarta... choć właściwie to wbrew zasadom. Ona jest z Ashingtonów, ale jeśli wyjdzie za mąż i urodzi syna, trafią do jego żony.

— To takie ciekawe. Kto to jest Clytie?

— To moja pasierbica, córka pierwszej żony twojego ojca. Gdy tam trafiłam, skończyła dopiero roczek.

— Opowiedz mi o Clytie. Jaka ona jest?

— Miała cztery lata, gdy wyjechałam. Właściwie jej nie pamiętam. Rzadko ją widywałam. Cały czas przebywała ze swoją niańką. Kiedy się urodziłaś, bawiłaś się z nią w pokoju dzieciennym. Sheba doglądała was obu.

— Ireno Rushton — oznajmiłam z powagą — czy pojmujesz, że właśnie się dowiedziałam, że mam siostrę.

— Przyrodnią siostrę.

— Zawsze chciałam mieć siostrę. Clytie! To niezwykle imię.

— Twój ojciec mówił, że kiedy się urodziła, przypominała słonecznik.

— Wiem. Clytie to wodna nimfa, w której zakochał się Apollo i zamienił ją w słonecznik, by zawsze zwracała się ku niemu, kiedy pędzi po niebie.

— To bzdura — powiedziała mama.

— Musiał ją bardzo kochać — odparłam cicho.

— Jesteś romantycznym głuptasem.

— W tej chwili jestem raczej zdumiona. I bardzo uradowana. Mam siostrę. Gdybym tylko mogła ją zobaczyć!

Nie powinnam tego mówić. Mama wyraźnie żałowała, że powiedziała mi tak dużo. Ponuro ściągnęła wargi. Owinęła portret i wręczyła mi klucze.

— Schowaj to — powiedziała tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Ten obraz był jakby symbolem. Dziś rano zbyt wiele wyjęła z zakamarków pamięci. Sekrety miały wrócić na swoje miejsce. Nie będzie już tak nieuważna.

Zdarzenia potoczyły się normalnym trybem. Nastąpił czas depresji, potem okres smutku.

— Jest jak niedźwiedź z migreną — określiła to Meg.

— Z podwójną migreną — dodała Janet i dorzuciła ponuro: — Sądzę, Meg, że nieźle byśmy wyszły na tym zajeździe.

Potem zjawił Tom Mellor ze sztuką, która okazała się odpowiednia. Zaczęły się próby, zapanował zamęt i ciężkie chwile nauki roli, kiedy mama zmieniała osobowość, stając się postacią, którą miała przedstawiać.

— Pewnego dnia zagra morderczynię — stwierdziła Meg. — Wtedy będziemy musiały uważać.

— Ucieknę z tego domu niczym błyskawica — odparła Janet.

Odniosłam wrażenie, że byłaby nawet zadowolona, gdyby mama przyjęła taką rolę.

Jednak tym razem grała fascynującą syrenę. Rola bardzo do niej pasowała. Po kilku tygodniach przygotowań, wielkich emocjach premiery i po czytaniu nazajutrz recenzji z drzeniem, że jakiś kiytyk mógłby ją urazić, nastąpiły zwyczajne dni.

Wróciłyśmy do normalnego życia i nie padło już ani jedno słowo na temat Clytie.

Ale ja o niej nie zapomniałam.

* * *

Często rozmyślałam o rodzinie i pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej, a mogłam pytać o to tylko mamę. Lecz kiedy poruszałam ten temat, wyraźnie okazywała, że nie ma już zamiaru nic mówić. Sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że powiedziała aż tyle. Zrozumiałam, że muszę czekać na odpowiedni moment.

Próbowałam wyciągnąć coś od Meg. Byłam pewna, że rozmawiałaby o tym, gdyby miała jeszcze inne wiadomości. Ale potrafiła powiedzieć tylko to, co i tak już wiedziałam. Mama zaskoczyła wszystkich, wychodząc za plantatora herbaty i wyjeżdżając na Cejlon, skąd po trzech latach wróciła z dzieckiem, czyli ze mną.

— Trzy lata nie wystarczyły, żeby publiczność o niej zapomniała. Można powiedzieć, że powitano ją z otwartymi ramionami. Dojrzała, tak mówili. Nie podobało jej się to określenie. Rozkwitła aż do doskonałości. Tak brzmiało lepiej. W każdym razie miała coś, jakkolwiek to nazwać, co sprawia, że ludzie całymi stadami biegną do teatru, żeby na nią popatrzeć. Kiedy jest na scenie, nie widzą nikogo innego. Czy są inni tacy aktorzy? Nie sędzę! Ona jest aktorką od stóp do głów. Będzie grała przez całe życie, zobaczysz.

Tak więc wszystko to, co usłyszałam od Meg, było historią triumfów i odrzuconych szans. Rozmawiałam o mamie z To — bym, ale on nic nie umiał powiedzieć. Osiemnaście miesięcy temu zobaczył ją po raz pierwszy i oczarowała go tak, że odtąd chciał być blisko niej. Jedyne dostępne dla niego sposób to nauczanie jej córki.

Przebywałam z nim często, nie tylko w czasie porannych lekcji. Pokazywał mi Londyn. Raz wymknęliśmy się rankiem do Covent Garden. To było fascynujące: zobaczyć tyle owoców, kwiatów i tłumy handlarzy. W Kensington Gardens przyglądaliśmy się, jak dzieci i dorośli puszczają łódki po stawie. Poszliśmy do oranżerii i spacerowaliśmy po splątanych alejkach Kensington Gardens, Hyde Parku, Green Parku i St. James. Cały czas wędrowaliśmy po trawie i tylko przytłumiony odgłos ulicznego ruchu przypominał nam, że jesteśmy w sercu wielkiego miasta. Chodziliśmy po Pali Mali, której nazwa wywodzi się od gry z czasów Karola II. Przystanęliśmy przy Whitehall, by wspomnieć jego ojca, Karola I, który tu stracił głowę. Pływaliśmy rzeką do Hampton Court i do Windsoru.

Wymyślaliśmy własne zabawy. Jedno z nas nuciło urywek melodii, a drugie zgadywało, z jakiego to utworu. Graliśmy też w cytaty. Wybieraliśmy temat i szukaliśmy odpowiednich wersów lub przysłów. Najbardziej lubiłam tematy zwierzęce, kiedy jedno wołało: „Osioł”, drugie odpowiadało: „Uparty jak osioł”. Albo: „Niedźwiedź”, a odpowiedź brzmiała: „Nie dziel skóry na niedźwiedziu”. Sporo cytatów pochodziło z wierszy i w tym celował Toby. Podliczaliśmy punkty za właściwe odpowiedzi; nie wolno było powtórzyć dwa razy tego samego cytatu. Hasło „Tygrys” wywołało odzew: „Tygrysie, łuną dzikiej mocy...”, a potem Toby przypomniał sobie wiersz, który na długo utkwiał mi w pamięci.

*Za to ich zemsta jak skok tygryscy
Krwawa...*

— Czyja zemsta? — zainteresowałam się, a on zacytował strofy z *Don Juana* Byrona:

*Miłości kobiet — o! poznania warte,
Piękne a groźne, pełne tajemnicy.
Kobieta wszystko stawia na tę kartę,
Gdy przegra, to jej nic oprócz tęsknicy
I żalu życie nie odda rozdarte.
Za to ich zemsta jak skok tygryscy
Krwawa... lecz i ta zwiększa serca rany,
Bo same czują cios drugim zadany.**

Wiersz wywarł na mnie duże wrażenie, więc od tego czasu zaczęliśmy razem czytywać Byrona.

* Wiersz w przekładzie Edwarda Porębowicza.

Wydarzenia tamtego lata przyjmowałam jako coś naturalnego, a były one końcem pewnego rozdziału mego życia. Przez długi czas potem miałam snuć gorzkie i słodkie wspomnienia o tym okresie.

W głębi serca byłam dzieckiem, czy czesałam włosy do góry, czy nie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zmiana już czyha, by zaatakować jak tygrys. Myślałam, o ile w ogóle wtedy myślałam, że te letnie dni będą trwały wiecznie i że zawsze będziemy razem.

Sztukę wystawiano bardzo długo. Wszyscy twierdzili, że pobije rekord. Gdyby nie to, mamę pewnie by zaniepokoiło, że tyle czasu spędzam z Tobym. Lubiła, gdy jej wielbiciele byli na każde wezwanie. Nie znaczy to, że Toby mniej ją adorował. Po prostu znalazł sposób służenia jej, który okazał się bardzo przyjemny.

Pewnego dnia ośmielił się zabrać mnie do teatru wieczorem na sztukę, której nie grano po południu. Mamie nic nie mówiliśmy. Włożyłam jedną z jej sukien. Byłam wtedy takiego wzrostu jak ona.

— Tyka z ciebie wyrośnie, ot co — stwierdziła Meg.

— Skóra i kości, jeśli by mnie kto pytał — dodała Janet.

— Bzdura — ocenił Toby. — Będziesz wysoka i elegancka. Cudowny Toby!

Suknia była raczej prosta. Mama nosiła ją do niewinnych ról. Niebieski kolor materiału nadawał moim zielonoszarym oczom odcień błękitu. Zaczesałam włosy do góry — straszliwy grzech — i wyruszyliśmy powozem.

Cóż to był za wieczór! Jak się śmialiśmy! Zaciskaliśmy palce, kiedy mama pojawiała się na scenie i na jej widok ogarniało nas wzruszenie.

Była wspaniałą aktorką. Nic dziwnego, że tyle ludzi przychodziło ją zobaczyć i że powitano ją z „otwartymi ramionami”. Na widowni zobaczyliśmy Everarda. Domyśliłam się, że odwiezie mamę do domu i zostanie.

Byłam zachwycona sztuką. Płakałam rzewnie tam, gdzie powinnam, a Toby podawał mi chusteczkę, bym otarła oczy. Jak zwykle nie zabrałam własnej. Gdy tylko spektakl się skończył i aktorzy kłaniali się przed kurtyną, Toby wyprowadził mnie z teatru.

— Chciałbym cię zabrać na kolację — powiedział. — To byłoby ładne zakończenie wieczoru, ale powinnaś chyba wracać.

Zgodziłam się z tym. Wyobraziłam sobie, że wchodzę do domu, a mama już tam czeka. Na pewno bardzo by się gniewała, gdyż nie tylko zczesałam włosy do góry, lecz i wyglądałam na siedemnaście lat.

Wychodząc z teatru zobaczyliśmy królewską karetę z księciem Walii.

— Przynajmniej raz z księżną — zauważył Toby. — Nie z którąś ze swojego haremu.

Roześmiałam się, jakbym była wyjątkowo wyrafinowana. Ruszyliśmy powozem, chichocząc z całej przygody.

Janet zobaczyła, jak wchodzę do domu. Nic nie powiedziała, ale zauważyłam jej pełen satysfakcji uśmiech. Wiedziałam, że myśli o mamie, i zdałam sobie sprawę, że jej nie lubię. Pogardzała usłużnością Meg i zawsze porównywała to, co nazywała zatruciem Londynu, które całkiem niepotrzebnie musiała znosić wraz z siostrą, ze świeżym powietrzem na wsi, gdzie mogłyby trafić przy odrobinie rozsądku.

Gdy znalazłam się w łóżku, nie mogłam zasnąć. Leżałam, myśląc jak podniecające jest życie i jak wspaniale jest dorastać.

Słyszałam, jak wraca mama. Był z nią Everard.

Nadal nie spałam. Rozmyślałam o tym, jak spotkała mojego ojca i jak znalazła się w jego niezwykłym domu na Cejlonie. Widocznie ten dom musiał ją przerazić. Myślałam o pułkowniku

Ashingtonie i perłach, a przede wszystkim o Clytie. Zastanawiałam się, czy kiedyś ją zobaczę. Ale nawet wtedy nie spodziewałam się żadnych zmian.

Kilka dni po wizycie w teatrze zauważyłam kobietę w czarnym płaszczu. Wieczorem przypadkiem wyjrzałam przez okno w sypialni i wtedy ją dostrzegłam. Stała po przeciwnej stronie ulicy i wpatrywała się w nasz dom. Nie widziałam jej twarzy, bo naciągnęła kaptur płaszcza.

Odwróciłam się od okna i zaczęłam się rozbierać do snu. Za jakieś dziesięć minut znowu podeszłam. Kobieta wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Miałam ochotę wyjść i zapytać ją, czy chce czegoś. Jednak cofnęłam się. To byłoby zbyt naiwne. Pewnie miała się z kimś spotkać lub gdzieś iść, a było jeszcze za wcześnie.

Przecież Denton Square to nie przedmieście. Wiele osób tędy przechodzi, tłumaczyłam sobie. A ta kobieta jest oczywiście wielbicieleką mojej mamy. Oto rozwiązanie. Ktoś patrzący z zachwytem na dom, gdzie mieszka „Ona”.

Zobaczyłam na dole Meg. Wyjęła klucz, wtedy kobieta przeszła przez ulicę i coś do niej powiedziała. Meg skinęła głową, zamieniła z nią kilka słów i weszła do domu.

Nadal stałam przy oknie, kiedy Meg zatrzasnęła za sobą drzwi. Kobieta zawróciła i znów zajęła swoje poprzednie miejsce, patrząc na dom. A potem chyba wyczuła, że obserwuję ją zza koronkowej firanki, gdyż jej wzrok przyłgął do okna.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam nagły dreszcz. Ogarnął mnie dziwny, niewytłumaczalny lęk. Janet powiedziałaby, że to uczucie „jakby ktoś chodził po twoim grobie”. Miałam wrażenie, że trwa to bardzo długo, choć minęło kilka sekund, nim kobieta odwróciła się i szybko odeszła. Serce biło mi mocno. Czułam, że jest w niej coś dziwnego.

Byłam tak zdenerwowana, że natychmiast ruszyłam na poszukiwanie Meg. Znalazłam ją w kuchni. Odpakowywała jakieś kosmetyki i wstążki, które kupiła dla mamy.

— Spójrz na to — powiedziała, podnosząc bladofioletową kokardkę. — Nic innego nie dostałam. To pewnie nie zadowoli jej wysokości. Przeszłam przez całą Bond Street i nie znalazłam lepszej.

— Jest śliczna, Meg — odparłam. — Co to za kobieta stała przed domem?

— Kobieta! — Meg wyraźnie skupiła się na wstążce i trudnościach ze znalezieniem odpowiedniego koloru na całej Bond Street. — Kobieta? — powtórzyła. — Nie, na pewno nie będzie zadowolona. W tym fiolecie jest zbyt wiele czerwieni. A ona lubi takie ładne niebieskawe odcienie. O co pytałaś?

— O kobietę. Kim była ta kobieta?

— Ach, ona... Chciała wiedzieć, czy tu mieszka Irena Rushton. To jeszcze jedna z nich. Marzą, by przejść tą ulicą, po której stapały jej delikatne nóżki.

— Wydawała się... jakaś inna.

— Trafiają się we wszystkich kształtach i rozmiarach, głuptasie. Zdziwiłabyś się, jakie typy widziałam u wejścia za kulisy. Byli milionerzy, którzy wyglądali jak włóczędzy, i młodzi zawadiacy bez pensa przy duszy, którzy mogliby uchodzić za arystokratów. Nie ma co zwracać uwagi na wygląd.

— Tak — powiedziałam w zadumie. — A więc to kolejna wielbicielekka Ireny Rushton.

— Trafiałaś — potwierdziła Meg.

Nie mogłam zapomnieć tej kobiety. Jej obraz wciąż miałam przed oczami. A potem nie myślałam już o niej, gdyż stało się coś strasznego.

Siedziałam przy stole z Tobym, gdy nagle oznajmił:

— Wyjeżdżam z Anglii, Saro.

Miałam wrażenie, że zegar nad kominkiem stanął. Ktoś kopnął w układankę mojego życia, którą zestawiałam tak starannie. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak ważnym elementem jest Toby. Aż do tej chwili. To był koniec mojego świata.

Uśmiechnął się niemal przeprasząco.

— No cóż — powiedział — to nie mogło tak trwać, prawda? Muszę przecież coś robić... jako syn mojego ojca i w ogóle. Oczywiście, on się spodziewa, że w końcu zacznę pracować. Do tej pory, jak to określa, tylko „marnowałem czas”.

— Toby! Wyjeżdżasz? Nie możesz. Co ja mam zrobić? Kto będzie mnie uczył?

Uśmiechnął się do mnie, ale był to smutny uśmiech.

— Będziesz miała prawdziwą guwernantkę albo nauczyciela. Już najwyższy czas. Ja byłem tylko zastępcą. To nie było na poważnie...

— Nie na poważnie? Więcej nauczyłam się od ciebie niż mogłabym od kogokolwiek innego. Och, Toby, nie możesz wyjechać.

Pokręcił głową.

— Muszę. Ojciec rozmawiał ze mną bardzo stanowczo. „Tobiaszu”, powiedział. Wiesz, że zawsze nazywa mnie Tobiaszem. Podobno w młodości nazywano go Bias, to niezwykle imię dla niego. Bias! Może dlatego jest tak dumny ze swej bezstronności. Zawsze widzi we wszystkim dwie strony.

Paplał bez sensu, jakby chciał osłabić szok, jakiego doznałam.

— Gdzie jedziesz? — zapłakałam.

— Do Indii... Do jednej z naszych kompanii.

— Naszych kompanii. To znaczy twojego ojca.

Przyznał skromnie, że tak. Dopiero wtedy dostrzegłam, jak ciekawą osobowość ma Toby. Jak wspomniałam, często w dyskusjach lubił wykazywać, że rzeczy nigdy nie są tym, czym się wydają. Myślałam o nim jako o jednym z mniej ważnych wielbicieli mamy. Nie całkiem dobry na scenę, nie dość dobry, by jej towarzyszyć, nie dość dojrzały. Pan Nie Całkiem, jak go kiedyś nazwała. Jak mogłam być taka ślepa. Toby, który tak namiętnie kochał literaturę, który był najlepszym towarzyszem na świecie, z którym mogłam rozmawiać i śmiać się jak z nikim innym, był wart wszystkich jej wielbicieli razem wziętych. Nie wyłączając Everarda. To przecież ktoś bardzo ważny, syn bogatego Tobiasza (Biasa w latach młodości), mającego udziały w wielu finansowych przedsięwzięciach i którego celem życia, ustępującym tylko robieniu pieniędzy, było przerobienie Toby'ego na swoje podobieństwo.

Poczułam się śmiesznie naiwna i straszliwie mało dojrzała.

— Bardzo długo czekał — powiedział Toby. — Teraz nadszedł czas.

— Toby... — jęknęłam. — Kiedy?

— Za trzy tygodnie.

Rzuciłam mu się w ramiona i przyłgnęłam do niego.

— Spokojnie — powiedział, klepiąc mnie niezgrabnie po plecach, jakbym się zakrztusiła. — Uspokój się, Saro.

— Nie jedź — prosiłam.

— Muszę jechać. Muszę coś robić. Przecież nie mogę żyć dalej w ten sposób.

— Dlaczego nie?

— Nie mógłbym jako syn mojego ojca. Muszę spełnić jego oczekiwania.

— Żebyś zarobił mnóstwo pieniędzy i zostawił je swoim synom i wnukom?

— Nie tylko o to chodzi. Dla mojego staruszka to jest gra. Nie chodzi mu o bogactwo. Pieniądze czynią człowieka odpowiedzialnym. Dla mnie był to tylko czas oczekiwania... rozgrzewka.

Czułam, że nie zniosę tego dłużej. Nie śmiałam sobie nawet wyobrazić, co będzie, kiedy Toby odjedzie.

Wiadomość o jego bliskim wyjeździe została przyjęta różnie. Mama była zirytowana. Toby okazał się użyteczny, a nie lubiła tracić wielbicieli.

— Stary głupiec — stwierdziła. — Rodzice nie powinni się wtrącać. — Po czym wylała swą wzdargę na Toby'ego. — Przypuszczam, że miał zbyt mało odwagi, by zrobić to, czego chce.

— Czas, by pojechał — powiedziała Meg. — Swobodne życie tutaj... to nie dla młodego człowieka. Chociaż będę za nim tęsknić. Lubiłam go.

Janet parsknęła z satysfakcją.

— Czy ona myślała, że będzie biegał w kółko i przez całe życie robił, co mu każe? Należało jej się.

Ale to ja czułam się opuszczona.

Na te ostatnie tygodnie zaplanował wiele atrakcji, co jeszcze bardziej pogłębiało moją rozpacz. Nie bawiła mnie wyprawa do Galerii Szeptów u św. Pawła, ani oglądanie grobowców w Opactwie, ani karmienie kaczek w St. James Park. Wiedziałam, że po raz ostatni robimy to wspólnie. Pewnej nocy zabrał mnie do teatru. Nie na sztukę, w której grała mama, ale na wielki melodramat pod tytułem Srebrny król. Przedstawienie wzbudziło we mnie niezwykle uniesienie, które trwało jedynie kilka błogosławionych chwil. Zaraz przypomniałam sobie, że przecież ostatni raz jestem w teatrze z Tobym.

On także był smutny. Domyślałam się, że ciężko mu opuszczać mamę. Jechaliśmy powoli do domu powozem nie przejmując się, czy zdążymy na czas.

Meg wpuściła nas z miną spiskowca.

— Jeszcze nie wrócili. Biegnij na górę.

Poszłam do siebie i patrzyłam, jak powóz odwozi Toby'ego w dal.

Nie mogłam zasnąć tej nocy. Księżyc był niemal w pełni, lecz gęste chmury pędzone silnym wiatrem przesłaniały jego blask. Do mojego pokoju wpadały tylko migotliwe smugi. Myślałam o Tobym i odczuwałam głęboki smutek.

Mama nie wracała. Było już dawno po północy. Pewnie po spektaklu poszła z Everardem gdzieś na kolację. Przewracałam się na łóżku, wreszcie wstałam. Narzuciłam szlafrok i podeszłam do okna. Wstrzymałam oddech, zdjęta nagłym strachem: po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzednio widziałam kobietę. Nie mogłam zobaczyć wyraźnie jego twarzy, ale wydawało mi się, że jest w średnim wieku. Chciał popatrzeć na boginię? — zastanawiałam się.

Cofnęłam się od okna. Nie mógł mnie dojrzeć, gdyż w sypialni nie paliło się światło, ale ja widziałam go dobrze w blasku latarni. Czekał, by zobaczyć mamę.

Wróciłam do łóżka, ale nadal nie mogłam zasnąć. Wciąż myślałam o przyszłości i o tym, jaka będzie bez Toby'ego. Mama zaangażuje pewnie guwernantkę. Nie zgodzi się wysłać mnie do szkoły. Były jeszcze takie chwile, choć trzeba przyznać, że rzadkie, kiedy chciała mieć przy sobie swoją Małą Siddons, do której mogłaby wracać.

W ciszy usłyszałam stukot kopyt, ulicą nadjeżdżał powóz. Podbiegłam do okna. Przyjechała mama z Everardem. Trzasnęły zamykane drzwi, powóz odjechał. Mężczyzna wciąż stał po drugiej stronie. Zastanawiałam się, co czuje, widząc mamę wchodzącą do domu z innym mężczyzną.

Nie wiedziałam, dlaczego ci czekający ludzie budzą we mnie taki niepokój. Niczym się przecież nie różnią od tych stojących przy wejściu za kulisy, by móc na nią spojrzeć. Są tacy sami, przekonywałam sama siebie.

Leżałam bezsennie. Zaczęły mnie dręczyć jakieś wizje. Wyobrażałam sobie, że ten człowiek z ulicy kocha się szaleńczo w mamie i planuje zastrzelić ją albo Everarda, kiedy wyjdą z domu.

Byłam tak niespokojna, że co jakiś czas wstawałam sprawdzić, czy nadal stoi. Co on tam robi? — pytałam sama siebie. — Rano muszę powiedzieć o tym Meg.

Drzemałam trochę. O świcie obudził mnie odgłos zamykanych drzwi. To wychodził Everard. Zerwałam się do okna i spojrzałam w dół. Oddalał się ulicą, wysoki i bardzo elegancki. Meg powiedziała kiedyś:

— Na pewno zostanie premierem, Szkoda, że trafiła mu się „ona”. Choć nie wiem, czy jej wysokość byłaby odpowiednią żoną dla premiera. Dla aktorki lepszy byłby arystokrata, a to zupełnie inne życie, gdyby kto mnie pytał.

I wtedy zobaczyłam, jak z cienia drzew wynurza się koczujący tam całą noc mężczyzna. Patrzyłam, jak idzie wolno w przeciwną niż Everard stronę. Odetchnęłam z ulgą, gdy zniknął, choć nie mogłam zrozumieć, po co czekał tak długo. Zasnęłam niemal natychmiast.

Meg weszła do mojego pokoju o wpół do dziewiątej, pytając, czy chcę cały dzień spędzić w łóżku. Przez okno wlewał się blask słońca. Dzień zmienił wszystko. Był jak dobra stara niania, która zamyka w szufladach groźne cienie. Pozostaną tam, póki znów nie zapadnie ciemność.

Miałam już wspomnieć Meg o mężczyźnie na ulicy, ale zmieniłam zdanie. Był tylko jednym z wielbicieli, któremu sprawiało przyjemność patrzeć na dom, gdzie mieszkała adorowana kobieta. Takie przeżycia to zwykły los córki sławnej aktorki.

Skandal

Toby wyjechał dwa tygodnie później. Nie przyszedł się pożegnać. Był zdania, że pożegnania budzą niepokój i tacy starzy przyjaciele jak my nie potrzebują zapewnień, by wiedzieć, że ich przyjaźń będzie trwała wiecznie.

Czułam się straszliwie samotna.

Meg próbowała mnie pocieszać.

— To musiało się stać. Taki młody człowiek nie może bawić się całe życie, sama wiesz. Dla niego było to jak wakacje... długie wakacje... Ale życie składa się z poważniejszych rzeczy. On tylko bawił się w nauczyciela. Teraz nie będzie już usprawiedliwienia. Musimy ci znaleźć prawdziwego.

— Mówię wam, że nie zniosę żadnej nadętej guwernantki — oznajmiła Janet. — Posiłki w jej pokoju... będzie zbyt dumna, żeby jadać z nami. To nie jest dom na takie rzeczy. W małych mieszkaniach nie ma miejsca na żadne guwernantki.

— Jedynym wyjściem jest szkoła — wtrąciła Meg. — Młodej Sarze to się nie spodoba i jej także nie.

— Mówię ci, że ten dom jest za mały i wyniosłabym się stąd natychmiast. Dziś rano dostałam długi list od Ethel.

Meg słuchała opisu rozkoszy wiejskiego życia, zwłaszcza w porównaniu z miejskim, ze zrozumieniem kiwała głową i była jak zawsze zdecydowana, by pozostać z mamą.

— Och, Meg — zapłakałam. — Nie mogłabym także ciebie utracić.

Pochlebilo to oczywiście Meg, ale odparła posępnie:

— Cóż, musisz się tylko grzecznie zachowywać, to wystarczy.

Janet wzniosła oczy do sufitu, jakby kontaktowała się z wyższymi siłami, i mruknęła do ciasta, które właśnie wyrabiała, że pewnych ludzi — to określenie obejmowało mamę, mnie i jak sądziła Meg — w ogóle nie da się zrozumieć.

A potem rozpetęła się burza.

Żona Everarda postanowiła się z nim rozwieść. Okazało się, że wizyty, jakie składał w naszym domu, były obserwowane przez wynajętego w tym celu detektywa. W konsekwencji nazwisko mamy miało być w to zamieszane. Jej sława i stanowisko Everarda w Parlamencie mogły być powodem skandalu, gdyby sprawa nabrała rozgłosu.

Everard zawsze wydawał mi się człowiekiem, który nie pokazuje po sobie żadnych emocji, niezależnie od okoliczności, w jakich się znajdzie. Toby i ja śmialiśmy się z tego. Uważałam, że gdyby mu zakomunikowano, że w jego domu wybuchł pożar, byłby tylko lekko zdziwiony i powiedziałby: „Ojej, coś za zmartwienie”. Wymyślaliśmy dla Everarda dramatyczne sytuacje i przewidywaliśmy jego reakcje. Oczywiście było to dziecinne, ale sprawiało nam dużo radości. Meg zwykle słuchała, uśmiechając się z pobłażaniem.

— Co z was za para! Może przyniosę wam klocki do zabawy. Wiem, że lubiła te nasze zabawy. Ją także dziwiło niezwykle opanowanie Everarda.

— Nie mogę pojąć, jak taki mężczyzna wpakował się w coś takiego — powiedziała któregoś dnia, po czym dodała mrocznie: — Mężczyźni! Niewiele jest rzeczy, których bym o nich nie wiedziała. Osobiście nie miałam z nimi wiele do czynienia, ale dużo się przyglądałam, można by to tak nazwać... A czy nie mówi się, że widz najlepiej widzi grę?

W każdym razie Everard znalazł się w trudnej sytuacji. Skandal! Świat polityki dowie się o jego związku ze znaną aktorką, a takich rzeczy, jak to określiła Meg, ludzie nie chcą widzieć u swego przyszłego premiera.

— Stawiam funta przeciw pensowi — przepowiadała Janet nie bez pewnej satysfakcji — że to koniec Everarda w Izbie Gmin.

Pragnęłam, by był ze mną Toby. Moglibyśmy o wszystkim porozmawiać, pomógłby mi zrozumieć wiele spraw.

Podobno były dowody... niezbite dowody, jak to nazywali. Detektyw widział Everarda wchodzącego do naszego domu o wpół do pierwszej w nocy i wychodzącego rano. I to nie raz, ale kilkakrotnie.

Mama zareagowała dramatycznie, jak można się było tego spodziewać. Wyszła z sypialni, tym razem w roli tragicznej.

— A jak to wpłynie na przedstawienie? — zapytała.

— Moim zdaniem zlecą się wszyscy — odparła Meg. — Każdy będzie chciał zobaczyć kobietę ze skazą.

Ale mama była zagniewana. Takie rzeczy nie mieściły się w jej wizerunku. Och, jakże nienawidziła kobiety, która zaczęła to wszystko. Ktoś musiał ją do tego namówić. To pewne. Ona nie miała dość rozumu, by wymyślić coś takiego.

Mnie było naprawdę żal Everarda. Mogłam sobie wyobrazić, jakie to dla niego przeżycie. Niedawno sir Charles Dilke miał niesmaczną sprawę rozwodową, ku zachwytowi jego wrogów i przerażeniu przyjaciół. A on także zmierzał ku fotelowi premiera. Skandal zrujnował mu karierę.

Everard nie zjawiał się teraz na Denton Square. To byłoby nierozsądne. Mama, roztrzęsiona i poirytowana, nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Pewnego wieczoru, jeszcze zanim sprawa nabrała posmaku skandalu, wróciła z teatru sama. Meg była zajęta w teatrze, a Janet burczała przez cały czas z jakąś wewnętrzną satysfakcją. Sugerowała, że ta sprawa rozbija cały dom. Mama będzie musiała prowadzić bardziej normalne życie, przepowiadała. Ustatkuje się nieco. Może wróci do tego swojego męża, gdzie przecież było jej miejsce. A to oczywiście znaczyło, że sama Janet, a z nią i Meg, dotrą w końcu do portu, który był Mekką, Walhallą i Polami Elizejskimi, którekolwiek z tych miejsc uznamy za idealne.

Mama poszła prosto do swego pokoju na pierwszym piętrze, a po chwili weszła do mnie. Leżałam już w łóżku. Nigdy nie widziałam jej tak zdenerwowanej.

Usiadła w fotelu i popatrzyła na mnie smutno.

— To straszne, Siddons — powiedziała. Skinęłam głową.

— Będzie bardzo nieprzyjemnie. Ludzie są czasem tacy złośliwi. Dobrze, że nie jesteś w szkole. Dzieci potrafią być dla siebie okrutne. Na szczęście chociaż tobie nic się nie stanie. Tylko w nas, którymi interesuje się publiczność, trafi pełna moc tego jadu.

Czekałam, co powie dalej.

— To wszystko będzie wyglądało inaczej, niż było naprawdę. Wiesz, że kocham Everarda.

Naprawdę go kochała. Wyróżniała go spośród swoich wielbicieli. Był dla niej oparciem, zdawała sobie z tego sprawę.

— Oczywiście — mówiła dalej — zawsze martwiła go taka sytuacja. Cenił sobie uregulowane, konwencjonalne życie. Bo on jest konwencjonalny. Nienawidził takiego układu. Ale, widzisz, kochaliśmy się. Wiem, że różniliśmy się osobowością i charakterem, ale pasowaliśmy do siebie. Rozumiesz?

— Tak, oczywiście, że rozumiem.

— Będą opowiadać straszne rzeczy. Nie wiem, jaki będzie to wpływ na życie każdego z nas. Jemu złamie karierę. A jak ja mogę się czuć... będąc za to odpowiedzialna?

— Wszyscy odpowiadamy za to, co robimy, nie za to, co robią inni — odparłam, cytując Toby'ego. Spojrzała na mnie z zadumą.

— Mała Siddons — mruknęła. — Już nie taka mała... szybko rośniesz. Uczysz się życia. Kto ci to powiedział? Pewnie Toby.

Przytaknęłam.

— Wiele mnie nauczył. Zagniewana, zacisnęła dłoń w pięść.

— Nie powinien wyjeżdżać. Szkoda, że brakło mu odwagi, by sprzeciwić się ojcu. Miał pewną śmiałość, ale nigdy wystarczającą.

— Jak możesz tak mówić! — krzyknęłam z oburzeniem. — Może więcej odwagi potrzebował, by wyjechać, niż by zostać. W końcu nie mógł tak zawieść swojego ojca. Nikt nie powinien sądzić innych, gdy nie zna wszystkich okoliczności.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się lekko.

— To prawda, drogie dziecko. Szczera prawda. Będziesz musiała pamiętać o tym w tygodniach, które nadejdą. Chciałam ci to wytłumaczyć. Zbyt rzadko ze sobą rozmawiamy, prawda?

Z tym mogłam się zgodzić bez oporu.

— Everard jest jedynym mężczyzną, który coś dla mnie znaczył — powiedziała.

Zaczęłam myśleć o ojcu, a ona to wyczuła.

— Tamto — mówiła dalej — to było chwilowe zauroczenie. Co siedemnastoletnia dziewczyna może wiedzieć o miłości? Przyznaję, że miałam kochanków, ale Everard to zupełnie coś innego. Myśleliśmy, że kiedy ona umrze, pobierzemy się i zamieszkamy w jego wiejskiej rezydencji w Westminsterze. Byłabym dobrą żoną parlamentarzysty. Widzę, że jesteś sceptyczna. Ale miło było o tym rozmawiać. Everard wierzył, że tak się stanie... kiedyś. Jednak była ona... zawsze ona. Był do niej przykuty.

— Ożenił się z nią. Musiał ją kiedyś kochać.

— To było zaaranżowane małżeństwo. Dwie rodziny polityków... bogaci ziemianie. Był wtedy bardzo młody i nie wiedział o objawach szaleństwa w tej rodzinie. Wkrótce po miodowym miesiącu stało się to widoczne. Fakty są takie, że w domu wciąż były pielęgniarzki, a czasami trzeba ją było zamykać. Wyobrażasz sobie mężczyznę takiego jak Everard, przed którym kariera w Parlamencie stała otworem, przykutego do takiej żony?

— Biedny Everard. Często widziałam, że jest smutny.

— To właśnie jego smutek najpierw zwrócił moją uwagę. Dziwne. Twojego ojca też dostrzegłam, bo był smutny. Może smutek do mnie przemawia. Tak, na pewno. Chciałam skłonić ich do śmiechu, rozweselić. A potem zrozumiałam, jakim człowiekiem jest Everard. Mądry, inny niż pozostali. Może przeciwieństwa się przyciągają... ale było coś takiego... jakby żelazna obręcz trzymająca nas razem. Kochamy się tak bardzo, Siddons, że nawet teraz, gdy może wybuchnąć skandal, nie żałujemy tego.

— Co się stanie?

— Wykorzystają to, jak tylko potrafią. Będą wielkie tytuły w gazetach. Była taka sprawa sir Charlesa Dilke'a. Nic o niej nie wiesz...

— Słyszałam.

— No więc wiesz, że to był jego koniec. I to będzie koniec kariery Everarda. Ma wrogów w Parlamencie. To oczywiste. Człowiek wybitny zawsze ma wrogów. To jego polityczni przeciwnicy. Zaczną go prześladować. Wiesz, że ja także mam wrogów. Będą mieli teraz swój dzień.

Próbowałam ją pocieszyć, mówiłam, że z czasem wszystko minie.

— Nie — odparła. — To wszystko zmieni. Za nią ktoś stoi... namawia ją do tego. Nigdy by sama tego nie wymyśliła. Jest tylko pustą skorupą. A to skomplikuje sprawy. Tego możesz być pewna.

Powiedziałam, że to niepodobne do mojej mamy patrzeć na życie z takim pesymizmem. Może w końcu wiele da się odwrócić. Takie rzeczy przecież czasem się zdarzają, prawda?

Odprowadziłam ją do łóżka i przykryłam. Podałam gorące mleko z jakimś środkiem uspokajającym od Meg i poczekałam, aż zaśnie.

Wracałam do swojego pokoju zastanawiając się, co będzie dalej. Jednego tylko byłam pewna: nastąpią zmiany.

* * *

Z początku była to tylko jedna czy dwie linijki w gazetach, dość mgliste. „Żona znanego polityka zamierza wnieść pozew o rozwód. Krążą pogłoski, że w sprawę zamieszana jest słynna aktorka”.

Po kilku dniach wybuchł skandal. Słyszałam, jak gazeciarze krzyczą na ulicach: „Irena Rushton w sprawie rozwodowej! Zamieszany znany polityk!”

Mama zamknęła się w pokoju i czytała gazety. Janet triumfowała.

— Proszę! Widzisz, tak kończy się praca u aktorki.

Meg zaciskała wargi. Wszystkie jej panie znajdowały godnych szacunku mężów, żadna nie zesłała poniżej szlachcica. A teraz coś takiego!

— Ładne kwiatki! — stwierdziła.

Reporterzy prześladowali mamę. Czatowali przed domem, oblegali teatr. Tak jak przepowiadała Meg, było to korzystne dla sztuki. Ludzie tłoczyli się na widowni, by choć na nią spojrzeć.

Grała, jakby nic się nie stało. Z pasją wykonywała swój aktorski zawód i obecna sytuacja sprawiała jej nawet pewną satysfakcję. Jednego dnia była porzuconą cudzołożnicą, drugiego zranioną niewinnością, następnego dzielną kobietą osaczoną przez okoliczności. Na swój sposób cieszyła się tym. Moim zdaniem cieszyłaby się każdą rolą, którą dla siebie wybrała.

Rozmawiała ze mną częściej niż kiedykolwiek. Nie wiem, czy uznała, że dorastam i powinnam wiedzieć, co się dzieje, czy też po prostu tęskniła za towarzystwem Everarda i musiała się komuś zwierzyć.

Everard napisał do niej. Obiecał, że wyjadą razem, kiedy tylko skończy się ten koszmar i będzie wolny. Naturalnie nie będą się mogli pobrać ze względu na mojego ojca, ale zastanawiał się, czy nie da się czegoś zrobić w tej sprawie.

— Biedny Everard — westchnęła mama. — Jest tak godny szacunku. Wyobraź sobie, co to dla niego znaczy. To tylko dowodzi, jak bardzo mnie kocha, skoro zgodził się na taki układ. Kochany, drogi Everard! Może pewnego dnia wszystko będzie dobrze. Ale najpierw czeka nas ten straszny okres. Musimy być gotowi na badanie, i to złośliwe, naszej przeszłości. Och, Siddons, to będzie dla nas wszystkich ciężka próba.

— Przede wszystkim dla Everarda — zauważyłam. — To mu zniszczy karierę.

Skinęła głową.

— Będzie musiał podać się do dymisji, to jasne. Przez całe życie zajmował się polityką. Dla niego to koniec wszystkiego.

Pomyślałam: świat ginie dla miłości! I zastanawiałam się, co on teraz czuje. Nie wątpiłam, że bardzo kocha mamę. Ukrywając ten romans, mógł kontynuować karierę. Wtedy żył na granicy zguby, lecz teraz zguba go dosięgła.

W domu zagościł smutek. Wszystko się zmieniło. Tylko Ja — net była zadowolona, gdyż dostrzegła szansę na to, że usługi Meg nie będą już potrzebne, a wtedy obie wyjadą do tego wiejskiego rajku Ethel.

Mama grała przed pełną widownią, ale pewnej nocy, gdy wychodziła z teatru, podniosło się kilka wrogich okrzyków, niedwuznacznie określających ją jako kobietę niemoralną. Ona, tak przyzwyczajona do uwielbienia, była tym wstrząśnięta.

Pląkała po powrocie do domu, a Meg przygotowała jej specjalny napój, by mogła zasnąć. Wyszczotkowałam mamie włosy i zawiązałam różowymi kokardami, a potem ułożyłam ją do snu.

Dostawała rozmaite małe role i to ją pocieszało. Przyjmowała każdą propozycję. Fakty były zbyt oczywiste, by je ignorować, i kiedy musiała chłodno ocenić rzeczywistość, wpadała w głęboką depresję.

Było mi jej żal. Widziałam, że to rozpieszczone dziecko natury nie potrafi zrozumieć tego, że życie może być tak okrutne i tak całkowicie się zmienić.

— Dopiero jak zacznie się proces, przyjdą prawdziwe kłopoty — przepowiadała Meg.

— Tych ludzi z gazet nic nie powstrzyma — podjęła Janet. — Wszystko wyjdzie na wierzch. Zrobią z tego zwyczajne widowisko, zobaczysz. To bardzo miłe dla nas wszystkich... żyć w domu, gdzie działo się coś takiego.

— Takie gadanie na nic się nie przyda — odpowiadała Meg. — Jej wysokość wyjdzie z tego bez szwanku.

— Może ucieknie — zaproponowała Janet. — Już raz to zrobiła.

— Całkiem niezły pomysł — odparła Meg.

Czas płynął. Do rozpoczęcia procesu pozostał jeszcze tydzień. Mama z dnia na dzień traciła opanowanie, bała się tego, co nastąpi w sądzie. Słyszałam, jak Meg i Janet dyskutowały o tym.

— Rozgrzebią wszystko — mówiła Janet. — Jej małżeństwo; dlaczego go opuściła; będą publicznie prać wszystkie brudy. Zobaczysz.

— Mój Boże! Co to będzie! Ci ludzie nie zawsze trzymają się prawdy.

— Och, tym razem z pewnością prawda nie wystarczy. — Janet roześmiała się posepnie.

Mama zaczęła martwić się naprawdę. Nie czuła się dobrze, przez tydzień nie była w teatrze i jej sztukę zdjęto z afisza. Napięcie w domu było niemal nie do zniesienia. Wszystkie szykowałyśmy się na to, co miało nadejść.

Cios spadł nagle. Słyszałam, jak wykrzykują o tym gazeciarze, a kiedy kupiłam gazetę, wielkie, czarne litery tytułów tańczyły mi przed oczami. Zrobiło mi się słabo. Sytuacja zmieniła się dramatycznie. To, co było złym snem, okazało się koszmarem.

Sir Everard Herringford nie żył.

Zastrzelił się w swym gabinecie w Westminsterze.

* * *

Początkowo w naszym domu przeważało jakieś ponure podniecenie. Meg wychodziła i kupowała wszystkie gazety. Czytałyśmy je, a potem zносиłyśmy mamie.

Przez kilka dni śmierć Everarda nie schodziła z pierwszych stron gazet. Zdawało mi się, że perspektywy jego kariery przedstawiano teraz bardziej błyskotliwie niż za życia. Szansa na fotel premiera zmieniła się w pewność. Cytowano dowcipne i złośliwe uwagi, jakie wypowiadał w czasie debat. „Wszystko przez miłość do kobiety”, głosił jeden z tytułów. A fakt, że tą kobietą była Irena Rushton, dostarczał argumentów, aby wzbudzić niesmak bądź współczucie czytelnika, zależnie od przydatności w danej chwili. Na przykład w jednej z gazet Everard był kimś w rodzaju męczennika: „pochwycony gwałtowną namiętnością mąż, przez lata opiekujący się kaleką żoną,

zakochuje się głęboko w tej, której wdzięk zna cały świat”. Tego samego dnia w innym dzienniku nazwano go rozpustnym draniem, który oszukując kolegów kazał im wierzyć, że jest człowiekiem honoru.

Myślę, że wtedy w moim charakterze pojawił się pewien ślad cynizmu, który nigdy nie zniknął. Miałam tylko czternaście lat, lecz nie mogłam uwierzyć, że ci koledzy, teraz tak wstrząśnięci, do tej pory nie wiedzieli o związku Everarda z mamą. Była zbyt sławna, by romans pozostał nie zauważony. Co więcej, Everard często bywał w teatrze. Dopiero kiedy jego żona zdecydowała się wystąpić o rozwód, sprawa stała się skandalem.

Musiałam doświadczyć takiej lekcji. W oczach świata grzech jest rzeczą z lekka naganną, lecz grzech ujawniony jest niewybaczalny. Innymi słowy, grzech jako taki nie jest godny ubolewania, a szokuje dopiero wystawienie go na widok publiczny.

Everard uznał najwyraźniej, że jego samobójstwo będzie dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem. Mama płakała i twierdziła, że zrobił to, by ją ratować. Słyszałam o jakichś przechowywanych niedyskretnych listach, które do niego pisała, a które teraz wpadły w ręce adwokatów. Wydawało mi się, choć niezbyt dobrze go znałam, że odebranie sobie życia uznał za czyn szlachetny.

Były też mroczne zdjęcia Herringford Manor, wiejskiej posiadłości Everarda w Midlands. Nie wiem, czy już wtedy padało, czy zbierało się na deszcz, lecz rezydencja, w której mieszka kaleka żona, musi przecież wyglądać posepnie. Tak też ją sfotografowali: wielki, szary, kamienny budynek, ponury i złowrogi. Chociaż potrafiłam sobie wyobrazić ten dom otoczony kwitnącymi krzewami, trawnikami, w słońcu rozjaśniającym szary kamień. Zupełnie inny obraz. Ale to było siedlisko tragedii i musiało odpowiednio wyglądać.

Takie sensacje oczywiście trwają krótko. Ludzie przeżywają tragedie i muszą z tym żyć, ale zainteresowanie publiczności na szczęście szybko przemija.

Po tygodniu gazety nie wspominały już o tym, co nazywano sprawą Herringford–Rushton. Everard nie żył. Nie będzie więcej zachwycał i wzbudzał zakłopotania w Izbie Gmin swym zjadliwym dowcipem. Nie będzie już chodził do teatru i wracał z mamą do domu, doradzał jej w sprawach finansowych i wspierał swą mądrością. Mama była osierocona. Dzięki Everardowi nie pozostała w nędzy. Rozsądnie zainwestował te niewielkie kwoty, jakimi dysponowała. Lecz to nie wystarczało, by żyć dalej bez aktorskich honorariów. A mama lubiła ekstrawagancki styl życia.

Musiała szybko wrócić do pracy, mówiła. Niepokoiła się, jak zostanie przyjęta. Potrzebowała uwielbienia. Wiedziałam, że wroga publiczność zupełnie wytrąci ją z równowagi. Wiele razy oglądałam ją na scenie, patrzyłam, jak się zjawia, słyszałam, jak widowia wzdycha z zachwytem, a potem wybuchają oklaski. Obserwowałam ją i widziałam, że jest szczęśliwa; byłam głęboko poruszona. Zastanawiałam się, co będzie, gdy nie otrzyma już tych oznak podziwu, albo jeszcze gorzej, jeśli spotka się z wrogością. Myślę, że i ona tego się bała.

Odbywała długie narady z Tomem Mellorem. Widziałam, gdy Janet go wprowadzała, że nie jest jak zwykle spokojny i pewny siebie. Nie krzyczał jak dawniej: „Mam coś, Reeny. To jest to!” Toby i ja śmiałyśmy się z tego zdania, używaliśmy go jak powiedzonka. Tym razem Tom był poważny. Na długo zamykał się z mamą w salonie...

To nie były udane spotkania, zdawałam sobie z tego sprawę. Gdy po jego wyjściu weszłam do niej, do salonu, mama krzychała:

— Na prowincję! Czy wyobrażasz sobie mnie na prowincji?! A to zaproponował mi ten dureń. „Daj im odpocząć, Reeny”, mówi. „Tego właśnie potrzebują... odpoczynku”. Odpoczynku ode mnie! Czy słyszałaś kiedyś podobne bzdury?

Przez kilka dni wściekała się na Toma. Co z niego za agent? Chciał jej uniemożliwić występy w West Endzie.

Uspokajałyśmy ją, Meg i ja, jak tylko umiałyśmy. Rozumiałam, że to wszystko dotyka Meg równie boleśnie jak mamę. Wspominała te damy, którym kiedyś służyła, a które teraz nosiły herby. I pewnie przerażała ją myśl, że najlepsze lata życia poświęciła aktorce, której agent proponuje prowincję.

Mimo wszystko nic więcej dla mamy nie miał, więc posepny nastrój przy Denton Square stawał się gęsty niczym londyńska mgła.

Wtedy przybyły ciotki.

* * *

List był adresowany do mamy, więc zaniósłam go razem ze śniadaniem. Pismo było duże, wyraźne i miałam nadzieję, że to propozycja nowej sztuki, dokładnie takiej, jaką sobie wymarzyła. Odłożyłam rachunki, które przyszły z tą samą pocztą, i poszłam do niej.

Spała. W ciągu ostatnich tygodni postarzała się, ale we śnie wciąż przypominała dziecko. Położyłam tacę i ucałowałam ją lekko. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo. Obłożyłam ją poduszkami i ustawiłam tacę z listem opartym o filiżankę. Chwyciła go natychmiast.

— Kto to może...

Rozcięła kopertę i czytała. Posepny uśmiech igrał na jej wargach. Nagle wybuchnęła śmiechem.

— Posłuchaj tego:

Droga Ireno,

Oczywiście słyszałyśmy o tych strasznych wydarzeniach. Choć nie widziałyśmy się od tak dawna, nie zapomniałyśmy, że należysz do rodziny. Chciałybyśmy odwiedzić cię o czwartej po południu dwudziestego trzeciego...

Skrzywiła się.

— Wielkie nieba, to dzisiaj!

Przed powrotem do Grange zatrzymałyśmy się na kilka dni w hotelu Browna i przyszło nam do głowy, że w obecnej sytuacji potrzebujesz może pomocy i rady. Jest także dziecko, o którym trzeba pomyśleć.

Mama spojrzała na mnie i skinęła głową.

— To ty — powiedziała. — Podpis brzmi: Marta Ashington. Twoja ciotka. „My” wcale nie oznacza pluralis majestatis. Jest ich dwie, Marta i Mabel, ale Mabel zawsze chodzi w cieniu Marty.

Odwróciła kartkę.

— O, jest jeszcze PS:

Chcemy przedstawić pewną propozycję i omówić ją, kiedy się spotkamy.

Byłam podniecona na myśl, że zobaczę swoje krewne, ale mama tylko westchnęła z rezygnacją.

— To w ich stylu — stwierdziła. — Jakie zadufane... „Zjawimy się o czwartej”. Skąd wiedzą, że tu będę? Mam ochotę wyjść. Meg powiedziałyby: „Na spotkania z panną Rushton trzeba się umawiać wcześniej”.

— Nie chcesz wysłuchać ich propozycji?

— Jestem pewna, że żaden ich pomysł nie będzie mi się podobał.

— Nie widziałas ich chyba już od lat. Może się zmieniły.

— Panny Ashington są na tym świecie niezmiennie. Trwają jak filary cnoty od lat dziewięciu do dziewięćdziesięciu.

— W każdym razie są siostrami ojca. Spojrzała na mnie w zadumie.

— Może lepiej je przyjmę. Powinnam zapleść ci włosy. Będą wyglądały porządniej. Nie wiem, co one o tobie pomyślą.

Była wyraźnie uradowana tym pomysłem. Przyjemnie było widzieć, że znów się śmieje. Nie robiła już tego od dawna.

Przez pół dnia przygotowywałyśmy się do wizyty. Janet upiekła ciasto. Meg cieszyła się, że raz jeszcze może ubrać swoją panią na scenę. Było bowiem jasne, że nadchodzące spotkanie mama traktuje jak występ w sztuce. Wiele mówiła o obu ciotkach i nawet próbowała je zagrać: Marta, stanowcza jak rycerz idący do bitwy, i Mabel, mniej groźna, ale także siła, z którą należy się liczyć.

— Jak ci kiedyś wspominałam, zanim odpłynęliśmy na Cejlon, spędziłam kilka tygodni w Ashington Grange — opowiadała. — Miałam wrażenie, że to całe lata. Och, były bardzo na miejscu. Wszystko, co robiły, musiało być zgodne z zasadami. To jeden z boskich żartów, że Ralph jest ich bratem. Zawsze postępował wbrew wszelkim regułom. Pewnie buntował się przeciw wpływowi sióstr i tego ponurego, starego Grange.

Nie mogłam się doczekać, by je zobaczyć. Włożyłam ciemnoniebieską sukienkę z białym kołnierzem i mankietami. Włosy miałam uczesane, tak dokładnie jak to tylko możliwe, w dwa równe warkocze związane niebieską wstążką.

Dokładnie o czwartej podjechała dorożka i wysiadły ubrane w czerń ciotki, obie wysokie i wyprostowane. Jak czarne wrony, powiedziała potem mama. Wydały mi się stare, ale to chyba dlatego, że ja miałam tylko czternaście lat. Myślę, że musiały mieć wtedy około pięćdziesiątki. Marta była o dwa lata starsza od Mabel.

Marta — od razu ją poznałam — pomaszzerowała (to jedyne właściwe określenie) do frontowych drzwi. Mabel podążała za nią odrobinę z tyłu. Nawet stukanie było jak stanowczy rozkaz, by otworzyć. Meg wprowadziła ciotki do salonu, a ja oczekiwałam na wezwanie. Wiedziałam, że wkrótce nadejdzie. I rzeczywiście.

Kiedy weszłam, od razu zrozumiałam, że czekały na tę chwilę. Dostrzegłam dwie pary ciemnych oczu, wpatrujące się we mnie badawczo, a także dźwięczące gagaty, zdobiące ich suknie. Paciorki unosiły się i opadały na ich szerokich piersiach, zdobiły też uszy. Obie nosiły pod szyją duże kamee. Długie, czarne spódnice zamiatały podłogę.

— Więc to jest dziecko. Sara, o ile pamiętam.

Śmiało spojrzałam w te przenikliwe, ciemnobrązowe oczy.

— Tak — odparłam. — A pani jest moją ciotką Martą, o ile wiem. — Spojrzałam na drugą. — A pani jest ciotką Mabel.

Ciotka Marta była chyba zadowolona z mojej śmiałej odpowiedzi.

— Bardzo żałowałyśmy, że w wyniku pewnych okoliczności nie mogłyśmy poznać cię wcześniej.

„Okoliczności” to oczywiście mama. Siedziała na sofie i wyglądała ślicznie, ubrana w szyfonową suknię koloru lawendy, którą nosiła w jakiejś sztuce. Zatrzymywała kostiumy, które jej się podobały. Kiedy je zakładała, odgrywała rolę, jakiej kiedyś służyły. Ta suknia, o ile pamiętam, należała do pięknej dziewczyny niskiego pochodzenia, która wyszła za męża za kogoś bogatego i musiała sprzeciwić się jego rodzinie. Widziałam tę sztukę kilka razy, więc z góry wiedziałam, jak mama się zachowa. Czarująca, nieugięta, kapryśna, nieco zaczepna wobec krewnych.

Nie zwracały na nią uwagi.

— Tym razem uznałyśmy, że należy zakopać topór — oznajmiła Marta. — Wiemy, co się tu działo... — Mabel z wyraźnym niesmakiem pokręciła głową. — Ale stwierdziłyśmy, że naszym obowiązkiem jest przyjść i zobaczyć się z wami. Mamy pewną propozycję.

— Jestem pewna, że chętnie jej wysłuchamy — odparłam. — To miło, że cioście przyszły.

Ciotka Marta wyglądała tak, jakby naprawdę miała aureolę, zapewne niewidoczną dla oczu kogoś wychowanego tak jak ja.

— To nasz obowiązek — stwierdziła. Janet dość niechętnie przyniosła herbatę.

— Czyń honory domu, moje dziecko — poprosiła mama.

Ciotki obserwowały mnie uważnie, ale chciałam im udowodnić, że umiemy się zachować, chociaż składały wizytę w domu aktorki, zamieszanej w głośny skandal. Ja także grałam swoją rolę. To mogło pomóc w nieprzyjemnych sytuacjach.

— Cukru? Śmietanki? — spytałam najpierw ciotkę Martę, potem ciotkę Mabel, a następnie mamę.

Mama skrzywiła się, kiedy podawałam jej herbatę.

— Nic się nie zmieniłaś, Ireno — rzekła ciotka Marta.

— Dziękuję, panno Ashington. Pani również.

— Byłyśmy bardzo zaniepokojone — wtrąciła Mabel. — Chowaliśmy gazety przed służbą... To łaska boska, że nazwisko Ashington prawie nie było wspomniane.

— To przywilej i pożytek z tego, że prowadzi się życie zawodowe — odparła lekko mama.

— To, co naprawdę nas interesuje — powiedziała szybko ciotka Marta — to jak jesteś ustawiona.

— Ustawiona? — zdziwiła się mama.

— Zakładam, że nie możesz już... ee... wykonywać zawodu.

— A dlaczego tak pani zakłada?

— Ludzie muszą być przerażeni twoimi związkami z tym... hmm... politykiem.

— Ludzie uwielbiają być przerażeni, panno Ashington.

— Jestem pewna, że odnosi się to jedynie do nielicznych. Jesteś żoną naszego brata. — Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o wielkim grzechu. — A Sara to nasza bratanica. Przyszłyśmy, by zaofiarować jej dom. Dopilnujemy, by została wykształcona tak, jak powinna być córka naszego brata. Zostanie wychowana w należyty sposób.

Chciałam głośno zaprotestować. Spojrzałam błagalnie na mamę.

— Moja córka i ja zawsze byłyśmy razem — oznajmiła mama — i tak zostaniemy... póki śmierć nas nie rozłączy.

Niezbyt odpowiedni wers do tej roli, pomyślałam, i miałam ochotę się roześmiać. Wyobraziłam sobie, jak wybiega z tego ciemnego domu wśród parującej dżungli, niosąc mnie na rękach. Słyszałam głos Meg: „To nie pomogło jej w karierze, ale przywiozła cię ze sobą”.

— Co możesz tu ofiarować dziecku? — zapytała ciotka Marta.

— Matczyną miłość — odparła z uczuciem mama.

— Szkoda, że nie pomyślałaś o tym wcześniej, zanim... zanim... — zaczęła ciotka Mabel, ale ciotka Marta uciszyła ją jednym spojrzeniem.

— Powinnaś się zastanowić — powiedziała. — To córka Ralpha. Jesteśmy za nią odpowiedzialne.

— Wydaje mi się, że raczej on i ja niż wy.

— Być może nie jesteś w stanie sprostać tej odpowiedzialności — stwierdziła nieugięta Marta. — A sam Ralph był zbyt nieudolny. I jest tak daleko. Zresztą jego córka powinna dorastać w Anglii. Co z jej wykształceniem? Powinna chodzić do szkoły. Czy ma guwernantkę? Jeśli tak, chciałybyśmy ją poznać.

— Uczył ją... wychowawca.

— Wychowawca! Mężczyzna! Niezbyt odpowiednie dla młodej panienki, ale może w tym domu... — Mabel miała zwyczaj urywać zdania w połowie, gdy dostrzegła spojrzenie Marty.

— W tej chwili chcę zaangażować guwernantkę — oznajmiła mama z większym przekonaniem niż prawdomównością.

— W niektórych domach guwernantki doskonale się sprawdzają, ale w tej sytuacji doradzałabym szkołę. O ile Sara tu zostanie.

— Jak to: o ile zostanie? Przecież to jej dom!

— Tak, tak, ale w tych okolicznościach... — zaczęła Mabel.

— Guwernantka spełni swe zadanie w Ashington Grange — przerwała stanowczo Marta. — Młoda dziewczyna potrzebuje uporządkowanego domu i właściwego towarzystwa.

— Nasz dom jest uporządkowany — stwierdziła mama. Ciotka Marta westchnęła.

— Wiele o tym pisano w gazetach. Podkreślam to, Ireno, że pozostanie tutaj nie będzie właściwe dla dziecka.

— Zostanę z mamą — oświadczyłam.

Obie ciotki spojrzały na mnie. Ciotka Marta skinęła głową.

— Godne pochwały, acz nierozsądne. Przyszliśmy tu spełnić nasz obowiązek. Nie wiem, jak stoisz finansowo, Ireno, ale sądzę, że niezbyt dobrze. Ralph nie może ci pomóc. Zawsze miał kłopoty finansowe. Nie grywasz teraz, jak sądzę... o ile tak to się nazywa, a prowadzenie nawet takiego gospodarstwa jest dość kosztowne. Masz te dwie kobiety... to cała twoja służba, jak przypuszczam. Niewielka i niewystarczająca, ale kosztowna, jeśli dochody nie są duże.

— Wkrótce wracam do pracy — odparła mama. Wyglądała na trochę przygnębioną, powracając ze swej roli do rzeczywistości. Zwróciła się do mnie. — Saro, podejdź tu, moje dziecko. Zbliżyłam się, a ona wzięła mnie za rękę.

— Twoje ciotki oferują ci dom w Ashington Grange. Piękna, stara rezydencja w samym środku lasu. Tam mogłabyś żyć tak, jak wypada córce twojego ojca. — Znów wróciłyśmy do sztuki, widziałam to wyraźnie. To była scena wyrzeczenia, gdy bogaci krewni zabierają dziecko dla jego dobra, a młoda i piękna matka czyni największą ofiarę swojego życia. — Tak, kochanie. Tak będzie dla ciebie lepiej. Będziesz prowadziła życie godne szacunku, zdobędziesz wykształcenie odpowiednie dla członka rodziny Ashingtonów. Pozostało ci jeszcze pożegnać się ze mną.

Liczyła na to, że zarzucę jej ręce na szyję i zapłaczę: „Mamo, najdroższa mamo, nigdy cię nie opuszczę”. Już ustawiała się do tego. Ciotki przyglądały mi się, a ja patrzyłam poprzez światła na publiczność. Niemal słyszałam okrzyk: „Kurtyna!”

Odpowiedziałam chłodnym, rzeczowym tonem:

— To bardzo miło z waszej strony, ciociu Marto i ciociu Mabel, ale nie mogę zostawić mojej matki.

Mama poruszyła się niecierpliwie. Ciotki dalej piły herbatę.

— Powinnaś się zastanowić — stwierdziła ciotka Marta. — Do końca tygodnia pozostaniemy w hotelu Browna.

* * *

Kiedy wyszły, bardzo długo rozmawiałam z mamą.

— Byłam z ciebie dumna, taka dumna — powiedziała. — Wspaniale im powiedziałaś, żeby sobie zabrały swoją godność.

— Oczywiście, że nigdy bym cię nie zostawiła — odparłam.

Poklepała mnie po dłoni.

— Siedziały tam jak dwie stare wrony...

— A ty byłaś rajskim ptakiem — dodałam — a ponieważ jesteśmy wśród powietrznych stworzeń, to czym byłam ja? Może małą pawicą, takim skromnym ptakiem, zawsze w cieniu wspaniałego męża. Ale to chyba mało odpowiednie. Może lepiej mysikrólikiem.

— Jestem pewna, że znalazłyby ci męża. Jakiegoś potomka szlachty, może podporę kościoła. Och, nienawidziłybyś ich życia, Siddons, a jednak... jednak... — Na chwilę jakby opadła z niej beztroska. — Może to byłoby najlepsze.

— O co ci chodzi?

— O to, że wychowałyby cię tak, jak przystoi córce twojego ojca. Byłabyś wykształcona, mogłabyś wejść do towarzystwa, uniknęłabyś tej... skazy.

Spojrzałam na nią. Naprawdę mówiła poważnie.

— Myślę o tobie — kontynuowała. — O tym, co dla ciebie najlepsze. — Nagle mocno chwyciła mnie za rękę. — Tom nie jest optymistą co do przyszłości.

Poczułam chłód w sercu. Czyżby sugerowała, że nie będzie dla niej roli, że publiczność, która niedawno wiwatowała na jej cześć, teraz odwraca się plecami?

— Dostaję jakieś role — mówiła wolno — ale one nie są odpowiednie. Widzisz, to wszystko, co się zdarzyło, zupełnie zepsuło... mój wizerunek.

— Aktorki nie powinny myśleć o wizerunku, tylko grać — powiedziałam.

— Ach, święte słowa.

Wydawała się inną osobą. W kącikach jej ust pojawiły się zmarszczki; nie zauważyłam ich wcześniej. Śmierć Everarda coś w niej przełamała. On już zapłacił za miłość, a mama wierzyła, że też musi płacić.

— Może jestem ekstrawagancka — ciągnęła. — Niewiele odłożyłam. Od czasu do czasu otrzymywałam prezenty od Everarda i starannie je inwestowałam. To już coś. Muszę mieć suknie, dobre suknie. Muszę utrzymać ten dom. Koszty są wysokie, a jest jeszcze Janet i Meg. Wiesz, kiedy się nie zarabia...

Byłam wstrząśnięta. Przedtem niewiele myślałam o pieniądzach.

— Widzisz więc — podsumowała — że nie możemy całkiem odrzucać propozycji ciotek.

Objęłam ją i przytuliłam mocno. Miałam wrażenie, że czerpie z tego jakąś pociechę.

— Jak mogłabym cię zostawić? — powiedziałam.

Czułam wtedy, że jesteśmy sobie bardzo bliskie.

Następnego dnia poszła odwiedzić Toma i wróciła piechotą. Sądzę, że rozmowa ją rozczarowała i chciała pomyśleć o przyszłości. W drodze złapała ją ulewa i zupełnie przemokła. Po kilku dniach zapadła na pierwsze z tych ciężkich przeziębień, które potem tak często ją prześladowały. Była słabowita; śmierć Everarda dotknęła ją mocniej niż przypuszczaliśmy.

Ciotki zjawily się znowu i tym razem mama przyjęła je w łóżku. Robiła wrażenie ciężko chorej, więc rozmawiały w salonie tylko ze mną. Podkreślały, że chociaż podziwiają moje uczucie i lojalność wobec matki, czynię nierozsądnie odrzucając ich propozycję.

Podziękowałam, upierając się jednak, że moje miejsce jest przy niej.

— Wysłałyśmy list do twojego ojca i opisałyśmy, co się tu stało — powiedziała ciotka Marta. — Bez wątpienia wyrazi swą opinię i jesteśmy przekonane, że zechce, byś przeprowadziła się do nas.

— Tak mało wiem o moim ojcu — odparłam. — W ogóle go nie pamiętam.

— To wszystko jest takie straszne i hańbiące, kiedy się pomyśli... — zaczęła ciotka Mabel.

— Kiedy następują takie zdarzenia — przerwała ciotka Marta — najlepszym sposobem jest zapomnieć o nich i naszym przykładowym zachowaniem naprawić zamęt, jaki wprowadziły.

Ponieważ w żaden sposób nie czułam się odpowiedzialna za to, że mama opuściła ojca, ani za to, co zdarzyło się między nią a Everardem, poczułam się lekko urażona. Byłam jednak zaciekawiona tym, co jeszcze kilka dni temu wydawało się całkiem niemożliwe, a teraz stało się odrobinę prawdopodobne.

Ciotka Marta powiedziała jeszcze:

— Wyjeżdżamy pod koniec tygodnia. Jeśli zechcesz, możesz się z nami skontaktować w Ashington Grange. Mabel, daj jej naszą wizytówkę. — Mabel wyjęła z torebki kartonik. — Co więcej — kontynuowała ciotka Marta — za miesiąc czy dwa znowu będziemy w Londynie. Może wtedy udzielisz nam odpowiedzi. Zatrzymamy się u Browna. Ale gdybyś wcześniej chciała się z nami porozumieć, możesz to zrobić w Grange.

* * *

Kiedy przybyły znowu, sytuacja zmieniła się o tyle, że mówiono o zaangażowaniu mamy w głośnym przedstawieniu — w jednej z dawnych ról. Była oczywiście uradowana i choć nic nie było już takie samo, zdawało się, że minęliśmy etap tej smutnej depresji, kiedy los występował przeciwko nam.

Raz jeszcze zapewniłam ciotki, że nigdy nie opuszczę mamy. Wyraziły dezaprobatę i chciały wiedzieć, co z moją edukacją. Mama unikała odpowiedzi, a ciotka Marta stwierdziła, że martwią się tym i że to nie do pomyślenia, by ktoś z Ashingtonów pozostał analfabetą. Mama zauważyła, że nauczyłam się czytać, gdy miałam cztery lata, i od tego czasu bez przerwy trzymam nos w książce. Zdaniem mamy trudno byłoby znaleźć dziewczynkę w moim wieku tak dobrze zorientowaną w literaturze angielskiej.

— Są też inne przedmioty — mruknęła ciotka Mabel, a ciotka Marta zgodziła się z nią.

Odeszły, moim zdaniem, rozczarowane.

— Chyba naprawdę chcą zabrać mnie ze sobą — stwierdziłam.

— Chcą ukształtować cię w formę, którą uważają za właściwą — powiedziała mama. — Zamierzają zrobić z ciebie małą Ashington, to znaczy taką jak one. Zawsze powtarzały Ralphowi, że powinien to czy tamto. To jeden z powodów, dla których tak chętnie wyjeżdżał.

A po kilku tygodniach stwierdziła:

— Wiesz, miały rację w sprawie twojego wykształcenia. Zaniedbałyśmy tę sprawę. Będiesz się uczyła w szkole.

Byłam wstrząśnięta.

— Tak — potwierdziła — to konieczne. To bardzo dobra szkoła, niedaleko Yorku. Dziewczęta Ashingtonów zawsze tam uczęszczały. Taka rodzinna tradycja.

— Żartujesz.

— Wyjeżdżasz we wrześniu.

— A pieniądze? To nie będzie zbyt kosztowne?

— To inwestycja — mruknęła. — Znowu występuję. To będzie sukces, zobaczysz. Wracam na scenę, Siddons. Kończą się nasze zmartwienia.

Stopniowo przyzwyczaiłam się do myśli o szkole i kiedy wreszcie wyjechałam, nowe otoczenie pochłonęło mnie bez reszty. Choć w pewnych przedmiotach miałam braki, w innych daleko wyprzedzałam klasę. Pragnęłam się uczyć, co cieszyło nauczycieli. Równocześnie byłam zawsze gotowa do zabaw i radości, dlatego lubiły mnie koleżanki. Pobyt wśród rówieśników był dla mnie nowością, dlatego zachwycało mnie to życie. Dawało ucieczkę od tragicznych wydarzeń, których pamięć trwała przy Denton Square. Szkoła pochłonęła mnie tak bardzo, że na długie dni

zapominałam o domu. Myślałam tylko o ocenie z wypracowania czy o nadchodzącym meczu krykieta.

Jedna z nauczycielek, bardzo stara, pamiętała moje ciotki i cieszyła się, że ma w szkole kolejną Ashington.

— To były dobrze ułożone i pracowite dziewczęta. Przeżyły godne życie — stwierdziła. — Miejmy nadzieję i módlmy się, Saro, że będziesz taka jak one.

To była ostatnia rzecz, jakiej oczekiwałam od przyszłości.

Gdy wróciłam do domu na Święta Bożego Narodzenia, panował tam smutny nastrój. Sztuka, którą wystawiano przez miesiąc, okazała się finansową katastrofą dla sponsorów.

Meg opowiedziała mi o tym.

— Mieli pretensje do twojej mamy. Zawsze muszą na kogoś zwalić winę. To była zła sztuka. Mogłam im to powiedzieć na samym początku. A potem jeszcze ten złośliwy człowiek... mówi o sobie krytyk. Napisał coś takiego: gwiazda sprawy Herringforda nie ma dość pewności siebie ani talentu, by w tym przedstawieniu zagrać niewiniątko. Co za drań! Widzisz, nie pozwolą zapomnieć o tej sprawie.

— Jak ona to przyjęła?

— Źle. To wpłynęło na jej grę. Kiedy schodziła ze sceny, ktoś rzucił w nią jajkiem. Zniszczył jej aksamitną pelerynkę. Nigdy nie spiorę tej plamy. Już tak zostanie. Muszę się pozbyć pelerynki, a z plamą po jajku to mi się nie uda. Sporo kosztowała.

— Meg — spytałam z powagą — co się stanie?

— Wiem nie więcej od ciebie.

Mama starała się być wesoła. Następnym razem będzie bardziej uważać przy doborze ról, obiecała sobie.

Byłam w domu przez miesiąc. Udekorowałyśmy bawialnię jak zawsze. W przeszłości przez dom przewijały się tłumy gości. W te święta odwiedziło nas kilku przyjaciół, wśród nich Tom Mellor, ale stosunki między mamą a nim wyraźnie ostygły. Miała do niego urazę o tę klapę, a on miał pretensje do niej.

Z radością wróciłam do szkoły i raz jeszcze zanurzyłam się w nowym życiu. Zupełnie wystarczały mi rzadkie listy od mamy. Ja musiałam pisać do niej co tydzień. To było ćwiczenie. Często zastanawiałam się, co myśli, czytając o wynikach szkolnej drużyny krykieta, tenisa i siatkówki czy o moich dobrych stopniach z angielskiego.

Do lata dom bardzo się zmienił. Mama wyraźnie się postarzała. Zagrała parę ról, a w jednej odniosła spory sukces — tak mi powiedziała. Janet była bardziej ponura niż zwykle, a jednocześnie demonstrowała jakąś ukrytą satysfakcję. Meg i mama bez przerwy się kłóciły. Byłam zadowolona, kiedy skończyły się wakacje i mogłam uciec do szkoły.

W czasie kolejnego Bożego Narodzenia zrozumiałam, że coś poważnie się psuje. Mama dostała rolę dobrej wróżki w pantomimie.

— Pantomima! — oznajmiła Janet ze wzgardliwym uśmiechem. Meg prawie się nie odzywała.

To były ciche dni, gdyż mama zaczynała pracę w drugi dzień Świąt. Przeziębła się i była dość słaba. Jak za dawnych czasów, zaniosłam jej śniadanie.

Udawiała wesołość, ale po tak długiej nieobecności spostrzegłam w niej wielkie zmiany. Postarzała się o dziesięć lat, pogłębiły się zmarszczki wokół warg. Kiedy występowała w pantomimie, skandal odżył, choć nie tak gwałtownie jak kiedyś. Lady Herringford, żonę Everarda, znaleziono martwą w potoku w ich posiadłości. Woda była płytka, a lady Herringford leżała twarzą w dół. Chorowała od długiego czasu i nikt nie sugerował zabójstwa. „Jej śmierć przypomina tragedię sir Everarda, który zakończył swą karierę i życie po wmieszanu się w skandal z aktorką...”

Mama przeczytała ten akapit — wcale nie na pierwszej stronie — i zdenerwowała się, gdyż pisano o niej po prostu jako o aktorce.

— Przecież nie chciałaś, żeby wymieniali twoje nazwisko — uspokajałam ją.

Nagle wpadła w gniew.

— Nie wiesz, co to znaczy? Nie wspominają o tym, bo to już nie jest ważne! Aktorka! Jakbym była statystką albo — zaśmiała się histerycznie — grała w pantomimie!

To były ponure ferie i znowu cieszyłam się z powrotu do szkoły. Dopiero po tygodniu zdołałam usunąć z pamięci to przykre wspomnienie.

Nadeszło lato. Miałam szesnaście lat, a zanim minie ten rok, ukończę siedemnaście. Po niecałej godzinie od powrotu do domu zrozumiałam, że moje przyjemne życie w Akademii dla Młodych Dam w Blessington dobiegło końca.

Mama zmieniła się jeszcze bardziej. Miała sine kręgi pod oczami.

Meg zawiadomiła mnie pierwsza.

— Wyjeżdżam. Czekałam tylko na twój powrót. Mam już dosyć. Nie wytrzymam dłużej jej awantur.

Janet triumfowała.

— Wyjeżdżamy do Ethel za dwa miesiące — oznajmiła. — Ona — wskazała siostrę — chciała zostawić ci czas, żebyś coś zorganizowała.

— A mama? — spytałam. — Nie wygląda najlepiej.

— To płuca. Bez przerwy jest przeziębiona. I nie leczy się tak jak trzeba — stwierdziła Meg.

— Przeziębiam się, kiedy coś jej nie wychodzi — zauważyła Janet.

— To prawda — zgodziła się Meg. — Gdyby tylko dostała prawdziwą szansę, mogłaby wrócić na scenę.

Mówiła tak dla Janet, która triumfowała z powodu klęski mamy. Gdy zostałyśmy same, wyznała mi szczerze:

— Ten typ aktorki może przetrwać ograniczony czas. Widziałam już takie rzeczy. Taki już ich urok. Chodzi o to, że są młode i piękne w określony sposób. Jak motyle. Przelatują przez scenę i ludzie je kochają... ale to szybko mija. Młodość nie trwa wiecznie, prawda? Dla takich jak ona najlepsze jest udane małżeństwo. Schodzą ze sceny, osiadają, by być żonami i matkami. Ale z nią od początku poszło nie tak jak trzeba. Nie powinna wychodzić za mąż i wyjeżdżać na Ceylon. Wystąpiła z szeregu, można by powiedzieć, a za takie rzeczy trzeba płacić.

— Więc zostawiasz ją, Meg — powiedziałam z wyrzutem.

— Nic na to nie mogę poradzić. Nie ma z czego nam płacić... ani mnie, ani Janet. Dostaje coraz gorsze role, a wkrótce będzie wdzięczna za jedno przejście przez scenę.

— Wszystko z powodu tego skandalu...

— Och, nie, to niezupełnie tak. Gdyby była wielką aktorką, bez mrugnięcia okiem przetrwałaby te burze. Ale ona nie jest wielką aktorką. A w każdym razie to, co ma, nie przeżyłoby dłużej niż jej młodość. Skandal sprawił tylko, że postarzała się szybciej niż powinna. Mówiłam jej wtedy, że głupio robi wychodząc za tego człowieka... ale nie chciała słuchać. Wszystko wiedziała lepiej. No cóż, źle sobie to ułożyła. Wyjeżdżam do Ethel. To uspokoi Janet. Mam już dość teatru.

Porozmawiałam poważnie z mamą. Leżała w łóżku. Nalegałam, by nie wstawiała, gdyż wyglądała na chorą.

— Nie wiem, co zrobimy — powiedziała. — Nie stać mnie, by płacić Meg i Janet. Będziemy musiały zrezygnować z tego domu.

— Opłata za szkołę musiała być strasznym ciężarem! — zapłakałam.

Roześmiała się lekko.

— Nie dla mnie. Ciotki za ciebie płaciły.

Spojrzałam ze zdziwieniem. Więc to im zawdzięczałam te dwa beztroskie lata, kiedy zdobywałam wykształcenie! Poczułam wstyd i uświadomiłam sobie, że mam dług do spłacenia.

— Nie wrócę do szkoły. Nie mogłabym. Musimy coś zrobić.

— Co? — spytała mama.

Co robią dziewczęta w mojej sytuacji? Jeśli są samotne, zostają guwernantkami lub damami do towarzystwa — niezbyt zachęcająca perspektywa, gdyż dzieci są zwykle nieposłuszne, a starsze damy nieznośne. Ale ja nie byłam sama. Musiałam pomagać matce.

— Przede wszystkim napiszę do ciotki Marty i ciotki Mabel — powiedziałam. — Zawiadomię, że muszę opuścić szkołę, i wyjaśnię naszą sytuację.

— Wyobrażam sobie, jakie będą zadowolone — westchnęła ponuro mama.

Napisałam do nich jeszcze tego dnia.

* * *

Ciotki nie musiały przedstawiać mi naszej trudnej sytuacji. Znałam ją dostatecznie dobrze. Po wielogodzinnej dyskusji w ich apartamencie u Browna, mama i ja przyjęliśmy jedyne możliwe rozwiązanie naszych problemów.

— Teraz już wszystko zostało powiedziane i dokonane — oznajmiła ciotka Marta. — Irena jest w końcu panią Ashing — ton, a ty, Saro, córką naszego brata.

Ashington Grange było siedzibą rodową i gdyby nie plantacje herbaty, tam mieszkałby ojciec. Dom, co nam uświadomiły, należał do nich. Ojciec tylko go doglądał. Jednak gdyby Ralph miał syna, naturalnie on dziedziczyłby posiadłość. Irena musi zatem zamieszkać w Ashington Grange, gdzie znajdzie troskliwą opiekę, a ja mam wracać do szkoły.

Mama przyznała w końcu, że nie ma innego wyboru. Cierpiała na ostrą depresję. Trudno jej było żyć bez zachwyków i podziwu, które zawsze uważała za należne sobie. Niewiele tego znajdzie w Ashington Grange.

Stwierdziła, że nie zdoła tam mieszkać beze mnie, a ja uwierzyłam jej bez trudu. Ciotki nią pogardzały, a ona ich nie lubiła. Życ z ich łaski było dla niej czymś przykrym, choć nie tak, jak głodowanie na strychu. Ale stwierdziła, że musi myśleć o mnie. Nie mogła znieść nawet myśli o tym, że musiałabym jakoś zarabiać na życie. Zresztą nie było pracy, którą mogłabym wykonywać. Jakkolwiek by na to patrzeć, miałyśmy tylko jedno wyjście: wyjechać do Ashington Grange.

Szybko zrozumiałam, że to ja byłam obiektem troski ciotek. Myślę, że ożywiała je perspektywa mieszkania z młodą krewną. Snuły już plany wobec mnie, przy czym to ciotka Marta była głównym strategiem. Rozumiałam, że przyszłość bratanicy może być ciekawsza niż parafialna wyprzedaż albo doroczne przyjęcie wydawane w ogrodzie Grange w celu zebrania funduszy na nową dzwonnice.

Oznajmiłam stanowczo, że nie wrócę do szkoły.

— To absurd! — krzyknęła ciotka Marta. — Dziewczęta Ashingtonów zawsze do osiemnastu lat uczęszczały na pensję.

— Muszę być z matką — nalegałam. — Nie czuje się dobrze.

— Bzdura! To tylko histeria, nic więcej.

— Przeżyła wielką tragedię — przypomniałam.

— Sprawiedliwa kara — mruknęła ciotka Mabel — po tym wszystkim...

— Muszą ciocie zrozumieć — odparłam — że jeżeli mam mieszkać w Ashington Grange, moja matka musi być tam dobrze traktowana.

Byłam zdumiona, że odważyłam się wydawać rozkazy tym dwóm stanowczym damom, ale tak właśnie było. Czułam do nich odrobinę sympatii: przecież tak bardzo chciały mieć mnie przy sobie, że zgadzały się na moje żądania.

— Konieczne będzie zatem — stwierdziła ciotka Marta — przyjęcie guwernantki.

— Jestem na to za duża — zaprotestowałam.

— Przerwałaś swoje wykształcenie dla... kaprysu! Musi zatem być guwernantka. Nasza siostra, Margaret, była zbyt delikatnego zdrowia, by iść do szkoły. Miała guwernantkę... nawet wiele guwernantek. Umarła.

— Chyba nie z nadmiaru guwernantek — odparłam z chichotem. Odkryłam w sobie nieodpartą ochotę, by przekomarzać się z ciotkami. Wiedziałam, że powinnam się hamować.

— Jesteś zbyt niefrasobliwa, Saro, a to poważna sprawa.

Nikt lepiej ode mnie nie wiedział, jak poważna. A jednak ustąpiły. Poczyniono odpowiednie przygotowania. Opuściłyśmy dom przy Denton Square i wyjechałyśmy do Ashington Grange.

Kroki w ciemności

Choć wyłącznie przykre okoliczności doprowadziły mnie do Ashington Grange, gdy wreszcie stanęłam przed tym domem, byłam bardzo wzruszona.

Wysiadłyśmy z pociągu na stacji Epleigh. Tu czekał już woźnica. Miał nas zabrać do domu bryczką, a bagaż, jak wyjaśnił, dotrze później powozem,

Epleigh to typowo angielska wieś, z łąką przed romańskim kościołem i kilkoma domami wokół. Jechałyśmy drogą przez las, aż nagle ukazała się nam cudowna oaza, spokojna w to wrześnie popołudnie. Ogródki wokół domów rozkwitały gwiazdzistymi margerytkami, ciemnoczerwonymi chryzantemami i statecznymi daliami. Pośrodku łąki lśnił staw, nad brzegiem na drewnianej ławce odpoczywało dwóch mężczyzn. Spojrzeli na nas z zaciekawieniem. Minęłyśmy cmentarz z nagrobkami nowymi i przekrzywionymi przez czas. Przejechałyśmy obok budynku ze sklepem i pocztą. Bryczka wtoczyła się na drogę od strony łąki i wkrótce znalazłyśmy się przed szeroko otwartą bramą Grange. Stojąca w drzwiach domku kobieta dygnęła na nasz widok. Jechałyśmy podjazdem jakieś ćwierć mili i wreszcie za zakrętem zobaczyłam dom.

Była to piękna budowla z szarego kamienia wygładzonego przez lata. Na końcu zachodniego skrzydła przycupnęła wieżyczka z blankami i wąskimi szczelinami okien, która zupełnie nie pasowała do reszty domu, wyraźnie pochodzącego z późniejszego okresu. Jak się okazało, wieża ta ocalała z normańskiej twierdzy, która kiedyś stała w tym miejscu. Pozostałą część domu wybudowano za panowania Karola I. W cudowny sposób budowla uniknęła zniszczeń podczas wojny domowej. Ciotka Mabel, która była bardzo dumna z posiadłości, opowiedziała mi wszystko, gdy tylko zauważyła, że mnie to interesuje.

Symetrycznie zaprojektowana szczytowa ściana w holenderskim stylu, z dekoracyjnymi zwojami i klasycznymi figurami, wywoływała wrażenie delikatności i czaru. Dom nie był duży, ale piękny; zbudowany w pierwszej połowie XVII wieku, kiedy architekci dopiero zaczynali ujawniać własne poglądy, miał tradycyjne frontowe okna z ołowianymi kratowaniami.

Nagle poczułam się dumna, że nazywam się tak samo jak ta szlachetna budowla.

Przez podwórze i bramę wjechałyśmy na dziedziniec. Stąd weszłyśmy wprost do holu, gdzie czekały już ciotki, jeszcze wspanialsze w naturalnym otoczeniu niż wtedy, przy Denton Square i w hotelu Browna.

— Witaj w domu, Saro — powiedziała ciotka Marta, chwyciła mnie za rękę i szybko pocałowała w policzek.

— To dobrze, że w końcu jesteś z nami... — zaczęła Mabel. Wobec mamy były mniej serdeczne.

— Ten dom jest fascynujący — oświadczyłam.

Nic nie mogło ich bardziej ucieszyć. Ciotka Mabel wręcz zarumieniła się z radości.

— Lubimy go — powiedziała. — Nasza rodzina mieszka tu już od dwustu lat.

— Musisz być zmęczona po podróży — dodała ciotka Marta. — Jennings pokaże wam pokoje. Mabel, zawołaj ją. Wasz bagaż przybędzie za chwilę. Potem możecie się umyć, przebrać i porozmawiamy.

W zachowaniu obu ciołek dało się zauważyć poczucie triumfu. Wyraźnie dawały do zrozumienia, że ja jestem miłym gościem, a obecność mamy zaledwie tolerują. Zastanawiałam się, jak długo może to wytrzymać kobieta tak rozpieszczana i podziwiana jak mama. Na szczęście w tej chwili była dość oszołomiona i chyba niczego nie dostrzegła.

Zjawiała się Jennings i poprowadziła nas po drewnianych schodach o pięknie rzeźbionych słupach i poręczach.

Na pierwszym piętrze zobaczyłam długą galerię, biegnącą wzdłuż całej szerokości domu i ozdobioną portretami Ashingtonów. Obiecałam sobie, że dokładnie obejrzę je później. Moi przodkowie! To fascynujące stanąć z nimi twarzą w twarz, gdy dotąd nie miałam nawet pojęcia o ich istnieniu. Na jednym końcu galerii był balkon. Domyśliłam się, że na balach tam właśnie grali minstrele. Nie mogłam wyobrazić sobie ciotek na balu. Obraz, jaki pojawił się w moim umyśle, wywołał uśmiech.

Mój pokój mieścił się piętro wyżej. Był duży, udekorowany kwiatami, z wysokim sufitem malowanym w aniołki. Nad wielkim łóżem zwieszał się niebieski baldachim, a podłogę pokrywały niebieskie dywany. Były też ciężkie niebieskie zasłony i ławeczki pod oknem. Gdy wyrztałam na zewnątrz, aż krzyknęłam z radości. Zobaczyłam dobrze utrzymane trawniki, klomby barwne od jesiennych kwiatów, krzewy i grządki, gdzie wciąż jeszcze kwitły róże. Dostrzegłam warzywnik, a kawałek dalej pierwsze drzewa lasu. Chyba nigdy nie widziałam nic równie pięknego. Ashington! Rodzinny dom, pomyślałam, i to podniecenie trwało, dopóki nie obejrzałam się na mamę. Zawsze wiele swego czaru zawdzięczała ożywieniu. Teraz wydawała się kimś zupełnie innym od tej Ireny Rushton z Denton Square, która była ośrodkiem naszego życia.

Zachowywałam się samolubnie. Oczywiście, ona pamiętała to miejsce. Razem z ojcem przybyli tu wkrótce po ślubie.

— Chodźmy do ciebie — zaproponowałam.

Jej pokój, dużo mniejszy, znajdował się na trzecim piętrze. Stało tam pojedyncze łóżko z baldachimem. Pomyślałam, że jest przytulny, choć nie tak wspaniały jak ten, w którym ja miałam mieszkać. Rozgniewałam się na ciotki, że tak nas podzieliły. To ja powinnam dostać ten pokój, a mama zamieszkać w moim. Może zaproponuję im taką zamianę.

— Dziękuję — powiedziałam do Jennings. Chciałam zostać z mamą sama. — Znajdę drogę do siebie.

Gdy Jennings wyszła, mama rzuciła mi się w ramiona.

— Nie płacz — powiedziałam. — Będzie widać.

To był najlepszy środek zapobiegawczy. Przypomniał jej o wyglądzie i uspokoiła się natychmiast.

— One są okropne! — krzyknęła. — Och, Siddons, nienawidzę tego miejsca. Wszystko byłoby lepsze niż to.

— Ale zgodziłaś się przecież, że nie mogłyśmy zostać przy Denton Square. A gdzie jeszcze mogłyśmy jechać?

— One mnie nienawidzą — powiedziała. — Zawsze mnie nienawidziły, od samego początku. A ja nienawidziłam tego domu. Dostają tu dreszczy. Nie czujesz tego, Siddons?

— Nie — odparłam. — Nie jest bardziej przerażający od innych starych domów. Wszelkie obecne tu duchy są duchami krewnych. To pocieszająca myśl.

— Nie dla mnie. Dla nich wciąż będę tylko powinowatą. Roześmiałam się słabo.

— To nie potrwa długo — mówiła dalej. — To jest tylko chwilowa przerwa. Dostanę rolę. Kiedy Tom dowie się, że naprawdę odeszłam, będzie mnie szukał. Tak to już jest na tym świecie.

Oczy jej błyszczały, znów powróciła euforia. W wyobraźni widziała już, jak Tom przybywa do Ashington Grange z kieszeniami pełnymi kontraktów, a ona pozwoli się namawiać. Niech niewdzięczna publiczność sobie pocierpi. Ona jeszcze im nie wybaczyła.

Zostawiłam ją, a kiedy wróciłam do swojego pokoju, znalazłam część naszego bagażu. Jennings spytała, czy ma pomóc mi się rozpakować. Podziękowałam i posłałam ją na górę, do mamy.

* * *

Ciotka Marta nie lubiła, jak to określała, zasypiać gruszek w popiele. Zaraz następnego dnia poruszyła sprawę guwernantki.

— Doprawdy, ciociu Marto! — zawołałam. — Jestem za duża na guwernantkę. W listopadzie skończę siedemnaście lat.

— I z tych siedemnastu tylko dwa spędziłaś w szkole.

— Przedtem miałam nauczyciela. — Uśmiechnęłam się, ze smutkiem wspominając Toby'ego. Ogromnie za nim tęskniłam. — Był bardzo dobry — dodałam w zamyśleniu.

— Nauczyciel nie jest odpowiedni dla młodej dziewczyny. Nasza starsza siostra, Margaret, miała guwernantkę, gdyż była zbyt delikatna, by pójść do szkoły. Umarła, gdy miała osiemnaście lat.

— To smutne umierać tak młodo.

— Nigdy nie była zbyt silna. Tak, to smutne, jak zauważyłaś. Nie słuchaj służby. Powiedzą ci, że w niektóre noce Margaret spaceruje po galerii i szuka swego ukochanego. To oczywiście wierutna bzdura i romantyczny nonsens.

— Czyżby straciła ukochanego?

— Mieli się pobrać, lecz oczywiście śmierć ich rozłączyła. Jak już mówiłam, miała guwernantkę. Wolałabym, żebyś wróciła do szkoły, ale omówiliśmy to z Mabel. Uznałyśmy, że póki jest tu twoja matka, ty także powinnaś zostać. Będzie ją trzeba... hamować, a tobie najlepiej się to uda.

— Hamować! Mówisz tak, jakby dostawała ataków szału i potrzebowała kaftana bezpieczeństwa.

— Zawsze była lekkomyślna, a jej styl życia nie wzmocnił charakteru. Z punktu widzenia naszego brata, to małżeństwo było błędem. Ale nie zmieniamy tematu. Natychmiast zaczynam szukać guwernantki. Możesz spać spokojnie, wybiorę ją z najwyższą starannością.

Bardzo chciałabym wrócić do szkoły... Rozumiałam jednak, że nie mogłabym być szczęśliwa, zostawiając mamę z ciotkami.

* * *

Mabel prezentowała mi dom. Zachowywała się całkiem inaczej, kiedy w pobliżu nie było ciotki Marty. Starsza z sióstr pełniła niewątpliwie dominującą rolę.

Mabel była zachwycona, że interesuję się wszystkim. Pokazała mi bawialnię, salon, jadalnię, salon zimowy, a także kuchnię, gdzie rządziła kucharka i jej pomocnice. Nie bardzo wiedziałam, jak zdołam zapamiętać ich imiona.

Wszyscy byli mną zaciekawieni. To naturalne. Byłam tą Ashington, która w dojrzałym wieku siedemnastu lat właśnie pojawiła się na scenie. Uważam nawet, że większość służby — niewiele było młodych osób — mogła jeszcze pamiętać pospieszne małżeństwo Ralpa Ashingtona z londyńską aktorką, które wprowadziło jego siostry w takie zakłopotanie. Zastanawiałam się, kto z nich słyszał o skandalu. Mabel zaprowadziła mnie przez pralnię z miedzianymi kotłami wrzątku i zapachami wilgotnych tkanin aż do mleczarni i warzelni. To była spora posiadłość, o wiele większa, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Najbardziej zaciekawiała mnie galeria, gdyż wisiały tam portrety Ashingtonów. Zauważyłam, że kilka kobiet zostało utrwalonych z perłami, całkiem podobnymi do tych, jakie widziałam na portrecie mamy.

— Piękne perły — zauważyłam. — Mają taki szczególny połysk.

— Perły Ashingtonów — wyjaśniła Mabel. — Są częścią rodzinnej historii.

A potem opowiedziała mi, jak trafiły do rodziny. Powtórzyła to, co wiedziałam już od mamy.

— Muszą pozostać w rodzinie, jeśli ród ma przetrwać. Taka jest legenda. Jeden z naszych przodków, o ten... — Wskazała na portret mężczyzny z kokardą pod szyją, w surducie z długimi połami i kamizelce. Miał pasiaste spodnie i bardzo ozdobne klamry u butów. — Był hazardzistą. Wpadł w długi i zastawił perły u lichwiarza. Rodzina musiała je odzyskać.

— Rozumiem, że należą do Ashingtonów.

— Nigdy nie mogą przejść w obce ręce. Żona najstarszego syna nosi je, póki jej najstarszy syn się nie ożeni. Wtedy jego żona je nosi, aż jej syn się ożeni. Zawsze są w posiadaniu Ashingtonów.

— A jeżeli nie ma syna?

— Dopiero teraz to się zdarzyło. To bardzo niepokojące. Jak dotąd zawsze był syn.

— Więc co się stanie z perłami?

— Marta wierzy, że coś się wydarzy.

Byłam zdziwiona. Jeśli ojciec miał jeszcze splodzić syna, który w odpowiednim czasie znajdzie sobie żonę i w ten sposób dostarczy kolejnej czasowej właścicielki pereł, musiałoby się zdarzyć wiele rzeczy. Mama musiałaby do niego wrócić lub umrzeć, żeby mógł się ożenić po raz drugi. Nawet ciotka Marta nie była tak sprytna, by to wszystko zorganizować.

— Bardzo nieszczęśliwie się ułożyło — powiedziała Mabel.

— Los był niewdzięczny — dodałam. — Gdybym była chłopcem, wszystko byłoby inaczej.

— Musisz powstrzymać swój zbyt swobodny sposób wysławiania, Saro. Marcie się to nie spodoba.

— Przepraszam, ciociu Mabel — odparłam pokornie.

Stałam przed portretem ojca. Był bardzo przystojny, miał takie wesołe spojrzenie.

— Zawsze lubił przygody — stwierdziła ciotka Mabel. Splotła dłonie i pokręciła głową. — Gdyby nie był taki uparty, taki impulsywny, gdyby bardziej poważnie myślał o małżeństwie, nie byłoby tego wszystkiego.

— Co z jego pierwszą żoną?

— Nigdy jej nie widziałyśmy. Kiedy umarła i wrócił do Anglii, uznaliśmy, że Bóg dał mu jeszcze jedną szansę. I wtedy ożenił się z twoją matką. Lubił hazard. To jedna z rodzinnych przypadłości. Dlatego Marta nie pozwala w domu na takie rzeczy. A ja się z nią zgadzam. Ktokolwiek ze służby zostanie przyłapany na grze w karty, jest odsyłany.

— Mojemu ojcu sprzyjało szczęście?

— Przy hazardzie szczęście nigdy nie sprzyja, jak mówi Marta. Nasz ojciec był człowiekiem bardzo religijnym i nie pochwalał tego u Ralpa. Dlatego pozostawił Grange pod naszą opieką. Ale oczywiście, jeśli Ralph będzie miał syna, to on odziedziczy posiadłość. W przeciwnym razie nazwisko zaginie. To smutne. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności: dwie córki. Marta byłaby tak zadowolona, gdybyś była chłopcem. Ja także.

— Przykro mi, ale nic już na to nie poradzę.

— Marta twierdzi, że ten brak powagi odziedziczyłaś po ojcu.

— Ciotka Marta lubi organizować wszystko po swojej myśli — odparłam. — I chce, żeby każdy dostosował się do roli, którą ona uważa za najbardziej odpowiednią. W życiu tak nie jest, ciociu Mabel. Jedynie w sztukach, gdy pisarz posyła swoje postacie, gdzie tylko zechce.

— Na twoim miejscu nie mówiłabym tyle o sztukach. Twoje życie się zmieniło. Marcie się to nie spodoba... i mnie również.

— Ojej, może będziemy tu sprawiać kłopot.

— Musimy dopilnować, by tak się nie stało.

Chciałam usłyszeć coś więcej o portretach, więc nie ciągnęłam tego tematu. Zatrzymałam się przed kolejnym obrazem. Okazało się, że to siostra ciotek, Margaret. Nie były do niej podobne. Namalowano ją w wieczorowej sukni z materiału, który wyglądał na błękitny szyfon. Postać miała kruchą i delikatną, skórę jasną, oczy niemal koloru bursztynu, a jasnobrązowe włosy długie i kędzierzawe.

— Portret namalowano wkrótce po jej zaręczynach — wyjaśniła Mabel.

— Wyglądała na szczęśliwą... ale jednak była jakby czegoś niepewna... jakby zalekniona. Dziwny obraz.

— Służące mówią, że nocą wychodzi z ram i spaceruje galerią, szukając Edwarda Sandertona, tego człowieka, za którego miała wyjść. Jedna z dziewcząt przysięgała, że ją zobaczyła całą w błękitnym szyfonie, a rama była pusta. Co za bzdura. Natychmiast kazałyśmy jej się pakować. Od tego czasu nikt nie widział Margaret i pustej ramy...

— Jak dawno umarła?

— Minęło dwadzieścia pięć lat.

— Dość młody duch. Zwykle pochodzą sprzed kilkuset lat.

— Ludzie nie mogą wytrzymać bez takich historii. Kiedy byłam dzieckiem, mówili, że wieża jest nawiedzona. Tajemnicze światła, głosy i zakonnica w szarym habicie.

— A potem ich faworytem stał się duch w błękitnym szyfonie?

Mabel wzruszyła ramionami.

— Sama wiesz, jaka jest służba: lubią się bać. Wiem, że sprzątają w galerii parami i nikt nie chce tędy chodzić po zmroku. Marta śmieje się z nich. A jeśli duch miałby kogokolwiek prześladować, to na pewno Martę.

— Naprawdę? Dlaczego właśnie ją?

Ciotka Mabel przyglądała mi się przez moment z wahaniem. Pewnie jednak powiedziała sobie, że jako członek rodziny, powinnam zostać wprowadzona w rodzinne sekrety.

— Widzisz — powiedziała — to Marta przyprowadziła do domu Edwarda Sandertona. Spotkała go gdzieś na wiejskim przyjęciu i stali się przyjaciółmi. Właściwie nawet...

Patrzyłam na nią ze zdumieniem. Sam pomysł zakochanej Marty przekraczał możliwości mojej wyobraźni. Mabel wyglądała na lekko zawstydzoną.

— Zobaczył Margaret i od tej chwili patrzył już tylko na nią.

Biedna Marta, pomyślałam. Krótkotrwały romans. Nic dziwnego, że w jej naturze tkwiła pewna szorstkość.

— Oczywiście, między nim a Martą nie padły żadne obietnice. A wkrótce potem on i Margaret zaręczyli się. Mieli odczekać pół roku i wziąć ślub. Marta i ja miałyśmy być druhami. Pamiętam, jak szyłyśmy suknie i przygotowowałyśmy wszystko. Margaret wyglądała na szczęśliwą. Zawsze była delikatna, naturalnie, dlatego nie chodziła do szkoły, jak my... i taka piękna. Chyba w życiu nie widziałam dziewczyny ładniejszej niż moja siostra Margaret.

— I co się stało? Dlaczego nie doszło do ślubu?

— Nad ich szczęściem zawisła chmura. Myślę, że nie mogła zapomnieć tego, co zrobiła.

— A co zrobiła?

— Odebrała Marcie Edwarda Sandertona.

— Ale on tak naprawdę nigdy nie należał do Marty, prawda?

— Mógłby należeć, gdyby nie było Margaret. Lubił Martę. Umieeli ze sobą rozmawiać. Marta już wtedy miała bardzo stanowcze poglądy. Rodzice mówili, że nigdy nie znajdzie męża. Mężczyźni nie lubią kobiet, które za dużo wiedzą. To oni chcą być mądrzejsi. Ale Edward ją lubił, interesowały go jej opinie. Ale potem wszystko się zmieniło, ponieważ zakochał się po uszy w

Margaret. Margaret nagle zrozumiała, co zrobiła. Widzisz, ona miała innych adoratorów, a Marta nikogo prócz Edwarda. A potem przyszła Margaret... i zabrała go.

— Opowiedz, co się z nią stało.

— Martwiła się, bała, że będzie kaleką, ciężarem dla Edwarda. Rozchorowała się. Często chorowała, ale tym razem jej stan się nie poprawiał. Umarła na tydzień przed planowanym dniem ślubu. Dzwony, które usłyszałyśmy, zwiastowały śmierć zamiast wesela.

— Co za straszna historia!

— Z takich historii rodzą się legendy. I tak, Saro, gdy usłyszysz, jak rozmawia o tym służba, mam nadzieję, że ukróciysz te głupstwa. — Nagle zmieniła temat. — Musimy gdzieś zamówić twój portret, Saro. Marta mówiła o tym wczoraj wieczorem.

— Więc ojciec miał już żonę, zanim ożenił się z mamą. Niedawno dowiedziałam się, że mam przyrodną siostrę.

Mabel nagle ściągnęła usta.

— Widziałaś ją? — spytałam.

— Nie — odparła i jeszcze mocniej zacisnęła wargi, jakby pod żadnym pozorem nie mogło się z nich wymknąć choć słowo.

— Może powinniście powiesić tu także portret mojej siostry — zaproponowałam.

— Z pewnością nie — powiedziała i spojrzała na mnie jakby z niechęcią. Potem podeszła bliżej, niemal jak spiskowiec. — Może uda się namówić twoją matkę, by jednak wróciła do męża.

— Nie przypuszczam.

— Jeszcze nie jest za późno. Obydwoje są dość młodzi. Tak mówiła Marta...

Chciałam odparować z zapalem, że już jest za późno. Od ich rozstania minęło piętnaście lat i przez cały czas żyli z dala od siebie. Trudno oczekiwać, że znów się połączą tylko dlatego, że ciotki Ashington pragną męskiego potomka.

Nie mogłam oderwać spojrzenia od portretu Margaret. Myślałam o strachu służby... O tej pięknej twarzy nabierającej życia, gdy jej właścicielka występowała z ram, by szukać Edwarda Sandertona, którego odebrała Marcie.

— Co się z nim stało? — spytałam nagle.

— Z kim? — zdziwiła się Mabel.

— Z Edwardem Sandertonem.

— Ach... wyjechał. Polował na tygrysy w Indiach. Potem już nigdy o nim nie słyszeliśmy. Przez kilka lat na Boże Narodzenie przysyłał pozdrowienia... potem przestał.

Gdy wyszłyśmy z galerii, obejrzałam się przez ramię. To miejsce było niesamowite. Mogłam sobie wyobrazić, jak rodzi się legenda.

* * *

Często spacerowałyśmy z mamą po lesie. To było cudowne. Liście nabrały rudawych odcieni, a wiele opadło, tworząc pod stopami złotobrząowy kobierzec.

Mama nigdy szczególnie nie podziwiała piękna przyrody, ale w lesie wydawała się szczęśliwsza niż gdziekolwiek indziej. Wspomniałam jej o tym.

— To dlatego, że uciekam z tego domu. Stąd go nie widać... a to już coś. Och, Siddons, gdybyś tylko wiedziała, jak ich nienawidzę.

— Może nie zostaniemy tam na zawsze.

— Nie. Wiem, że Tom będzie mnie szukał.

— Przyjmiesz chyba każdą jego propozycję, nawet jeśli...

Skrzywiła się.

— Och, to musi być coś dobrego. Nie byłam aż tak nieznana, żeby ludzie zupełnie o mnie zapomnieli.

Zrobiło mi się jej żal. Publiczność z pewnością kiedyś ją kochała, ale publiczność jest kapryśna. Nawet ja o tym wiedziałam. Wiedziałam też, że rola, na którą czeka, nigdy nie nadejdzie.

— Nienawidzę tych kobiet — oznajmiła. — Zwłaszcza Marty. Naprawdę, Siddons, ona mnie przeraża.

— Jest groźna. Ale przecież nie może cię skrzywdzić.

— Chodzi o to, jak na mnie patrzy. Gdy nagle unoszę głowę, widzę, jak mi się przygląda. Zupełnie jakby coś planowała.

— To tylko wyobraźnia.

— Kiedy przyjechałam tu z twoim ojcem, czułam się podobnie... Mawiał zawsze: „Marta to znakomity strateg. Postanawia, co trzeba zrobić, i nie spocznie, dopóki ludzie nie zrobią tego, co ma być zrobione”. Powiedziałam mu, że wiem, iż ona nie aprobeje naszego małżeństwa i co planuje w tej sprawie. Myślałam wtedy, że chce mnie zamordować.

— Ireno Rushton! — krzyknęłam. — Znowu grasz. Przy ciotce Marcie jedna rzecz jest pewna. Zawsze zachowa się we właściwy sposób. A morderstwo trudno uznać za właściwe.

— Ona przyprawia mnie o dreszcze. Och, jak bym chciała wydostać się z tego domu. Jeśli chodzi o ciebie, to chyba zaczynasz go lubić.

To była prawda. Podobała mi się jego antyczność, satysfakcję sprawiała wiedza, że moi przodkowie mieszkali tu od dwustu lat. Odpowiadał mi sposób, w jakim był zarządzany i zachowanie się służby, która wypełniała polecenia, nie kwestionując, czy jest to ich obowiązkiem. Usługami Janet byłam bardziej zmęczona, niż sobie to uświadamiałam. Podobały mi się regularne posiłki, poranne modlitwy przed śniadaniem i, co przyznawałam wobec siebie, ale nie wobec mamy, żywiłam dla ciotek niechętny podziw. Lubiłam też chodzić z nimi do kościoła i siedzieć w ławce Ashingtonów; dla naszego znamienitego rodu rezerwowano dwa pierwsze rzędy. Podziwiałam witraże w oknach, ufundowane przez wdzięcznego Ashingtona jeszcze w okresie Restauracji, kiedy Grange uniknęła cromwellovskich wandalów i powróciły dobre czasy. Podobały mi się pamiątkowe napisy i nagrobki w tej przeznaczony dla Ashingtonów części cmentarza.

Czułam, że tutaj jest moje miejsce, i rozumiałam, że mama nie może dzielić tego uczucia. Nie należała do tej rodziny, tak jak ja. Co więcej, uważano ją za intruza i nieproszony gościa.

Przedstawiono mnie rodzinie z plebanii, wielebnemu Peterowi Cannonowi i jego trzem dość wysokim, chudym córkom. Wszystkie około trzydziestki, stare panny, które jakoś ominęło małżeństwo i które teraz poświęcały się pracy parafialnej. Polubiłam zaskakująco śliczną i pełną życia żonę pastora, która spoglądała na swoje córki z lekkim zdumieniem, jakby nie rozumiejąc, w jaki sposób wydała na świat tak nie podobne do niej potomstwo. W co drugą sobotę jedli z nami lunch. Zainteresowali się moją osobą i mieli pewne plany włączenia mnie w swoją działalność. Mamę traktowali z wyjątkową grzecznością, ale i z pewną rezerwą, jakby spodziewali się po niej dziwnego zachowania. Natychmiast wyczuli, że różni się od nich. Ani razu nie wspomnieli, że słyszeli o jej związku z Everardem, choć nie wiedziałam, czy wynika to z ich wyjątkowo dobrych manier, czy raczej ignorancji.

Ciotki bawiły mnie coraz bardziej. Ich zamięłowanie do szczegółów było zdumiewające. Wiedziałam, że ciotka Marta nie znosi bałaganu. Kiedy dostrzegła, że jakaś ozdoba nie leży dokładnie tam gdzie powinna, nie spoczęła, póki nie zaprowadziła porządku. Porządek był głównym wątkiem jej życia. Układała kwiaty tak, że wyglądały jak żołnierze na defiladzie. Posiłki podawano dokładnie o wyznaczonych godzinach i nawet minuta była sporym spóźnieniem. Utrzymywała Grange w idealnym ładzie i wkrótce uświadomiłam sobie, że jej największym zmartwieniem jest, by po śmierci jej i Mabel dom trafił w dobre ręce.

Oczywiście pragnęła, by mama wróciła do ojca i wydała na świat syna. Tylko to sprawiłoby jej satysfakcję. Rozwód nie wchodził w grę, ponieważ wierzyła w świętość małżeńskiego węzła. Jeśli mężczyzna wziął kobietę za żonę, pozostawali razem, dopóki śmierć ich nie rozłączyła.

Wiedziałam, o czym mówi mama, kiedy twierdziła, że gdy podnosi głowę, napotyka spojrzenie Marty. Dostrzegłam taki błysk w oczach ciotki. Naprawdę sprawiała wrażenie, jakby snuła jakieś plany dotyczące mamy.

A jakie mogły być to plany prócz tego, by wróciła do ojca? Albo to, albo żeby umarła... Co za straszna myśl! To uwaga mamy, że dostaje dreszczy na widok Marty, uruchomiła ten wątek myśli.

— Wiesz — odpowiedziałam jej wtedy — skoro już tu jesteśmy, próbujmy jakoś żyć.

— Uważam, że ty chcesz tu zostać. Kiedy przyjedzie Tom, będę musiała wracać do miasta. Może lepiej będzie, jeżeli tu zostaniesz.

— One cały czas mówią o guwernantce...

— Tak. To nonsens.

— Może nie. Nie chcę być nieukiem. Jeśli dostaniesz tę rolę, może nie powinnam z tobą wracać...

— Wynajmę mieszkanie w Londynie albo zatrzymam się w hotelu.

— Będę cię odwiedzała. Przyjadę na premierę...

— Och, czy to nie będzie cudowne? Może już za rok będziemy wspominać to wszystko jak zły sen.

Spacerowałyśmy ramię w ramię, krusząc pod stopami liście.

— To piękny las — stwierdziła mama. — A co to za dziwny zapach?

— To chyba sosny.

— Podoba mi się.

Jakże cudowne było móc ją oglądać w takim dobrym nastroju.

Kiedy wróciliśmy do domu, ciotka Mabel czekała już na nas w holu.

— Przyjęliśmy guwernantkę — oznajmiła.

* * *

Nazywała się Celia Hansen. Przyjechała na rozmowę z Midlands i miała podjąć swoje obowiązki w przyszłym tygodniu. Zwlekanie nie ma sensu, stwierdziła ciotka Marta.

Obie ciotki były nią zachwycone. To jasne, że pochodziła z dobrej rodziny. Miała znakomite referencje — od pewnej arystokratki, która, co szczerze przyznała, była raczej jej przyjaciółką. Nie mogła otrzymać pisma od pracodawcy, gdyż dotąd żadnego nie miała. Historia Celi Hansen była dość zwyczajna. Wychowano ją w założeniu, że nigdy nie będzie musiała zarabiać na życie. Rodzice zmarli nagle i została na świecie sama. Kiedy spłaciła rodzinne długi, pozostał jej tylko minimalny dochód, a dom, w którym mieszkała, dostał się w ręce kuzynki. Mogła tam zostać jako uboga krewna, ale będąc kobietą dumną, wybrała niezależność.

— Godne pochwały — oświadczyła ciotka Marta.

— Dowodzi silnego charakteru — dodała niczym echo ciotka Mabel.

Obie były bardzo zadowolone.

Wrzała we mnie ciekawość. W najbliższy poniedziałek po południu obserwowałam z okna przyjazd guwernantki. Wysłano po nią bryczkę, a powóz miał później odebrać ze stacji bagaż.

Wysiadła z bryczki i stała przez moment, spoglądając na dom. Cofnęłam się, nie chcąc, by przyłapała mnie na przyglądaniu się jej. Zdażyłam jednak zobaczyć długą, dość bladą twarz, gładkie kasztanowe włosy zaczesane do tyłu i związane w węzeł na karku. Ubrana była na czarno, elegancko, bez specjalnej dbałości o modę.

Wiedziałam, że wkrótce zostanę wezwana, by ją poznać. I tak się stało.

Weszłam do bawialni. Siedziała na jednym z tych krzeseł o wysokich oparciach — sztywno wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach.

Ciotka Marta uśmiechała się miło, podobnie jak Mabel.

— Saro, to jest panna Hansen. Panno Hansen, to jest pani uczennica.

Wstała i podeszła do mnie. Była średniego wzrostu. Słowo „średnia” bardzo do niej pasowało. Pomyślałam wtedy, że w całej Anglii muszą być tysiące zbiedniałych kobiet z dobrych rodzin, już nie pierwszej młodości, które wyglądają podobnie jak Celia Hansen.

Wyciągnęła dłoń.

— Bardzo mi miło.

Głos jej miał niskie brzmienie. Zrozumiałam, dlaczego wywarła na ciotkach takie wrażenie. „Dama”, oceniał ją z aprobatą.

— Mam nadzieję, że będę pilną uczennicą i będzie nam się dobrze razem pracowało — powiedziałam.

Uśmiechnęła się jakby półuśmiechem. Wygięła tylko wargi, ale oczy nie zmieniły wyrazu. Wtedy właśnie zauważyłam te oczy — duże, jasnobrązowe, nieco wypukłe. Przyszło mi potem do głowy, że nigdy niczego nie wyrażały. Jednak czyniły jej twarz w pewnym sensie niezwykłą — i to była jedyna jej charakterystyczna cecha.

— Jestem o tym przekonana — odparła.

— Jennings pokaże pani pokój — powiedziała ciotka Marta — a kiedy pani wypocznie... chce pani odpocząć, prawda?

Panna Hansen odparła, że nie musi odpoczywać. Gdyby mogła tylko umyć ręce i przebrać się po podróży... Ciotka Marta wyraźnie to pochwałała.

— Zatem — powiedziała — Sara przyjdzie do pani... powiedzmy za godzinę. Pokaże pani pokój, gdzie będziecie pracowały.

Przywołano Jennings i panna Hansen wyszła wraz z nią.

— Gdzie dostała pokój? — spytałam, gdy zamknęły się drzwi.

— Na trzecim piętrze... na końcu korytarza, w pobliżu pokoju twojej matki. Zaraz obok pracowni. Uważam, że dokonałyśmy mądrego wyboru.

— Jest bardzo dobrze wychowana — pochwaliła Mabel. — Wiele jest takich jak ona... w dzisiejszych czasach. Dorastają w oczekiwaniu na wygodne życie i nagle okazuje się, że muszą zarabiać...

Ciotka Marta była wyraźnie zadowolona z siebie. Widywałam już u niej ten wyraz twarzy — kiedy zdołała osiągnąć to, co sobie zaplanowała.

Zanim poszłam po Celię Hansen, zajrzałam do pracowni. Wyglądała jak szkolna klasa, a w powietrzu unosił się lekki zapach politur. Duże okno w końcu pokoju okalały ciężkie, ciemnoczerwone, wełniane zasłony, pośrodku ściany widniał wielki, marmurowy kominek, a na nim zwyczajny, prostokątny zegar. Ściany zawieszono były obrazkami przedstawiającymi sceny z Biblii. Mojżesz wśród sitowia, Mojżesz uderzający w skałę, Rachela przy studni, sen Jakuba, żona Lota, która ogląda się za siebie i zmienia w słup soli. Stary Testament po jednej stronie, a Nowy po drugiej. Wypędzenie kupców ze świątyni, Jezus przy studni, Jezus chodzący po wodzie.

Było tu kilka szafek i długi stół, trochę odrapany i poplamiony atramentem. Z jednej strony ławeczka, a u szczytu wysokie, proste krzesło, zapewne dla nauczyciela. Stało też kilka innych krzeseł. Typowa szkolna klasa, pomyślałam. Tutaj pobierała lekcje Margaret, gdy jej siostry jeździły do szkoły. Zastanawiałam się, jak wyglądała jej guwernantka, czy ją lubiła, i czy Margaret zwierzała się jej czasem.

Musiała być ogromnie szczęśliwa, gdy Edward Sanderton zjawił się w domu. Ale oczywiście szczęście było przyćmione, zabarwione smutkiem, ponieważ osiągnęła je kosztem siostry. I to jakiej siostry! Byłam pewna, że jako młoda kobieta Marta była równie groźna. I że ta delikatna dziewczyna się jej bała.

Wyobraziłam sobie Margaret przy stole, z długimi, pięknymi włosami opadającymi na ramiona, jak mówi guwernantce, że właśnie się zakochała. Tak wyraźnie widziałam jej twarz, jej smukłe ramiona okryte błękitnym szyfonem. Pomyślałam o galerii o zmierzchu, gdy cienie padają przez wąskie okna, a Margaret występuje z ramy, by szukać swego ukochanego. Wzruszająca wizja. Ciekawe, czy prócz galerii nawiedzała też pracownię.

Stałam przy sutych czerwonych zasłonach, gdy usłyszałam kroki na schodach, a potem w korytarzu. Serce zabiło mi mocno, pewnie dlatego, że myślałam o Margaret. Doznałam dziwnego uczucia. Kroki były powolne, ostrożne, zupełnie jakby idący z trudem się poruszał. Spojrzałam na drzwi. Klamka drgnęła. Potem drzwi się otworzyły, ale nikt nie wchodził. Instynktownie cofnęłam się za zasłonę. A potem zaśmiałam się sama z siebie. Weszła Ellen, jedna z pokojówek. Szła tak powoli, gdyż niosła wielką, brązową wazę z bukietem chryzantem. Na pewno była ciężka, bo glinianiana.

Kiedy z trudem podchodziła do stołu, wyszłam zza zasłony. Odwróciła się z krzykiem, a waza wypadła jej z rąk. Twarz miała bladą, a oczy szeroko otwarte z przerażenia.

— Ellen! — krzyknęłam. — Co się stało?

Przyglądała mi się i jej twarz z wolna odzyskiwała kolory. Wreszcie poczerwieniała.

— Myślałam... — zająknęła się. — O mój Boże, myślałam, że panienka jest duchem.

Roześmiałam się, lecz przypomniałam sobie, że parę chwil wcześniej sama chowałam się za zasłoną.

— Cook mówi, że ona może tu przychodzić... bo po raz pierwszy zobaczył ją w tej pracowni... tak mówi Cook. Nie wiem, panienko Saro, ale panienka mogłaby nią być. Panienka tak samo wygląda, Cook tak twierdzi...

— Nic dziwnego — odparłam. — Jeżeli mówisz o pannie Margaret, to była moją ciotką. No chodź, Ellen, lepiej tu posprzątajmy.

— Będę miała kłopoty, panienko. Proszę spojrzeć. Zbiłam tę wielką, brązową wazę.

— Powiem im, że to moja wina.

— Och, doprawdy, panienko. Rzeczywiście, panienka mnie przestraszyła.

Położyłam rękę na jej ramieniu. Wciąż drżała.

— Nie lubię przychodzić tu sama — wyznała. — A to było takie dziwne popołudnie... takie jakby ciemne i wydaje się, że będzie burza. Chociaż wolę tutaj niż do galerii... ale też nie lubię.

— Biegnij po szufelkę — powiedziałam. — I jeszcze coś, żeby wytrzeć wodę. Przynieś też jakiś wazon na kwiaty. Pewnie ciotki chciały przystroić pracownię dla nowej guwernantki.

— To pani kazała je tu postawić. Nowa guwernantka, powiada, to prawdziwa dama. Wiele z tych guwernantek jest takich, panienko. Zstępują na świat, ot i tyle.

— Zgadza się. A teraz rób, co ci powiedziałam, i to szybko. Sprzątniemy wszystko dokładnie i przygotujemy pracownię dla tej damy.

Wyszła pocieszona, gdyż nie byłam duchem i w dodatku chciałam wziąć na siebie winę za tę stłuczoną wazę.

Jakie to dziwne, myślałam czekając na Ellen, że wspomnienie o Margaret przetrwało tyle lat. Zupełnie jakby jej śmierć otaczała jakaś tajemnica.

Ellen wróciła po chwili. Sprzątnęła cały bałagan, a ja ułożyłam kwiaty w wazonie. Postawiłam go na środku stołu.

— Proszę — powiedziałam. — Od razu ładniej tu wygląda.

Rozejrzała się dookoła. Widziałam, że dla niej wciąż jest to nawiedzany pokój. I żadne kwiaty tego nie zmieniają.

* * *

Celia Hansen była aż nadto gorliwa. Czasem zachowywała się tak perfekcyjnie, jakby przeprowadzała wcześniej próby wszystkiego, co zamierza powiedzieć czy zrobić. Nie chciała zatargów ze służbą i potrafiła być uprzejma, unikając przy tym zażyłości, co nie zawsze jest łatwe. Pozycja guwernantki w domu może być bardzo trudna, jak mi to potem wyjaśniła. Guwernantka nie należy do służby. Z drugiej strony, ze względu na swoją pracę, nie jest też traktowana jak członek rodziny. Ale Celia nie musiała się martwić. Ciotka Marta wyraźnie ją polubiła. To ona wpadła na pomysł przyjęcia guwernantki i ona wybrała Celię Hansen. A zatem przybycie Celi musi być rzeczą słuszną. Taka filozofia ma swoje dobre strony, chociaż trudno byłoby ją zastosować w kwestii sprowadzenia do domu Edwarda Sandertona. Ale to już przeszłość, a ciotka Marta nie przejmowała się zbyt długo swoimi pomyłkami. Naturalnie Mabel zgadzała się z nią, że Celia jest dobrym nabytkiem. Rozwiązała problem mojej edukacji, była skromna i okazywała wdzięczność. Właściwie wszystko w niej zasługiwało na pochwałę.

Najbardziej zdziwiła mnie przyjaźń Celi z mamą. Nie miałam wątpliwości, że od razu się polubiły. Jak się okazało, Celia sporo wiedziała o teatrze i opowiedziała jej o swych niezapomnianych przeżyciach podczas oglądania przedstawienia, w którym grała mama. Dokładnie zapamiętała sztukę i rolę. Mama była zachwycona. Już dawno nie widziałam jej takiej szczęśliwej.

Może to ja trzymałam się trochę z boku. Czułam się odrobinę niepewnie, w tym wieku mając guwernantkę. Może sprawiło to wspomnienie chaotycznych lekcji z Tobym; dopiero teraz zrozumiałam, jak świetnie się wtedy bawiłam. Zajęcia z Celią Hansen nie budziły nawet śladu tamtych emocji.

Byłyśmy wobec siebie troszkę nieufne. Musiała już skończyć trzydziestkę, więc dla mnie była dość stara. Czasem zdawało mi się, że wygląda starzej, czasem, że młodziej. Tak bardzo się ode mnie różniła. Ja byłam impulsywna. Miałam wrażenie, że Celia starannie waży słowa, zanim je wypowie, i obserwuje efekt, jaki wywierają na inne osoby. Wydawało mi się czasem, że jej osobowość zmienia się odrobinę zależnie od towarzystwa, w którym się znalazła. Przy ciotkach była wzorem godnego zachowania; okazywała akurat tyle wdzięczności, by wiedziały, że nie zapomniła, ile im zawdzięcza; jednak swym zachowaniem podkreślała zawsze, że dorastała w takich warunkach jak one. Nic nie mogło bardziej zachwycić ciotki Marty. Pytałam służące, co one myślą o Celi. „Dama... och, dama”, stwierdziła Ellen. „Nie sprawia kłopotów. Cook mówi, że guwernantki zwykle zadzierają nosa. Właściwie panna Hansen też trochę... ale bardzo naturalnie, jeżeli panienka wie, co mam na myśli. Zresztą wszyscy ją lubią”.

A zatem odniosła sukces. Chciałam tylko, żeby była mniej powściągliwa, by nie wchodziła tak cicho do pokoju, gdyż dopiero unosząc głowę dostrzegałam, że już przyszła. Dziwne, duże oczy też mnie niepokoiły. Była w nich jakaś pustka; nie mogłam zgłębić, co się za nimi kryje. Nigdy się nie uśmiechały. W pewien sposób pasowały do jej manier. A potem dowiedziałam się, że się mnie bała, i moje uczucia do niej uległy zmianie.

Siedziałyśmy w pracowni i czytałyśmy razem Hamleta. Była niezwykle sumienna, więc opracowała coś w rodzaju programu. Miała mnie uczyć matematyki, francuskiego, angielskiej gramatyki i literatury. Było też haftowanie i coś, co nazywała sztuką, a co polegało na malowaniu akwarelami — zwykle wazonu z kwiatami czy tacy z owocami. Znakomicie haftowała i malowała, o wiele lepiej ode mnie. Była dobra z matematyki i szybko rozwiązywała te zadania o pociągach

jadących w przeciwnym kierunku, albo o tym, ile lat mają dzieci, jeżeli ich łączny wiek wynosi tyle, a jedno z nich jest o tyle starsze niż drugie, i tak dalej. Nienawidziłam takich zadań i nie potrafiłam wzbudzić w sobie zainteresowania prędkości pociągów ani wiekiem nie istniejących dzieci. Ale jeśli chodziło o dowolną formę francuskiego czy angielskiego — zwłaszcza literaturę — mogłabym nauczyć ją więcej niż ona mnie.

Szybko to zrozumiała, zwłaszcza podczas przerabiania *Hamleta*. Zawsze lubiłam tę sztukę. Niektóre fragmenty znałam na pamięć. Omawialiśmy ją z Tobym bardzo szczegółowo.

Coraz bardziej angażowałam się w dyskusję z Celią i stawało się jasne, że wychodzimy poza granicę jej wiadomości. Trzymała ręce na stole i zauważyłam, że drżą jej palce. Ukryła je pod blatem. Miałam wrażenie, że podjęła jakąś decyzję.

— Nie mam kwalifikacji, żeby cię uczyć — powiedziała wreszcie. — Odebrałam tylko skromne wykształcenie. Mogłabym uczyć małe dzieci...

Wpatrywała się we mnie bez mrugnięcia tymi okrągłymi oczami, ale wargi jej drżały. Była wyraźnie przestraszona.

— Myślałam, że mam szczęście — mówiła dalej. — Wszystko układało się doskonale. Twoje ciotki były takie uprzejme, a ja dumna, że poznałam twoją mamę. Ale teraz widzę, że nie nadaję się na nauczycielkę dla ciebie. Porozmawiasz z ciotkami, a wtedy...

Milczałam przez chwilę. Byłam zaskoczona tym nagłym przełamaniem maski spokoju. Ta powściągliwa, sztywna dama w rzeczywistości była przerażoną kobietą, która zobaczyła przed sobą smutną przyszłość. Wielkie oczy, jak zwykle bez wyrazu, obserwowały mnie.

— Czy potrafisz sobie wyobrazić moją sytuację? — kontynuowała. — Zostałam wychowana w domu... podobnym do tego. Nigdy nie przypuszczałam, że moje życie ulegnie takim zmianom. Wszystko się stało tak nagle. Kiedy zmarli rodzice, musiałam spłacić długi i zostałam bez pensa. To było chyba jedyne wyjście. Znalazłam to ogłoszenie, odpowiedziałam, a twoje ciotki były takie uprzejme, jak i wszyscy tutaj. Myślałam, że znalazłam schronienie na kilka lat, może ułożę sobie jakoś przyszłość. Ale tak naprawdę nie mam dostatecznych kwalifikacji. Będę musiała poszukać czegoś innego... jakiegoś domu, gdzie są dzieci. Do tego może się nadam.

— Proszę chwilę zaczekać! — krzyknęłam. — Myli się pani. Dlaczego miałabym powiedzieć ciotce Marcie, że nie może mnie pani uczyć francuskiego i angielskiego? To pani tak uważa. To prawda, zawsze myślałam, że jestem za duża na guwernantkę, wiem o tym...

— I z tego powodu nie jesteś zadowolona z mojej obecności tutaj.

— Osobiście nic do pani nie mam. Nie podoba mi się tylko, że traktują mnie jak dziecko, które musi mieć guwernantkę. Rozumiem, co pani czuje. Właściwie to samo mogło się zdarzyć ze mną. Gdyby nie zjawiły się ciotki i nie sprowadziły mnie tutaj, mieszkałabym teraz w cudzym domu, próbując zarobić na życie. Dlatego dobrze panią rozumiem. Jest pani dobra w arytmetyce i o wiele lepsza ode mnie w haftowaniu i rysunku. I nie wiem, dlaczego nie miałyby mnie pani tego nauczyć. Co do francuskiego, popracujemy trochę razem, a o literaturze mogę dyskutować z każdym. Więc nie rozumiem, dlaczego nie miałybyśmy kontynuować tych lekcji. Nie ma się czym martwić, panno Hansen. Proszę tu zostać, dopóki pani nie postanowi, co dalej. Ciotka Marta jest z pani zadowolona, a zapewniam, że zdobyć aprobatę tej damy to wyjątkowo trudny wyczyn.

Wargi uśmiechały się do mnie, jej oczy błyszczały może mocniej, ale ich wyraz nie uległ zmianie.

Od tej pory zostałyśmy przyjaciółkami. Była wdzięczna, że jej nie zdradziłam, a ja byłam dumna ze swojego postępu. Zaczęłam ją lubić tak, jak się lubi ludzi, którym wyświadczyło się przysługę.

Ułożyłyśmy sobie wszystko bardzo korzystnie i w ciągu miesiąca Celia stała się jakby członkiem rodziny. Ciotka Marta zdecydowała, że Celia będzie jadła razem z nami. To przecież

absurd, by zanoszono jej posiłki do pokoju, a przecież nie mogła jadać w pomieszczeniach dla służby. Zaczęliśmy zwracać się do niej po imieniu i chodziła z nami do kościoła. Dziewczeta Cannonów przekonały ją, by włączyła się w działalność parafialną. Była dobrym nabytkiem. Wyhaftowała obrusik na tacę, kilka serwetek na czajniczki, a na wyprzedaży pomagała rozlewać herbatę z wielkiego dzbana, po pensie za kubek.

Od czasu do czasu wyczuwałam w domu jakiś niepokój. Chodziłam wtedy do galerii, by spojrzeć na portret Margaret i tych wszystkich dam z perłami na szyjach.

Zastanawiałam się, gdzie teraz są Perły Ashingtonów. Przypuszczałam, że u ojca. Przechodziły w ręce syna, a poprzez niego w ręce jego żony, a potem do ich najstarszego syna. A jeżeli nie było syna? Chciałam zapytać, co się teraz stanie z perłami. Może Mabel mogłaby mi powiedzieć.

Co właściwie tak mnie martwiło? Może ciotka Marta. Zachowywała się tak, jakby coś planowała. Potem martwiła mnie mama. Wciąż czekała na dzień, kiedy zjawi się Tom Mellor ze sztuką, dzięki której powróci na szczyty. Znajomość z Celią wywarła na niej znaczący wpływ. Czasem myślałam, że to dobrze, a czasem nie byłam tego taka pewna. Celia dużo rozmawiała z mamą. Zwykle pijały razem herbatę. Mama miała spirytusową kuchenkę, której używała w teatrze, gdyż nieraz o bardzo dziwnych porach miała ochotę na filiżankę herbaty. Meg zawsze się na to skarżyła: „Herbata! Herbata! W środku nocy nagle musi się napić herbaty”. Dobrze pamiętałam tę kuchenkę.

Czasami siadałam wraz z nimi. Mama była ożywiona, opowiadała Celi o swoich rolach i często odgrywała je dla niej na nowo. Przyjemnie było widzieć ją w dobrym nastroju, choć potem zawsze wpadała w depresję, tym większą po chwilowym podnieceniu.

Nie wiedziałam, czy Celia słyszała o związku mamy z Everardem Herringfordem i tragedii, która potem nastąpiła. Na pewno wiele wiedziała o jej scenicznej przeszłości. Zapytałam ją o to pewnego dnia, gdy spacerowałyśmy po lesie.

Zacząłam opowiadać, jak zachwycona jest mama, że Celia interesuje się teatrem. I dodałam ostrożnie:

— Słyszałaś o jej ostatniej sztuce?

— Tej, którą tak krótko wystawiano? A więc wiedziała.

— To taka szkoda — powiedziała. — Nie mogę nawet myśleć o niej tutaj... taki talent zmarnowany.

— To było dla niej dość trudne... — zaczęłam.

Celia szła parę kroków przede mną. Zareagowała nerwowo, odwróciła się i powiedziała:

— Czytałam o tym w gazetach... o tym człowieku, który się zabił... o tym polityku. To było dla niej straszne. Bardzo jej żałowałam.

— Więc wiedziałaś?

— Bardzo niewiele. Wspomniano o tym w naszej lokalnej gazecie, a że widziałam ją na scenie, zapamiętałam. Czy to prawda, że ta sprawa zniszczyła jej karierę?

— Tak — odparłam — to prawda.

— Jakże to tragiczne!

— Musiałaś być zaskoczona, gdy przyjechałaś i okazało się, że mama tu mieszka. A może pamiętałaś nazwisko...

— Nazwisko? — Skrzywieniem warg wyraziła zdziwienie. — Ach... Ashington. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska. Zawsze występowała jako Irena Rushton, prawda? Nie, nigdy nie słyszałam o Ashingtonach i to spotkanie było dla mnie wielką niespodzianką. Z początku nie mogłam w to uwierzyć.

— Jesteś dla niej dobra — powiedziałam. — Zawsze otaczał ją podziw... i spotkanie jednej z wielbicielek na pewno jest dla niej cudownym przeżyciem.

— Lubię rozmawiać z nią o teatrze. To mnie interesuje.

* * *

Miałam rację podejrzewając, że ciotka Marta coś planuje. Dowiedziałam się o tym od mamy. Był koniec listopada, ciepły, ale wilgotny i mglisty, i mama znowu się przeziębiła. Zdarzało się to coraz częściej.

Pewnego dnia została w łóżku, a ja zajrzałam do niej, żeby na kuchence spirytusowej przygotować herbatę. Celia poszła do kościoła w sprawie świątecznego przyjęcia dla dzieci. Wprawdzie miało się odbyć dopiero za miesiąc, jednak wymagało całych tygodni przygotowań.

Mama była w złym nastroju.

— Z każdym dniem coraz bardziej nienawidzę tego domu — powiedziała, kiedy podałam jej herbatę.

Usiadłam obok i piłam moją. W tej uwadze nie było niczego niezwykłego. Słyszałam to już setki razy.

— Marta coś planuje — kontynuowała. — Mówię ci, Siddons, na jej widok dostaję dreszczy.

— Już to mówiłaś.

— Pamiętam, że gdy przyjechałam tu z twoim ojcem, to ciągle się zastanawiała, czy jestem w ciąży. Gdybyś była chłopcem, wszystko dobrze by się ułożyło. Dostałabyś te nieszczęsne perły i żonę, która mogłaby je nosić. Pewnie już by ci kogoś swatały. A potem tylko by patrzyły, kiedy będzie następny chłopiec. Ale twój ojciec je zawiódł, zdradził rodzinę. Dwa nieudane małżeństwa i ani jednego młodego Ashingtona. Marta cierpi na obsesję. Kto dostanie te perły? Wygląda na to, że nikt o nazwisku Ashington. To jak komedia. Ale Marta nie pasuje do komedii. — Mama oddała mi filiżankę, a kiedy odstawiłam ją i wróciłam do łóżka, chwyciła mnie za rękę. — Coś tu dojrzeła, Siddons. Ona ma plany.

— Jakie plany?

— Wobec mnie. Wiem o tym. Widzę, jak się we mnie wpatruje. Chce jakoś znowu połączyć mnie i twojego ojca. Albo on musi wrócić do domu, albo ja muszę tam popłynąć. Musimy się spotkać i wypełnić to, co ona subtelnie nazywa „naszym obowiązkiem”. Musimy spłodzić syna, by mógł odziedziczyć perły. Jak ona chce tego dokonać?

— Może ojciec przyjedzie?

Byłam podniecona na samą myśl o tym. Swoją rodzinę poznałam tutaj głównie dzięki galerii obrazów, teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam zobaczyć ojca.

— On nie pozwoli, by kierowały nim siostry. Nie przyjedzie. Nie odwiedzał domu od lat. Dlaczego miałby się zjawić akurat teraz? Ona chyba rozumie, że go tu nie ściągnie, i spróbuje teraz wysłać mnie do niego. To jest jej plan. Chce się mnie pozbyć.

— A ty... czy pojedziesz?

— Nienawidziłam tamtego miejsca. Jeszcze bardziej niż tego. Tutaj przynajmniej nie jestem tak daleko od Londynu i Tom wie, gdzie mnie szukać.

Zemdliło mnie z litości. Wciąż miała nadzieję, że Tom Mellor zjawi się z rolą! Niezdrowo wychudła... Jej skóra nie miała już tak jak dawniej zachwycającego perłowego połysku.

— Sugerowała ci wyjazd? — spytałam.

— Wspomniała o tym. Powinniśmy żyć, tak to nazwała, jak normalne małżeństwo. Ona rozpaczliwie pragnie chłopca Ashingtonów. Zapomina, że nawet gdybym spotkała się z twoim ojcem, w żaden sposób nie pomogłoby to jej planom. Można doprowadzić konia do wodopoju, ale nie można go zmusić do picia.

— No cóż, ty nie popłyniesz na Cejlon, a on nie wróci do Anglii, więc ciotka nic na to nie może poradzić.

— Kiedy tak mi się przygląda, myślę czasem, czy nie szuka jakiegoś sposobu, żebym zniknęła.

— Zniknęła?

— Z powierzchni ziemi.

— Znowu dramatyzujesz.

Spojrzała na mnie poważnie.

— Wcale nie, Siddons. Jestem przeszkodą, Marta nie lubi takich rzeczy. Jeśli już istnieją, taka kobieta jak ona szuka sposobu, by się ich pozbyć.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie podoba mi się ten dom. Czasami mam wrażenie, że zbliża się niebezpieczeństwo. To niesamowite. Nie czujesz tego?

— To te rozmowy o duchach. Margaret w galerii i cała ta reszta.

— To ludzkie myśli budzą takie uczucia. Jeśli ktoś coś knuje...

— Grałaś w zbyt wielu sztukach. Mieszają ci się z prawdziwym życiem.

— Jedno jest pewne — stwierdziła mama. — Gdybym się jakoś usunęła z drogi, twój ojciec znów mógłby się ożenić, prawda? Może wtedy miałby szczęście i spłodził syna.

— Nie opowiadaj takich głupstw. Nie usuniesz się z drogi, jak to określiłaś. Jesteś tutaj i tutaj zostaniesz. I jestem jeszcze ja, żeby się tobą opiekować.

Uśmiechnęła się z uczuciem.

— Kochana Siddons — powiedziała. — Zawsze mnie pocieszasz. Nie potrafię ci wytłumaczyć, jaka to dla mnie ulga, że jesteś tu ze mną w tym dziwnym, pełnym cieni domu.

Wstałam, nalałam sobie jeszcze herbaty. Za chwilę nastrój mamy zmieni się w płaczliwy... Ale ja również czułam niepokój. Coś było w tym domu, coś niesamowitego, coś dzwoniło na trwogę.

* * *

Zbliżały się Święta, więc zaproponowałam, by ustroić dom ostrokrzewem i bluszczem. Zastanawiałam się, jak będą wyglądać Święta w Grange. Wiedziałam już, że każde gospodarstwo dostaje od nas w prezencie dwa koce i gęś, i że ten zwyczaj pochodzi sprzed wielu lat. Dowiedziałam się też, że pójdziemy na pasterkę i na mszę w świąteczny poranek, że kolędnicy zjawiają się w wigilię i że rodzina pastora oraz doktor z żoną przychodzą do nas na kolację w pierwszy dzień Świąt. Obiad podawano w południe, by służba miała wieczór dla siebie. Zapewne od lat wszystkie Święta wyglądały tak samo.

Razem z Celią jeździłyśmy czasem na przejażdżki. Ciotki uprzejmie zezwoliły jej używać jednego z koni, co dowodziło, jakie mają do niej zaufanie. Zawsze lubiłam jeździć konno, a było przyjemniej wyruszać w towarzystwie. Obie byłyśmy zajęte świąteczną dekoracją kościoła i holu w domu, gdzie miało się odbyć przyjęcie dla dzieci. Zrobiło się bardzo zimno i dziewczęta Cannonów miały nadzieję na białe Święta. Opowiadały, że w zeszłym roku można było jeździć na łyżwach po sadzawce.

Mama robiła się coraz bardziej nerwowa i mówiła o dawnych Świętach. Gorzko wspominała te, kiedy Tom namówił ją, by zagrała w pantomimie. To był wielki błąd.

Śnieg nie spadł aż do Trzech Króli, ale wiał silny wschodni wiatr i ścisnął ostry mróz. Mama nigdy nie lubiła wietrznej zimy i znowu przeziębiona położyła się do łóżka. Przekonałyśmy ją z Celią, by nie wstawiała, na co zgodziła się bez oporu.

Po przeziębieniu wciąż kaszlała i trwało to przez cały styczeń. Spadł śnieg i całą okolicę okryła biel. Las stał się zaczarowanym miejscem, niczym z baśni braci Grimm. Wkładałam wysokie buty

i razem z Celią wychodziłam na długie spacery. Lubiliśmy zatrzymywać się w gospodzie „Gajowy”, by zjeść kawałek ciasta i wypić szklaneczkę jabłecznika.

Dobrze pamiętam ten dzień, kiedy Celia zaczęła mówić o mamie. Miała wtedy bardzo poważną minę.

— Wydaje mi się, że ona jest bardziej chora niż sądzisz. To kolejne przeziębienie... tak szybko po poprzednim.

— Rzeczywiście łatwo się przeziębia — przyznałam.

— Jest tutaj bardzo nieszczęśliwa — odparła cicho Celia.

— W Londynie też była nieszczęśliwa. Po tej tragedii wszystko szło źle. Gdyby mogła grać, doszłaby jakoś do siebie.

Celia skinęła głową.

— Nie sądzisz, że powinnyśmy wezwać lekarza?

— Ona sobie nie życzy. Poczekajmy trochę. To tylko przeziębienie.

— Ty wiesz najlepiej — westchnęła.

Gdy wracałyśmy do domu, była zamyślona bardziej niż zwykle.

Myślałam, że jest bardzo dobra i naprawdę martwi się o mamę. Byłam jej za to wdzięczna; wiedząc, że Celia dotrzyma mamie towarzystwa, sama często przed nią uciekałam. Uciekać, to może dziwne słowo, ale muszę wyznać, że miałam już trochę dość wiecznych wspomnień i tego, że nie potrafiła korzystać z dnia dzisiejszego. Swoim zachowaniem coraz bardziej wprowadzała mnie w depresję. Z ulgą stwierdziłam, że Celia lepiej umie ją pocieszyć. Szczerze ją podziwiała, a za podziwem mama tęskniła najbardziej. Mogłam wtedy z czystym sumieniem iść do biblioteki i czytać całymi godzinami. Czasami brałam książkę do galerii. Lubiałam odwiedzać to miejsce, przesiadywać wśród moich przodków. Oglądałam wtedy namalowane na portretach perły i układałam o nich historie. Te sesje w galerii sprawiały mi pewną satysfakcję. Byliśmy romantyczną rodziną, a już najbardziej ojciec i moja tajemnicza przyrodnia siostra, której nigdy nie widziałam.

Nadszedł ostatni dzień stycznia. Na długo zapamiętałam tę datę. Mama wciąż chorowała i za radą Celi zapropnowałam, by zbadał ją lekarz. Doktor Berryman, przyjaciel rodziny, który wraz z żoną często bywał naszym gościem, stwierdził lekkie zapalenie oskrzeli i przykazał jej leżeć w łóżku. Musiała pozbyć się uporczywego kaszlu.

— Proszę zostać w łóżku, dopóki nie minie kaszel. — Tak brzmiała jego rada. — A przede wszystkim wygrzać się. — Spojrzał na kominek, gdzie płonął rozpalony przez Ellen ogień, i z aprobatą kiwnął głową.

— Problem polega na tym, że ona się nie stara — powiedziała ciotka Marta. — Gdyby weszła na scenę, tańczyłaby z radości i zapomniała o chorobach.

Coś w tym na pewno było, ale najpierw musiałyby wyleczyć oskrzela.

Następnego dnia nadszedł list od ojca i ciotka Marta z powagą wezwała mnie do bawialni, by o tym powiadomić.

— To wielki zawód — stwierdziła. — Nie chce tu przyjechać. Byłoby bardzo pożądane, by to zrobił. Mogliby się pogodzić.

— Och, ciociu Marto. Po piętnastu latach nie można znów się połączyć tylko dlatego, że to pożądane.

— Jestem pewna, że dałoby się to zorganizować — odparła ciotka Marta, sugerując, że dla niej nie ma rzeczy niemożliwych. — Gdybyśmy tylko potrafiły sprowadzić go do domu.

— Nawet gdyby przyjechał, nic by to nie zmieniło — stwierdziłam.

Ciotka Marta zacisnęła wargi. To musi być dla niej irytujące, pomyślałam. Dokładnie wie, co należy zrobić, jednak jej starania zawodzą. A głównym motywem tych zabiegów były dwa sznury pereł! Śmieszne, do jakich absurdów może skłaniać ludzi duma.

— Wyraził radość, że jesteś tu pod naszą opieką — mówiła dalej. — Pisałam mu, że mógłby choć przyjechać i zobaczyć się z tobą.

— Naprawdę jest zadowolony?

— O tak. Wie, że zaopiekujemy się tobą odpowiednio. Napisał do ciebie. Mam tu jego list.

Chwyciłam go gorączkowo. Nie mogłam się doczekać, by go przeczytać, a jednak nie chciałam tego robić pod okiem ciotki Marty. Przyszło mi do głowy, że mogła otworzyć kopertę nad parą i przeczytać ten list. Przecież nie oddała mi go natychmiast. Ale nie miałam pewności. Niektórzy ludzie uznawali honor za cechę, której należy strzec w każdych okolicznościach. Jednak ludzie obsesyjnie dążący do celu mogą nagiąć kodeks honorowy, by posłużyć temu celowi. Zaczęły mi przychodzić do głowy dziwne myśli na temat ciotki Marty. Wzbudziła je z pewnością sięgająca niemal strachu niechęć mamy.

W końcu wymknęłam się jakoś i zabrałam list do pokoju. Gdy otwierałam kopertę, drżały mi ręce. List był napisany zamaszystym pismem, niezbyt wyraźnym i nie zawsze łatwym w czytaniu.

Moja kochana córko Sam!

To wielka przyjemność pisać wreszcie do ciebie. Wątpię, czy mnie pamiętasz, chociaż ja pamiętam cię bardzo dobrze. Byłem załamany, gdy mama cię stąd zabrała. A jednak takie rzeczy się zdarzają. Skoro nie mogła przyzwyczać się do życia tutaj, to może miała rację wyjeżdżając. Dowiedziałem się od sióstr, że jesteś teraz wraz z nimi, tak jak i twoja matka. Jestem pewien, że w Ashington Grange będziesz szczęśliwa. W końcu to rodzinny dom. Ja tutaj uprawiam herbatę. To praca, która wymaga ciągłego nadzoru. Dlatego nie mogę się ruszyć. Twoje ciotki chcą, bym wrócił, ale to teraz niemożliwe. Może kiedyś ty zjawisz się, by złożyć mi wizytę. Tymczasem czekam na wiadomości od ciebie, Saro. Napisz, bym wiedział, że interesujesz się swoim ojcem.

Ralph Ashington

Byłam rozgorączkowana. Nareszcie miałam ojca. Napiszę do niego i dzięki listom poznamy się lepiej. I będę mogła zapytać o siostrę.

Gdy siedziałam tak z listem w ręku, ktoś zapukał do drzwi i weszła ciotka Marta. Przyglądała mi się z uwagą.

— I co? — spytała.

Poczułam rumieniec na policzkach. Nie miałam zamiaru pokazywać jej listu ojca. Zresztą i tak ciągle podejrzewałam, że już go czytała.

— W końcu do ciebie napisał — stwierdziła. — Mógł to zrobić wcześniej.

— To przyjacielski list.

Roześmiała się lekceważąco.

— Należało oczekiwać, że ojciec będzie przyjazny wobec córki. Powinien wrócić do domu. Często mu to powtarzałam.

— Ma plantację.

— Powinien prowadzić normalne życie.

— Ciociu Marto, martwię się o mamę.

— Moim zdaniem nie masz się o co martwić. Twoja matka jest kobietą, której odpowiada zły stan zdrowia.

— Chyba nie masz racji. Powinnaś ją widzieć, kiedy jeszcze pracowała. Zawsze była taka pełna życia. Na pewno nie chciała chorować.

— Właśnie to miałam na myśli. Wtedy całe zainteresowanie było skupione na niej. Tutaj próbuje przyciągnąć uwagę i czyni to, zmuszając wszystkich, by przy niej tańczyli.

— Bardzo mocno kaszle.

— Świeże powietrze dobrze jej zrobi. To nie do pomyślenia, by Ralph nie wrócił do domu.

Gdy zacisnęła mocno wargi, przypominała jedną ze słynnych kobiet z przeszłości: Boadiceę pędzącą przeciwko Rzymianom, Elżbietę w Tilbury... jedną z tych, które mówią: „Tak ma być!” i sprawiają, by się stało.

— Może pewnego dnia wróci. Pokręciła głową.

— Znam go dobrze. Wyczytałam coś w jego listach. On nie chce wracać. To byłoby zbyt skomplikowane. Spotkałby swoją matkę i musiałby podjąć jakąś decyzję. A twój ojciec nie znosił podejmowania decyzji. Zawsze płynął z prądem. — Wydawała się zagniewana. — Wszystko płynie, dopóki nie jest za późno.

— Za późno na co, ciociu? — zapytałam.

Nie odpowiedziała, tylko niecierpliwie potrząsnęła głową.

— Uważam, że mama jest bardziej chora niż przypuszczamy — oznajmiłam poważnie. — Bardzo się zmieniała.

Wówczas powiedziała coś dziwnego, co później uznałam za wskazówkę, w jakim kierunku szło jej myślenie.

— Trzeszczą drzwi trzeszczą przez długi czas — powiedziała.

Przyszło mi wtedy do głowy, że jej zdaniem, gdyby mama umarła, ojciec mógłby ożenić się po raz drugi i mieć syna.

Stłumiłam tę myśl, gdy tylko napłynęła. Nie mogłam wyobrazić sobie mamy... martwej.

Skok tygryscy

* * *

Wieczorem przy kolacji ciotki, Celia i ja rozmawiałyśmy o pogodzie, która raczej się nie poprawiała, i jaki będzie miało to wpływ na wszystko. Mówiłyśmy o nowym wikarym, który przyjeżdżał, by pomóc pastorowi. Na myśl o tym ciotka Marta zabawnie marszczyła nos.

— Śmiem twierdzić, że dziewczęta Cannonów są podekscytowane — zauważyła. — Kto wie, może jednej z nich uda się go schwytać. Wikary. Niewielka to zdobycz, ale na cóż mogą liczyć, biedactwa.

— Współzawodnictwo powinno być dość ciekawe — wtrąciła Mabel.

Celia milczała, spuszczać wzrok. Zastanawiałam się, czy myślała kiedyś o małżeństwie i jak by zareagowała, gdyby pojawiła się taka możliwość.

Od czasu do czasu opowiadała szczerze o sobie. Słyszałam o tym domu na wsi, niewielkiej posiadłości podobnej do Grange, o ojcu, któremu — jak zrozumiałam — zdarzył się wypadek na polowaniu, o matce, która zmarła wkrótce potem,

1 o kuzynce, która odziedziczyła posiadłość. Chociaż o niej mówiła niewiele. Zapewne był to bolesny temat. Wspomniała też, że guwernantka przywiozła ją kiedyś do Londynu. Wtedy Celia zobaczyła mamę w teatrze. O guwernantce mówiła z sympatią. Była chyba jej największą przyjaciółką. Nie mogłam jej zbyt często wypytywać, musiałam czekać, aż sama opowie więcej.

Nagle ciotka Marta spytała:

— A jak tam nasza chora?

Przez ostatnie dni zaczęła określać mamę mianem „naszej chorej”.

— Czuje się trochę lepiej — odparłam.

— Lecz najwyraźniej nie tak dobrze, by zjeść z nami kolację — zauważyła Mabel.

— Och nie. Wciąż jest słaba. Ostatni atak bardzo ją wyczerpał.

— W takim razie trzeba zanieść jej z kolacją kieliszek mojego wina z czarnego bzu — oświadczyła ciotka Marta. — Kto zabierze tacę?

— Ja — odparła Celia. — Chyba że ty chcesz, Saro.

— Lubi, kiedy ty tam przychodzisz i podczas posiłku rozmawiasz z nią o teatrze — stwierdziłam.

— Wino w tym roku udało się bardzo dobrze — wtrąciła Mabel. — Mocniejsze niż zwykle. Zawsze jestem po nim senna.

— Z pewnością dobrze zrobi naszej chorej — dodała ciotka Marta.

Celia zaniósła mamie tacę, a ja zajrzałam tam, kiedy jadła. Porozmawiałyśmy chwilę. Nie mówiłam jej jeszcze, że dostałam wiadomość od ojca... bałam się, że może ją to zaniepokoić.

Wkrótce zasnęła, więc zabrałyśmy tacę i wyszłyśmy.

Rankiem nie czuła się tak dobrze. Kaszel się pogorszył i dostała lekkiej gorączki. Przyjechał lekarz i powtórzył, że musimy trzymać ją w cieple. Powinna spać wysoko, co pomoże jej w oddychaniu. Przepisał jakąś miksturę na kaszel. Celia odebrała leki i po południu stan mamy wyraźnie się poprawił. Tego dnia długo spała, ale następnego ranka wyraźnie osłabła, a gorączka wzrosła.

Celia zaczęła się martwić i uznała, że nie powinnyśmy zostawiać mamy samej, więc dyżurowałyśmy na zmianę.

Byłam z nią sama, gdy nagle otworzyła oczy i spojrzała na mnie niezbyt przytomnie.

— Czy to ty, Siddons? — spytała. — Boję się.

— Wszystko w porządku — uspokoiłam ją. — Jestem przy tobie. Nie masz się czego bać.

— Jest coś... lub ktoś... W nocy była tu... Widziałam. To nie jest naturalne. Otworzyłam oczy... Nie było całkiem ciemno. Trochę świecił księżyc i widziałam. Stała przy łóżku. I patrzyła na mnie... taka szara figura. A potem odeszła... zniknęła. I było tak zimno, zimno...

— To tylko sen — odparłam.

Kiwnęła głową.

— Tak, sen. Zupełnie jak w tej scenie z Widma we wschodnim skrzydle. Pamiętasz, Siddons, grałam panią tego domu, a widmo było naprawdę kimś, kto chciał mnie zamordować. Odgarnęłam jej włosy znad czoła.

— Śniłaś tylko o przeszłości — powiedziałam. — Nie ma tu żadnych widm. Mój pokój jest niedaleko, a Celii zaraz obok.

— Celia to dobra dziewczyna — wyszeptała. — Tak się cieszę, że jest blisko. Wiesz, Siddons, nie lubię Marty. Boję się jej. Mam przeczucie, że chce się mnie pozbyć.

— To przewrażliwienie. Celia przyniesie ci gorący kleik i jedna z nas zostanie przy tobie. Musisz tylko wypoczywać i wygrzać się, a na pewno szybko wyzdrowiejesz.

Zjadła kleik i wkrótce zasnęła. Rankiem przyjechał doktor. Opowiedziałam mu o tym śnie, czy cokolwiek to było.

— To z gorączki — stwierdził. — Ma zbyt wysoką temperaturę. Musi leżeć w cieple i dobrze się odżywiać. Wróci do zdrowia za jakiś tydzień. Zbyt często miewała przeziębienia, a to jest wyjątkowo złośliwe.

Po południu Celia pojechała po nowe lekarstwo, a kiedy wróciła, powiedziała, że doktor kazał dać je mamie tuż przed snem. Pomoże jej zasnąć, a mama właśnie snu potrzebowała najbardziej.

Niepokoiliłam się o mamę. Coś się w niej zmieniło, w oczach pojawił się jakiś błysk szaleństwa... strachu. Naprawdę się bała. Te zwidy, ta szara postać w pokoju, mogły być tworem wyobraźni, ale to strach je tam umieścił. Służba opowiadała o duchach, jak zwykle w starych

domach, i to musiało zapaść jej w pamięć. Ale gdzieś tam istniał prawdziwy strach. Kiedy myślałam, jaka była niegdyś wesoła, czułam się bardzo przybita i niespokojna.

Tej nocy nie mogłam spać. Żałowałam, że pokój mamy nie jest na moim piętrze. Była tam naturalnie Celia, która przyrzekła jej pilnować. To pocieszające. Obiecałam sobie, że jeśli mamie się nie poprawi, będę z nią spać w pokoju.

Leżałam z otwartymi oczami. Księżyc świecił dość jasno, więc widziałam zarysy mebli i myślałam o przeszłości, o emocjach teatralnego życia. O tym, jak Toby zabrał mnie do Café Royal i jak spotkaliśmy tam mamę z któryś z jej niezliczonych adoratorów. Jakże się wtedy różniła od tej biednej, zrozpaczonej kobiety w łóżku na górze. Kto by uwierzył, że może się tak zmienić. Wszystko się zmieniło! Everard, elegancki, spokojny, przystojny Everard, zginął z własnej ręki. Moja matka, piękna, sławna aktorka, stała się przerażoną kobietą, zależną od krewnych męża. Okrutne zmiany! I dla mnie też wiele się zmieniło. Oto żyłam w domu moich przodków, a ojciec dzięki temu listowi stał się dla mnie kimś rzeczywistym. Będziemy do siebie pisać i poznamy się lepiej. Może kiedyś go zobaczę. Albo on tu przyjedzie, albo ja popłynę na tę plantację herbaty...

Jakiś dźwięk z góry! Co to było? A może to tylko wyobraźnia? W starych domach podłoga głośno trzeszczy. Usiadłam w łóżku i nasłuchiwałam. Cisza. Słyszałam bicie własnego serca. Śpij, powiedziałam sobie z przyganą. Twoja wyobraźnia znów działa.

Leżałam nieruchomo i nasłuchiwałam. Dźwięk, tak, jakiś nieokreślony dźwięk, a gdzieś tam na górze spała mama.

Wstałam z łóżka, włożyłam kapcie i szlafrok. Otworzyłam drzwi. Czy to naprawdę odgłos skradających się kroków? Spojrzałam na zegar przy łóżku. Było dość widno, by dostrzec wskazówki: wpół do trzeciej. Musiałam się zdrzemnąć i nawet tego nie zauważyłam.

Cicho zamknęłam drzwi i pobiegłam na górę. Nie zabrałam świecy, ale było na tyle jasno, by widzieć drogę. Zresztą dobrze ją znałam. Wyszedłam na korytarz i wtedy zdawało mi się, że widzę, jak zamykają się drzwi pracowni. Drzwi pracowni! Pamiętałam, jak Ellen upuściła wazę z kwiatami. Służba bała się pracowni prawie tak bardzo jak galerii.

Ruszyłam do pokoju mamy. Kiedy otworzyłam drzwi, podmuch zimnego powietrza uderzył mnie w twarz tak mocno, że wstrzymałam oddech. Okno stało otworem, a wiatr ciał jak nóż; ogień zgasł zupełnie i słyszałam w kominku kapanie wody.

Mama leżała w łóżku, obok odrzuconej kołdry. Podeszłam do niej; była lodowato zimna. Podbiegłam do okna i zamknęłam je. Okryłam mamę. Wciąż miała lodowato zimną skórę. Otworzyła oczy i spytała:

— Gdzie ja jestem?

— Już wszystko dobrze — odparłam. — Jestem przy tobie.

Ktoś stał za drzwiami. Podeszłam wolno, czując jak chłód obejmuje moje ciało. Zmartwiałam w ułamku sekundy. Nie potrafiłam wymyślić, jaka zgroza czeka na mnie za progiem.

Westchnęłam z ulgą. Na progu stała Celia, w kapciach i szlafroku pospiesznie narzuconym na ramiona.

— Saro! — krzyknęła zdumiona.

— Spójrz! — zawołałam. — Tak ją znalazłam.

Zadrzała i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Okno było otwarte na oścież — oświadczyłam. — Kołdra odrzucona. Myślę, że ktoś nawet wygasił ogień.

Potrafiła tylko patrzeć nieruchomo.

— Musimy coś zrobić — powiedziała w końcu. — Przykryj ją dobrze. Weź ten futrzany kilim. Potrzebne będą butelki z gorącą wodą. Zejdę do kuchni i przyniosę. Rozpal ogień. Och, Saro, musimy ją rozgrzać... i to szybko.

Podbiegła do komody na korytarzu, gdzie trzymano koce. Wręczyła mi je, a ja przykryłam mamę. Trzymałam ją w ramionach, a kiedy rozgrzała się ciepłem mojego ciała, przestała drzeć. Podeszłam do kominka i próbowałam rozdmuchać ogień, ale wygasł zupełnie. Narzuciłam więc szybko drewna i węgla i zapaliłam na nowo. Wróciła Celia z butelkami gorącej wody; ułożyła je w łóżku.

Po półgodzinie, gdy temperatura w pokoju wzrosła, zdjęliśmy z mamy futrzany kilim. Mruczała coś niespokojnie.

Próbowałam zrozumieć, co mówi.

— Zimno — usłyszałam. — Zimne jak litość... zimne jak śmierć...

Był to chyba wers z jakiejś sztuki.

Twarz Celi stężała od zimna, moja z pewnością też.

— Nie czuję rąk — powiedziałam.

— Ani ja.

— Myślisz, że teraz jest jej ciepło?

— Śpi spokojnie.

— Celio... jak to się mogło stać?

— Sama się zastanawiam. Może zaparzę herbatę na kuchence? My też musimy się rozgrzać.

Pomysł był dobry, gdyż i tak żadna z nas by nie zasnęła. Celia przygotowała herbatę. Owinęłyśmy się w koce i wyszłyśmy do pracowni.

— Celio — stwierdziłam. — Ktoś zrobił to specjalnie. Dlaczego?

Nie powiedziałam, że to ciotka Marta, chociaż właśnie o niej myślałam. Ciotka Marta chciała usunąć mamę z drogi. Czy zabiła też Margaret, siostrę, która odebrała jej ukochanego? Mogłam sobie wyobrazić, jak targuje się z Bogiem. Lepiej, by ta bezużyteczna kobieta umarła, a Ralph ożenił się z inną i miał dziedzica. A w przypadku Margaret? Będę dla niego lepszą żoną niż ona. To w słusznej sprawie.

Nie, to nie do wiary. Ciotka Marta, co niedziela zasiadająca w rodowej ławce i modląca się głębokim męskim głosem, pięknie śpiewająca hymny... „Naprzód, żołnierze Chrystusa”. Tak, ciotka Marta prowadziła sprawiedliwą wojnę dla dobra ludzkości, a szczególnie dla dobra Ashingtonów. Musi być szalona.

Tak, tej nocy w domu zapanowało szaleństwo.

— Dzięki Bogu, że weszłaś na górę — stwierdziła Celia. — Co cię sprowadziło?

— Nie mogłam zasnąć. Może jakiś instynkt. A potem miałam wrażenie, że słyszę jakieś odgłosy. Więc przyszłam sprawdzić.

— Dzięki Bogu — powtórzyła cicho Celia. — Gdyby tak została... przy otwartym oknie i w lodowatym wietrze... mogłaby tego nie przeżyć.

— To morderstwo! — zawołałam. — To tak, jakby wziąć pistolet i zastrzelić kogoś lub pchnąć go nożem w serce.

— Morderstwo! — Celia odstawiła filiżankę i spojrzała na mnie. — Saro, o co ci chodzi?

— Ktoś otworzył to okno... ktoś zgasił ogień... ktoś ją odkrył.

— Ktoś... tak — szepnęła Celia.

— Kiedy weszłam na górę, zobaczyłam, jak zamykają się drzwi od pracowni. Ktokolwiek to był, tu się schował... a potem się... wysliznął. Powinnam zajrzeć i sprawdzić. Ale przede wszystkim myślałam o mamie. A kiedy zrozumiałam, co się stało...

Celia spoglądała z niedowierzaniem.

— Saro, ale co... dlaczego... Kto mógłby...?

— Moja ciotka — powiedziałam niemal szeptem.

— Twoja ciotka! — Głos Celii zabrzmiał piskliwie. — Och nie, Saro, nie mówisz poważnie. To twoja matka, oczywiście. Sama to zrobiła.

— Ale dlaczego... dlaczego...? Drżała z zimna.

— To gorączka. Wyobraź sobie, jak się budzi. Jest rozpalona. Odrzuca kołdrę... potem otwiera okno, może gasi ogień.

— Powiedziała mi, że widziała w pokoju postać... kogoś, kto zakradł się i patrzył na nią. Była przerażona, Celio, rozpaczliwie przestraszona.

— Przyśniło jej się. Miała przywidzenia. Była wpół śpiąca, wpół przebudzona i miała gorączkę.

Prawie mnie przekonała. Oczywiście ciotka Marta nie zakradałaby się do pokoju, by otworzyć okno, a gdy nadeszłam, nie ukrywałaby się w pracowni. A dlaczego nie? Przecież w ten sposób śmierć mamy wydałaby się czymś naturalnym. Nie, to przecież nonsens. Wiedziałam, że wszyscy tak powiedzą. Teoria Celii była logiczna.

Mówiła dalej o chorobie mamy. Grała wiele ról i często wyobrażała sobie, że naprawdę jest postacią ze sztuki. Teatr miała we krwi i w gorączce mogła zachowywać się dziwnie. Może nie pierwszy raz zrobiła coś takiego.

— Od dzisiaj będę spać w jej pokoju — oświadczyłam.

— Jedna z nas powinna — odparła Celia.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

— Jesteś naszą przyjaciółką, Celio.

— Jestem ci wdzięczna. Nie zapominam, że pomogłaś mi w trudnej chwili. Możesz być pewna, że zrobię wszystko, by pomóc twojej mamie i tobie.

Nic jednak nie mogła zrobić. Tej nocy rozluźniły się więzy mamy z życiem. Wystąpiło zapalenie płuc, a że była już słaba, nie pozostało jej wiele nadziei. Zmarła po kilku dniach. Złożono ją w części cmentarza zarezerwowanej dla Ashingtonów. Jej grób sąsiedował z grobem Margaret.

* * *

Bez mamy dom stał się smutny. Wyrzucałam sobie, że ganiłam ją za ciągle powroty do wspomnień i ubolewanie nad przyszłością. Teraz pamiętałam tylko słynną aktorkę, której życie było wesołe i pełne sławy.

Zmiana! Najpierw zdarza się jedna rzecz, potem następna i w krótkim czasie wszystko wygląda inaczej. Nie miałam już nikogo, kto łączyłby mnie z przeszłością. Meg i Janet przysłały nam kartkę na poprzednie święta. Pisały, że ich zajazd dobrze się rozwija.

— Chcą, żebyśmy wiedziały, jak dobrze sobie bez nas radzą — stwierdziła wtedy mama. — Biedna Meg, jestem pewna, że tęskni za teatrem.

Nie wierzyłam, by znowu się odezwały. Ogarnęło mnie dziwne poczucie samotności. Najbardziej tęskniłam za Tobym. Ale byłam jeszcze młoda — w listopadzie miałam skończyć dziewiętnaście lat — i przede mną otwierała się przyszłość.

Ciotki nawet nie udawały żałoby po mamie. Zrobiły wszystko, co uznały za właściwe w tych okolicznościach, i to kończyło sprawę. Muszę stwierdzić, że ciotka Marta miała minę generała, który wygrał pierwszą kampanię i szykuje się do następnej. Gdy jednak z nią przebywałam, moje podejrzenia wydawały mi się bezsensowne, a wersja Celii stawała się bardziej prawdopodobna.

Z Celią spacerowałyśmy często i jeździłyśmy konno. Uczestniczyłyśmy w nabożeństwach, odbywałyśmy lekcje i nawet zaczęłam pojmować arytmetykę — raczej ze względu na nią niż dlatego, że mnie to interesowało. Chciałam, by sądziła, że jest użyteczna. Ale nawet dla niej nie potrafiłam się zmusić do haftu. Poznałyśmy Johna Bonningtona, nowego wikarego, którego, jak surowo oceniła to ciotka Marta, dziewczęta Cannonów pożerały żywcem. Dekorowałyśmy kościół

na Wielkanoc i uczestniczyłyśmy w trzygodzinnej mszy w Wielki Piątek. Pomagałyśmy w organizowaniu przyjęcia dobroczynnego, które wydano w Wielkanocny Poniedziałek. Po raz kolejny Celia wykazała, jak dobrze potrafi pracować.

Mijały tygodnie i coraz bardziej wrastała w naszą rodzinę. Ciotka Marta bez przerwy opowiadała jej o chwalebnej historii Ashingtonów, więc znała ją tak dobrze jak inni krewni. Zaświtała mi w głowie pewna myśl. Celia była podatna, wykazywała wszystkie cechy, które tak odpowiadały ciotce Marcie, i była wystarczająco młoda, by mieć dzieci. Czyżby ciotka Marta szkoliła ją, przygotowując potencjalną żonę dla mojego ojca? Co za pomysł! Wyobrażałam sobie rzeczy absurdalne.

A potem odniosłam wrażenie, że Celia oddala się ode mnie. Któregoś dnia powiedziała:

— Właściwie nie ma powodu, żebym tu zostawała. Nie jestem dość wykształcona, by cię dalej uczyć. Chyba powinnam wyjechać.

— Gdzie pojedziesz? — zapytałam.

— Może znajdę innego pracodawcę.

— Chcemy, żebyś została z nami, Celio.

Uśmiechnęła się zadowolona i więcej o tym nie mówiła.

Co niedziela kładłyśmy kwiaty na grobie mamy. Celia robiła to równie chętnie jak ja, a właściwie ona to zaproponowała.

Znów dostałam list od ojca.

Obiecałaś pisać do mnie. Zrób to, proszę. Wiem, że Twoja mama nie życzyła sobie, byśmy się kontaktowali. Ale teraz odeszła i rodzina powinna się połączyć. Mam nadzieję, że już wkrótce Cię zobaczę. Może przyjadę do Anglii, a może Ty odwiedzisz mnie tutaj. To piękny kraj. Stał się moim domem. Jego starożytna nazwa, w sanskrycie, brzmi Sri Lanka, co oznacza Krainę Obfitości. Rzeczywiście nią jest. Mam tu na plantacji ładny dom ze sporym ogrodem. Wiesz dobrze, że Anglicy, gdziekolwiek trafiają, zawsze zakładają ogrody. Może pewnego dnia będę mógł Ci go pokazać. Proszę, napisz do mnie, Saro.

Ralph Ashington

PS Powinnaś poznać też swoją siostrę, Clytie. Ciesz się z góry na spotkanie z Tobą.

Byłam tak zachwycona tym listem, że natychmiast odpisałam. Nawiązaliśmy z ojcem regularną korespondencję.

Wiele dowiedziałam się o Cejlonie. Oglądałam go na mapach: wyspa w kształcie gruszki, położona u wybrzeży Indii. Znalazłam miejsce, gdzie leżała plantacja — gdzieś pomiędzy stolicą, Kolombo, i Kandy. Wyobrażałam ją sobie na podstawie opisu ojca. Pałace słońce i obfite opady. Ojciec twierdził, że trzy razy wyższe niż w Londynie. „Dlatego tu jesteśmy”, pisał, „dokładnie na drodze dwóch monsunów. Deszcz daje nam herbatę... deszcz i gorące słońce”.

Widziałam to wszystko oczami wyobraźni.

Orzechy kokosowe wzdłuż wybrzeża, kauczuk na górskich grzbietach, a na wyżynach najważniejsza ze wszystkich herbata. To krew tej ziemi, Saro. Przyniosła pracę i bogactwo, a kraj potrzebował tego po kawowej katastrofie, kiedy choroba liści zniszczyła plony i nie dała się pokonać. Oczywiście z herbatą też mamy problemy, ale dzięki Bogu, na razie sobie z nimi radzimy. Są też inne gałęzie gospodarki. Na przykład muszle perłowe. Niektóre z najpiękniejszych pereł świata wyłowiono z naszych wód. Nie wątpię, że słyszałaś o Perłach Ashingtonów! Ciotki z pewnością Ci o nich opowiedziały. Pochodzą z Cejlonu. Mamy też szmaragdy i szafiry, i one także należą do najpiękniejszych w świecie. Ale dobrobyt kraju zależy od herbaty...

Albo ojciec tak lubił pisać listy, albo był zachwycony, że wreszcie nawiązał kontakt z córką. Naprawdę malował przede mną ten kraj, pisząc o nim z takim entuzjazmem. Wyobrażałam sobie przybrzeżne równiny, plaże z palmami, centralny masyw górski i jego kulminację, wspaniałą Szczyt Adama, dokąd w przeszłości wędrowali pielgrzymi, by dopełnić religijnych rytuałów.

Właśnie te góry błogosławią ludzi, gdyż one przyniosły Cejlonowi żyzną ziemię. Z gór spływają w dół strumienie, nawadniając grunt, a deszcz daje nam bezcenną wodę. Cała urodzajna gleba znajduje się w zachodniej stronie wyspy, ponieważ ona leży na drodze deszczów. W pozostałej części kraju, na nizinach północy i wschodu, bezlitosne słońce świeci z pełną siłą, podczas gdy my rozkoszujemy się obfitym deszczem. To dziwne, prawda, szczególnie w tak niewielkim kraju, zaledwie czterysta trzydzieści kilometrów długim i dwieście dwadzieścia szerokim. Jak widzisz, mniejszym niż Anglia. Ale, moje kochane dziecko, wszystkie te wiadomości możesz znaleźć w podręcznikach geografii. Piszę po to, by skłonić Cię do odwiedzenia Cejlonu...

Z jego listów dowiedziałam się, że moja siostra Clytie jest mężatką i matką trzyletniego chłopca. A że była tylko rok starsza ode mnie, musiała bardzo młodo wyjść za mąż. Ojciec wyjaśnił, że poślubiła jego zarządcę, Setha Blandforda, i że chłopiec ma na imię Ralph, po swoim dziadku.

— Wyobraź sobie — powiedziałam do Celi — jestem ciotką. To zadziwiające, jak rodzina się wokół rozrasta.

Był maj. Jechałyśmy konno jedną z malowniczych leśnych ścieżek. Od czasu do czasu trafiałyśmy na kępki dzwonek, jakby tańczących na wietrze, który kołysał nimi, zmieniając poblask tego głębokiego, pięknego błękitu. Pąki na drzewach zaczynały się rozwijać. Odezwała się nawet kukułka, jakby chciała przypomnieć, że to już wiosna.

— Saro — powiedziała nagle Celia — nie mogę tu dłużej zostać. To niemoralne. Nie zarabiam na swoje utrzymanie. Wczoraj próbowałam wytłumaczyć to twojej ciotce, ale nie chciała słuchać.

— Nie martw się. Dokąd mogłabyś pójść?

Zawahała się. Potem powiedziała:

— Istnieje pewna szansa, że odziedziczę trochę pieniędzy. Niewiele, oczywiście, ale dosyć, żebym mogła żyć wygodnie.

— To cudownie. Kiedy to nastąpi, będziesz chciała wyjechać.

— Chyba was wykorzystałam. Kiedy potrzebowałam domu...

— Co za nonsens. Przyjechałaś tu pracować. I wszyscy byli zadowoleni. Och, Celio, będzie nam ciebie brakowało.

— Twoja ciotka właściwie zabroniła mi o tym wspominać. Zupełnie jakby miała wobec mnie jakieś plany.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Czyżby myślała o tym samym co ja?

— Ciotka Marta wobec wszystkich ma plany — odparłam. — Kłopot z nią polega na tym, iż sądzi, że może zorganizować każdemu życie lepiej niż on sam... nawet jeżeli chodzi o sprawy osobiste.

Zwróciłam jej uwagę na dzwoneki. Powiedziałam, że chciałabym narwać bukiet, ale wtedy szybko zwiędną, a tutaj wyglądają najpiękniej.

Zgodziła się ze mną. Przez chwilę jechałyśmy w milczeniu. Zastanawiałam się, jak to będzie, kiedy wyjedzie. Może popłynę na Cejlon, na spotkanie z ojcem... Nie mogłam powstrzymać się od rozmowy o nim. Powtórzyłam Celi wszystko, co pisał w swoich listach. Słuchała pilnie.

Kiedy wróciłyśmy do domu, czekał na mnie kolejny list. Natychmiast poszłam do swojego pokoju, by go przeczytać.

Ojciec był zachwycony, że tak zainteresowałam się plantacją. Ciotki chciały, żebym dokończyła edukację, zanim do niego wyjadę. „Ponaglają mnie, bym wrócił do domu i może rzeczywiście to zrobię”. Byłam podekscytowana na myśl o tym.

Rzecz da się zorganizować. Seth sobie poradzi, a Clinton Shaw zawsze pomoże w trudnych chwilach. Na pewno już wspominałem o Clintonie. Jest właścicielem sąsiedniej plantacji. To niewielki kraj, a żyzna gleba leży tylko w jednym regionie, więc wykorzystujemy ją jak najlepiej, pomagając sobie nawzajem. Clinton to ciekawa postać. Niektórzy ludzie nazywają go Królem Kandy. To tacy jak on naprawdę napędzają gospodarkę. Jest, naturalnie, bezlitosny. Niektórzy go krytykują, ale obaj dobrze się rozumiemy. Naprawdę myślę o tym, by na jakiś czas wrócić do domu. Powtarzają mi tutaj, że powinienem... iść do lekarza. Ale głównym celem będzie spotkanie z córką. Przypuszczam, że bardzo się zmieniłaś, odkąd Cię widziałem, gdy miałaś dwa lata!

Byłam rozgorączkowana. Chciałam z kimś o tym porozmawiać i naturalnie poszłam do Celi.

Nie znalazłam jej w domu, więc ruszyłam wzdłuż podjazdu i za bramę. Zatrzymałam się przy wejściu na cmentarz i spojrzałam w głąb alei. Zobaczyłam Celię klęczącą przy grobie mojej mamy.

Podeszłam do niej szybko i cicho. Spojrzała na mnie zaskoczona. Miała w ręku małe nożyczki i właśnie ucięła pęd z krzaczka, który zasadziła.

— Co to jest? — spytałam.

Zwróciła na mnie swe oczy bez wyrazu.

— Nie wiesz? Zupełnie nie znasz się na roślinach, Saro. Może właśnie tego powinnam cię nauczyć. To rozmaryn.

— „Rozmaryn — zacytowałam — to ku pamięci”.

Uśmiechnęła się.

— Jak zwykle lepiej znasz się na poezji niż na botanice.

Wsunęła nożyczki do kieszeni i wstała, ściskając w ręku pęd rozmarynu.

Wróciłyśmy razem do domu.

— Bardzo lubiłaś mamę — zauważyłam.

— Była dla mnie kimś bardzo ważnym — odparła. — Nigdy jej nie zapomnę.

* * *

Następnego ranka czekała nas niespodzianka.

Celia nie zjawiła się na śniadaniu. Śniadanie było jedynym posiłkiem, który nie miał ustalonej godziny. Między siódmą trzydzieści a dziewiątą każdy sam brał sobie porcję z kuchni. Ciotki zwykle jadały razem o ósmej. Przyzwyczajiliśmy się z Celią przychodzić pół godziny wcześniej. Byłam pewna, że Celia nie naruszyłaby tej umowy, chyba że zdarzyłoby się coś niezwykłego. Zjadłam grzanekę, wypiłam odrobinę kawy i zajrzałam do jej pokoju.

Łóżko było równo zasłane. Zrozumiałam, że nie spała, a jej walizka zniknęła. Otworzyłam drzwi szafy — pusta. Wtedy spostrzegłam listy na stoliku. Jeden był zaadresowany do mnie, drugi do ciotki Marty.

Rozciąłam kopertę.

Kochana Saro,

Wyjeżdżam. Uznałam, że najlepiej zrobić to w ten sposób, gdyż wiem, że wszystkie próbowalibyście namówić mnie do pozostania. Tego zrobić nie mogę. Byłyście dla mnie takie dobre, gdy potrzebowałam pomocy. Ten okres minął, więc wyjeżdżam. Dziękuję za Twoją cierpliwość. Kiedy będę miała stały adres, prześlę Ci go, gdybyś chciała się ze mną skontaktować.
Kochająca Cię Celia

Nie mogłam w to uwierzyć. Tak po prostu zniknąć! Ale dlaczego? Wiedziałam, że ciotka Marta upiera się, by Celia została, ale nawet ciotka Marta nie mogłaby jej do tego zmusić, gdyby Celia naprawdę nie chciała. Chociaż... była dziewczyną, która nie lubi odmawiać ludziom tego, na czym im zależy. Trudno byłoby jej powiedzieć „nie”, więc zdecydowała się na takie rozwiązanie.

Przypomniałam sobie, jak klęczała przy grobie mamy. Naprawdę troszczyła się o nią i w ostatnich dniach podnosiła ją na duchu, przynosząc słowa tamtego podziwu, na którym tak mamie zależało. Oczywiście to dla niej zgodziła się zostać, a teraz, po jej śmierci, nie miała już żadnych powodów.

* * *

Ciotka Marta była wstrząśnięta. Nigdy nie widziałam jej tak wzburzonej. To jasne, że miała wobec Celi pewne plany, zwłaszcza teraz, gdy zaistniała możliwość przyjazdu ojca.

— I nie zostawiła adresu... — wtrąciła ciotka Mabel.

— Nie możemy się z nią skontaktować... nawet gdybyśmy chcieli. A myślałam, że to rozsądna dziewczyna!

Ciotka Marta nie znosiła, kiedy coś burzyło jej plany. Faktycznie rozzłościła się na Celię, po raz pierwszy od dnia, gdy ją poznała.

— Dla niej to była praca, ciociu Marto — próbowałam wyjaśnić. — Sposób zarabiania na życie. A kiedy otrzymała jakieś pieniądze, nie musiała już dłużej pracować.

— Traktowałyśmy ją jak członka rodziny. Byłyśmy gotowe...

Odwrociłam się, by ukryć uśmiech. Więc naprawdę planowała wydać Celię za mojego ojca! Czy jej intrygi nie mają końca? A potem przypomniałam sobie tę noc w pokoju mamy, otwarte okno i zgaszony ogień.

Nie, powiedziałam sobie. Niemożliwe!

* * *

To było niezwykle lato. Tęskniłam za Celią i coraz częściej przebywałam w towarzystwie dziewcząt Cannonów, które były niestrudzone w pracy parafialnej. Wikary nie został jeszcze schwytany, ale — jak mówiła ciotka Marta — dni jego wolności były policzone. I dodawała, że nie ma pojęcia, jak on zdoła utrzymać żonę.

Zauważyłam, że to już będzie jego sprawa i wybranej panny Cannon.

— Młoda Effie nie jest taka zła — powiedziała w zadumie.

Przyszło mi do głowy, że Effie mogłaby zająć pozycję, która po ucieczce Celi pozostała nie obsadzona, albowiem ojciec stanowczo wracał do domu.

Zawiadomił w liście, że zjawi się w październiku. Do tego czasu minie już letni monsun, który trwa od maja do września, i zakończą się niezbędne prace na plantacji. Może przyplynie z sąsiadem, Clintonem Shawem, który, podobnie jak ojciec, miał do załatwienia jakieś interesy w

Londynie. Zgodnie z sugestią lekarza w Kandy, ojciec powinien się gruntownie przebadać. Ale najbardziej pragnął zobaczyć się ze mną.

Oczekiwanie na jego przyjazd było dla mnie prawdziwą przyjemnością. Odczuwałam miłe napięcie, które pomagało mi pogodzić się ze stratą najpierw mamy, a potem Celi.

Nie mogłam powstrzymać swego rozbawienia, widząc jak Effie Carinon otrzymuje kolejne zaproszenie do domu, zupełnie jakby była oswajana. Zjawiła się na kolacji i rozmawialiśmy o Cejlonie i plantacji ojca.

— Kiedyś uprawialiśmy tam kawę — mówiła ciotka Marta — a potem przeszliśmy na herbatę. To piękny kraj, jak sądzę, i naszym obowiązkiem jest dbać o jego rozwój. W końcu jest jednym z klejnotów brytyjskiej Korony.

Effie była odpowiednio poruszona, chociaż nie rozumiała, co panna Ashington ma na myśli. Kiedy rozpoczęły się przygotowania do święta plonów, ogłosiła swoje zaręczyny z wikarym. Ciotka Marta była oburzona.

— Głupia dziewczyna — powiedziała. — Ciekawe, jak będą żyli z pensji wikarego.

— Póki sobie radzą, nie powinno to nas interesować, ciociu — odparłam.

— Jesteś impertynencka, Saro, a to nie wypada. Kiedy będzie tu ojciec, musimy zacząć przyjmować gości. W Kandy mieszka kilka miłych rodzin, które kiedyś u nas bywały.

Widziałam, że myśli o żonie dla ojca. Przyszło mi do głowy, że wcześniej czy później i ja stanę się obiektem jej intryg.

Zastanawiałam się czasem, jakby to było, gdyby mi przyszło spędzić całe życie w Grange. Czy stałabym się taka jak ciotki, zatroskana tylko prozaicznymi sprawami manier, konwenansów, planów wobec innych, i przejmująca się czymś takim jak Perły Ashingtonów?

Nie byłabym do tego zdolna.

W głębi serca wierzyłam, że kiedy ojciec będzie wracał na Cejlon, popłynę wraz z nim.

Noc w lesie

Ojciec płynął „Gwiazdą Bristolu”, która miała przybić do Tilbury w pierwszym tygodniu listopada. W tym też miesiącu kończyłam dziewiętnaście lat. Ojciec obiecał prosto z portu przyjechać do Grange, a że nie był pewien godziny przyplłynięcia statku, miał wynająć na stacji bryczkę.

Towarzyszył mu Clinton Shaw, który postanowił odwiedzić Anglię wcześniej niż planował, aby mogli odbyć tę podróż razem. Lekarz uważał, że to niezły pomysł.

Niepokoili mnie te napomknienia o lekarzu. Rozmawiałam o tym z ciotką Martą.

— On nigdy nie dbał o swoje zdrowie — powiedziała. — Ludzie się zmieniają. Zastanawiam się, jaki to człowiek... ten Clinton Shaw. Słyszałam o jego plantacji. Zawsze wyobrażałam sobie, że rodzina Shaw to opryski.

— Muszą być dobrymi przyjaciółmi, inaczej nie podróżowaliby razem — zauważyłam.

— Kazałam Ellen przygotować dla nich dwa pokoje. Ten duży należał do twojego ojca, gdy mieszkał tu z twoją matką. Wątpię, czy chciałby znów tam sypiać. To był apartament nowożeńców. Damy go Clintonowi Shaw, powiedziała Ellen. To jeden z najlepszych pokoi w tym domu, a w końcu przez noc lub dwie będzie tu gościem. Długo nie zostanie. Ma interesy w Londynie. Twój ojciec może zająć sąsiedni lub któryś z pokoi piętro wyżej.

Poczyniono przygotowania. Obie ciotki były podniecone. Zgadywałam, że ciotka Marta postanowiła ożenić ojca, zanim wróci na Cejlon. Przeglądała listę osób, które mieszkały niezbyt daleko i mogły złożyć nam wizytę.

— Już dawno nie prowadziłyśmy otwartego domu — powiedziała. — Ale na wszystko przychodzi właściwa pora.

Pod kierunkiem gospodyni, pani Lamb, pokojówki rozpoczęły jesienne porządki. Ciotka z pewnością nie pozwoliłaby zapomnieć o dorocznym sprzątaniu. Tym razem kazała uszyć nowe poduszki, a w jednym przypadku nawet nowe zasłony.

— Coś bardziej jasnego i wesołego — zasugerowała. — Merridewowie mają dwie córki... — słyszałam, jak mówi do ciotki Mabel. Po czym dodała posepnie: — I jednego syna.

Po ojcu przyjdzie kolej na mnie. Zastanawiałam się, jak Mabel udało się tego uniknąć. Zapewne, gdy Edward Sanderton zwrócił się ku Margaret, ciotka Marta postanowiła żyć w błogosławionej samotności i uznała, że potrzebuje towarzyski. Wyobraziłam sobie ewentualnego wielbiciela ciotki Mabel, odpędzanego równie stanowczo, jak radośnie zapraszano adoratorów innych dziewcząt.

Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu ojca. W domu panowało napięcie. Podbiegałam do okna za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że słyszę turkot kół. Zmrok zapadł przed piątą, a gości wciąż nie było. Zapaliłyśmy lampy w holu, a po obu stronach werandy świeciły latarnie. Bez przerwy biegałam od holu do mojego pokoju.

— Jak kot na rozgrzanym murku — stwierdziła ciotka Marta.

Ale ona też nie była taka niewzruszona i także, choć starała się opanować, uległa podnieceniu, przenikającemu atmosferę całego domu. Z kuchni dolatywały smakowite zapachy, a starsi służący opowiadali innym to, co pamiętali o Ralphie Ashingtonie.

Przed siódmą zjawiła się bryczka ze stacji. Wszystkie pobiegłyśmy do drzwi: ja, ciotka Marta i ciotka Mabel. Wiedziałam, że służący wyglądali przez okna, a inni zerkali do holu.

Serce zabiło mi szaleńczo na widok wysiadającego z bryczki mężczyzny. Był bardzo wysoki, nosił czarny, filcowy kapelusz i czarny płaszcz z krótką pelerynką. Nie spojrzał w stronę domu,

tylko odwrócił się do bryczki, by pomóc wysiąść drugiemu mężczyźnie, w którym rozpoznałam mojego ojca. Wyglądał przy tamtym krucho. Nagle ogarnęło mnie wzruszenie.

Wybiegłam na zewnątrz, krzycząc:

— Jestem Sara, tatusiu. To ja, Sara.

Oślabłam z emocji. Był taki drobny — skurczony wizerunek człowieka, którego znałam z portretu w galerii. Ten drugi powiedział rozkazującym tonem:

— Wprowadźmy go, dobrze? Ta wilgoć mu nie służy.

— Ralph! — To była ciotka Marta.

— Jestem w domu — odezwał się ojciec. — Tak, w końcu wróciłem do domu. Sara! — Patrzył na mnie z zachwytem.

Jego towarzysz powtórzył władczo:

— Mówiłem, żeby go wprowadzić do środka.

Zirytowałam się na niego za to, że próbował nam rozkazywać. Wcale nie było zimno, właściwie raczej parno. Z pewnością to my powinnyśmy zaprosić go do domu.

Mimo to weszłyśmy.

Mój ojciec nie odrywał ode mnie wzroku.

— Sara — powiedział. — Tak jak sobie wyobrażałem. Och, zapominam się. To pan Clinton Shaw, który uprzejmie zgodził się płynąć ze mną.

— Witamy w Ashington Grange, panie Shaw — oznajmiła ciotka Marta. — Oczekiwaaliśmy pana.

Zdjął kapelusz, odsłaniając strzechę jasnych włosów, co było trochę zaskakujące, gdyż twarz miał raczej smagłą.

— Dziękuję, panno Ashington — odparł. — Cieszę się z tej wizyty.

Zauważyłam, że ojciec oddycha z trudem.

— Z pewnością miałeś męczącą podróż — zauważyłam. — Zmarzełeś? Podejźmy do ognia.

— Saro, chciałbym, żebyś poznała Clintona.

— Miło mi — rzuciłam krótko, wciąż patrząc na ojca.

— Mnie również — odparł. — Nie mogłem się doczekać spotkania z panią, panno Saro.

Podprowadziłam ojca do kominka.

— Jest przyzwyczajony do innego klimatu — stwierdził pan Shaw. — Trochę potrwa, nim przywyknie.

— Jestem tego pewna — wtrąciła ciotka Mabel. — Przykazałyśmy pani Lamb napalić w waszych pokojach.

— Dobra, stara Lamb — westchnął ojciec. — Więc wciąż jest tutaj?

— Niewiele się zmieniło, Ralph — odparła ciotka Marta. Uśmiechał się do mnie nieśmiało.

— Mamy sobie wiele do powiedzenia, Saro.

— Nie mogę się doczekać — zapewniłam.

— Czy pokazać panu pokój, panie Shaw? — spytała ciotka Marta.

Powiedział, że chętnie i że to bardzo uprzejme z ich strony, że ofiarowują mu gościnę.

— Oczywiście jesteście zachwycone — rzekła ciotka Marta. — Saro, zaprowadź pana Shawa, a Mabel zaprowadzi Ralpha... jeśli potrzebuje pomocy. Nie zapomniałeś Grange, prawda?

— Pamiętam każdy zakątek, Marto.

— Na pewno są głodni — wtrąciła Mabel. — Prawda?

— Bardzo — stwierdził pan Shaw za nich obu.

— Niedługo podamy kolację — oświadczyła ciotka Marta.

— Proszę za mną, wskażę panu pokój — powiedziałam do niego.

Shaw wpatrywał się we mnie przez całą drogę aż do galerii.

— O — zauważył — rodzina!

Zatrzymał się i nadal patrzył na mnie.

— Jest pani do nich podobna.

— To chyba nic dziwnego, skoro do nich należę.

Przystawał przed obrazami, a grzeczność nie pozwalała mi go ponaglać.

— Gdzie panią umieścili?

— Nie ma mnie tutaj. Jestem świeżym nabytkiem, jak to można określić.

— To znaczy świeżo uznanym nabytkiem.

— Zgadza się.

— Wiem. Jestem zaufanym pani ojca. Dobrze będzie pani wyglądać między tymi damami.

— To bardzo uprzejme z pana strony.

— To prawda. Inaczej bym tego nie powiedział. Rzadko mówię komplementy. Tylko wtedy, gdy unikanie ich byłoby głupotą.

Spojrzałam na niego z uwagą. Nie mogłam się powstrzymać. Wydawało się, że mnie do tego zmusił. Jego wzrost i szerokość ramion robiły wrażenie. Jasne włosy i ciemne oczy stanowiły taki kontrast, że w każdych okolicznościach musiały rzucać się w oczy. Był opalony, czego pewnie nie dało się uniknąć tam, gdzie mieszkał. Zauważyłam mocne białe zęby i dość zmysłowe wargi. Od samego początku zdenerwował mnie tym wydawaniem rozkazów, więc postanowiłam go nie lubić. Nigdy przedtem nie widziałam takiego mężczyzny. Ale też jakich mężczyzn w ogóle widziałam? Ci, którzy zalecali się do matki? Everard, który zawsze wyglądał jak wzór angielskiego dżentelmena... Tę także nim był, choć w nieco innym stylu. A ten człowiek wiele lat mieszkał za granicą i to zdecydowanie wyróżniało go spośród innych. Od chwili, kiedy wysiadł z bryczki, intensywnie wyczuwałam jego obecność. A to budziło niepokój. Przyciągał uwagę. Powinnam interesować się tylko ojcem, ale ten człowiek stale zaprzętał moje myśli.

— Ach! — Zatrzymał się przed portretem którejś z pań Ashington. — To słynne perły. Widzę, że nosi je sporo dam. Musi pani przyznać, że wyglądają wspaniale.

— Nie mam zamiaru zaprzeczać — odparłam lekko. — Z pewnością chciałby się pan umyć i może przebrać przed kolacją. — Próbowałam przypomnieć mu delikatnie, że już dość długo tkwimy w galerii.

Skinął głową i ruszył za mną po schodach na następne piętro. Tu był mój pokój, a na końcu korytarza ten przeznaczony dla niego. Tam go zaprowadziłam.

— Piękny dom — zauważył.

— Należy do rodziny od pokoleń.

— Godne pochwały.

— Dla domu czy dla rodziny?

— Dla obu. Dla domu, że przetrwał tyle lat, dla rodziny, że go utrzymała.

— Pański pokój jest tutaj. — Otworzyłam drzwi.

— Czarujący — stwierdził.

Rzeczywiście był uroczy. Blask ognia migotał na ścianach, a na toaletce stała zapalona lampa naftowa z abażurem.

— W Grange nie mamy gazowego światła — wyjaśniłam.

— To by było barbarzyństwo. Nie jestem do tego przyzwyczajony. W moim domu są tylko lampy i świece, też nie mamy gazu.

— W takim razie nie muszę przeproszać.

— Ależ, droga Saro, dlaczego miałabyś mnie przeproszać!

Cofnęłam się lekko i spojrzałam na niego chłodno. Nie przypuszczałam, że zwróci się do mnie po imieniu.

Zrozumiał od razu. Wiedziałam, że jest bystry i nie daje się zaskoczyć.

— Musisz mi wybaczyć te szorstkie, kolonialne maniery — powiedział natychmiast. — Rzecz w tym, że twój ojciec często mówił o tobie i zawsze nazywał cię Sarą. Trudno oczekiwać, by używał efektownego tytułu panny Ashington, prawda?

— Ojciec nie, ale od obcych mogłabym się tego spodziewać.

— Od obcych tak. Ale dla mnie nie jesteś obca. Niech to będzie usprawiedliwieniem mojej bezpośredniości.

Odwrociłam się do drzwi.

— Jeśli jeszcze czegoś pan potrzebuje, proszę zadzwonić. Niedługo podamy kolację.

— Dobrze. Więc wkrótce się zobaczymy.

Na jego ustach pojawił się drwiący, niemal bezczelny uśmiech.

Nie będę go lubiła, powiedziałam sobie, idąc do swojego pokoju. Szkoda, że ojciec musiał go ze sobą przywieźć. Weszłam do siebie, a kiedy już miałam zamknąć drzwi, coś kazało mi się obejrzeć. Clinton Shaw stał w progu i patrzył na mnie. Zatrzasnęłam drzwi, szybko zapaliłam lampę i spojrzałam w lustro. Twarz miałam zaczerwienioną.

— Nie — powiedziałam na głos. — Wcale go nie lubię.

Wciąż o nim myślałam, kiedy schodziłam na dół.

* * *

Tę kolację pamiętam w najdrobniejszych szczegółach. Jadalnia z krzesłami pokrytymi błękitną tapicerką, stojącymi w Grange od czasów króla Jerzego, zdobiące ściany kotary starsze niż dom, lśniące srebra, które należały do rodziny już za królowej Anny, świece w lichtarzach. Wszystko to było mi znane, lecz tego dnia wyglądało zupełnie inaczej. Ciotka Marta zasiadła u szczytu stołu, a Clinton Shaw po jej prawej ręce. Ojciec na drugim końcu, a ja po jego prawicy. Z ciotką Mabel była nas tylko piątka i odległości między nami wydawały się ogromne.

Pomyślałam, że zimowy salon nadawałby się chyba lepiej dla tak nielicznego grona. Ale ciotka Marta uznała widocznie, że to szczególna okazja.

Ojciec wyglądał zdrowiej niż zaraz po przyjeździe. Twarz miał mniej bladą i błyszczące oczy. Był bardzo szczupły, jak zauważyłam, ale wyraźnie ożywiony. Głęboko przeżywał swój powrót.

Dużo mówił o przeszłości i o tym, że dom prawie się nie zmienił. Czulałam, że nie odrywa ode mnie wzroku. Potem zaczął opowiadać o plantacji i Clinton Shaw przyłączył się do rozmowy. Mówili o sadzeniu, zbiorach i problemach ze szkodnikami. W zeszłym roku były tam gąsienice pokrzywki, a wcześniej jakieś inne robactwo.

— Tak to już jest, panno Ashington — rzekł Clinton Shaw. — W życiu, tak jak z herbatą. Mamy swoje radości i kłopoty. Tych drugich zawsze jest jakby więcej.

Chciałam dowiedzieć się czegoś o życiu rodzinnym. Już miałam pytać o moją siostrę, ale poczułam, że lepiej poczekać z tym do czasu, gdy zostanę z ojcem sama.

— Macie dobrą służbę? — interesowała się ciotka Mabel.

— Z tym nigdy nie ma problemów — odparł ojciec. — Zawsze wielu jest takich, którzy chcą zarobić na życie.

Widziałam, że kocha tę wyspę. Znał jej historię i opowiadał o niej z zachwytem. Miałam wrażenie, że chce mnie zaciekawić, chce, bym pokochała ten kraj, i zamierza zabrać mnie ze sobą, gdy będzie wracał. Słuchałam uważnie.

— Poeci nazywają Cejlon perłą na czole Indii.

— Inni zwą perłą, która wpadła do morza — dodał Shaw. — Zauważyły panie, że akcentuje się perłę. To dobry interes. Mamy tam kwitnące pola perłowe.

— Clinton jest cynikiem — uśmiechnął się ojciec. — Legenda głosi, że król Salomon poszukiwał kiedyś klejnotów Sri Lanki, tak się wtedy nazywała wyspa, by przystroić siebie i królową Sabę. Jest wiele mitów i legend. Mógłbym wam opowiedzieć o wielkich dynastiach i dawnych władcach...

— Wolałybyśmy raczej usłyszeć coś o twoim życiu, Ralph — przerwała stanowczo ciotka Marta.

— Wszyscy plantatorzy herbaty są do siebie podobni. Zgodzisz się z tym, Clintonie?

— Wręcz przeciwnie. Twoje życie, drogi przyjacielu, wcale nie przypomina mojego. A to, miłe panie, powinno was ucieszyć.

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie Shaw? — zapytała ciotka Marta.

— Chcę powiedzieć, że wasz brat jest modelem prawości, a ja raczej nie.

— Żartuje pan, naturalnie — oświadczyła ciotka Marta, jakby stwierdzając fakt.

Oczekiwałam, że ten niepoprawny mężczyzna zaprzeczy, po czym opowie nam o swoim życiu, które zapewne było naganne. Ale nie powiedział nic. Domyślałam się, że ma miejscową kochankę, może dwie. Z pewnością był człowiekiem tego pokroju. Świadczyły o tym spojrzenia, którymi obrzucał wszystkie kobiety... przynajmniej miałam nadzieję, że wszystkie, a nie szczególnie mnie. To by było jeszcze bardziej obraźliwe. Z każdą chwilą czułam do niego coraz większą niechęć. Nigdy dotąd nie byłam w tak niezręcznej sytuacji.

Zamiast o swoim życiu ojciec opowiadał więcej o królach Cejlonu i o tym, jak król Kandy prosił Brytyjczyków o pomoc przeciwko Holendrom, chociaż Brytania niechętnie przyjmowała na siebie nowe obowiązki. Później wszystko się zmieniło.

— Anglia stała się przywódcą świata — stwierdził. — Zwyciężyliśmy pod Trafalgarem i z wolna stawaliśmy się Imperium. Rewolucja osłabiła Francję. Indie były najpiękniejszym klejnotem Korony, a Kompania Wschodnioindyjska szukała oparcia. Holendrzy nie stawiali dużego oporu i zostali przepędzeni przez Brytyjczyków. Królowie Kandy byli ludźmi gwałtownymi i okrutnymi, więc lud Cejlonu z radością powitał Brytyjczyków i Cejlon znalazł się pod ochroną Imperium. — Zwrócił się do mnie. — Kiedy zobaczysz tę wyspę, Saro, będziesz oczarowana. Prawda, Clintonie?

— Mam nadzieję, że będę na miejscu, by na własne oczy zobaczyć ten zachwyty.

Zignorowałam go. Ojciec mówił dalej:

— Wyobraź sobie strumienie o brzegach porośniętych bambusem, wijące się wśród podmokłych pól. Góry są piękne, Saro. Miejscami przypominają mi naszą krainę jezior. Sceneria zmienia się tak szybko... zupełnie jak w domu. Ale tam zmiany są bardziej gwałtowne. Przechodzisz od ryżowych pól po góry i lasy. Drzewa są tam takie wysokie. A potem dalej, na północny zachód, gdzie jest sucho i rosną tylko kolczaste zarośla. Trzeba zobaczyć ten kraj, by uwierzyć w jego piękno.

— Faktycznie — wtrącił Clinton Shaw — wszystko na Cejlonie jest piękne i tylko człowiek jest podły.

— Może nie wszyscy ludzie — odparowałam.

— Nie wszyscy, ale obawiam się, że bardzo wielu.

Piliśmy kawę w zimowym salonie i zauważyłam, że ojciec już prawie zasypia.

Clinton Shaw podszedł do mnie i szepnął:

— Twój ojciec powinien chyba iść już spać. To był dla niego wyczerpujący dzień.

Ciotka Marta usłyszała to i wstała.

— Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie — oświadczyła.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc i rozeszliśmy się do swoich pokoi.

* * *

Wiedziałam, że nie zasnę. Zdjęłam sukienkę i włożyłam luźny, błękitny szlafrok. Rozpuściłam włosy i zaczęłam je szczotkować.

Przyjrzałam się sobie w lustrze. W pokoju była tylko jedna lampa, ale na toaletce miałam świecę.

Odbicie spojrzało na mnie. Zastanawiałam się, co pomyślał o mnie ojciec. A co Clinton Shaw? Zdałam sobie sprawę, że od samego początku usiłuję usunąć go ze swoich myśli, a on ciągle wraca. Taki już jest. Zawsze wciska się tam, gdzie go nie chcą. Zbyt silny, zbyt natarczywy. Everard i Toby tak bardzo się od niego różnili. Byli pełni kurtuazji, opiekuńczy. Przy tym człowieku odnosiłam wrażenie, że muszę się stale strzec, bronić przed jego przytłaczającą męskością.

Interesował się mną, to było widoczne. Czułam, że gdybym się mu nie podobała, nie zadawałby sobie trudu, by udawać. Często dostrzegałam, że przygląda mi się w sposób śmiały i bezpośredni. A kiedy okazywałam, że widzę to i nie pochwalam, zupełnie się tym nie przejmował.

To dziwne, ale dziś wydawało mi się, że wyglądam wspaniale. Gęste, brązowe włosy były równie niesforne jak wtedy, gdy Meg owijała je na kawałkach materiału w nadziei, że do rana uzyska efekt korkociągu. Jednak teraz ich upór jakoś mi odpowiadał. Moje oczy nie były całkiem zielone, ani szare, ani brązowe, ale każdego koloru po trochu; zawsze wydawały mi się dość bezbarwne. Dziś błyszcząły, jakby od szlafroka wzięły odcień błękitu. Jediną piękną rzeczą odziedziczoną po matce były długie rzęsy. Co do reszty, wiedziałam, że mam prosty, odrobinę za długi nos Ashingtonów. U ciotki Marty dało się zauważyć tę cechę w czystej formie. Były dwa typy ust Ashingtonów: jeden o wąskich wargach, występujący u obu ciołek, i drugi, dość zmysłowy, który odziedziczyłam po ojcu. Wieczorem moje blade zazwyczaj policzki zabarwiły się lekkim rumieńcem. Z pewnością temu zawdzięczałam bardziej niż zwykle atrakcyjny wygląd.

To emocje związane z powrotem ojca, przekonywałam siebie. Ale wiedziałam, że nie tylko o to chodzi.

Ten człowiek nie zostanie tu długo. Przenocuje kilka dni, a potem wyjedzie do Londynu, gdzie musi załatwiać swoje sprawy, podobnie jak ojciec. Nie rozumiałam, dlaczego mój ojciec zaprzyjaźnił się z kimś takim. To przecież nie był dla niego idealny towarzysz. Chociaż z drugiej strony byli bliskimi sąsiadami, skoro ich plantacje leżały obok siebie.

Rytmicznie szczotkowałam włosy, kiedy zaskoczył mnie jakiś dźwięk na korytarzu. Kroki. Ucichły pod moimi drzwiami. Ktoś zapukał.

Wstałam.

— Kto tam? — spytałam.

Drzwi otworzyły się.

— Mogę wejść? — powiedział Clinton Shaw. — O tak wielu rzeczach muszę ci opowiedzieć.

Poczułam, że gwałtownie się rumienię. Ścisnęłam szczotkę, jakby to była broń.

— Tutaj! Teraz! — krzyknęłam piskliwym głosem. — W mojej sypialni!

Rozejrzał się z uśmiechem.

— Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego miejsca, gdzie by nam nikt nie przeszkadzał.

— Panie Shaw... — zaczęłam.

— Mów mi Clinton. Tak będzie właściwie, skoro ja nazywam cię Sarą. Większość przyjaciół mówi do mnie Clint. Dziwne imię, prawda? Nazwisko pochodzi od miejsca, gdzie od pokoleń żyła moja rodzina. Może wolisz Clint?

— Jeśli mogę wybierać, wolę pana Shawa.

— Jeżeli w ogóle wolisz mnie w jakiegokolwiek formie, to na jakiś czas mi wystarczy.

— Panie Shaw — powiedziałam. — Nie wątpię, że uważa się pan za człowieka błyskotliwego i o nieodpartym uroku...

— Ciekawe, skąd ci to przyszło do głowy? To pewnie twoja własna opinia.

— Jestem pewna, że to, co ma mi pan do powiedzenia, może zostać powiedziane jutro i w innym miejscu. Jest pan gościem w tym domu i to nie do pomyślenia, by o tej porze zjawiał się pan bez zaproszenia w mojej sypialni.

— Byłoby cudownie, gdybym został zaproszony — odparł z żalem.

— Zachowuje się pan zarozumiale i trochę nieelegancko. Zechce pan wyjść, czy mam zadzwonić po służbę?

— Tak wiele muszę ci opowiedzieć. Chodzi o twojego ojca. Pomyślałem, że chciałabys wiedzieć o tym jak najszybciej.

— Co z moim ojcem?

— Czy mogę usiąść? Tak będzie wygodniej dla nas obojga.

Nie czekał na moją odpowiedź i rozejrzał się. Z początku myślałam, że ma zamiar usiąść na moim łóżku. Na szczęście wybrał sobie fotel.

Czułam się rozgniewana, lecz bezradna. Rozkazać mu wyjść byłoby może nieco nazbyt teatralne, ale chyba powinnam to zrobić. Zadzwonić na służbę i prosić o pomoc... to jeszcze gorsze. Ale oto mężczyzna, którego znałam ledwie kilka godzin, wszedł do mojej sypialni! Przyglądał mi się ironicznie, jakby czytał w moich myślach i to go bawiło.

Nienawidziłam go za to, że postawił mnie w takim położeniu. Ciekawe, co powiedziałyby ciotka Marta, gdyby teraz do mnie zajrzała. Byłam pewna, że nakazałyby mu opuścić dom; i słusznie.

Właśnie w chwili, gdy miałam go zdecydowanie wyprosić, powiedział:

— Wiem, jak bardzo troszczysz się o ojca. Dlatego musiałem z tobą porozmawiać. On jest bardzo chory.

Gniew rozpląnął się nagle. Pozostał tylko lęk o ojca.

— Jest pan... tego pewien? — wyjąkałam.

— Rozmawiałem z naszym lekarzem. To on zasugerował, że ojciec powinien wrócić do domu na badania i leczenie. Nie mogłem pozwolić, żeby podróżował sam.

Teraz stawał się w innym świetle, ale chociaż wiedziałam, że mówi prawdę o ojcu, wciąż mu nie ufałam.

— To uprzejmie z pana strony — rzuciłam niechętnie.

— Zamierzałem przybyć we własnych sprawach, więc była to tylko kwestia przyspieszenia wyjazdu.

— Co mu dolega?

— Głównie płuca. Sądziłem, że powinnaś o tym wiedzieć.

— Dziękuję, że mi pan powiedział. Ciotki także muszą się dowiedzieć.

— Nie jestem taki pewien. Widzisz, twój ojciec nie wie dokładnie, na co choruje. A ja czułem, że z tobą łatwiej mi będzie o tym rozmawiać. Dlatego zjawiłem się tutaj w sposób odrobinę niekonwencjonalny. Wiele mi o tobie opowiadał... pokazywał mi twoje listy. Był z nich bardzo dumny. Cieszę się, że zdążyliście się poznać.

— Co możemy zrobić?

— Uczynić go szczęśliwym, zanim umrze. — Myśli pan, że ja...

— Ty bardziej niż ktokolwiek inny.

— Zrobię, co będę mogła.

— To właśnie chciałem ci powiedzieć.

— Dziękuję.

Wstałam, wskazując w ten sposób, że powinien wyjść. Ale on siedział dalej. Patrzył tylko na mnie, jak gdyby mnie oceniał, i uśmiechał się niepokojąco.

— Dobranoc — powiedziałam.

Wstał wtedy i zbliżył się do mnie. Nie byłam niska, wzrost miałam więcej niż średni, ale on chyba chciał wykazać, jak dalece nade mną góruje.

Usunęłam się trochę, robiąc mu przejście. Udał, że tego nie zauważa.

— Kiedy pojedę z twoim ojcem do specjalisty, chciałbym, żebyś nam towarzyszyła. Zgodzisz się? To mogłoby być pomocne.

— Oczywiście. Zrobię wszystko, by pomóc ojcu.

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Dziękuję — powiedział.

Odstąpiłam na krok i ręka mu opadła. Dostrzegłam cień uśmiechu, który przemknął mu po wargach.

— Dobranoc, panie Shaw — powtórzyłam. — I dziękuję za udzieloną ojcu pomoc.

— Pomagam także sobie — odparł. — Moje sprawy tutaj są dla mnie bardzo ważne. Co kilka lat musimy porozmawiać z agentami w Londynie... a przynajmniej powinniśmy. To kwestia interesów. Jest też inny, ważniejszy powód mojego przyjazdu.

Spojrzał na mnie wyczekująco, jakby spodziewał się, że zapytam o ten powód. Nie dałam mu tej satysfakcji. Zrobił krok w moją stronę.

— Szukam żony — wyznał.

Poczułam na policzkach zdradliwy rumieniec.

— Doprawdy? — zdołałam powiedzieć lekkim tonem.

— Tak, nadchodzi taka chwila, kiedy mężczyzna potrzebuje żony. Kogoś, kto będzie o niego dbał i kto go wesprze. To bardzo ważne w życiu, jakie prowadzę. A na Cejlonie mam niewielki wybór. To powszechny zwyczaj, wracać do ojczyzny po żonę.

— Jestem o tym przekonana. — Odwróciłam się. A kiedy wciąż nie wychodził, dodałam: — Życzę szczęścia w poszukiwaniach.

— Nie przewiduję żadnych trudności — stwierdził.

— Miejmy nadzieję, że obiekt pańskich poszukiwań podzieli pańskie wysokie mniemanie o sobie — zauważyłam.

Uśmiechał się, kiedy podeszłam do drzwi i otworzyłam je.

Gdy wyszedł, przekreśliłam klucz.

Usiadłam przed lustrem. Od śmierci matki nie byłam tak zdenerwowana. Mój ojciec poważnie chory... być może wrócił do domu, by tu umrzeć, i jeszcze ten człowiek, którego nie mogłam usunąć z myśli. Miałam wrażenie, że w jakiś sposób mi zagraża.

* * *

Nie mogłam zrozumieć, co się ze mną działo podczas następnych kilku tygodni. Z pewnością nie byłam zakochana w Clintonie Shaw. A przynajmniej nie tak, jak zawsze wyobrażałam sobie miłość; czuły zachwyty, taki jak Everard okazywał mojej mamie, młodzieńcza usłużność oferowana przez Toby'ego, mężczyźni za kulisami czy w garderobie, przynoszący kwiaty, a czasem biżuterię. Nie, to zupełnie inaczej wyglądało. Było tak, jakby siłą wcisnął się do moich myśli. Zawładnął moim umysłem tak, jak zamierzał — powiedział to wyraźnie — zawładnąć ciałem... w swoim czasie. Nie znałam jeszcze nikogo takiego jak on. Gdy wchodził do pokoju, zmieniała się atmosfera. On dominował. Na nim skupiała się uwaga. Wybaczano mu to, co u innych byłoby niewybaczalną niegrzecznością. Była w nim jakaś siła osobowości, jakaś czysto męska cecha,

zupełnie inna niż moc przyciągania, którą posiadała mama, a później tak tragicznie utraciła. To była cecha samca, coś, co ludzie akceptowali, bo musieli, choć jednocześnie czuli odrazę. Nawet ciotki zdawały sobie z tego sprawę. Ciotka Marta kiwała głową, na jej wargach pojawiał się uśmiech rozbawienia na widok jego potwornych manier, a ciotka Mabel zaczęła nosić ozdobione koronką kołnierzyki. Pani Lamb odkryła, że lubił curry, i starała się gotować wedle jego gustów, jako że nie było to danie, które wcześniej często jadał. Służący współzawodniczyli ze sobą, by spełniać jego polecenia. Ellen chichotała i mówiła:

— To jest półtora mężczyzny w jednym.

Półtora mężczyzny! To do niego pasowało. Coś w nim tkwiło, jakiś egoizm i determinacja zdobycia tego, czego zapragnął. Zdawało się, że jestem jedyną, która przynajmniej próbowała oprzeć się tej przytłaczającej sile. Może dlatego właśnie wziął mnie na cel. Ale nie, było też coś więcej.

Zaskoczyło mnie to, że ojciec tak na nim polega. Clinton Shaw podejmował wszystkie decyzje, a ojciec się dostosowywał. Jego choroba była oczywista od pierwszego dnia po przybyciu. Ostre światło poranka zdradziło niezdrową bladłość z odcieniem żółci, zapadnięte oczy i kruchość postawy.

Już tego pierwszego ranka Clinton oświadczył, że ojciec powinien odpoczywać w swoim pokoju, aby nabrać sił na jutrzejsze spotkanie z lekarzami. Spędziłam z ojcem cały ten ranek; leżał w łóżku i rozmawiał ze mną.

Teraz, kiedy byliśmy sami, wyznał, że zawsze bardzo chciał mnie zobaczyć, jednak mama była temu przeciwna.

— Nienawidziła życia na Cejlonie — mówił. — A to jest coś, co albo kochasz, albo nienawidzisz. Ona kochała świat teatru, sławy, światła i podziwu. Nasze małżeństwo od samego początku było skazane na porażkę. Nie miałem szczęścia w małżeństwach, Saro. Mam nadzieję, że ty będziesz miała.

— Jeszcze o tym nie myślałam — odparłam. — Spotykam tu tak niewielu ludzi.

— Musisz przyjechać na Cejlon.

— Chciałabym.

Potem znów opowiadał o plantacji, jakby chciał utrwalić ją w mojej pamięci i uczynić dla mnie ważną. Powiedział, że wielu ludzi utrzymuje się z pracy na niej. Jeśli coś zdarzy się z herbatą, tak jak zdarzyło się z kawą, będzie to katastrofą. Chciałam, by opowiedział mi coś więcej o rodzinie, o siostrze i o tym, czy chciała mnie poznać.

— Clytie to cudowna istota, Saro. Jej uroda zapiera dech. Nie jest tak wysoka jak ty, raczej niska i szczupła niczym elf. Seth Blandford przyjechał do pracy i pokochali się. Teraz mają tego czarującego chłopca... mojego imiennika. Żałuję, że nie mam jego portretu, to bym ci pokazał. Ale pojedziesz tam pewnego dnia. Wrócisz tam ze mną, jeśli tylko...

— Muszę wrócić z tobą — oznajmiłam stanowczo.

— Nie wiem, jak długo Clinton chce tu zostać, i nie wiem co bym zrobił bez niego, Saro. Lubisz go, prawda? — zapytał gorączkowo i chwycił mnie za rękę.

Zawahałam się.

— Nie znam go. Mam wrażenie, że to bardzo silny charakter.

— Bardzo. Odpowiedni do kierowania plantacją. Miejscowi się go boją. Myślą chyba, że ma jakąś nadprzyrodzoną moc. O tak... potrafi się zachować. Kiedyś będzie właścicielem całego Cejlonu... i bardzo bogatym człowiekiem, Saro. Był dla mnie taki dobry i miałem nadzieję, że go polubisz.

— Uważam, że jest troszkę arogancki i z pewnością mógłby poprawić swoje maniery.

— Jest po prostu naturalny. Tylu ludzi uważa go za swojego gubernatora... I oczywiście na Ceylonie nie zawsze można trzymać się sztywnych reguł zachowania obowiązujących w angielskich rezydencjach.

— Mimo to... — zaczęłam.

Poklepał moją dłoń.

Rozmawialiśmy długo. Wiele opowiadał o pierwszej żonie, którą bardzo kochał. Dała mu tę wspaniałą Clytie i odeszła. Potem w Anglii zafascynowała go słynna aktorka, która, co dziwne, zgodziła się za niego wyjść. Nikt nie był bardziej zaskoczony niż on. Małżeństwo z góry skazane było na porażkę i z popiołów namiętności zrodziłam się ja.

W południe zjedliśmy lunch w zimowym salonie — zupę i dziczyznę z poprzedniego dnia, teraz podaną na zimno z ziemniakami zapiekаныmi w mundurkach. Ojciec jadł niewiele, natomiast Clinton Shaw żarłocznie.

Po posiłku oznajmił, że ojciec powinien wypoczywać przez resztę dnia, gdyż jutro zabiera go do Londynu. Patrzył na mnie, przypominając o mojej obietnicy towarzyszenia im w podróży.

— Z przyjemnością wybrałbym się na przejażdżkę po lesie — oświadczył, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Ciotka Marta wtrąciła od razu:

— Sara pojedzie z panem. Z pewnością chętnie pokaże panu las. Bardzo go lubi, prawda, Saro? Lubi tam spacerować i jeździć konno.

— Lubię samotność — zauważyłam.

— Będziemy dzielić tę samotność — odparł Clinton Shaw. Trudno było mi odmówić, nie robiąc przy tym afrontu. Mimo wszystko był gościem.

Odprowadziłam ojca do pokoju, zdjęłam mu buty i pomogłam ściągnąć marynarkę. Kiedy leżał w łóżku, powiedziałam:

— Jesteś bardzo zmęczony.

Skinął głową.

— To taka przyjemność być z tobą, Saro — odparł. — Wiedziałem, że tak będzie. Nie chciałbym się znowu z tobą rozłączyć.

Schyliłam się i pocałowałam go w czoło.

— Nie rozdzielimy się — zapewniłam gorąco i impulsywnie.

Wróciłam do siebie i przebrałam się w strój jeździecki. Dobrze w nim wyglądałam; pasował do mojej szczupłej, może zbyt szczupłej figury. Włosy związałam do tyłu i włożyłam na głowę ciemnoszary toczek. Gdyby nie włosy, mogłabym uchodzić za chłopca... całkiem przystojnego, dodałam w myślach, bez fałszywej skromności.

Musiałam przyznać, że frapowała mnie rysująca się przede mną przyszłość. Życie dotąd było nudne. Owszem, grałam na scenie, ale zawsze na drugim planie. Inni dostawali główne role, podczas gdy ja stałam wśród chóru, jako jedna z tłumu. Przyjazd Clintona Shawa wszystko zmienił. Stałam się gwiazdą i uznałam to za oszalamiające.

Przeżywałam więc mieszane emocje. Byłam ostrożna, a jednak dość niefrasobliwa. Pragnęłam z nim walczyć. Tak chyba czuje się wyruszający na wojnę dowódca, który nie zna sił przeciwnika; wie tylko, że są bardzo groźne.

Czekał przed stajnią. Na mój widok uśmiech rozjaśnił mu smagłą twarz.

— Jak miło, że przyszedłeś. Obawiałem się, że zrezygnujesz.

— Gdybym postanowiła nie przychodzić, powiedziałałabym o tym — odparłam.

Usiłował pomóc mi wskoczyć na siodło.

— Nie potrzebuję pomocy — powiedziałam.

— Ale muszę być dżentelmenem i ją zaproponować.

— Jestem zaskoczona, że tak to pan odczuwa.

— Uznałem, że powinienem zrobić dobre wrażenie po moim wczorajszym zachowaniu — wyjaśnił, kiedy wyjechaliśmy ze stajni. — Wejść przemocą do sypialni młodej damy, którą poznałem ledwie kilka godzin wcześniej... z pewnością nie jest to godne pochwały.

— Widzę, że faktycznie czegoś się pan nauczył. To dobry początek.

— Widzisz, tam skąd przybywam, nieczęsto spotykamy dobrze wychowane angielskie panny. To wyjaśnia pewną szorstkość. Owszem, zdarzają się damy z ojczyzny, żony innych plantatorów i tak dalej. W Kandy jest klub i w Kolombo także, więc czasem obracamy się w eleganckim towarzystwie. Jednak pracujemy ciężko i nieczęsto znajdujemy wolną chwilę, by jechać do miasta. Natomiast brakuje młodych angielskich dam. Dlatego ci z nas, którzy się nimi interesują, muszą wracać do kraju.

— A pan jest zainteresowany z powodu pańskich poszukiwań, naturalnie.

— Mam wrażenie, że te poszukiwania zbliżają się do końca.

— Dobrze pan sobie radził. Myślałam, że rozpoczęły się dopiero wczoraj.

— Mogły się zacząć o wiele wcześniej. Widzisz, kiedy statek opuszcza Kolombo, wiezie ludzi wracających do domu. Rejs statkiem przez tropikalne wody jest bardzo przyjemny... sprzyja romansom.

— Rozumiem. Znalazł pan żonę w drodze do domu.

— Powiedzmy, że znalazłem żonę, jakiej bym pragnął.

— Chyba powinnam pogratulować, zakładam bowiem, że wystarczy ją powiadomić o pana wyborze, by padła panu do stóp, omdlewając z wdzięczności.

— W przerośni, naturalnie — odparł lekko. — Wdzięczna będzie na pewno. Omdleje? Nie, to nie taki typ kobiety. I bardzo dobrze. To byłoby nudne.

— W takich przypadkach bardzo pomocny jest róg jelenia. Może dam panu trochę w ślubnym prezencie.

— Chciałbym czegoś lepszego... od ciebie.

Pościgałem konia i wyprzedziłem go. Chciałam trochę odpocząć od jego aluzji. Wkrótce mnie dogonił.

— Co robisz w tym starożytnym Grange?

— Robię? Co to znaczy? Mieszkam tutaj.

— Jak wygląda życie z tymi szacownymi ciotkami?

— Tak samo jak w takich miejscach w całym kraju. Trzeba dopilnować spraw domowych. Zajmuje się tym ciotka Marta. Jest także rządcą. Działa też organizacja dobroczynna. Mamy tu kościół, który, jak wszystkie kościoły, bez przerwy potrzebuje naprawy. Misją mieszkańców wioski jest utrzymanie go.

— Doskonale to rozumiem. Wychowałem się w podobnym domu. Mam trzech braci i jestem najmłodszy. Mówiąc o wiejskim życiu, niczym nie możesz mnie zaskoczyć.

— Pewnie niewiele jest rzeczy, które by pana zaskoczyły... przynajmniej w pańskiej opinii. Zatem opowiadanie o czymkolwiek jest tylko stratą czasu.

— Są pewne sprawy, których nie znam tak dobrze i chętnie bym się czegoś o nich dowiedział. Na przykład ty. Oczywiście wiem, kim jesteś. Niezbyt wyraźnie, ale nawet pamiętam twoją matkę. Ostatecznie wyjechałem na Cejlon mając dwadzieścia lat. Ale wcześniej bywałem tam... odwiedzałem plantację wuja, którą potem odziedziczyłem. Wśród służby krążyły wtedy plotki o odjeździe twojej matki. Miałem jakieś dwanaście lat. Człowiek w tym wieku zauważa różne sprawy.

— Pewnie już się pan urodził... taki spostrzegawczy.

— Niezupełnie, ale szybko się podciągnąłem. Podsluchiwanie przez dziurki od klucza, zastawianie pułapek na służbę, by zdradzała tajemnice...

— Bardzo niemiłe cechy charakteru.

— Ale czegoż można oczekiwać, prawda?

Nie odpowiedziałam.

— Możesz wyobrazić sobie te rozmowy. „A nie mówiłem!” — to był główny temat. Wszyscy to powtarzali, od sekretarza klubu do najniższego zbieracza herbaty. Twój ojciec nie zawsze był najrozsądniejszym z ludzi. Bardzo się martwił, kiedy go opuściła. Zaniedbał plantację. A przy herbacie nie można sobie na to pozwolić. Miał szczęście, że obok mieszkał wuj. Potem, gdy zostałem dziedzicem, miał mnie. To już stara historia. Nie warto do niej wracać. Powinna nas interesować przyszłość.

— Proszę mi opowiedzieć o jego chorobie.

— Sama widziałaś. Tam nie mogą go leczyć tak, jak powinni. Dlatego musiał wrócić do domu. Nie wiem, jaka będzie diagnoza, ale z pewnością nie najlepsza. Tyle wyjaśnił mi lekarz na Cejlonie.

— Musimy więc czekać. To ładnie, że się pan o niego troszczy — przyznałam niechętnie.

— Jesteśmy sąsiadami. A poza tym... — Wzruszył ramionami i chociaż czekałam, nie kontynuował tematu.

Przez kilka chwil jechaliśmy w milczeniu. Zabrnęliśmy w gąszcz. Nad ziemią unosiła się mgła, nadając otoczeniu atmosferę tajemniczości. Przypominała rozmytą chmurę, otaczającą górne gałęzie drzew, które teraz, pozbawione liści, nabrały dziwnych, fantastycznych kształtów. Chyba bardziej lubię drzewa zimą niż latem. Z ich niezwykłych sylwetek potrafię wysnuć najprzedziwniejsze opowieści.

— Przyjemnie tutaj — powiedział nagle. — Wiesz, kiedy ociekałem potem z gorąca, a wciąż padał deszcz, marzyłem o Anglii. Przede wszystkim o wiosnie. Ale teraz nie wierzę, by istniało coś bardziej przyjemnego od jazdy przez jesienny las.

— Miło mi to słyszeć.

— A przejażdżka z tobą jest najprzyjemniejsza. Czy to także miło ci słyszeć?

— Jestem bardziej zdziwiona niż zadowolona.

— Och, daj spokój, Saro, prosisz o komplementy.

— Chciałam powiedzieć, że jestem zdziwiona, iż poniża się pan do pochlebstwa. Jak zrozumiałam, nie wchodzi to w zakres pańskich zainteresowań.

— To prawda. Ale naprawdę tak uważam. Cieszę się, Saro, że jesteś taka, jaką chciałem, byś była.

Wjechaliśmy na znaną mi polankę i ruszyłam klusem. Dogonił mnie szybko. Miałam nad nim przewagę, gdyż dobrze znałam ten las. Zostawię go tutaj, pomyślałam. Byłoby to zabawne, gdyby się zgubił w lesie. Zjechałam ze ścieżki, wiedząc, że wkrótce znajdę się na otwartym terenie, co pozwoli mi przejść do galopu.

Las pochodził jeszcze z czasów Wilhelma Zdobywcy; miał mu zapewnić odpowiednie tereny łowieckie. Niektóre jego fragmenty były dokładnie takie jak za dni tego władcy, inne jednak zostały dawno wycięte i niczym oazy na pustyni powstały małe wioski. Las rozciągał się na jakieś osiemdziesiąt kilometrów. „Bardzo łatwo się tam zgubić”, ostrzegła mnie ciotka Marta. Dobrze znałam okolice Grange, ale dziwiłam się, że tak łatwo gubię drogę we mgle. Dla ludzi nie zorientowanych, gdzie się znajdują, wszystkie drzewa są do siebie podobne. Tacy ludzie łatwo mogą krążyć w koło.

Zgubienie się w lesie będzie dla niego pierwszą lekcją pokory.

Ruszyłam galopem. Dotarliśmy do labiryntu małych uliczek wioski. Skręciłam na rogu. Przedemną pojawił się gęsty zagajnik młodych jodeł, dostatecznie wysokich, by ukryć jeźdźca. Wjechałam w nie, nim minął zakręt, tak że nie mógł mnie zobaczyć. W ostatniej chwili, gdyż po kilku sekundach usłyszałam, jak galopuje obok.

Zaśmiałam się bezgłośnie.

— Chodźmy, Cherrybim — powiedziałam do mego konia. — Zgubiliśmy go.

Spokojnie ruszyłam drogą, skąd przybyliśmy.

Triumf nie trwał długo. Mogłam zgadnąć, że on nie da się tak łatwo oszukać. Szybko odkrył mój podstęp i zawrócił. Zanim zdążyłam schować się ponownie, był obok mnie.

— Zawsze lubiłem zabawę w chowanego — oznajmił.

— Chciałam popatrzeć na te jodły. W tym roku są wyjątkowo zielone i lśniące. To chyba wróży ostrą zimę.

Powstrzymał się od komentarza, lecz wyraz jego twarzy dawał do zrozumienia, że będzie mi trudno znowu go oszukać.

Jechaliśmy przez las mniej więcej godzinę. Wtedy zauważyłam, że powinniśmy już wrócić do domu. Przed piątą robiło się ciemno, a przy tej mgle może nawet szybciej. Minęliśmy stację kolejową, oddaloną mniej więcej o dwa kilometry od Grange, i zaproponowałam, byśmy ruszyli skrótem przez las.

— Jeszcze nie jest ciemno — powiedział — i nie będzie przez godzinę. Wjedźmy głębiej.

Czułam się trochę głupio, że tak łatwo udaremnił moją próbę ucieczki; niezbyt elegancką, ponieważ był gościem. Nie musiałam demonstrować złych manier tylko dlatego, że on to robił. Zgodziłam się.

Ujechaliśmy kawałek i natrafiliśmy na domek. Wśród drzew wyglądał czarująco.

— Kto tu mieszka? — zapytał.

— Teraz nikt — odparłam. — Należy do posiadłości. Jest zbyt oddalony, by korzystała z niego służba. Latem wynajmowali go jacyś ludzie. Ciotki planują znowu go wynająć.

— Wygląda pięknie. Zajrzyjmy do środka.

Był rzeczywiście śliczny. Ściany pokrywało dzikie wino, a jego liście płonęły teraz ognistą czerwienią.

— Jak tu cicho! — powiedział. — Posłuchaj!

Staliśmy razem, podobało mi się tutaj. Byłam trochę przestraszona i chciałam wiedzieć, co on jeszcze wymyśli.

— Zajrzyjmy, czy jest zajęty? — zaproponował.

— Nie jest. Pamiętam, że ciotka Marta o tym wspomniała. To Papuzia Chatka. Ktoś, kto tu mieszkał dawno temu, miał papugę. To był stary marynarz, a papuga wykrzykiwała jakieś dziwne słowa, które odbijały się echem po lesie.

Zaglądał właśnie przez okno.

— Tak, jest pusty — oznajmił. Obszedł dom dookoła. — Saro! — zawołał — tu jest otwarte okno. Wchodzę do środka. Chodź tutaj.

Zaskakując samą siebie, pomimo odruchu niechęci wobec stanowczego rozkazu, posłuchałam.

— Otworzyć ci drzwi, moja elegancka i dobrze wychowana młoda damo? Nie będziesz musiała się wspinać.

— Tak — odparłam. — Proszę otworzyć drzwi.

— Pani życzenie zostało spełnione — odrzekł kpiąco.

Wróciłam przed front budynku i po chwili byłam już w środku. Domek był maleńki. Na dole miał tylko dwa pokoje i coś w rodzaju kuchni, skąd po schodach poszliśmy do pokoju na górze. Ten rozciągał się na całą szerokość domku. W pochyłym dachu tkwiły dwa okienka.

— Myślę, że ten stary pirat i jego papuga byli tu szczęśliwi — powiedział Clinton Shaw.

Ruszyłam schodami w dół. Jakoś nie miałam ochoty zostawać z nim tutaj. Ta przestrzeń była zbyt zamknięta. Odniosłam wrażenie, że jesteśmy zbyt blisko siebie.

— Bądź teraz ostrożna — rzucił — te schody mogą być niebezpieczne.

Wziął mnie pod rękę i mój niepokój wzrósł. Uwolniłam się, gdy tylko stanęliśmy na parterze.

— Myślę, że schody są dostatecznie mocne — odparłam. — W każdym razie trzeba je będzie wyremontować, zanim znowu wynajmiemy Chatkę.

— Naturalnie. Mnie się tu podoba. Miła przygoda, prawda?

— Przygoda? Nie jest tak emocjonująca, jak by sugerowało to słowo.

— Dla mnie jest. — Nie ustępował. — Jak długo stoi ten dom? Przypuszczam, że ze dwieście lat. Pomyśl o wszystkim, co mogło się tu wydarzyć przez ten czas. — Podszedł bliżej. — Pomyśl o tym, co się zdarzy w przyszłości.

— To samo dotyczy każdego domu.

— Czuję, że ten jest w jakiś sposób wyjątkowy. A ty?

— Nie.

— To nieprawda. Twoje oczy cię zdradzają. Wiem, że tak jest. Ty i ja oglądamy razem dom. Czy to nie wydaje ci się znaczące?

— W żadnym razie. Znaczy tylko tyle, że wybraliśmy się na przejażdżkę po lesie, zobaczyliśmy pusty domek i postanowiliśmy go obejrzeć.

Ruszyłam do drzwi. Położył mi rękę na ramieniu.

— Jeszcze chwileczkę. Tu obok stoi stara szopa. Zajrzymy tylko... i jedziemy.

Otworzył tylne drzwi i wszedł do wnętrza. Były tu kłoc drewna, najwyraźniej zebrane przez ostatniego mieszkańca i nie warte przewożenia.

— Przewidujący ludzie — skomentował. — Lubili ciepło. Przytulnie tu. Drzewa zasłaniają przed wiatrem. Ale wilgotno... zdecydowanie wilgotno.

Roześmiałam się.

— Mówi pan jak potencjalny lokator.

Zawtórował śmiechem.

— A wiesz, podoba mi się to miejsce.

— Robi się ciemno — przypomniałam.

Nagle chciałam znaleźć się daleko stąd. Domek wydał mi się groźny. Clinton Shaw, patrząc na mnie, zastawiał wyjście. Niewiele brakowało, a wpadłabym w panikę.

Jednak gdy ruszyłam do drzwi, nawet nie próbował mnie zatrzymać. Wyszłam między drzewa. Zaryglował drzwi od środka i wyskoczył oknem.

— Zostawiamy wszystko tak, jak znaleźliśmy — stwierdził.

— Czy nie powinien pan zamknąć także okna?

— Zamek jest wyłamany... dlatego było otwarte. Zresztą może kiedyś zechcę tu zajrzeć jeszcze raz. Nigdy nie wiadomo.

— To miejsce zrobiło na panu wrażenie.

— Dostrzegam w nim pewne możliwości. Tak, polubiłem je. Ogród zarósł — mówił dalej, nie spiesząc się z odjazdem.

Przespacerował się dookoła domku. Było tam jakieś ćwierć akra rozrośniętych krzaków, a dopiero dalej zaczynał się las.

— Wszędzie naparstnice — powiedział. — Spójrz! — Pochylił się i zerwał kilka gałązek z liśćmi. — Takie ładne, kiedy zakwitną. Ładne i śmiertelne. Wiesz, czemu zwą je dzwonekami umarłego?

— Nie. Ale wiem, że zawierają truciznę.

— Są wykorzystywane w medycynie, często używają tego lekarze. To dziwne, że dają życie... i śmierć. Chociaż z drugiej strony, chyba zgodzisz się ze mną, Saro, nic w życiu nie jest całkiem złe... albo dobre, jeżeli już o tym mowa. Spójrz na te cisy. Pewnie stoją tu od setek lat. Piękne, prawda? Ale zastanawiam się, ile spowodowały śmierci. Wiesz, że liście i nasiona zawierają toksynę, która jest tak śmiertelną trucizną, że trudno o silniejszą?

— Czyżby studiował pan trucizny?

— W pewnym sensie, tak. Jako dziecko miałem nauczyciela i to była jego namiętność. Częściej zajmowaliśmy się botaniką niż czymkolwiek innym. Dowiedziałem się, że najpiękniejsze rośliny są najbardziej śmiertelne. Na przykład ostróżka polna. Co za piękny kwiat! Ale liście i nasiona mogą zabijać. Zawierają delfinę, kolejną śmiertelną truciznę.

— Co za użyteczna wiedza.

— Bardzo. Na Cejlonie mamy naturalnie inne rośliny... równie groźne. Może nawet bardziej. Dawni królowie Kandy byli mistrzami w mieszaniu najbardziej śmiertelnych trucizn. Mieli odmiany, którymi mogli nasącać rękawice, buty... dowolne części garderoby. Wystarczyło lekkie zadrapanie i koniec. Zapewniam cię, że to niezwykle interesujące.

— W zwykłym życiu trudno odnieść korzyści z takiej wiedzy. Chyba że...

Staliśmy w ogrodzie, dość blisko siebie, i dostrzegłam panujący wokół nas bezruch. I nagle poczułam lęk. Później doszłam do wniosku, że było to raczej przeczucie.

Zadrżałam prawie niedostrzegalnie, a jednak to zauważył.

— Zimno ci — stwierdził.

Głos mu się zmienił, bardzo delikatnie, ale z jakichś powodów poruszał głęboko ukrytą strunę. Miałam wrażenie, że rzuca na mnie czar.

— Chodź — powiedział. — Jedźmy. Wkrótce zapadnie zmierzch. Chyba nie chcesz zgubić się w lesie?

— To się raczej nie zdarzy — odparłam. — Znam drogę.

— Zawsze dobrze jest znać swoją drogę.

Objął mnie ramieniem, a kiedy się odsunęłam, wybuchnął śmiechem.

Przyspieszyłam kroku i po chwili odnaleźliśmy konie. Wsiedliśmy i ruszyliśmy do domu.

* * *

Następnego ranka bryczka zabrała nas na stację. Pociągiem dotarliśmy do stacji Liverpool Street, a stamtąd dorożką na Harley Street.

Dwie godziny przesiedziałam z Clintonem Shawem w poczekalni. Myślałam, że ojciec nigdy nie wyjdzie. Rozmawialiśmy niewiele. Zrozumiał przynajmniej, że sobie tego nie życzę. Chyba trochę się zmienił. Nie był już tym aroganckim i bezczelnym mężczyzną, który wywarł na mnie tak głębokie wrażenie.

W końcu wezwano nas do gabinetu. Ojca tam nie było.

— Leży w sąsiednim pokoju — wyjaśnił doktor. — Badanie bardzo go wyczerpało.

Doktor znał Clintona Shawa, gdyż to chyba właśnie on zorganizował tę konsultację i to on przedstawił mnie jako córkę pacjenta.

— Obawiam się, że mam dla pani złe wieści — oświadczył lekarz. — Jego płuca są w fatalnym stanie. Nie pożyje dłużej niż sześć tygodni... najwyżej dwa miesiące.

Wstrzymałam oddech. Ogarnęła mnie rozpacz. Więc odnalazłam ojca tylko po to, by go stracić.

Clinton Shaw, który siedział tuż obok, ujął mnie za rękę i ścisnął dłoń. Po raz pierwszy byłam wdzięczna za to, że jest ze mną.

— Będzie potrzebował specjalistycznej pomocy, której nie może otrzymać w prywatnym domu — mówił dalej doktor. — Muszę więc wysłać go do mojego domu opieki, gdzie będę mógł się nim zająć. Chyba pani wie, że nadzieja na poprawę jest niewielka. Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Ostatnio pojawiło się wiele nowych leków. Kto wie... jednak musi się pani pogodzić, że bardzo niewiele możemy mu pomóc; tyle tylko, żeby nie cierpiał i by swoje ostatnie dni przeżył możliwie wygodnie.

Skłoniłam głowę.

— Będę mogła go widywać?

— Jak często pani zechce. To niedaleko stąd. Zapewniam, że nigdzie nie znalazłby lepszej opieki. Jest w refleksyjnym nastroju. Mam wrażenie, że od pewnego czasu zdaje sobie sprawę, że nie pożyje długo.

Wstałam. Clinton Shaw wziął mnie pod rękę i razem przeszliśmy do ojca.

Okazało się to łatwiejsze niż się obawiałam, może dlatego, że Clinton był obok. Przy nim musiałam okazać odwagę. Żal sprawił, że byłam słaba, a nie chciałam, by to zauważył.

Ojciec uśmiechał się. Wiedział, że jedzie do domu opieki. Myślę, że chyba oczekiwał takiego rozwiązania.

— Będę cię często odwiedzała — obiecałam.

— Kochana Saro, będę bardzo szczęśliwy.

Wkrótce przyjechał po niego powóz. Odwieźliśmy go i dopilnowaliśmy, by rozgościł się w przytulnym pokoju. Clinton Shaw zostawił nas razem na jakiś czas i rozmawialiśmy tak wesoło, jak tylko potrafiliśmy. Ojciec bardziej chciał mnie pocieszyć niż martwić się swoim zdrowiem. Clinton Shaw przyniósł mu jakieś książki i papiery, a potem musieliśmy już wyjść.

Milczałam podczas podróży. On siedział naprzeciw i przyglądał mi się ze współczuciem.

Mieliśmy przedział tylko dla siebie i byłam z tego zadowolona. Kiedy wjeżdżaliśmy na stację Epleigh, pochylił się i dotknął mojej dłoni.

— Byłaś wspaniała — powiedział.

Poczułam, że drżą mi wargi. Odwróciłam się.

* * *

To zadziwiające, jak szybko człowiek akceptuje nową sytuację i zmiana staje się czymś normalnym.

Prawie codziennie wyjeżdżałam do Londynu, by odwiedzić ojca. Od czasu do czasu wybierała się ze mną któraś z ciotek albo obie naraz. Czasem towarzyszył mi Clinton Shaw. Nie mieszkał cały czas w Grange, choć czekał na niego pokój, gdyby chciał wrócić. Zatrzymał się w hotelu, w Londynie, i stamtąd prowadził interesy. Spotykałam go czasem po wizycie u ojca i wracaliśmy razem.

Choroba ojca wstrząsnęła ciotkami. Marta uznała to chyba za osobisty afront, gdyż wszystkie jej znakomite plany wobec niego poszły na marne. Marzyła o wydawaniu przyjęć, przyjmowaniu miejscowych rodzin z córkami. Nic się nie udało. Mama usunęła się z drogi, umierając w samą porę. Celia zachowała się nieodpowiedzialnie i odeszła. Napisała z hotelu w Southampton, że na jakiś czas wyjeżdża z kuzynką za granicę i że po powrocie napisze znowu i poda adres. Zbyt mocno się zaprzyjaźniłyśmy, by stracić kontakt, niby statki mijające się nocą. Ale ciotka Marta była rozczarowana. Ojciec znalazł się w końcu w domu... w jej mocy, a że Celia uciekła, postanowiła znaleźć mu jakąś odpowiednią dziewczynę. I co? Zachorował tak ciężko, że już nie będzie się mógł ożenić, a tym bardziej począć syna, którego żona mogłaby nosić Perły

Ashingtonów. Wszystko to przypominało raczej wierszyk o domku z kart i pewnie bym się śmiała, gdybym była w weselszym nastroju.

Moje plany również legły w gruzach. Kiedy tylko się dowiedziałam, że przyjeżdża ojciec, szybko postanowiłam, że wyjadę z nim, gdy będzie wracał na Cejlon. A teraz okazało się, że już nigdy nie wróci.

Nie mogłam jednak myśleć o niczym innym, jak o zbliżającym się straszliwym przeznaczeniu.

W stosunkach z Clintonem Shawem powinnam okazywać, jak bardzo jestem załamana i nieszczęśliwa. Jednak moja niechęć do niego skłaniała mnie do zainteresowania życiem. Nie mogłam powstrzymać uczucia dumy po każdym zwycięstwie w słownej potyczce. Odwracał moje myśli od nieszczęścia i od gasnącego z wolna ojca.

Czasem jechałam do Londynu sama. Wprawdzie ciotka Marta uważała to za niewłaściwe, jednakże podróż nie była długa, a w Epleigh zawsze czekała bryczka. Ciotka wołała jednak, gdy towarzyszył mi Clinton Shaw.

— Jest przyjacielem ojca, więc odpowiednią osobą do towarzystwa — mówiła.

Zastanawiałam się, jaki wydałaby werdykt, gdyby wiedziała, jaki on jest naprawdę.

Kiedy tylko się zjawiał, starałam się wyglądać na lekko niezadowoloną. Nie przyznawałam, że kiedy nie przychodził, czułam lekkie rozczarowanie. Podejrzewam jednak, że przejrzał moje drobne oszustwo.

Wszystko prowadziło do tego ważkiego dnia, który miał zmienić moje życie. Był grudzień. Śnieg w tym roku spadł wcześniej i wszyscy twierdzili, że wróży to mroźną zimą. Pani Lamb wspomniała, że na krzakach rosło trzy razy więcej jagód niż zwykle. Natura zadbała o ptaki na tę ciężką porę roku.

Ubrana w focze futro, wysokie buty, mufkę i kapelusz wybierałam się do ojca. W holu spotkałam ciotkę Mabel.

— Powinnaś wyjechać z Londynu trochę wcześniej — powiedziała. — Marta uważa, że w ogóle nie powinnaś wychodzić, dopóki pogoda się nie poprawi.

— Nic mi się nie stanie — odparłam szybko. — On będzie taki rozczarowany, gdy nie przyjadę. Już nie pada. Zobaczysz, że wkrótce zaczniesz się odwilż.

Wybiegłam. Nie chciałam klócić się z ciotką Martą.

W Londynie, jak zwykle, była lepsza pogoda. Chodniki zostały uprzątnięte, a uliczny ruch usunął śnieg z jezdni. Pozostały tylko niewielkie zasy przy krawężnikach.

Ojciec wydawał się nieco silniejszy, co poprawiło mi nastrój. Może lekarz się mylił. Zresztą sam przyznał, że któryś z nowo odkrytych leków może choremu pomóc.

Był zachwycony moimi odwiedzinami. Myślał, że zatrzyma mnie pogoda. Stwierdziłam jednak, niezbyt szczerze, że w Epleigh nie jest aż tak źle.

— Drzewa osłaniają od wiatru — wyjaśnił. Clinton Shaw zjawił się po południu.

— Pomyślałem, że wrócimy razem. Wolę się upewnić, że jesteś bezpieczna. Dziwię się, że ciotki pozwoliły ci jechać w taką pogodę.

— Ciotka Mabel próbowała mnie zatrzymać. Wymknęłam się, zanim zjawiała się ciotka Marta.

— Rozsądna strategia. Zapowiada się ciężka noc. Powinnaś być wdzięczna, że się tobą zaopiekuję.

— Bryczka będzie czekać na stacji.

— Jeśli dojedzie.

— Co ma pan na myśli?

— Och nic... tylko tyle, że będzie to burzliwa noc.

Pociąg wyruszył nieco opóźniony i kiedy opuszczaliśmy Londyn, gęsto sypał śnieg. Była prawie siódma i zmrok zapadł już dawno. Późno wrócimy. Zastanawiałam się, czy ciotki będą

zmartwione. Oczywiście rozumieją, że to z powodu pogody, i może pomyślą, że zostałam w Londynie. Mogłam tak zrobić, gdybym uznała, że powrót jest niemożliwy.

— Prawdziwa zawieja — zauważył Clinton Shaw.

Nie robiło to na nim wrażenia. Wydawało się raczej, że jest zadowolony. Pociąg stanął po półgodzinnej jeździe.

— Najwyraźniej coś zablokowało tory — powiedział.

Otworzył okno, żeby wyjrzeć, ale wiatr sychnął śniegiem do przedziału. Zasunął szybę i wrócił na miejsce.

— Będziemy bardzo spóźnieni — stwierdził. — Co powiedzą ciotki?

— Przede wszystkim ciotka Mabel powie: „A nie mówiłam”. Rzeczywiście mówiła, że nie powinnam dziś jechać. A potem uznają, że pewnie spędzę tę noc w domu opieki.

— Jako rozsądne damy bez narzekania przyjmą to, co nieuchronne.

— Tak właśnie sędzę.

— Jakie to szczęście, że postanowiłem ci towarzyszyć.

— Ośmielam się twierdzić, że poradziłabym sobie sama. Przecież nie mamy nic więcej do roboty tylko siedzieć i czekać. Kiedy dojedziemy na stację, będzie już tam bryczka, choć pociąg się spóźni. Tak więc wszystko zakończy się dobrze.

— Musisz jednak przyznać, że w takich chwilach przyjemnie jest mieć towarzystwo.

Uśmiechał się tajemniczo. Skłonna byłam uwierzyć, że jakoś spowodował te opady. Wyobrażałam sobie zupełnie śmieszne rzeczy. Podobno czarownicy wywoływali sztormy na morzu. Więc może on był czarownikiem, który sprowadził zawieję. Ale po co? Co chciał przez to osiągnąć? Z całą pewnością przypominał czarownika.

Przyglądał mi się z uwagą. Przyszło mi do głowy, że próbuje odczytać moje myśli. Mówił o Cejlonie, o tamtejszym życiu i o tym, jakie to niezwykle tkwić w środku śnieżnej burzy. Kiedy wyjedzie, zabierze ze sobą to wspomnienie. Spytałam, jak długo zamierza tu zostać.

— Dopóki nie zakończę swoich spraw — odparł enigmatycznie.

— Planował pan ożenić się tutaj?

— Tak i zamierzam zabrać ze sobą żonę.

— Cieszy się, że wyjedzie z Anglii?

— Moim zdaniem nie może się doczekać.

— I myśli pan, że będzie tam szczęśliwa?

— Oczywiście. Przecież będzie ze mną.

— Jestem pewna, że to wynagrodzi jej wszystko, co tu pozostawi.

— Bardzo to mądrze ujęłaś. Cieszę się z tego.

— Sędzę, że często się pan z nią spotyka.

Uśmiechnął się i skinął głową.

— Bywa w Londynie.

— Często.

— Może ją poznam.

Znowu kiwnął głową. Pociąg szarpnął.

— Ruszamy — powiedział.

Musiała już być dziewiąta, kiedy wjechaliśmy na stację Epleigh. Śnieg przestał padać.

Tylko we dwoje wysiedliśmy z pociągu. Dyżurny Jack Wall stał na peronie. Wyglądał na zdziwionego.

— Ależ to panna Ashington! — powiedział. — Nie oczekiwali pani.

— Nie oczekiwali?

— Nie. To jedyny pociąg, który przyjechał, ostatni. Właśnie wracam do domu. Dobrze, że mieszkam niedaleko.

— Bryczka...

— Nie mogła się tu dostać, panienko. Drogi wyglądają fatalnie. Woźnica z Grange przyszedł na stację piechotą, by spytać o pociągi. Powiedziałem, że wiele z nich odwołano, a on na to: „Pewnie panna Ashington zostanie w domu opieki”. W taką pogodę, jeśli człowiek nie musi, to i psa by nie wypędził, panienko. Clinton Shaw stał przy mnie i musiałam przyznać, że naprawdę byłam zadowolona z jego towarzystwa.

— Co możemy zrobić? — zapytałam.

— Możemy dojść do domu — odparł. — To nie tak daleko.

— To jedyne wyjście, panienko — wtrącił dyżurny. — Ja wracam. Czekałem tylko, by przyjąć ten pociąg. Teraz zjechał na bocznice... póki pogoda się nie poprawi.

— Chodźmy — rzekł Clinton Shaw. — Im szybciej, tym lepiej.

Pożegnaliśmy Jacka Walla.

— Proszę uważać na drogę — ostrzegł nas. — W niektórych miejscach jest lód. I pamiętać o zaspach.

Clinton Shaw wziął mnie pod rękę.

— Pójdziemy skrótem przez las — oznajmił. — Tak będzie szybciej. Drzewa osłonią nas od wiatru, a leśna ścieżka nie jest taka zdradziecka. Dobrze, że zabrałem laskę. W takich sytuacjach jest bardzo przydatna.

Laska była długa, solidna, dość gruba i z pewnością bardzo użyteczna. Miała srebrny pierścień na szczycie. Podpierał się nią idąc.

Chłodne powietrze dodawało animuszu, a sceneria była doprawdy przepiękna. Od czasu do czasu, w szczelinach między pędzonymi wiatrem chmurami, widzieliśmy sierp księżyca. Szliśmy w stronę lasu, a kiedy tam dotarliśmy, zaczął padać śnieg.

Futro chroniło mnie przed wiatrem, a ręce nie marzły w mufce. Clinton Shaw mocno trzymał mnie pod ramię i przedzieraliśmy się dalej.

W lesie panował spokój przerywany czasem podmuchami wiatru. Drzewa w bieli wyglądały niesamowicie, oświetlane tylko blaskiem księżyca.

Było to całkiem inne miejsce od znajomego mi lasu — zupełnie nieznanne. Rozsądnie zrobiliśmy szukając ochrony wśród drzew. Osłaniały nas nie tylko przed mroźnym wiatrem, ale też nie było tu zasp. Ostrożne przedzieranie się od drzewa do drzewa zajmowało mnóstwo czasu. Ale mimo to już zbyt długo nie mogliśmy trafić do domu. Nagle Clinton Shaw znieruchomiał.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

Rozejrzałam się. Naprawdę nie wiedziałam. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zgubić drogę w lesie tak blisko Grange. Nie wiedziałam, jak długo szliśmy, nie mogłam spojrzeć na przypięty do sukni zegarek. Spojrzał na mnie bezradnie.

— Wszystko wygląda zupełnie inaczej — powiedziałam. — Ale na pewno jesteśmy już blisko.

— Chodźmy tędy — zaproponował. — Drzewa się tu przersedzają.

Potknęłam się, a on pochwycił mnie i na chwilę mocno przycisnął.

— Dzięki Bogu — oświadczył — że postanowiłem dziś jechać z tobą. Co byś beze mnie zrobiła?

— Sama znalazłabym dom. Albo wysłałabym Jacka Walla, by im o mnie powiedział.

— Jestem pewien, że wpadłabyś na jakiś pomysł. A jednak się cieszę. Tam za drzewami to już pewnie Grange.

To nie było Grange, choć okolica wydawała się znajoma. Zauważyliśmy ścieżkę. Ruszyliśmy nią i przed nami, z dachem pokrytym śniegiem, ukazała się Papuzia Chatka.

Clinton Shaw roześmiał się triumfalnie.

— Przynajmniej wiemy, gdzie jesteśmy.

— Spory kawałek od Grange.

— Chyba powinniśmy tu zostać.

— Zostać?

— I odpocząć. Zorientować się w położeniu. Krążyliśmy w koło. Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy dalej od Grange niż wtedy, gdy weszliśmy do lasu? Tutaj przynajmniej mamy schronienie. Wejść przez okno.

Wiedziała, że proponuje najrozsądniejsze rozwiązanie, a jednak jakby słyszała jakieś ostrzeżenie. Jeśli wejść do Papuziej Chatki, coś się wydarzy. Jakby sam Los stał przy mym ramieniu i ponaglał, bym dokonała wyboru.

Zganiłam się za brak rozsądku. Co złego może wyniknąć z chwili wypoczynku? Byłam zmarznięta i zmęczona... bardziej niż zdawałam sobie z tego sprawę.

On stał już w drzwiach domku i wciągnął mnie do środka. Decyzja została podjęta bez mojego udziału. Zatrzasnął drzwi i otrząsnął się ze śniegu.

— Tu jest odrobinę cieplej. Co za droga! Dobrze się czujesz? — Przyłożył mi dłoń do policzka.

— Przemarzałaś! Powiem ci, co zrobię. Pójdę, przyniosę parę pniaków z szopy i rozpalę ogień.

— Ogień? Przecież zostaniemy tu tylko chwilę. Nie możemy być tu długo. I tak jest już bardzo późno.

— Droga Saro — odparł. — Czy nie widzisz, że na zewnątrz panuje zamieć? Czy zdajesz sobie sprawę, że zgubiliśmy się w lesie? Szliśmy, ale mieliśmy już dość. Znaleźliśmy schronienie. Byłoby głupotą nie skorzystać z tego. Jeśli wyjdziemy teraz i powlecemy się przez las, to zginemy. Będziemy musieli odpocząć. Zasypie nas śnieg i zamrzniemy na śmierć. Jest taka wzruszająca bajka o dzieciach zagubionych w lesie. Przypomnij mi, to opowiem ci ją przy okazji. Rozpalimy ogień. Pomyśl tylko, jak będzie cudownie. Tam jest drewno. Widzieliśmy je przecież. Kto wie, może znajdując się świece. Poszukam.

Poszłam za nim do szopy. Kłody drewna wciąż tu leżały.

— Patrz! — zawołał. — Bogowie są po naszej stronie. Tu jest latarnia, nawet ze świecami w środku. — Wyjął z kieszeni pudełko zapalek i po chwili mieliśmy światło. — Wspaniale! Widać jakąś skrzynię. Ciekawe, co w niej jest? Eureka! Koce. I to kilka. Droga Saro, cóż to za przygoda. Nie bierz ich teraz, bo je zamoczysz. Osuszymy się najpierw trochę przy ogniu.

Wniósł kłody drewna i byłam zdumiona, jak szybko rozpalił ogień. Poczulałam odprężenie. Przyjemnie było patrzeć na płomień liżące starą kratę. Zaczynało być mi cieplej. Uświadomiłam sobie, jak wyczerpujący był nasz marsz. Clinton miał rację twierdząc, że próba dotarcia do Grange to szaleństwo. Potrzebowaliśmy wypoczynku.

Usiedliśmy na podłodze przy kominku. Był tuż obok mnie i dostrzegłam, jak w blasku ognia lśnią jego oczy. Smagła zwykle skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza.

Zdjęłam wełniane rękawiczki i wyciągnęłam ręce do ognia. On zrobił to samo. Spojrzałam na nasze dłonie: jego były duże, szerokie, mocne. Był bardzo praktyczny. Wiedział, jak sobie radzić z taką sytuacją jak ta.

— Gdy podeschniemy, wniesiemy tu koce — powiedział. — Ciekawe, ile ich jest. Wydawało się, że całkiem sporo.

— Zastanawiam się, dlaczego ktoś je tu zostawił. Muszą być wilgotne.

— Może nie. Ta skrzynia wygląda na całkiem solidną i szczelną. Jesteś gotowa? No to idziemy.

Poszliśmy do szopy. W skrzyni tkwiły ciasno zwinięte cztery wełniane koce. Przenieśliśmy je do domku.

— Są suche — oświadczył. — Zdejmij buty, muszą być przemoczone.

Posłuchałam go i owinełam się w koce. Miał rację: buty przemokły zupełnie i choć były mocne, śnieg przedostał się do środka.

Zdjęłam pończochy, gdyż stopy miałam całkiem mokre. On ściągnął płaszcz i buty, wziął jeden z koców i usiedliśmy na podłodze.

— Jak para czerwonoskórych — stwierdził. — Tak musieli siadywać dookoła ogniska. Jesteś głodna?

— Nie — odparłam. — W ogóle nie myślę o jedzeniu. Zanim wyszliśmy na stację, zjadłam ciasto i popiłam herbatą. Jestem też po solidnym obiedzie.

— To dobrze. Jedzenia nie mogę ci zaproponować. Ale coś mam.

Sięgnął po leżącą na podłodze laskę. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem. Odkręcił i podał mi gałkę — była jak mały kieliszek. Przechylił laskę i nalał złocistego płynu.

— To cię ogrzeje — powiedział.

— Co to jest?

— Whisky. Laska jest pusta wewnątrz. To wygodny pojemnik. Przydaje się w trudnych sytuacjach.

— Dziękuję. Nie mam ochoty na whisky.

— Przyda ci się. Rozgrzeje. Ochroni przed przeziębieniem, które z pewnością złapiesz, jeśli nie podejmiesz jakichś środków ostrożności.

Wzięłam kieliszek i wypiłam alkohol. Piekł mnie w gardło. Clinton przyglądał mi się spokojnie.

— No widzisz — rzekł. — Zaraz poczujesz się lepiej.

Zakaszlałam.

— Piecze — stwierdziłam.

— Daj spokój. Musisz wypić drugi. W tej gałce mieści się ledwie jeden łycezek.

— Dziękuję, ale wolę nie.

— Saro, to w celach leczniczych. — Podał mi pełny kieliszek. — Musisz się rozgrzać. Powinnaś wziąć gorącą kąpiel i wejść do ciepłego łóżka. Obawiam się, że w Papuziej Chatce nie ma takich luksusów. Nie szkodzi. To będzie niemal równie dobre.

Jak zahipnotyzowana wzięłam kieliszek. Czułam rozplływające się po całym ciele ciepło. Wypiłam.

Uśmiechnął się do mnie. Patrzyłam, jak wypija kilka łyków od razu.

— Czujesz się już lepiej, Saro? — zapytał.

— Czuję się trochę dziwnie.

— Oczywiście — rzucił uspokajająco. — Co to będzie za noc, a to dopiero początek.

— Co? — krzyknęłam.

Mój głos był dziwnie odległy. Coś mówiło mi, że jest cieplej niż powinno. Pokój wirował wolno dookoła. Przez chwilę myślałam, że się przewrócę. A wtedy on pochwycił mnie i przycisnął do siebie, śmiał się.

— To whisky — powiedziałam.

Objął mnie mocno. Odchylił moją głowę i jego wargi znalazły się na moich. Całował mnie. Nawet nie wiedziałam, że ludzie mogą się tak całować. Próbowałam się wyrwać, ale nie mogłam. Wreszcie znieruchomiałam, co chyba sprawiło mu przyjemność.

— To whisky — próbowałam powtórzyć.

— Nie — odparł. — To miłość.

Nie bardzo pamiętam następne wydarzenia. Dopiero później, kiedy zaczęłam pojmować własną naturę, mogłam to wyjaśnić. Wtedy miałam uczucie, jakbym zawsze wiedziała, że coś takiego mi się zdarzy i niemal tego pragnęła. Przez długie tygodnie będę żyć w hańbie. Wzbraniałam się spojrzeć rozsądnie na to, co zaszło; widziałam tylko to, w co chciałam uwierzyć.

Wszystko działo się jak we śnie. Whisky, której nigdy wcześniej nie próbowałam, szybko na mnie podziałała. Miałam wrażenie, że jestem poza sceną, że jestem widzem, że nie może być mną ta dziewczyna, uwodzona przez mężczyznę, którego — jak sama sobie wmawiała — serdecznie nie lubiła.

A on był podstępny. Dokładnie wiedział, jak grać na moich zmysłach. Kunsztownie wybrał odpowiednią chwilę i zdawało się, że los jest jego sprzymierzeńcem.

Kiedy powiedział, że to miłość, wymruczałam coś o dziewczynie, którą ma poślubić. Roześmiał się i ten śmiech jakoś mnie podniecał.

— Jest tutaj ze mną — oznajmił. — To panna Sara Ashington. Kiedy tylko ją ujrzałem, zdecydowałem, że to będzie ona.

Nie poznawałam samej siebie. Może świadomie nie chciałam siebie poznać.

Rozścielił koce na podłodze i zwinął jeden, by zastąpił poduszkę.

— Nawet przy ogniu jest bardzo zimno. Czy wiesz, że w zimową noc najprzyjemniejsze jest ciepło ludzkiego ciała?

Moje futro suszyło się blisko kominka.

— Kiedy wyschnie, przykryję cię nim — zapewnił czule. — Ono i ja nie pozwolimy, żebyś zmarzła.

Powtarzałam stale: „Powinniśmy już iść”. Mój głos brzmiał tak, jakby dochodził z bardzo daleka. Clinton uniósł mnie, a potem ułożył na kocach. Bałam się jak we śnie, bałam się, a jednocześnie byłam dziko podniecona. Serce biło mi jak młot. Przyklęknął i ucałował moje czoło, oczy, szyję. Czułam na sobie jego ręce, a potem był już obok mnie, pieścił i szeptał. Dokonałam zadziwiającego odkrycia, że chcę, by kontynuował. Oczywiście był mistrzem w fizycznej miłości i miałam wrażenie, że zna mnie o wiele lepiej niż ja sama. Chyba śniłam. Musiałam śnić. To nie mogło dziać się naprawdę.

— Muszę iść — szepnęłam, ale nie próbowałam mu się opierać.

— Saro, najdroższa — wymruczał. — Czyżbyś nie wiedziała? Tak właśnie miało być.

* * *

Obudziłam się zmarznięta i zeszywniała. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Leżałam na twardej podłodze, przykryta futrem. Powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, co zaszło. Nic już nigdy nie będzie takie samo.

Usiadłam. On klęczał przy kominku i rozniecał ogień.

— Co się stało? — krzyknęłam.

— Rozkosz! — powiedział i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Absolutna rozkosz!

— Byliśmy tutaj... przez całą noc.

— Jest ósma.

— Ósma... rano!

— Wciąż pada śnieg. Ale znajdziemy drogę do Grange. W dzień będzie łatwiej.

Zakryłam twarz rękami, przypominając sobie wszystko. On podszedł, klęknął obok i odsunął moje dłonie. Pocałował mnie.

— Nie możesz teraz powiedzieć, że mnie nienawidzisz — stwierdził.

— Nie wiem. Nie chcę nawet myśleć, co...

— To było całkiem naturalne. W końcu wcześniej czy później musiało się zdarzyć. Nie martw się. Gdy tylko załatwię wszelkie formalności, weźmiemy ślub. Zabiorę cię ze sobą. Wiesz, że od początku to planowałem.

— Wyjść za ciebie!

— Wyglądasz na zaskoczoną. Mam nadzieję, że nie masz zwyczaju sypiania z przypadkowymi mężczyznami, a potem mówienia im „do widzenia”.

— Ty... ty to zaplanowałaś!

— A tak. Mam umowę z siłami niebieskimi. Kiedy chcę uwieść dziewczynę, mówię tylko: rzućcie jakąś burzę śnieżną i postawcie domek w środku lasu.

— Gdybyś był dżentelmenem, nie wykorzystałbyś takiej sytuacji.

— Ale nie jestem dżentelmenem. Wiesz o tym. Jestem chamem, który nauczył się wykorzystywać każdą okazję, jaka się przytrafi.

— Myślę, że najlepsze co możemy zrobić, to zapomnieć o całej sprawie.

— To niemożliwe. Nie jesteś już dziewicą, Saro, a byłaś nią wczoraj, wchodząc do tego domku. Poza tym, mogą nastąpić pewne... konsekwencje.

— To przypomina koszmar.

— Nocą sytuacja wydawała ci się dość interesująca.

— Dałeś mi whisky, żeby mnie oszołomić.

— Miałem raczej wrażenie, że cię rozbudziłem. Nie jesteś już taką nieśmiałą i zagubioną panienką, za jaką się uważałaś. Przebudziłaś się, moja droga. Dostrzegłaś, że życie to coś więcej niż zbieranie funduszy na kościelny dach. Coś ci powiem: nie jesteś stworzona do samotności. I nie powinnaś się rumienić, gdy nikt tego nie widzi, marnować swej słodyczy na odludziu.

— Nie spodziewałam się po tobie takich poetyckich myśli.

— To nie wszystko. — Chwycił mnie nagle i pocałował w usta. Był to jeden z tych długich, zaskakujących pocałunków, które budziły tak wielki niepokój. — Posłuchaj, Saro. Chcę się z tobą ożenić. Ta noc była tylko początkiem. Byłaś zaskoczona. Zapomniałaś o jadowitym języku. Tej nocy byłaś sobą. Zimno, droga przez las, whisky... zdradziły cię. Zostałaś stworzona do miłości, kochanie, a ja będę twoim nauczycielem w tej pięknej sztuce. A oto co zrobimy. Zaraz musimy ruszać do Grange. Opowiemy dokładnie, co się stało, pomijając, naturalnie, to rozkoszne spoufalenie między nami. Twoje ciotki będą nieco oburzone. Młoda dziewczyna samotnie spędza noc z mężczyzną w domku pośrodku lasu! Zasugeruję, choć nie powiem wprost, gdyż byłoby to niedelikatne i raczej mało prawdziwe, że zachowałem się jak człowiek honoru. Nie położyłem między nami miecza na posłaniu, ale miałem laskę, która go zastąpiła. Nie wspomnę, że zawierała nektar bogów, który rozgrzał nas oboje i zmiotł twoje zahamowania tak, że wyłoniła się prawdziwa Sara. Nie lękaj się. Zostaw to mnie. Nim minie kilka dni, stawię się u ciotek i poproszę o twoją rękę.

— Przestań. To nie jest dowcipne. Jestem wściekła.

— Najdroższa, skoro straciłaś już dziewictwo, nie warto tracić opanowania. Musisz jak najlepiej wykorzystać to, co się stało. Pamiętaj, że nie odpychałaś moich zalotów. Gdybyś była dziewczyną, za jaką chcesz uchodzić, wybiegłabyś półnaga na śnieg. A niczego takiego nie zrobiłaś. Pozwoliłaś, żebym cię uwiódł, i mam wrażenie, że nie sprawiło ci to zbyt wielkiej przykrości. Bądź sobą, Saro. To naturalne: kochać i być kochaną. Będziemy razem szczęśliwi. No chodź. Włóż futro i buty. Już wyschły. Wracamy do Grange. — Zagasił resztki ognia. — Nie chcemy przecież, by wybuchł tu pożar, prawda? — powiedział. — Papuzia Chatka! Na zawsze pozostanie moim ulubionym miejscem. Póki żyję, nigdy nie zapomnę nocy, którą tu spędziliśmy. Jesteś gotowa? Niech na ciebie spojrzę. Tak, wyglądasz inaczej. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek. W twoich oczach błyszczy tajemna wiedza. To potrwa jakieś trzy tygodnie. Muszą odczytać zapowiedzi.

Nie odpowiadałam. Otworzył drzwi i wyszliśmy z chatki do lasu.

Miałam wrażenie, że wciąż śnię i wkrótce się obudzę.

* * *

Do Grange dotarliśmy około południa. Gdy tylko przekroczyliśmy próg, ciotka Mabel wybiegła nam na spotkanie.

— Kochana Saro! — zawołała. — Spędziłaś noc w domu opieki? To było najrozsądniejsze wyjście. Domyśliłyśmy się, oczywiście.

Przez chwilę wahałam się, niepewna, czy nie pozwolić jej w to wierzyć. Potem przypomniałam sobie, że na stacji widzieliśmy Jacka Walla i on może o tym wspomnieć. Nie chciałam wplątywać się w sieć kłamstw.

— Nie — odparłam. — Wróciliśmy wczoraj wieczorem.

— Nie było bryczki i poszliśmy piechotą — wtrącił Clinton. — Zgubiliśmy się w lesie, ale znaleźliśmy schronienie i poczekaliśmy, póki się nie przejaśniło.

Dostrzegłam zdumienie i zgrozę w oczach ciotki Mabel. Schronienie przez całą noc... z mężczyzną! Poczulałam, że się rumienię. Reakcja ciotki Mabel podkreślała niestosowność sytuacji. Gdyby wiedziała, co naprawdę zaszło!

Zjawiła się ciotka Marta.

— Są tutaj — oznajmiła niepotrzebnie ciotka Mabel. — Wrócili wczoraj wieczorem.

— Wczoraj wieczorem... Więc gdzie...?

— Jak to miło, panno Ashington, że tak się pani o nas troszczy — oświadczył Clinton. — Pociąg bardzo się spóźnił. Co chwila stawał po drodze. Usiłowaliśmy wrócić do Grange, ale zamieć nas pokonała. Znaleźliśmy schronienie i musieliśmy z niego skorzystać aż do chwili, kiedy można było ruszyć dalej.

Potrafił rozmawiać z kobietami. Nawet ciotka Marta nie mogła mu się przeciwstawić.

— To wszystko już za nami — mówił dalej. — Może się pani nie martwić, panno Ashington. Zrobiłem wszystko co trzeba, by zatroszczyć się o pani bratanicę.

— Musicie zjeść coś ciepłego — oznajmiła rzeczowo ciotka Marta. — W kuchni znajdzie się gulasz. Mabel, powiedz pani Lamb, by go podgrzała. I na pewno chcecie się przebrać. Zejdźcie za dziesięć minut. Potem z pewnością zechcecie odpocząć.

— Dokładnie tego nam trzeba — odparł Clinton, spoglądając na ciotkę z podziwem.

Byłam zadowolona, gdy udało mi się stamtąd wyrwać. Zrzuciłam ubranie i włożyłam ciepłą, wełnianą suknię. Clinton już czekał, kiedy zeszłam do zimowego salonu. Powtarzałam sobie, że jestem zbyt zdenerwowana, żeby jeść, ale szybko odkryłam, jak bardzo zgłodniałam. Clinton zdawał się odgadywać moje myśli i był wyraźnie rozbawiony.

Potem wróciliśmy do swoich pokojów. Czekala na mnie gorąca kąpiel. Umyłam się, owinęłam w szlafrok i położyłam na łóżku.

Wkrótce potem zjawiła się ciotka Marta.

Na niebie wisiały ciężkie, śnieżne chmury i w pokoju było dość ciemno. Odwróciłam twarz od okna. Bałam się, że ciotka zauważy u mnie coś niezwykłego.

Usiadła w fotelu.

— To bardzo niefortunna sprawa — powiedziała. — Wolalabym, by służący wiedzieli, że wróciliście porannym pociągiem, a noc spędziliście w domu opieki.

— Jack Wall widział, jak wysiadaliśmy — odparłam.

— Katastrofa! — zawołała ciotka Marta. — Będą plotki.

— Ciociu Marto, ruszyliśmy do domu. Ale nie mogliśmy się przedostać. Zgubiliśmy drogę w lesie. Co jeszcze mogliśmy zrobić?

— Ludzie będą mówić.

— Niech gadają! — rzuciłam gniewnie.

— To głupie. Wszystkie plany idą wniwecz. Myślałam, że wyjdiesz za mąż i osiedlisz się tutaj. Napisałam nawet do mojej przyjaciółki z północy. Ma trzech synów... czarujący młodzi ludzie. To bardzo dobra rodzina, choć ostatnio nie najlepiej im się powodzi. Miałam nadzieję, że ty i jeden z nich znajdziecie przyjemność w swym towarzystwie. Mogłabyś wyjść za niego, a on może dałby się przekonać do zmiany nazwiska na Ashington. Gdybyś miała syna...

Czułam, że tracę opanowanie.

— Ciociu Marto! — krzyknęłam. — Przestań. Przestań! Nie mogę tego znieść. Nie wyjdę za jednego z twoich młodych ludzi. Jeśli wezmę ślub, to z tym, kogo sama wybiorę.

— Ależ o co chodzi, Saro? Nie jesteś sobą. Coś nam chyba jesteś winna, przecież wiesz. Czy nie przyjęłyśmy cię tutaj? Co by się z tobą stało? Jesteś nam to winna... i rodzinie... Ale może to nie jest właściwa chwila, by mówić o takich rzeczach. W każdym razie będą plotki. Ludzie zaczną opowiadać, że specjalnie zgubiliście drogę. Takie rzeczy mają niedobry wpływ na reputację młodej dziewczyny.

— Przyjęłyście mnie, ciociu Marto, to prawda. Sądziłam, że dlatego, iż jestem waszą bratanicą i tu jest moje miejsce. Nie wiedziałam, że przedstawiś mi rachunek... że będę musiała zapłacić za wszystko, co dostałam.

— To wulgarne i nie będę więcej o tym mówić. — Ciotka Marta wstała. — Chyba straciłaś zmysły. Jack Wall nie utrzyma języka za zębami. Służba dowie się, kiedy wróciliście, i rozpowiedzą pozostałym. Możesz być pewna, że w ciągu tygodnia całe sąsiedztwo będzie wiedzieć, jak to spędziłaś noc z mężczyzną.

— Przynajmniej doda to trochę pikantności ich zwykle nudnym plotkom.

— Powtarzam ci, że to pogorszy twoje szanse.

— Ciociu Marto! — Wstałam i spojrzałam jej w oczy. — Nie obchodzi mnie to. Po prostu mnie nie obchodzi.

— Później z tobą porozmawiam. Teraz jesteś rozhisteryzowana, ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z powagi tego, co zaszło.

Pomaszerowała do drzwi, a kiedy wyszła, położyłam się znowu. Próbowalam śmiać się z konwencji obowiązujących w tutejszym towarzystwie. Młoda dama powinna raczej zginąć w zamieci, niż szukać schronienia z mężczyzną. Ale naprawdę nie było mnie przez całą noc. Zostałam uwiedziona i pozwoliłam, by to się stało. Usprawiedliwiałam się, że napił mnie whisky, do której nie byłam przyzwyczajona. Ale to żadne usprawiedliwienie. Moja reputacja została zszargana.

Wciąż myślałam o tym, co się wydarzyło. W wyobraźni pojawiały się niewyraźne obrazy, o których wolałabym zapomnieć.

Odmienił mnie. Czułam się jakby rozdwojona. Jakaś część mnie chciała być przy nim, kochać się z nim... a równocześnie go nienawidziłam. I właśnie z powodu tej nienawiści wszystko to było niezwykle ekscytujące.

* * *

Mogłam się domyślić, że zrobi to, co zechce. Podziwiałam jego upór, ale jednocześnie nie mogłam go znieść.

Odbył długą rozmowę z ciotką Martą, o czym opowiedział mi później. Poprosił o spotkanie na osobności, jeśli tylko się zgodzi. A potem rzekł: „Sara jest młoda i niewinna, nie zdaje sobie sprawy z wagi tego, co się stało. Droga panno Ashington, jest pani kobietą światową i rozumie pani, że nie zachwyca mnie sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy. Choć proszę mi wierzyć, panno Ashington, że nie było w tym naszej winy. Próba przejścia przez las w zamieci mogła się skończyć

śmiercią nas obojga. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy szukać schronienia. Rozumiem pani obawy, ale tak się zdarzyło, że od dnia przyjazdu do Anglii pokochałem głęboko pani bratanicę i pragnę uczynić ją swoją żoną. Dla damy tak rozsądnej jak pani, wyda się to może zbyt pospieszne, ale proszę pamiętać, że pani brat jest mi bardzo bliski. Czytałem listy, które Sara do niego pisała. Zanim jeszcze tu przybyłem, miałem wrażenie, że znam ją doskonale. Pani z pewnością to zrozumie, panno Ashington”.

Z powagą kiwnęła głową. Byli parą światowych ludzi, dyskutujących o tym, jak uciszyć plotki i naprawić zło, które na nas spadło.

— „Czy zgodzi się pani, bym poprosił Sarę o rękę?”, spytałem ją — opowiadał dalej. — I wierz mi, skarbie, że z radością udzieliła mi tego zezwolenia. Potem wyjaśniła, że nazwisko Ashingtonow cieszyło się sławą przez całe stulecia. Myślała chyba, że uznam je za dostatecznie sławne, by odrzucić tradycję przyjmowania przez żonę nazwiska męża. Udawałem, że rozważam ten pomysł. Co o tym myślisz?

— Myślę, że tak łatwo przeprowadzone oszustwo musi być wsparte sporą praktyką.

— Kiedy czegoś pragnę, zdobywam to. Nic nie stanie mi na drodze, jeśli tylko mogę jakoś temu zaradzić.

— Nie masz skrupułów.

— Możliwe. Teraz, za zgodą ciotki Marty, padnę przed tobą na kolana, droga Saro, i zapytam: „Czy wyjdiesz za mnie?”

— Oszczędź sobie wysiłku — odparłam.

Uśmiechnął się do mnie czule i choć wiedziałam, że to fałszywy uśmiech, wzruszył mnie do głębi.

Śnieg padał jeszcze przez tydzień, a potem nadeszła odwilż. Clinton jeździł do Londynu, ale pogoda nie pozwalała, bym ja mogła odwiedzić ojca.

— Nie chcę, by powtórzyła się ostatnia podróż — orzekła posepnie ciotka Marta.

Ukradkowe spojrzenia służby świadczyły, że plotkują między sobą. Dziewczeta Cannonów były aż nadto serdeczne i nie mówiły o sprawie. Myślałam o tym, jak nudne byłoby moje życie w takim otoczeniu. Pewnie wyrosłabym na kogoś takiego jak moje ciotki. Ale one nigdy nie przeżyły takiej przygody jak ja. Chociaż, skąd mogłam mieć pewność? Może ciotka Marta i ten kochanek, który chciał poślubić jej siostrę...

Mogłam sobie wyobrazić, co mnie czeka. Zjawi się trzech odpowiednich dżentelmenów. Z dobrej rodziny, ale w trudnej sytuacji... tak trudnej, że jeden z nich zgodzi się ze mną ożenić i zmienić nazwisko, abym mogła urodzić syna, dziedzica Ashingtonów.

Było to tak śmieszne, snobistyczne, niewiarygodne...

Mój ojciec umierał. Marzenia, że będę razem z nim, rozplynęły się. Miałam wybór — wybór tak podniecający, że na samą myśl serce skakało mi w piersi.

Tęskniłam za Clintonem. Bez niego dni wydawały się długie, długie i puste. Kiedy był w domu, zamykałam na klucz drzwi sypialni, gdyż oczekiwałam niemal, że złoży mi wizytę.

Ale nie zrobił tego. Dostrzegłam kpiący wyraz jego oczu. Miałam wrażenie, że odkrył we mnie tajemnice, których sama nie znałam. Zmusił mnie do intymności, która odsłoniła wiele nie tylko jemu, ale również mnie.

Czekałam na jego powrót... czekałam na niego.

W głębi serca wiedziałam, że popełniam błąd. Czy można poślubić człowieka, którego się nie kocha? Czy to możliwe, by odczuwać niepowstrzymany fizyczny pociąg do mężczyzny, którego honor budził wątpliwości, w którym poznałam jednego z korsarzy życia, bez żadnych skrupułów biorących co chęć? Byłam pewna, że miał już wiele kobiet.

Gdy tylko zniknął śnieg, pojechałam do ojca. Tęsknił za mną. Dostrzegłam, że jest bardzo słaby. Po długim niewidzeniu było to bardziej wyraźne.

Powiedział, że odwiedził go Clinton i opowiedział o swoich uczuciach do mnie.

— Tak się cieszę, Saro. Wyznał, że jest pewien twojej miłości, gdyż wyraźnie mu to zasugerowałaś.

Siedziałam i dęsałam się w milczeniu. Jak on śmiał!

— Moja kochana Saro — mówił dalej ojciec. — Umrę szczęśliwy wiedząc, że ty i Clinton macie się pobrać.

— Czy takiego mężczyznę chciałbyś na swojego zięcia?

— On jest silny, mądry. Plantacja Shawa, odkąd ją przejął, stała się najlepsza na całym Cejlonie. Bardzo mi pomagał. Miałem problemy, Saro, i dobrze było mieć go za sąsiada. Wiele mu zawdzięczam. Często się zastanawiałem, dlaczego nie weźmie sobie żony. Sądzę, że nie podobały mu się tamtejsze Angielki. Zawsze pociągał kobiety i sam je lubił. Jednak wierzę, że wyruszył do Anglii z zamiarem zawarcia małżeństwa.

— To dość wyrachowane, ojczu.

— Och, to nie to samo co wybierać sobie garnitur czy dom, sama wiesz. Po prostu miał nadzieję, że kogoś pozna. Dużo mu o tobie opowiadałem. Czytałem mu nawet twoje listy. Pamiętam, że powiedział kiedyś: „Lubię Sarę. Nie mogę się doczekać spotkania z nią”. Można powiedzieć, że podjął decyzję jeszcze zanim cię zobaczył. Jesteś bardzo atrakcyjna, Saro, w bardzo niezwykły sposób. Och, byłbym szczęśliwy. Zawsze czułem się winny wobec ciebie. Byłaś tak zabawnym dzieckiem. Odkąd matka cię zabrała, nie miałem z tobą kontaktu. To taka rozkosz znowu cię widzieć.

— Wyzdrowiejesz — oświadczyłam stanowczo. — Zabiorę cię na Cejlon. Będę zbyt zajęta pielęgnowaniem ciebie, żeby myśleć o małżeństwie...

Pokręcił głową.

— Oboje znamy fakty, Saro. Spójrzmy prawdzie w oczy. Nigdy nie wrócę na Cejlon. Ale ty musisz tam pojechać... z Clintonem.

Clinton zjawił się w domu opieki. Chciał wrócić do Grange na dzień czy dwa. Oświadczył, że to wielkie szczęście mieć przyjaciół na wsi, gdzie można odpocząć po trudnych rozmowach z agentami.

— Przypuszczam, że są twardzi jak zwykle — powiedział ojciec.

— Twardsi! Usiłują zagarnąć dla siebie cały zysk z herbaty.

Kiedy w pociągu zostaliśmy w przedziale sami, usiadł obok i objął mnie ramieniem.

— Tęskniłem za tobą — powiedział. — Czy powiemy o wszystkim, kiedy wrócimy do Grange?

Nie odpowiadałam. Nie mogłam, ponieważ przyciągnął mnie do siebie i pocałował gwałtownie.

— Będzie cudownie — powiedział w końcu. — Obiecuję ci to. Zgodnie z prawem... pomyśl tylko!

— Jeszcze się nie zgodziłam.

— Zgodzisz się... dziś wieczorem.

— Jeżeli ktoś zamierza wziąć ślub, czy nie powinien być zakochany?

— To zależy, co rozumiesz przez słowo „miłość”.

— Wydawało mi się, że definicja jest dość prosta.

— Miłość — mruknął. — Najbardziej kusząca rzecz na świecie. Miłość ciała... miłość duszy... Miłość grzeszna i święta. Znasz i kochasz moje ciało, droga Saro. Moja dusza jest tajemnicą i będziesz ją odkrywać stopniowo. Niewiele jest rzeczy bardziej ekscytujących niż wyprawy badawcze... chyba że to miłość, taka jaką znamy... ty i ja razem.

— Wykorzystaliśmy niezwykłą sytuację.

— Takie właśnie jest życie, Saro. Trzeba zawsze wykorzystywać niezwykle sytuacje. Co wybierzesz... to oszalałające życie ze mną i wyprawy badawcze... czy pozostanie tutaj? Panny Cannon niewątpliwie wciągną cię do pracy, a dach kościoła z pewnością na tym skorzysta. Będziesz musiała zachować w tajemnicy to, że najbardziej podniecającą noc swego życia spędziłaś ze swoją prawdziwą miłością w Papuziej Chatce.

— Nie mam zamiaru słuchać takich bzdur.

— A ja powiem ciotce Marcie, że chcemy się pobrać. Jeszcze dziś wieczorem porozmawiam z wielebnym Cannonem w sprawie zapowiedzi.

Nie odpowiadałam. Odsunęłam się od niego i usiadłam, splatając dłonie. Drżałam z podniecenia. Słuchałam stukotu kół pociągu: „Wyjdź za niego. Wyjdź za niego. Tak, tak, tak, wyjdź za niego”.

Myślałam: Tak. Zrobię to. To błąd. Wiem o tym. Ale wyjdę za niego.

* * *

Miałam wrażenie, że ciotka Marta przyjęła to z ulgą. Ciotka Mabel oczywiście też. W ich oczach było to jedyne słuszne rozwiązanie, a wciąż jeszcze miały złudną nadzieję, że zdołają przekonać Clintona do zmiany nazwiska na Ashington. Nim minie rok, będę miała syna i zanim ciotki odejdą z tego świata, zdążą zobaczyć go z żoną, a w galerii portret tej żony z Perłami Ashingtonów. I wtedy, zakończywszy swą misję, będą mogły powiedzieć *nunc dimittis* i odejść w pokój. Ignorowały fakt, że starsza córka ojca miała syna, który urodził się przed moim dzieckiem. Ale on nie nazywał się Ashington i ciotka Marta wyraźnie uważała, że potrafi ominąć tę przeszkodę.

Myślałam o tym bajecznym dziedzictwie. Podniecona wszystkimi wydarzeniami, nie rozmawiałam z ojcem o perłach. Skoro mama została sportretowana w naszym jniku, uznałam, że są na Cejlonie.

Ogłoszono zapowiedzi i jestem pewna, że cała plebania odetchnęła z ulgą, ponieważ moja nieprzyjemna sprawa nocy w lesie doczekała się najwłaściwszego zakończenia. Effie Cannon, która sama miała wkrótce zostać panną młodą, zgodziła się być moją druhną, a doktor miał mnie prowadzić do ołtarza. Wybraliśmy prostą ceremonię i to mi odpowiadało, gdyż im bardziej zbliżał się ten dzień, tym większe targały mną wątpliwości. Bywały chwile, gdy pytałam samą siebie, czy w ogóle wiem, co robię. Miałam wrażenie, że moje zmysły i rozsądek walczą ze sobą. W noc przed ślubem byłam naprawdę przestraszona.

Co o nim wiesz, pytałam siebie. Bardzo mało. Więc dlaczego... dlaczego?

Wiedziałałam tylko, że mnie porywa, że budzi namiętności, które tłumią wszelkie inne uczucia. Gdy był przy mnie, sama siebie nie mogłam zrozumieć. Wszystko to z powodu jednej nocy w chatce! To prawda, nauczył mnie czegoś; przekonał, że jeśli wyjedzie na Cejlon beze mnie, przez całe życie będę żałować i tęsknić. Czy chciałabym zostać tu i stać się kimś podobnym do dziewcząt Cannonów? Może byłam równie mocno jak ciotki przywiązana do konwenansów i w głębi serca wierzyłam, że należą do niego z powodu tego, co zaszło między nami. I ten fakt musi wpłynąć na resztę mojego życia. On także rozbudzał we mnie takie uczucia. To należało do jego strategii.

I oto zaszłam aż tak daleko.

Nadszedł dzień ślubu. Gdy stałam przy ołtarzu, miałam wrażenie, że słyszę w myślach ostrzegawczy głos. „Czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża?”, zapytał wielebny Peter Cannon. A ja chciałam krzyknąć: Nie. To pomyłka. Pozwólcie mi się jeszcze zastanowić.

A jednak, gdybym nawet mogła przerwać ceremonię, nie zrobiłabym tego.

Podpisaliśmy akt ślubu, przeszliśmy nawą, on mnie prowadził. Widziałam twarze wielu osób siedzących w ławkach. Na mój ślub zjechała cała okolica. Służba stała pod drzwiami. Dostrzegłam panią Lamb i Ellen. Mogłam sobie wyobrazić, jak szepczą: „No tak, to jedyne właściwe rozwiązanie... Po tym, co się stało...”

Gdzieś w głębi umysłu tkwiła ta sama myśl: jedyne i właściwe.

Przyjęcie odbyło się w Grange. On je przygotował.

— Jest pani dla nas zbyt dobra — powiedział ciotce Marcie. — Proszę zostawić to mnie.

Ciotka Marta protestowała, gdyż przygotowanie przyjęcia należy do rodziny panny młodej.

— Jest pani zbyt światową kobietą, by przejmować się tym, co inni robili w przeszłości — brzmiała jego odpowiedź.

Odwróciła się poruszając wargami, co oznaczało zadowolenie.

Piliśmy więc szampana, jedliśmy doskonale dania podawane przez firmę Fortnum i Masonn. Wiedziałam, że służbie to się nie spodoba. Wyobrażałam sobie, jak mówią: „Więc nie jesteśmy dostatecznie dobrzy! Trzeba było ściągać wszystko z Londynu”.

Kiedy odeszli goście, wyszliśmy na spacer do lasu. Milczałam i on także. Zmienił się, stał się czuły i kochający. Zapewniał, że nigdy nie pożałuję tej decyzji. Mówił z takim przekonaniem, że przez chwilę mu wierzyłam.

Wróciliśmy do Grange. Ciotka Marta umieściła nas w pokoju, który nazywała apartamentem nowożeńców, gdzie od dwustu lat spędzali noce nowo poślubieni z rodu Ashingtonów.

Pamiętam, co opowiadała o tym pokoju moja mama: Wielki, mroczny pokój, pełen duchów panien zmuszanych do małżeństwa. Podobno jedna wyskoczyła przez okno, gdy mąż wszedł do sypialni.

Clinton zamknął drzwi i odwrócił się do mnie. A potem wziął mnie na ręce i posadził na łóżku.

— Bardziej ci to odpowiada, skarbie, niż twarda podłoga Papuziej Chatki.

— Nie wątpię, że tobie także.

— Papuzia Chatka była tamtej nocy rajem.

— Taki raj pewnie nie był dla ciebie nowością.

Przysunął twarz do mojej i roześmiał się.

— Kochana Saro, będziesz zazdrosną żoną, prawda?

— Zazdrosną? O ciebie! Oczywiście, że nie.

— To dobrze. Zazdrosne kobiety są nudne.

— Mężczyźni też, jak sądzę. Pocałował mnie.

— Nie możesz się zmienić, Saro. Zawsze musisz mnie chłostać językiem. Zawsze musisz mnie kochać i nienawidzić. Uwielbiam tę mieszaninę.

Zaczął rozpinać mi suknię.

— Sama to zrobię.

— Więc pospiesz się, bo będę zmuszony ci pomóc.

Nie miałam wątpliwości co do swoich uczuć. Kiedy leżałam w jego ramionach, powiedział, że mnie kocha, że daje mu rozkosz większą niż wszystkie inne kobiety. Jeśli nawet pomyślałam, że to nie całkiem właściwe, by w noc poślubną mąż porównywał swą żonę z innymi kobietami, nie powiedziałam tego. Zaakceptowałam to. Zaakceptowałam jego. Mogłam zapomnieć o wszystkim, kiedy byliśmy razem, tak jak teraz.

Potrafiłabym niemal przekonać siebie, że go kocham.

Następnego dnia pojechaliśmy do ojca. Był zachwycony, że wzięliśmy ślub.

— Teraz — powiedział — nie będę się o ciebie martwił, Saro.

— A martwiłeś się?

— Mogę sobie wyobrazić, jakie byłoby twoje życie z ciotkami. Niezbyt przyjemne dla młodej dziewczyny. Clinton zabierze cię na Cejlon. Jakże chciałbym tam być!

Wypiliśmy szampana w jego pokoju. Martwiłam się, czy mu to nie zaszkodzi. Lecz kiedy pielęgniarka powiedziała, że nie, posmutniałam. Wiedziała, co to oznacza: już nic nie może mu zaszkodzić ani pomóc.

Siedzieliśmy obok łóżka i rozmawialiśmy długo. Potem wróciliśmy do Grange.

Następnego dnia wybraliśmy się na konną przejażdżkę. Clinton chciał jeszcze raz spojrzeć na Papuzią Chatkę.

Przywiązaliśmy konie, a on wszedł przez okno do środka. Otworzył przede mną drzwi. Kiedy przekroczyłam próg, chwycił mnie w ramiona i zakręcił w koło.

— Kochana Papuzia Chatka — powiedział. — To była pamiętna noc, prawda, Saro?

— Z pewnością wywarła duży wpływ na nasze życie.

— Myślisz, że gdyby nie to, nigdy nie zgodziłabyś się wyjść za mnie. To było jak pocałunek Księcia na ustach Śpiącej Królowy. On rozbudził ją do życia, pamiętasz? Bardzo wiele bajek ma znaczenie symboliczne.

— Pamiętam, że obiecałeś opowiedzieć mi bajkę o dzieciach zagubionych w lesie. Czy twoje literackie gusta nie są odrobinę infantylne?

— Moje gusta są odpowiednie w każdych okolicznościach. — Podszedł do kominka. — Wciąż jest tu popiół. Nie przyszło ci do głowy, jakie mieliśmy szczęście? Drewno w szopie, świece, latarnia, koce... — Wybuchnął śmiechem. — Wydajesz się zdziwiona, najdroższa. Czy nie pomyślałaś Saro, że to my byliśmy zagubionymi dziećmi, którymi Bóg się zaopiekował?

— Z pewnością los nam sprzyjał.

— Mówią, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Sądzę, że to odnosi się także do boga przypadku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mówiłaś, że jestem pomysłowy, wykorzystuję okazje. Nie jestem pewien, czy w pełni zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jestem pomysłowy i jak stwarzam te okazje. Nie warto polegać na losie. Jeśli góra nie przyjdzie do Mahometa, Mahomet musi przyjść do góry.

— Lubisz przenośnie — powiedziałam. — Nie mogłeś zorganizować śnieżycy. Przypuszczam, że to przekracza nawet twoje możliwości.

Uśmiechnął się.

— Śnieg był prawdziwy. Cóż to była za noc. Pogoda fatalna, i, jak pamiętasz, pogarszała się stale. Papuzia Chatka spodobała mi się od pierwszej chwili. Pomyślałem, jak przyjemnie byłoby spędzić tam trochę czasu tylko we dwoje.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

— Chcę ci uświadomić, jak pomysłowego masz męża. Pamiętasz tę mgłę, gdy pierwszy raz ujrzeliśmy chatkę. Przyszło mi wtedy do głowy, że łatwo byłoby zgubić drogę w lesie. Ty i ja... zagubieni, wędrujący w koło, ręka w rękę... Docieramy do Papuziej Chatki. Jesteśmy zmęczeni. Postanawiamy tu odpocząć. Na zewnątrz jest zimno i ciemno. W szopie czeka drewno i... coś za cud... ciepłe koce. Sama widzisz, jak pracuje mój romantyczny umysł.

— Widzę wyraźnie. Drewno już tam było.

— Tak, to podsunęło mi pomysł.

— A koce, latarnie?

— Przezornie dostarczone przeze mnie, na wszelki wypadek.

— Ale skąd mogłeś wiedzieć...?

— Nie wiedziałem. Mogło nic z tego nie wyjść. Ale kiedy nadarzyłaby się okazja, scena została przygotowana. To pierwsza lekcja w drodze do sukcesu. Sama tworzysz swoje okazje, a kiedy

nadejdzie czas, jeśli nadejdzie, jesteś gotowa. Zauważ, że czas może nigdy nie nadejść. Zaryzykowałem. A potem ten błogosławiony śnieg... wizyta w Londynie... żadnego powozu na stacji. Sama widzisz, że to było szczęście. To był Bóg pomagający tym, którzy sami sobie pomagają.

— Więc ty to przygotowałaś!

— Oczywiście. Możesz mi pogratulować. Byłem sprytny, prawda?

— Ale zgubiliśmy się w lesie.

— Ja nie zgubiłem drogi. Droga Saro, widzisz teraz, jak ciebie pragnąłem. Wiedziałem, że pod tą gwałtowną niechęcią kryje się namiętna, młoda kobieta... kobieta, która potrzebuje miłości. Moim obowiązkiem było pokazać ci, kim jesteś, ocalić cię, zanim staniesz się taka jak ciotki lub panny Cannon... Och, osoby godne pochwały, zgoda, ale to nie dla ciebie, Saro. Stanowczo nie dla ciebie. Jesteś stworzona do miłości i wiesz o tym. Kiedy los okazał się łaskawy i zesłał śnieg, spóźnienie pociągu i brak powozu... wtedy mogłem należycie odegrać swoją rolę. Byłem pewien, że znajdę drogę do chatki. Mogłem tam dojść z zamkniętymi oczami. Widzisz, Saro, przechytryłem cię w twoim własnym lesie. Takim właśnie jestem człowiekiem.

— Jesteś diaboliczny! — oznajmiłam.

— Przyznaj, że takiego mnie lubisz.

Milczałam. Myślałam o wszystkim, co zrobił... Przyniósł tu koce, upewnił się, że potrafi rozpalic ogień... Zaczęłam śmiać się wraz z nim.

— Las ma własną magię — powiedział. — Kiedy się ściemni, drzewa przybierają kształty potworów. Żyją tu dawni bogowie: Odyn, Thor i cała reszta. Czujesz ich obecność... Są po stronie odważnych. Przybywają na pomoc tym, którzy sami sobie pomagają.

— Z pewnością byli po twojej stronie.

— I co o mnie myślisz teraz, gdy już wiesz, jak przygotowałem scenografię?

— Powtórzę, że jesteś diaboliczny. Dobrze zagrałeś swoją rolę. Nawet przez chwilę się nie domyślałam...

— Gdybyś się domyśliła, zerwałabyś przedstawienie. Jestem zbyt dobrym graczem, by do tego dopuścić.

— Zastanawiam się, jaki jesteś, gdy przestajesz grać i stajesz się po prostu sobą.

— Ta przyjemna mała zagadka będzie zaprzętać twoje myśli przez najbliższe lata.

— Skąd mam wiedzieć, kiedy mogę ci ufać?

Ujął moją twarz w dłonie i pocałował.

— Serce ci powie — odparł. Niecierpliwie strząsnęłam jego rękę.

— Kiedy zachowujesz się romantycznie i sentymentalnie, wtedy wiem, że udajesz.

— Nie bądź tego taka pewna, Saro. Przy mnie niczego nie bądź pewna.

Roześmiał się i odwrócił. Podszedł do tylnych drzwi.

— Gdzie idziesz? — spytałam.

— Po koce.

— Nie! — krzyknęłam.

Ale wrócił z nimi. Rozłożył je na podłodze, a potem wziął mnie w ramiona.

* * *

Następne tygodnie spędziłam przy łożu ojca. Było jasne, że zbliża się jego koniec. Niewiele miałam czasu, by myśleć o sobie czy o przyszłości. Clinton powiedział, że dopóki ojciec żyje, nie możemy opuścić Anglii. Gdy umrze, natychmiast wyjedziemy na Cejlon.

Nadszedł luty i pojawiły się pierwsze krokusy, fioletowe, białe i złociste. Niosły wieść, że choć zima wciąż jest z nami, niedługo już wiosna. Na brzegach stawu wyrosły żółte kwiaty podbiału. W zacisznych miejscach pokazały się chelidonie, zielone pędy bzu i chwasty, zwane tutaj owczymi ogonkami. Wielkie dęby w lesie nie straciły zimowego wystroju. Miało minąć jeszcze kilka tygodni, zanim zmiana będzie dostrzegalna. Słuchałam śpiewów godowych czajek. Celia nauczyła mnie rozpoznawać głosy ptaków. To był melancholijny śpiew... pii-lit... pit... lili-o-lit. Tak to mniej więcej brzmiało. Nie śpiewały wesoło.

Wiosnę nazywano wrotami roku. Ta wiosna z pewnością była dla mnie wrotami do nowego życia.

Moje myśli wciąż krążyły wokół ojca. Wkrótce miał umrzeć, a wtedy naprawdę rozpocznie się dla mnie coś zupełnie nowego.

Cejlon! Kraj, o którym tak wiele słyszałam. Marzyłam, że kiedyś tam pojedę, choć nigdy nie przypuszczałam, że z mężem.

Mój ojciec zmarł bez cierpień na początku marca. Ciało przewieziono do Grange, by pochować wśród przodków.

Dzień był zimny i wietrzny, ale słoneczny. Pogrzeb zorganizowano zgodnie z tradycją, a żałobnicy mieli wrócić z cmentarza na sherry i kanapki.

To była wzruszająca ceremonia. Kiedy stojąc nad grobem spoglądałam na trumnę ojca, myślałam o matce, leżącej tak blisko niego. O tym, jak smutne było ich życie i jak niezgodne charaktery. A jednak kochałam ich oboje. Próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby żyli razem jak normalne małżeństwo.

Życie jest dziwne. Ich było burzliwe. A co z moim? Jak się ułoży?

Clinton stał obok i trzymał mnie pod rękę, gdy wracaliśmy razem do Grange.

Poczęstunek podano w holu i kiedy nagle ujrzałam Toby'ego, myślałam, że śnię. Stał przede mną. Wyglądał trochę poważniej niż wtedy, gdy ostatni raz widziałam go w Londynie, ale z pewnością był to ten sam Toby. Ogarnęła mnie radość.

— Toby! — krzyknęłam.

Wziął mnie za rękę.

— Saro... urosłaś!

— Tyle czasu minęło.

— Och, jak dobrze cię znowu widzieć. Szukałem cię przy Denton Square. Nikt nie wiedział, gdzie wyjechałaś. Odwiedziłem Toma Mellora. Powiedział, że twoja matka rzuciła scenę i wyjechała do rodziny męża. Zobaczyłem w gazecie nekrolog twojego ojca i przyjechałem natychmiast. Twoim ciotkom powiedziałem, że jestem starym przyjacielem, więc zaprosiły mnie do domu.

Oślabłam ze wzruszenia. Chciałam przytulić się do niego i płakać. Przypomnił mi wszystko tak wyraźnie: lunch w Café Royal... nasz spisek przeciwko matce, którą oboje adorowaliśmy.

— Co robisz w Anglii?

— Jestem tu od miesiąca. Wkrótce wracam do Delhi.

— Podoba ci się tam?

Kiwnął głową.

— Ale dobrze jest wrócić do Anglii.

Pomyślałam o Clintonie, który przyjechał tu, żeby znaleźć żonę.

— Ożeniłeś się, Toby? — spytałam.

— Nie.

— Jesteś już dostatecznie dorosły.

— Obawiam się, że zawsze byłem trochę opóźniony.

Uśmiechnęłam się. Uwielbiałam tę jego odrobinę przepraszającą minę. W Tobym nie było nic aroganckiego. Zauważyłam, że podświadomie porównuję go z Clintonem.

— Kiedy wracasz?

— Zamierzałem spędzić tu jakieś dwa miesiące. Mogę to trochę przedłużyć. — Zobaczyłam błysk w jego ciemnoniebieskich oczach. — Wiele o tobie myślałem — mówił dalej. — Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje. Wiadomość o śmierci twojej matki była dla mnie szokiem.

— Więc słyszałeś o tym?

— Tak. Kiedyś poszedłem na kolację z przyjacielem, rozmawialiśmy o teatrze. Ktoś powiedział, że Irena Rushton rzuciła scenę po tym skandalu z Herringfordem, wyjechała na wieś i zmarła. Byłem taki wstrząśnięty... I wciąż myślałem, co stało się z tobą.

— Jak widzisz, mieszkalam z ciotkami.

— Ty... tutaj... w takiej okolicy. Nie wiem czemu, Saro, ale wydaje mi się to dziwne. Wynająłem pokój w zajezdni „Foresters”. Znasz go?

— Tak — odparłam.

— Zostanę tam przez jakiś czas. Znalazłem cię w końcu. Mam ci tyle do powiedzenia.

— Wiele się zdarzyło od naszego ostatniego spotkania, Toby — powiedziałam. — Kilka tygodni temu wyszłam za męża.

Nie byłam przygotowana na ten wyraz bólu na jego twarzy. Patrzył na mnie tępo i niedowierzająco. To było jak odbicie moich własnych uczuć. Dokładnie wiedziałam, co czuje, gdyż czułam to samo.

— To wszystko zdarzyło się dość nagle — powiedziałam szybko. — Ojciec wrócił z Cejlonu i przywiózł Clintona Shawa. Wkrótce odpływam z Clintonem na Cejlon... — O czym ja mówiłam? Co zrobiłam? Toby wrócił do domu, szukał mnie, a ja wyszłam za Clintona Shawa!

— No cóż — rzucił Toby. — Życzę wam szczęścia. Kiedy... odpływacie na Cejlon?

— Wkrótce. Czekaliśmy z powodu ojca. Chorował już bardzo długo. Wiedzieliśmy, że umrze. Na twarzy Toby’ego widoczne było cierpienie.

— Chciałbym zobaczyć cię raz jeszcze... nim wyjadę — powiedział. — Tak wiele mam pytań.

— Jutro — odparłam. — Pójdziemy na spacer do lasu.

Wiedziałam, że wczesnym rankiem Clinton wyjedzie do Londynu. Spieszyło mu się z przygotowaniami do wyjazdu.

* * *

Później tego dnia przybył adwokat, by odczytać ostatnią wolę ojca. Zebraliśmy się w bibliotece: ciotki, Clinton i ja.

Testament był prosty. Kilka legatów dla zarządcy i paru robotników z plantacji. Główna część spadku przypadła mojej siostrze Clytie i mnie. Perły Ashingtonów miały pozostawać w posiadaniu Clytie do chwili, gdy przekaze je żonie swego syna. Ojciec zostawił jej swój dom na Cejlonie i inne dobra, ale samą plantację odziedziczyła ja.

Spojrzałam na ciotki. Na twarzy Marty zauważyłam rumieniec, świadczący o tłumionym gniewie. Ale czego właściwie się spodziewała? Zgodnie z tradycją, perły powinny przypaść synowi. Lecz jeśli syna nie było, naturalnie czasowo otrzymała je najstarsza córka. Ona miała syna i w odpowiednim czasie perły dostanie jego żona.

Byłam zbyt podniecona moją częścią spadku, by myśleć o tym, co dostała Clytie.

Plantacja. Moja!

Clinton obserwował mnie uważnie. Oczy błyszczały mu ciepłem.

* * *

Clinton był bez wątpienia zadowolony. Miał mnóstwo planów.

— Możemy połączyć plantacje — powiedział. — I prowadzić je jako jedną.

— To absurdalne. Jestem właścicielką plantacji, a w ogóle się na tym nie znam — odparłam.

— Moja droga, masz męża, który sporo wie.

Odczuwałam oszołomienie tym wszystkim: bólem po stracie ojca i jeszcze jednym uczuciem, którego wolałam dokładniej nie analizować. Wiązało się z powrotem Toby'ego i emocjami, jakie we mnie rozbudził. Na jego widok znów powróciła radość, pamiętana z czasów, gdy przychodził do domu i odbywaliśmy te tak zwane lekcje, kiedy wymykaliśmy się na odkrywcze wyprawy.

Dlaczego musiał wrócić właśnie teraz? — pytałam siebie. Myślałam o przyszłości i byłam pełna obaw.

* * *

Poszliśmy do lasu. Był bardzo poważny. Nigdy go takiego nie widziałam.

— Opowiedz mi o tym, Saro — poprosił. — Powiedz mi wszystko.

Więc powiedziałam mu o Everardzie, o tym, co się stało. Jak moja mama nie mogła dostać pracy, jak Meg dała się w końcu namówić do wyjazdu na wieś i jak nie miałyśmy wyboru i musiałyśmy przyjechać do Grange.

— Nienawidziła tego, Toby. To było naprawdę smutne. Początkowo nie zdawałam sobie sprawy z tego, co ona czuje. Ciotki zatrudniły dla mnie guwernantkę, Celię Hansen. Odeszła po śmierci mamy. Dostała jakieś pieniądze i wyjechała z kuzynką za granicę. Nie widziałam jej od tamtego czasu, chociaż zaprzyjaźniłyśmy się bardzo.

Tak łatwo było rozmawiać z Tobym. Opowiedziałam mu, jak umarła mama, i o tej strasznej nocy, gdy znalazłyśmy ją z gorączką przy otwartym oknie. To był smutny koniec jej wspaniałego życia.

— Była bardzo piękna — powiedział.

— Podziwiałeś ją. Ale byłeś inny od pozostałych... wystarczała ci adoracja z daleka i to, że mogłeś jej pomóc, zdejmując z barków kłopotliwą córkę.

— To była jedna z największych przyjemności, jakie spotkały mnie w życiu — odparł z powagą. — Pamiętam dokładnie nasze zabawy.

Wspominaliśmy drobne zdarzenia, żarty i śmiechy.

— Szczęśliwe dni — powiedział. — Dopóki nie minęły, nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele dla mnie znaczyły.

— Jak ci idą interesy, Toby?

— Całkiem nieźle. Chyba odkryłem w sobie pewne zdolności. Ojciec jest przyjemnie zaskoczony.

— Ty pewnie także.

— Nigdy nie sądziłem, że będę człowiekiem interesu.

— To musiało być zadziwiające odkrycie, że tak dobrze sobie radzisz.

— Całkiem dobrze — odparł ze śmiechem.

— To twoja pierwsza podróż do Anglii od wyjazdu?

— Wiesz, to bardzo daleko, a zawsze jest tyle pracy.

— Czy przybyłeś tutaj... jak inni mężczyźni... żeby znaleźć żonę?

To było głupie pytanie i natychmiast sobie to uświadomiłam. Na jego twarzy znowu pojawił się ból. Powiedział nagle, jakby odslaniając się:

— Dlaczego byłaś taka młoda, Saro, kiedy wyjeżdżałem? Milczałam. Tych kilka słów tak wiele mi wyjaśniło.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Czułam mocne zapachy lasu i wierzyłam, że już na zawsze będą mi przypominały tę chwilę. Wilgotna ziemia, mech, sosny, i trawa, w której zaczynały się pokazywać zawilce. Leśne wróżki śpią nocą w kwiatach, dlatego kwiaty zwijają płatki, żeby wróżkom było ciepło. Cóż za dziwaczna myśl w takiej chwili!

— Nie pisałeś do mnie — powiedziałam.

— Nigdy nie lubiłem pisanie listów. Ale napisałem dwa razy i nie otrzymałem odpowiedzi.

— Musiały trafić do domu przy Denton Square.

Kiwnął głową.

— Jesteś szczęśliwa? — zapytał.

Zawahałam się.

— No... tak.

— On wygląda... dystyngowanie.

— Chyba można go tak określić. Ma plantację obok plantacji ojca... znaczy teraz mojej.

— Musiałaś tu prowadzić życie zupełnie inne niż za dawnych czasów.

Minęliśmy ścieżkę prowadzącą do Papuziej Chatki. Unikałam jej. Nie chciałam jej oglądać. Myślałam, jak różnie zachowałby się Toby w takich okolicznościach. Rycerski, opiekuńczy, godny zaufania... taki właśnie był.

— Chyba powinniśmy wracać do domu — powiedziałam.

Nie oponował. Zawróciliśmy.

— Nie będziemy daleko od siebie — powiedział, kiedy zobaczyliśmy Grange. — Wracam do Indii, a ty zamieszkasz na Cejlonie.

— To blisko... na mapie.

— Bądź szczęśliwa, Saro.

— Spróbuję. I ty też, Toby.

Nie wszedł za mną do domu. Ujął moją dłoń, przytrzymał przez chwilę i tylko dwukrotnie wymówił moje imię. Ogarnęła mnie nagła złość na los i krzyknęłam:

— Dlaczego tak długo zwlekałeś z powrotem? Przecież to mamę kochałeś. Ja byłam tylko dzieckiem.

— To byłaś ty — odparł. — Przekonałem się o tym. To byłaś ty... wtedy i na zawsze. Żegnaj, Saro. — Przeciągle ucałował moją dłoń.

Miałam szaloną chęć powiedzieć mu, że się boję, że nie kocham mężczyzny, za którego wyszłam. Po prostu przytłaczał mnie i budził pewne namiętności, którym nie mogłam się oprzeć.

Nie kocham go, chciałam zapłakać. Tylko ciebie, Toby, ciebie. Teraz to rozumiem. Będąc jego żoną, pojmuję to całkiem wyraźnie. Pragnę delikatności, miłości, a nie tego dzikiego szaleństwa, które on we mnie budzi. Toby jakby to rozumiał.

— Będziemy blisko siebie. Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała...

Wróciłam do pokoju. Zamknęłam drzwi. Powiedziałam do siebie:

— Toby, och Toby, dlaczego wróciłeś tak późno!

Wachlarz z pawich piór

Gorączkowo przygotowywałam się do wyjazdu z Anglii. Należało zaakceptować życie, jakie sobie wybrałam. Musiałam nauczyć się kochać męża i szlachetniejszym uczuciem wzbogacać zmysłowe pragnienia. Clinton Shaw z wielu powodów był godny podziwu. Ojciec cieszył się, że został on moim mężem, i wierzył, że nic lepszego nie mogło mi się przytrafić. Clinton miał w sobie siłę i stanowczość, dwie cechy prawdziwego mężczyzny. Zauważyłam, że bez trudu zdobywa łaski kobiet. Był w tym niezrównany. Potrafił się o mnie troszczyć i to powinno mnie uspokajać. Cechowała go wyjątkowa szczerość; nigdy nie próbował udawać kogoś, kim nie jest. Chyba że planował jakieś wielkie oszustwo — jak wtedy, gdy zwabił mnie do Papuziej Chatki.

Musiałam pogodzić się z jego wadami i myśleć o zaletach. Wrażenie, jakie wywarło na mnie ponowne, tak krótkie pojawienie się Toby'ego w moim życiu, uświadomiło mi zupełną bezbronność. Wpadłam prosto w ramiona Clintona i odkryłam pewne ukryte cechy swej natury, bez których z pewnością wolałabym się obejść — z wyjątkiem tych chwil, kiedy moje zmysły doznawały rozkoszy, muszę to uczucie dodać. Moja otwarta natura nie uchroniła mnie przed pożądaniem i teraz rozumiałam, że zbyt łatwo ustąpiłam w Papuziej Chatce. Toby mówił, że byłam ledwie dzieckiem, gdy wyjeżdżał. Myślę, że zbyt długo nim pozostawałam. Przy Denton Square prowadziłam życie nieco sztuczne, pełne przesadnego wyrafinowania; potem nastąpiło jego przeciwieństwo: spokojne wiejskie bytowanie u boku dwóch podstarzałych ciotek. Zaczynałam dopiero dojrzewać, gdy zjawił się Clinton, i ten proces nie dobiegł jeszcze końca. Zostałam żoną, nim byłam gotowa do dorosłego życia. Teraz musiałam postępować ostrożnie i spróbować pokochać męża. Fizycznie już go kochałam, ale wiedziałam, że trzeba czegoś więcej, jeśli małżeństwo ma być udane.

Dlatego rzuciłam się w wir przygotowań. Pytałam o plantację, która była ulubionym tematem opowiadań Clintona. Cieszył się, że wraca. Jestem pewna, że na swój sposób żałował mego ojca, choć zawsze był człowiekiem bardziej zajęтым przyszłością niż przeszłością.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu i w Tilbury weszliśmy na pokład „Aremethei”. Nigdy wcześniej nie płynęłam statkiem — z wyjątkiem podróży w dzieciństwie, z której niczego nie pamiętałam — więc wszystko niezwykle mnie interesowało. Clinton uważał, że nowe wrażenia to najlepszy dla mnie sposób na złagodzenie rozpaczy po stracie ojca.

— Kiedy przeżyjesz tragedię, najskuteczniejszym lekarstwem jest zmiana otoczenia — powiedział. — I to właśnie cię czeka.

Kapitan i oficerowie już go znali i okazywali szacunek, co sprawiało mu satysfakcję. Dbał o mnie i równie dobrze wprowadzał w tajemnice morskiej podróży, jak w arkana miłości. Uwielbiał rolę nauczyciela. Gdy mu o tym powiedziałam, przyznał, że to prawda, ale jedynie dlatego, że bardzo interesuje go uczennica. Stałam się łagodniejsza, chyba dlatego, że z powodu Toby'ego dręczyło mnie niejasne poczucie winy. Złożyłam śluby i musiałam starać się ich dopełnić. Tak to rozumiałam. Zmiana mojego zachowania korzystnie wpłynęła na Clintona. Stał się niemal delikatny, mniej się kłóciliśmy i sprawiał wrażenie, że naprawdę się cieszy z naszego małżeństwa.

Podróż była bardzo ciekawa. Razem oglądaliśmy cuda Pompei, targi w Port Saidzie, płynęliśmy kanałem wśród złocistych piasków, gdzie pasterze pędzili swe owce. Miałam wrażenie, że przed naszymi oczyma przesuwają się sceny z Biblii. Siedzieliśmy obok siebie na pokładzie, a ja powtarzałam sobie w myślach, że zapomnę o Tobym i o tym, co mogło się zdarzyć. Sama podjęłam decyzję. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, powiedziałaaby Janet.

Jeden dzień spędziliśmy w Mombasie, gdzie kupiliśmy jaskrawy materiał, ozdoby i krowi dzwonek rzeźbiony w piękne wzory. Nasza podróż zbliżała się do końca.

Wkrótce mieliśmy dotrzeć do Cejlonu.

* * *

Przybyliśmy rankiem i gdy tylko wyspa znalazła się w zasięgu wzroku, wraz z Clintonem wyszłam na pokład.

To był wspaniały widok — zielona, żyzna ziemia wynurzająca się z Oceanu Indyjskiego.

Clinton wskazał mi Szczyt Adama, najwyższą górę na wyspie. Wyrastała ponad otaczające ją wzgórza.

— Stanowiła znak dla dawnych żeglarzy — wyjaśnił. — Ludzie chodzili tam na pielgrzymki. Zawsze okazywano tej górze cześć. Lud Cejlonu zawdzięcza górom swój dostatek, i nie zapomina o tym. Kiedy nadchodzi monsun, to znaczy w środku maja i pod koniec października, szczyty zatrzymują chmury, a deszcz pada i pada... ale tylko po jednej stronie łańcucha. Druga jest jałowa i pustynna. Dlatego wszyscy tłoczą się po tej stronie gór i tutaj otrzymujemy nagrodę w postaci kawy, kokosów, cynamonu, kauczuku i najbardziej dochodowej przez ostatnie lata herbaty.

Patrzyłam zachwycona na baśniową scenierię. Palmowe zagajniki wyglądały, jakby wyrastały z morza. Wszystko tonęło w jaskrawej zieleni.

— Wkrótce zobaczymy miasto — oznajmił Clinton.

Stałam oczarowana, gdy zbliżaliśmy się do wyspy. Clinton wziął mnie za rękę.

— Nareszcie — powiedział, a w jego głosie zabrzmiała nuta triumfu.

* * *

Port tętnił życiem. Mężczyźni w szerokich spodniach, najczęściej białych i szorstkich, i w luźnych kurtkach z takiego samego materiału, biegali dookoła przenosząc bagaże i towary; krzyczeli i gestykulowali bez przerwy. Panował straszliwy upał.

Clinton zawołał coś po cejlońsku i natychmiast otoczyli go ludzie. Powitalne uśmiechy rozjaśniały smagłe twarze. Najwyraźniej był tu dobrze znany i powszechnie szanowany. Z zaciekawieniem przysłuchiwałam się rozmowom i próbowałam obejrzeć wszystko naraz.

Po krótkiej chwili siedzieliśmy w czymś na kształt zaprzęzonego w konie powozu.

— Jedziemy na stację — wyjaśnił Clinton. — Widzę, że jesteś zaskoczona. Tak, mamy tu kolej: z Kolombo do Kandy. Nie pojedziemy aż tak daleko. Jesteśmy teraz sto kilometrów od Kolombo i jakieś dwadzieścia od Kandy. Nie martw się o bagaż. Dostarczą go.

Ruszyliśmy z turkotem po ulicach tak barwnych, że bez przerwy rozglądałam się dokoła, by czegoś nie przeoczyć. Clinton uśmiechał się.

— Wszyscy odgadną, że jesteś tu pierwszy raz.

To było tak inne od wszystkiego, co znałam do tej pory. Na drogach tłoczyły się wszelkiego rodzaju pojazdy: powozy, wózki zaprzęzone w woły i riksze ciągnięte przez mężczyzn, których brudne bosa stopy i wychudzone ciała budziły współczucie. Ludzie z krzykiem przebiegali przez drogę tuż przed końmi. Ciągle się bałam, że będzie wypadek, ale woźnice, dzięki niezwyklej sztuce powożenia, unikali jakoś katastrofy.

Kilku z nich głośno powitało Clintona.

— Chyba cię lubią — zauważyłam.

— Nic dziwnego — odparł z typowym dla siebie cynizmem. — Daję im zarobić na życie.

Zdjęłam płaszcz. Byłam za ciepło ubrana.

— Musisz uważać i chronić skórę — ostrzegł mnie Clinton. — Nie jesteś przyzwyczajona do takiego słońca. I nie zapominaj, że może być niebezpieczne, nawet kiedy nie świeci. Jest również wtedy, gdy go nie widać.

Dotarliśmy do stacji. Była zatłoczona, tak samo jak port. Męczył mnie upał i hałas.

— Wkrótce będziemy na plantacjach — powiedział Clinton. — Twojej i mojej.

Wsiadliśmy do pociągu. Nie był tak wygodny jak w Anglii, ale byłam zbyt zainteresowana okolicą, by zwracać uwagę na drobiazgi. Piękno wokół zapierało dech w piersi. Podczas naszej krótkiej podróży mijaliśmy lasy, gdzie rosły drzewa hebanowe i atlasowe, a także najbardziej pospolite nerkowce. Oglądaliśmy nawodnione pola, gdzie uprawiano ryż — podstawowy artykuł żywnościowy w tym kraju. Widziałam leniwie płynące rzeki, łodzie ciągnące belki i nagie dzieci, skaczące w wodzie przy brzegu. Wstrzymałam oddech, gdy spostrzegłam pierwszego słonia. Siedział na nim jakiś człowiek, a wielkie zwierzę ciągnęło stos belek. Potem wdziałam ich coraz więcej.

Clinton był rozbawiony.

— Na Cejlonie mamy więcej słoni niż jakichkolwiek innych zwierząt — powiedział. — Wykorzystujemy je, jak widzisz. To najlepsi robotnicy, silni i rozsądni. Zgodzisz się chyba, że to cechy godne pochwały. I są łagodni. Czego więcej można pragnąć?

— To dziwne, że one, tak silne, pozwalają zaprząć się do pracy.

— To człowiek jest panem, droga Saro. Oswajamy je. Kiedy są dzikie, mogą narobić wielkich szkód. Wbiegają na plantacje i depczą plony. Ale wystarczy je schwytać i wyszkolić, a staną się dobrymi służącymi.

— Nie wątpię, że lubisz je szkolić.

— Zapewniam cię, że warto poświęcić czas temu zajęciu.

Z podziwem obserwowałam, jak te wielkie, niezdarne stworzenia, które jednym ciosem potężnej nogi potrafią zgnieść człowieka, posłusznie wykonują pożyteczną pracę.

W końcu dojechaliśmy do małej stacyjki, która była naszym celem. Clinton zabrał podróżne torby i wysiedliśmy z pociągu.

Rozległ się gwar głosów. Kłaniano się nam.

— Nareszcie w domu. Z moją żoną — zawołał Clinton.

Mężczyźni głośno roześmieli się, co — jak zrozumiałam — było formą powitania. Mruczeli coś, co brzmiało jak „mem sahib”.

Clinton wziął mnie pod rękę. Czekał już na nas powóz podobny do tego, którym jechaliśmy z portu do stacji. Wokół nas falowało morze smagłych twarzy.

— To niedaleko — oświadczył Clinton. — Często korzystamy z kolei. Dzięki nam jest jedną z najlepiej prosperujących linii w całym kraju.

Jechaliśmy przez krainę zieleni. Panował duszny upał. Po obu stronach drogi wyrastały wielkie drzewiaste paprocie, niektóre wysokie chyba na osiem metrów. Dziko rosły ogromne, szkarłatne rododendrony. Dostrzegłam rośliny, których nigdy przedtem nie widziałam. Zjechaliśmy z drogi ocienionej gęstym listowiem i po raz pierwszy zobaczyłam plantację. Zielone, lśniące krzewy porastały zbocza wzgórza. Miałam wrażenie, że ciągną się całymi kilometrami.

Clinton przyglądał mi się z satysfakcją.

Nieco dalej na wzniesieniu dostrzegłam zabudowania. Zamarło we mnie serce. Czyżby to miał być mój nowy dom? Większość budynków była parterowa.

— To domy moich robotników — wyjaśnił Clinton. — I część magazynów. Plantacja twojego ojca, to znaczy twoja, jest jakieś dwa kilometry stąd. Za chwilę zobaczysz mój dom. Dwie plantacje oddziela ten skrawek dżungli. Urozmaica też widok. To nudne wciąż patrzeć na herbatę.

Dotarliśmy do czegoś, co wyglądało jak las pośrodku herbacianych stoków. Po kilku chwilach byliśmy przed domem.

Otaczał go ogród pełen zielonych krzewów. Wiele z nich kwitło wielobarwnymi kwiatami. Nigdy nie widziałam podobnych. Jaskrawobiałe ściany domu osłaniały gęste winoroślą.

Budynek był długi, piętrowy, w kształcie litery L. Miał liczne przybudówki.

Na spotkanie wybiegła ku nam młoda kobieta. Mówiła coś szybko i ciągle się kłaniała. Miała na sobie ciemnobłękitne bawełniane sari, w uśmiechu pokazywała piękne zęby. Spoglądała na mnie z ciekawością.

— To jest Leila — przedstawił ją Clinton. — Będzie ci bardzo pomocna.

Leila uśmiechnęła się, skrzyżowała dłonie na piersiach i schyliła głowę.

— Najpierw herbata, Leilo — powiedział Clinton.

— Tak, panie. — Wielkie ciemne oczy oderwały się ode mnie niechętnie. — Przyniosę szybko — dodała.

— Dziękuję — odparłam. — Będzie nam miło.

Byłam niezwykle podniecona. W końcu przybyłam do mojego nowego domu i przede wszystkim odczuwałam lęk. Pewnie dlatego, że wszystko tu było obce. Dlatego, że całą przeszłość — i Toby'ego — zostawiłam za sobą. Znalazłam się w obcym kraju.

Weszliśmy do holu. Nasze kroki rozbrzmiewały głośno po kamiennej posadzce, pokrytej skomplikowaną mozaiką w kolorach lapis-lazuli i chalcedonu. W holu stał lekki stół i dwa krzesła, zapewne bambusowe.

— Witaj w domu — powiedział Clinton i spojrzał na mnie z uwagą. — Później wszystko ci pokażę. Najpierw czegoś się napijemy. Tego nam trzeba. Spróbujesz takiej herbaty, jakiej jeszcze nigdy nie piłaś. Prosto z mojego składu.

Objął mnie ramieniem, przyciągnął i pocałował.

— Och, Saro, mój sen się spełnił. Jesteś ze mną. Tego właśnie pragnąłem, odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy. Oprowadzę cię, jak tylko wypijemy herbatę. Ten dom jest większy niż się wydaje. Postarałem się umeblować go tak, jak tego chciałem. Wuj zbudował dom, gdy stało się jasne, że kawa to ruina, nie dochodowe uprawy. Postanowił zająć się herbatą. Wtedy było to ryzykowne, ale praca rąk nie jest tu droga, więc zbudował ten dom. Powiększyłem go od tamtego czasu. Nie jest to Ashington Grange ani mój dom rodzinny, ale wystarczy na tę okolicę. Zapewniam cię, że jest uznawany za całkiem dobry. Spędzimy tu piękne dni.

Wprowadził mnie do dużego pokoju z kamienną posadzką i lekkimi drewnianymi meblami z drzewa tekowego, trzcino — palmy i chińskiej laki. Były tu krzesła, stół i wiklinowa sofa z mnóstwem kolorowych poduszek.

— To jest salon — powiedział. — Zwróć uwagę na te przesuwane drzwi. Prowadzą do pokoju podobnej wielkości, który służy za jadalnię. W czasie przyjęć otwieramy je i mamy całkiem sporą salę. Nazywamy ją balową.

— Czy często urządzone są przyjęcia?

— Od czasu do czasu. Jest klub w Kandy i jeszcze jeden w Kolombo, ale to dla nas trochę za daleko. O, jest herbata.

Podał ją dwóch chłopców. Wielkimi, ciemnymi oczami wpatrywali się we mnie z ciekawością.

— Wasza pani — przedstawił mnie Clinton.

Odstawili tacę i sklonili się z powagą. Nosili tradycyjne białe koszule i białe spodnie. Byli boso. Młoda kobieta, Leila, weszła za nimi.

— Wszystko dobrze, panie? Clinton kiwnął głową.

— Chcę, żebyś opiekowała się swoją panią, Leilo — powiedział.

— O tak, tak. — Uśmiechała się, jakby opieka nade mną sprawiała jej najwyższą rozkosz.

Clinton położył dłoń na moim ramieniu.

— Leila dopilnuje wszystkiego. Będzie kimś w rodzaju oficera łącznikowego między tobą a pozostałymi... tylko z początku.

— Dobrze — odparłam.

Leila skłoniła się znowu i wyszła.

— Jest skrzętną gospodynią — wyjaśnił Clinton — i, jak wielu Cejlończyków, jest dumna, że za coś odpowiada. Jej ojciec, Nankeen, pracuje u mnie jako nadzorca, a brat, Ashraf, jest zatrudniony na twojej plantacji. To ciekawa rodzina. Chodź tu, zaraz naleję ci herbaty.

Gdy siedzieliśmy obok siebie na sofie, objął mnie ramieniem.

— Wszystko tu takie dziwne, prawda? — powiedział. — A ty jeszcze trochę przestraszona. Ale będzie dobrze. Zobaczysz.

Mówił tak, jakby był wszechmocny i potrafił formować przyszłość według własnych życzeń. Miałam uczucie, że może to być prawdą. Od chwili, gdy przybyliśmy do tego kraju, zaczynałam dostrzegać, jaką ma władzę.

Podniósł filiżankę i wciągnął w nozdrza aromat.

— Zobaczysz, jak pracują kiperzy herbaty. Musisz jeszcze wiele się nauczyć o swojej plantacji, Saro. Czujesz, jak pachnie ta herbata? Cudownie, nie uważasz?

Zgodziłam się z nim. Rzeczywiście miała smak całkiem inny niż ta, jaką pijałam dotychczas.

Kiedy skończyliśmy, pokazał mi dom. Chciałam jak najszybciej go obejrzeć.

Na parterze, prócz holu i dwóch połączonych pokoi, mieściły się rozległe kuchnie z wielkimi, białymi kredensami. Wszystko było tu świeżo wyczyszczone i pomalowane. Spotkałam kilku służących: chłopców, jak ci którzy przynieśli herbatę, a także dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy kłaniali się unieźnieniu, kiedy Clinton mnie przedstawiał, a ja byłam pewna, że nigdy nie zapamiętam ich imion. Byli mnie ciekawi i wyraźnie przestraszeni, że coś może się nie spodobać Clintonowi,

On naprawdę jest tu panem, pomyślałam, a to jego terytorium.

Na dole mieściła się też pralnia i chłodnia, w której stały skrzynki z lodem, zapewne niezbędne, by przechowywać żywność w tym klimacie.

Do kuchni przylegały kwatery służby. Zabrał mnie tam. Lśniły czystością. Domyśliłam się, że przygotowano je na tę inspekcję.

Na górze znajdowało się kilka sypialni.

— Ta należy do nas — oświadczył z dumą Clinton.

Spojrzałam na łóżko — duże, okryte jedwabną haftowaną narzutą. Z góry zwisały moskitiery. Zauważyłam, że w oknach umocowano siatki z cienkiego drutu. Podłogę z ciemnego drewna pokrywały niebiesko-zielone maty, dopasowane do haftu narzuty. Pokój nie wyglądał na sypialnię kawalera i zastanawiałam się, kiedy Clinton wydał instrukcje, jak ją urządzić. Na stole stał wysoki na jakieś trzydzieści centymetrów brązowy posążek Buddy, siedzącego w pozycji kwiatu lotosu. Twarz była jak żywa, a oczy spoglądały na mnie jakby z ironią. Clinton zauważył, że przyglądam się figurce.

— Nie spodobał ci się.

— Wygląda jak symbol zła.

— Zła? Budda? Z pewnością nie. Mam nadzieję, że nie żywisz do niego zbyt wielkiej niechęci. Dostałem go od przyjaciela. Gdybym go stąd zabrał, służba uznałaby to za zły znak.

Zupełnie niepotrzebnie zdenerwowałam się z powodu tego posążku. Zaczęłam się sama przed sobą usprawiedliwiać. Byłam rozemocjonowana, wciąż myślałam o dawnych czasach i moich spacerach z Tobym.

Z jednej strony pokoju stopnie prowadziły na podwyższenie przesłonięte kotarą. Za nią zobaczyłam dwie małe wanny, ściany zdobiły długie zwierciadła. Na stoliku stała miska i dzban.

— Wykonali moje polecenia — stwierdził Clinton. — I zrobili to dobrze. Podoba ci się, Saro? Zaplanowałem to wszystko dla ciebie.

— Tu jest pięknie — przyznałam. — Ale trudno mi uwierzyć, że przygotowałeś to dla kobiety, której nigdy nie widziałeś.

— Wiedziałem, że to będziesz ty.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził do innych pokoi na piętrze. Wszystkie łóżka miały baldachimy z moskitierami, a w każdym oknie tkwiła druciana siatka.

— Czasem przyjmujemy gości — oświadczył. — Zwykle z okazji balu, niewielkiego oczywiście, głównie dla plantatorów i ich rodzin. Angielskie towarzystwo. Niektórzy przyjeżdżają z bardzo daleka i muszą zostać na noc. Zjawiają się plantatorzy kauczuku, hodowcy kokosów i ci, którzy uprawiają ryż. Są też spedytorzy, obsługa kolei i urzędnicy państwowi. Odkąd został kolonią Korony, Cejlon jest kwitnącą wyspą. Musisz się wiele nauczyć o tej ziemi.

— Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć swoją plantację. — O tak, wiele musisz się nauczyć. Nie martw się, będę przy tobie. Dopilnuję twoich interesów. Seth Blandford to niezły zarządca, a poza tym mój szwagier, ale...

— Przede wszystkim — przerwałam — chcę poznać swoją siostrę.

— Zawiozę cię tam, jak tylko wypocznesz. To tylko dwa kilometry, a nawet mniej, jeśli pojedziemy skrótem przez dżunglę. Nazywamy ją lasem, ale tak naprawdę to dżungla. Porastała spory obszar, zanim wycięto ją pod uprawy. Nie zawsze możemy jeździć przez las, listowie jest zbyt gęste, ale są tam pieszkie ścieżki. Odwiozę cię czymś w rodzaju bryczki, której tu używamy. Zaprzęzona w jednego konia, jest dość łatwa w kierowaniu. Pewnie sama będziesz z niej korzystać. Oczywiście zawsze możesz pojechać wierzchem, ale bryczka jest czasem wygodniejsza.

Ponieważ pragnęłam zobaczyć siostrę, oznajmiłam, że wcale nie jestem zmęczona. Zmieniłam kostium podróży na lekką jedwabną suknię i przejrysty szal, żeby osłonić się przed słońcem. Włożyłam też jeden z przywiezionych ze sobą słomkowych kapeluszy.

Od razu spostrzegłam, że bryczka będzie łatwa w prowadzeniu i że nie sprawi mi kłopotu.

Ruszyliśmy przez plantację. Po pewnym czasie dotarliśmy do domu, należącego kiedyś do mojego ojca. Był bardzo podobny do tego, który niedawno opuściliśmy.

Służący podbiegł, by odprowadzić konia i bryczkę. Clinton wyskoczył i pomógł mi wysiąść. Serce biło mi gwałtownie na myśl o tym, że w końcu zobaczę moją przyrodnią siostrę.

Spojrzałam w stronę domu. W drzwiach stała filigranowa postać o głowę niższa ode mnie... ale ja byłam wysoka. Pomyślałam, że nigdy jeszcze nie widziałam kogoś tak pięknego.

Nosiła sari z jedwabiu w kolorze bladej lawendy z wplecioną srebrną nitką. Szła w moją stronę z takim wdziękiem, że natychmiast poczułam się niezgrabna. Czarne włosy związała w kok, który rozpuszczony pozwoliłby chyba opaść splotom aż do kolan. Wyciągnęła drobne ręce. Na przedramionach pobrzękiwało ze dwadzieścia cienkich srebrnych bransoletek. Kiedy się odezwała, aż zaniemówiłam ze zdumienia.

— Jestem Clytie — powiedziała.

Przez chwilę nie mogłam znaleźć słów. Pomyślałam, że nie może być córką mojego ojca. Nie jest przecież Angielką.

— Moja... — zająknęłam się. — Moja siostra... Tak bardzo chciałam cię zobaczyć.

— Tak się cieszę — odparła dźwięcznym głosem. Jej angielski był doskonały i z akcentu nikt by się nie domyślił, że nie jest rodowitą Angielką. — To prawda, powinnyśmy się poznać. Jesteśmy siostrami... choć tylko w połowie. Straciłyśmy ukochanego ojca. To powinno zbliżyć nas do siebie. Nasz dom był pogrążony w żałobie. Teraz, gdy już przyjechałaś, to się zmieni.

Przyglądałyśmy się sobie z ciekawością. Musiałam wydać się jej równie dziwna, jak ona mnie. Ale ona przynajmniej spodziewała się, że będę Angielką.

— Clintonie — powiedziała. — Gratuluję. Masz bardzo atrakcyjną żonę.

— Dziękuję, Clytie. Zgadzam się z tobą. Z początku nie bardzo mnie chciała, ale ją przekonałem.

— Wszyscy wiemy o twoich talentach w tym względzie — odparła. — Chodź ze mną, Saro. Chcę ci pokazać mojego syna. Mały Ralph nie może się ciebie doczekać.

— To jej duma i radość — rzucił Clinton.

— Byłby dumą i radością dla każdego... kogo spotkałoby to szczęście, by mieć go za syna — odpowiedziała.

Głos Clytie był nieco śpiewny. Zafascynowała mnie bez reszty. Było tylko jedno wyjaśnienie: pierwsza żona mojego ojca musiała pochodzić z Cejlonu. Właśnie dlatego ciotka Marta nigdy o niej nie wspominała.

Zwróciła mi uwagę na portret na ścianie — zupełnie jakby czytała w moich myślach. Przedstawiał piękną, filigranową kobietę w niebieskim sari, z kwiatami w czarnych włosach.

— To moja matka — powiedziała. — Umarła, kiedy byłam bardzo mała. Znam ją tylko z tego obrazu. Wiele mamy sobie do powiedzenia, Saro, ale najpierw zobaczysz mojego syna.

Zeszliśmy po stopniach do dziecinnego pokoju. Był jasny i równie delikatny jak sama Clytie.

— Sheba! — zawołała. — Sheba! Ralph! Gdzie jesteście?

Drzwi odskoczyły i rozległ się okrzyk radości. Mały chłopiec rzucił się ku niej, objął ją w kolanach, a ja pomyślałam, że Clytie jest taka drobna, że mógłby ją przewrócić.

— Tu jest mój Ralph! — zawołała. — Ralph, ucieszylbyś się, gdybym ci powiedziała, że masz nową ciotkę, która bardzo chce cię poznać?

Nie mogło być wątpliwości co do jego pochodzenia. Włosy miał ciemne, ale nie błękitnoczarne, jakich nigdy nie widuje się w Anglii. Oczy również ciemne, ale wyraźnie brązowe, cerę lekko oliwkową z różowymi rumieńcami na policzkach. Był pięknym, silnym i zdrowym dzieckiem. Pomyślałam, że musi mieć około czterech lat.

— Nigdy przedtem nie miałem ciotki — oświadczył, przyglądając mi się z pewną podejrzliwością.

— No to teraz masz — powiedziałam. Wyciągnęłam ku niemu rękę, a on podał mi swoją.

— Przyjechałaś z Anglii? — zapytał.

Przyznałam, że tak.

— Mój dziadek pojechał do Anglii i nigdy nie wrócił. Teraz pojechał do nieba.

— Tak — przyznałam powoli. — Ale ja przyjechałam i cieszę się, że znalazłam tu siostrzeńca.

— Ja jestem siostrzeńcem? — Roześmiał się. Najwyraźniej spodobał mu się ten pomysł.

Wtedy uświadomiłam sobie, że ktoś nas obserwuje. W drzwiach stała kobieta. Nie potrafiłabym odgadnąć jej wieku, ale z pewnością nie była młoda. Ubrana w zielone sari, ciemne włosy zaczesana do tyłu i związała w węzeł na karku. Oczy miała wielkie, czarne i tajemnicze.

— To Sheba — wyjaśniła Clytie. — Niańczyła mnie, a teraz poświęca swoją uwagę Ralphowi. Shebo, to moja siostra. Sheba cię pamięta, Saro.

Sari Sheby zaszeleściło, gdy zbliżała się do nas. Szła szybko i zwinnie jak kot.

— O, tak — mruknęła. — Pamiętam dobrze. Panienska Sara. Ale panienska była mała. — Pokazała ręką pół metra od podłogi. — Taka mała, gdy wyjeżdżała.

Usiłowałam ją sobie przypomnieć, ale bez rezultatu.

— Sheba wie, jaka jestem szczęśliwa, że przyjechałaś tu na stałe — powiedziała Clytie.

Uśmiechała się do mnie ciepło i z uczuciem. Pomyślałam, że jest czarująca, jednak instynktownie czułam, że powinnam strzec się Sheby. Okazywała szacunek, ale coś w jej zachowaniu mówiło mi, że nie jest zadowolona z mojego przyjazdu.

— Shebo — odezwała się Clytie. — Będziemy mieli gości na obiedzie. Zawiadam w kuchni. — Spojrzała na mnie niemal nieśmiało. — Mieliliśmy nadzieję, że zjawisz się dzisiaj, ale trudno być pewnym. Chciałam, byś swój pierwszy posiłek zjadła w tym domu. Tutaj się urodziłaś. W tym pokoju, prawda, Shebo? Ja też tu się urodziłam. Naprawdę jesteśmy siostrami. Mam nadzieję, że Clintonowi nie będzie przeszkadzało, gdy zatrzymam cię przy sobie... tylko z początku.

— Kochana Clytie — rzekł Clinton. — Sama wiesz, że zawsze pragnę tylko sprawiać ci przyjemność. — Spojrzał na nią z podziwem, jaki odczuwałaby większość mężczyzn w obecności kogoś tak pięknego, jak moja przyrodnia siostra.

Ralph podszedł do mnie i chwycił mnie za rękę.

— Jesteś moją ciocią — oznajmił, najwyraźniej uradowany.

— Chcę jej pokazać ogród — powiedziała Clytie.

— Panienska Clytie i jej rośliny! — mruknęła Sheba. — Rosłyby już pewnie w całym domu, gdyby pan Seth nie zakazał. Pełno by tu było robactwa.

Mówiła dość melodyjnie, jak zwykle Cejlończycy, gdy używają angielskiego.

— Clytie jest taka podniecona tym spotkaniem — stwierdził Clinton. — Trzeba przyznać, że to wyjątkowa okazja. Kochana Clytie, mamy za sobą bardzo długą podróż. Dopiero dziś przyjechaliśmy. Sara jeszcze prawie nic nie widziała. Bardzo chciała się z tobą zobaczyć. Zjemy ten posiłek, który dla nas przygotowałaś, a potem zabiorę ją z powrotem. Jutro też jest dzień. Możesz jej pokazać swoje ogrody i rozmawiać aż dostaniesz chrypki, ale musimy odpocząć i wcześniej się położyć. Po takiej podróży wymaga tego rozsądek.

Ogarnęła mnie nagła chęć, żeby mu się sprzeciwić.

— Chcę zobaczyć ogród i nie mogę się doczekać rozmowy z tobą.

Zbliżyła się do mnie. Nie szła i nie biegła. Miałam wrażenie, że płynie. Ta niewiarygodna gracia poruszyła mnie do głębi. Chwyciła moją rękę i uśmiechnęła się.

— Wybacz — powiedziała cichym i nieco gardłowym tonem. — Clinton ma rację. Radość z naszego spotkania sprawia, że staję się samolubna. Jutro też jest dzień. Możemy rozmawiać i rozmawiać...

— Wcale nie jestem zmęczona — zaprotestowałam.

— Jesteś, moja droga — odparł stanowczo Clinton. — Nie odczuwasz tego z powodu tylu wrażeń. Zaraz po posiłku wracamy do domu. Clytie wie, że mam rację.

Sheba słuchała z uwagą. Wzięła chłopca na ręce.

— Czy moja ciocia jedzie do nieba?

W pokoju zapadła niezwykła cisza... a może tylko ją sobie wyobraziłam. Clytie była zaskoczona, a Sheba wpatrywała się we mnie ciemnymi oczami. To był tylko moment, ale przez chwilę miałam wrażenie, że kropla lodowatej wody spływa mi po plecach.

— Czemu tak myślisz? — spytała Clytie.

— Dziadek pojechał — odparł Ralph.

— Nie, młody człowieku — powiedział Clinton. — Twoja ciocia przyjechała tutaj na stałe.

Clytie podeszła do syna i rozwichrzyła mu włosy.

— Powinieneś być już w łóżku — przypomniała.

— Chcę zostać i popatrzeć na ciocię Sarę.

— Zrobisz to jutro.

— Ale chcę teraz.

— Idź z Shebą, kochanie, a ja zajrzę później, żeby cię przykryć.

— I zaśpiewasz mi?

— Tak.

— I poczytasz?

— Może.

Wydawał się pocieszony.

— Powiedz dobranoc — poprosiła Clytie.

— Dobranoc — powiedział. — Jutro porozmawiam z ciocią Sarą. Nie wyjeżdża do nieba.

* * *

Zeszliśmy na dół. Służba rozstawiała stół w jadalni, która, podobnie jak nasza, miała rozsuwane drzwi, łączące ją z salonem.

Nie zapadł jeszcze zmrok. Clinton wyjaśnił, że ponieważ wyspa położona jest w pobliżu równika, długość dnia w ciągu roku waha się najwyżej o godzinę. Wieczór nadejdzie około siódmej, czyli już niedługo. Zauważyłam kilka olejnych lamp kołyszących się pod sufitem, a także świece w lichtarzach z brązu. Wszystko było podobne do tego, co widziałam w domu Clintona.

Tuż przed kolacją przyłączył się do nas Seth Blandford. Włosy miał lekko rudawe, a rzęsy i brwi tak jasne, że prawie niewidoczne. Poza tym był mężczyzną dość przystojnym, o pięknej twarzy i bardzo bladej cerze. Choć średniego wzrostu, przy Clintonie wydawał się niski.

— A, Clinton — powiedział. — Nareszcie w domu. Widzę, że przywiozłeś... Sarę.

Zwrócił się do mnie, ujął moją dłoń i zamknął w uścisku określanym jako szczerzy, dla mnie jednak troszkę za mocnym, obrączka bowiem wbiła mi się w palec i z trudem powstrzymałam grymas bólu.

— Miło cię poznać — powiedział. — Jesteś podobna do ojca. Co za tragedia. Nie powinien wyruszać w tę podróż.

— Uparł się — przypomniał Clinton.

— A teraz nie żyje... a Sara jest tutaj.

Clytie spojrzała na mnie z sympatią.

— Jestem taka szczęśliwa, że przyjechała.

— Może napijemy się czegoś i poznamy lepiej — zaproponował Seth.

— Wydaje mi się — odparł Clinton — że to mamy już za sobą... z wyjątkiem Sary.

Clytie klasnęła w dłonie i dwóch służących wbiegło bezszelestnie, niosąc tacę z kieliszkami, dzinem i wodą sodową. Były też owoce i jakiś sok.

Clytie przygotowała drinki. Clinton wznosił toast:

— Za powrót do domu!

— Trochę nas zaskoczył — powiedział cicho Seth Blandford. — Można by przypuszczać...

— Stary Ralph był trochę nieprzewidywalny — zgodził się Clinton. — Zawsze wydawał się tak przywiązany do konwenansów, a potem robił to, czego najmniej oczekiwano.

— No cóż, Saro — zwrócił się do mnie Seth. — Jak się czujesz, będąc właścicielką plantacji?

— Oszołomiona — odparłam. — Zwłaszcza że absolutnie niczego na ten temat nie wiem.

— No właśnie! — zawołał Seth. — Więc dlaczego?

— To jego córka, a Clytie dostała perły — przypomniał Clinton.

Clytie przyłożyła małą, drżącą dłoń do szyi i spuściła oczy.

— Chwilowo — odparł Seth z odcieniem goryczy.

— Mam nadzieję, że to, co przygotowaliśmy, będzie wam smakowało — wtrąciła szybko Clytie. — Jemy tutaj sporo curry. To narodowa potrawa. Przyrządzają ją lepiej niż cokolwiek innego.

Udało się jej zmienić temat rozmowy, która zaczynała już budzić mój niepokój. Zaczęła opowiadać o jutrzejszym dniu, kiedy to miałam tu przyjechać, by obejrzeć jej ogród. Muszę też lepiej poznać małego Ralpha, który był tak podniecony wiadomością o moim przyjeździe. I o tak wielu sprawach trzeba porozmawiać. Na przykład o garderobie. Czy mam odpowiednie stroje?

— Clinton uprzedził mnie, jaki panuje tu klimat, i przygotowałam się nieco.

— Damskie suknie to jedyna rzecz, o której Clinton nie ma pojęcia.

— Ale potrafi je docenić — dodał Seth.

— Sara potrzebuje rady, a ja będę przy niej, by służyć pomocą. Pokażę ci, gdzie można kupić piękne materiały. Na wspaniałe sari wystarczy sześć metrów i nic nie trzeba szyc.

— Kochana Clytie — powiedziałam. — Czy wyobrażasz sobie mnie w sari? Obawiam się, że jestem na to zbyt wysoka.

— Będiesz wyglądała świetnie — zapewniła.

— Niezgrabnie. — Pokręciłam głową. — Nie nadaję się do takich zwiewnych szat. Lepiej pozostanę przy swoim zwyczajnym stroju.

— Dobrze. Pomogę ci w zakupach.

— Będę zachwycona.

Wiedziałam, że do Kandy jest jakieś dwadzieścia kilometrów, ale Manganiya, gdzie wysiedliśmy z pociągu, leży dużo bliżej. Nie jest to wprawdzie Kandy ani Kolombo, ale sklepy są całkiem nieźle zaopatrzone.

— Bardzo się cieszę, że pojedziemy tam razem — powiedziała Clytie. — Seth, niedługo musimy wydać bal na przywitanie Sary. Wszyscy będą chcieli ją poznać.

Ściemniło się, gdy usiedliśmy do kolacji.

— Podczas twojej nieobecności, Clintonie, mieliśmy małe problemy — oświadczył Seth. — Ze szkodnikami herbaty i larwami.

— Jestem pewien, że sobie poradziłeś — odparł Clinton.

— A tak. Zbiór się udał tak jak zawsze.

— Co byśmy bez ciebie zrobili, Seth? Seth był wyraźnie usatysfakcjonowany.

Jadłam z apetytem, curry mi smakowało. Słuchałam uważnie, gdy mówili o plantacji. Myślałam ciągle: jest moja. Nie rozumiałam motywów ojca. To przecież Clytie powinna odziedziczyć plantację. Pojmowałam gorycz Seta, który zresztą wcale jej nie ukrywał. Oczywiście Clytie dostała perły tylko na przechowanie, dla żony swego syna.

To niezwykle, ale w tej właśnie chwili zaczęli mówić o perłach. Seth wspomniał coś o łowiskach perł w Zatoce Tambalgam.

— Rekin złapał jednego z twoich ludzi. Skończyło się tragicznie. Zginął...

— Kto? — krzyknął Clinton.

— Karam.

— Karam! — powtórzył Clinton. — Jeden z moich najlepszych nurków. Powinien być bardziej ostrożny.

— Ostrożny! Myślisz, że nie był? Czekala łódź, w łodzi siedział zaklinacz rekinów. Karam zszedł w dół, a ten potwór już na niego czekał.

— Karam! Dobry człowiek. Jeden z najlepszych.

— Słyszałem, że w ostatnim sezonie były całkiem nieźle połowy.

— To dobra wiadomość — przyznał Clinton. — Ale Karam!

— Co to są te łowiska perł? — zapytałam. — Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam.

Seth spojrział na Clintona. W jego oczach dostrzegłam przeblysł chytrości.

— To do niego niepodobne, by ukrywał swoje zalety — powiedział z nutą ironii.

— Nie wspominałem ci o nich? — spytał Clinton. — Chodzi o łowiska pereł, które posiadam na północnym zachodzie. Zabiorę cię tam kiedyś i wszystko pokażę. Ale pewnie będziesz chciała je odwiedzić w czasie, gdy zbierają ostrygi. Zwykle jest to w drugim tygodniu marca, a sezon trwa od czterech do sześciu tygodni.

— Perły! — powiedziałam. — To znaczy, że handlujesz perlami!

— To takie uboczne zajęcie. Seth pochylał się w moją stronę.

— Praktycznie rzecz biorąc, Clinton jest właścicielem Cejlonu — oznajmił. — Tutaj ma herbatę, na północnym zachodzie perły, a w lasach kauczuk. Połowa statków, które widziałas w porcie w Kolombo, przewozi towary Clintona.

— Musimy wydobyć z tego kraju, co tylko można — wyjaśnił Clinton. — Ta produkcja daje utrzymanie miejscowej ludności.

— I wzbogaca tych, którzy to umożliwiają — dodał Seth.

— Należy im się jakaś nagroda za ich inwestycje i pracę — przypomniał mu Clinton.

— Interesują mnie łowiska pereł — powiedziałam.

— Typowa kobieta — zauważył Clinton. — Gdybyś tylko wiedziała, wkładając naszyjnik z pereł, jak trudno je zdobyć, zastanowiłabyś się chwilę.

— Muszę przyznać, że nigdy o tym nie myślałam.

— Posłuchaj tego, Clytie — zawołał Seth. — I myśl o tym za każdym razem, gdy wkładasz te swoje słynne perły.

— Myślę — odparta cicho.

Clinton zwrócił się do mnie:

— Żony i ukochane poławiaczy pereł nazywają perły „życiem mężczyzn”.

— Więc to aż tak niebezpieczne?

— Właśnie słyszałaś, że jednego z moich najlepszych ludzi zagryzł rekin. Wyobraź to sobie. Łodzie wypływają o północy, żeby o świcie dotrzeć do łowisk. W każdej płynie około dziesięciu nurków. Pracują parami i nie zejną pod wodę, jeśli w łodzi nie ma zaklinacza rekinów. Śpiewają jakieś niezwykle pieśni, które podobno doprowadzają rekiny do takiego stanu rozkoszy, że nie zwracają uwagi na ludzi wpływających na ich teren. Niezależnie od tego, każdy nurek ma przy sobie kolec z żelaznego drzewa, żeby odpędzać rekiny, które nie dają się zakłąć.

— Dziwię się, że ludzie podejmują taką pracę.

— Muszą pracować, albo głodują — zauważyła Clytie.

Clinton spoglądał na mnie z uwagą.

— To prawda. Nie ma innej alternatywy. Ale zgodzisz się chyba, że takie jest życie.

W tej właśnie chwili uświadomiłam sobie niezwykłość wszystkiego wokół. Upał, uderzenia owadów o siatki w oknach, ja pośród ludzi, których prawie nie znałam, a którzy byli mi bliscy... I wyraźne napięcie między Sethem a Clintonem.

Znowu rozmawiali o plantacji, a Clytie zaproponowała, że pojedzie rano bryczką i zabierze mnie, byśmy mogły spokojnie porozmawiać i obejrzeć okolicę.

Kiedy wychodziliśmy, musiało już być wpół do dziesiątej. Seth i Clytie pomachali nam na pożegnanie.

— Podobało ci się? — zapytał Clinton, gdy odjeżdżaliśmy bryczką.

— Bardzo. Nie mogłam się doczekać spotkania z siostrą.

— I co o niej myślisz?

— Jest czarująca i piękna. To był szok. Spodziewałam się angielskiej dziewczyny. Powinieneś mnie uprzedzić.

Clinton wzruszył ramionami.

— Urodę odziedziczyła po matce. Słyszałem, że jest do niej podobna jak dwie krople wody.

— Nikt mi nie mówił, że ojciec ożenił się z Cejlonką.

— To się zdarza... od czasu do czasu. Wielu tutejszych mężczyzn ma miejscowe kochanki. Czasem trafiają się dzieci. Bywa, że małżeństwa. Clytie odebrała wykształcenie jak angielska dziewczyna. Twój ojciec przez kilka lat miał tu angielską guwernantkę. Smok nie kobieta, trzeba przyznać. A potem przyjechał Seth, żeby zarządzać plantacją, i ani się człowiek obejrzał, jak się pokochali i byli po ślubie.

— Seth jest dobrym zarządcą?

— Jest niezłym pomocnikiem. Miał oczywiście nadzieję, że plantacja przypadnie Clytie.

— Przypuszczam, że to dość naturalne.

— Sama widzisz, że w życiu nigdy niczego nie można być pewnym.

Milczeliśmy przez resztę drogi.

W stajni czekał służący, by zająć się bryczką i koniem. Clinton wziął mnie pod ramię i poprowadził do domu, lśniącego bielą w ciemności. Przy drzwiach świeciły latarnie i słychać było nieustanne brzęczenie owadów. Weszliśmy do holu.

— Nareszcie w domu — powiedział Clinton i pocałował mnie. Zobaczyłam, że przygląda się nam służący.

— Czy panu czegoś potrzeba? — zapytał.

— Nie, dziękuję — odparł Clinton.

Weszliśmy na górę do sypialni. Zapalono tam dwie lampy, opuszczono moskitierę. Na siatkach tkwiło kilka martwych owadów, które usiłowały dostać się do światła.

Przypomniałam sobie moją sypialnię w Grange. Chłodne, zimowe noce, kiedy rozbierałam się szybko i wskakiwałam do łóżka, żeby się rozgrzać, i lato, gdy okna były szeroko otwarte na czyste, świeże powietrze.

— Całkiem inaczej, prawda? — zauważył Clinton, po raz kolejny demonstrując nadzwyczajną wręcz umiejętność czytania w moich myślach. — Nie martw się. Przywykniesz. Niedługo to wszystko stanie się twoją drugą naturą. A pewnego dnia zabiorę cię do Anglii na wycieczkę. To ci się spodoba.

Skinęłam głową, a on zaczął odpinać guziki mojej sukni.

— Clintonie — spytałam — czy to prawda, że masz na własność sporą część Cejlonu?

Roześmiał się.

— Seth przesadza, moja droga. Cejlon to wielki kraj, który bogaci się pod odpowiednimi rządami. Niektóry potrafią wyciągnąć z tej ziemi więcej niż inni. Jestem po prostu jednym z wielu.

— Jednak wydaje się, że jesteś właścicielem wszystkich tych rzeczy... Na przykład łowiska pereł.

— Zafascynowały cię, prawda? To przez te historie o Perłach Ashingtonów, których wysłuchiwałaś przez całe życie.

— Perły fascynują większość ludzi. Więc to prawda, że masz łowiska pereł.

— Mam w nich udziały... tak jak i w innych przedsięwzięciach. Trzeba rozwijać interesy. Przypomnij sobie kawową katastrofę. Dopiero niedawno z niej wyszliśmy. Kiedyś ludzie wierzyli, że kto uprawia kawę, musi zrobić majątek. I co się stało? Rynek załamał się. Mówiłem ci, że schorzenie zwane rdzą kawową zniszczyło plony w całym kraju. W ciągu kilku lat handel upadł. Człowiek przewidujący musi mieć jakąś alternatywę. Dlatego rozsądniej jest chwycić za ogon więcej srok.

— Wydaje mi się, że jesteś bardzo byстрыm człowiekiem.

— Miły, małżeński komplement.

— Zawsze potrafisz odnieść korzyść.

— Chciałbym w to wierzyć.

— Więc teraz masz... ile tego? Perły, kauczuk, kokosy i herbatę?

— To główne produkty tego kraju. Nigdy nie wystarczała mi sama plantacja. Nie była dostatecznie duża. Chciałem ją rozszerzyć. Teraz mamy oczywiście dwie, które będą uprawiane jak jedna. Są moje... obie.

— Myślałam, że jedna należy do mnie.

— Moja najdroższa Saro, co twoje, to i moje.

— A co twoje, to moje?

— Oczywiście.

— Więc też mam udział w łowiskach pereł? Przyciągnął mnie do siebie ze śmiechem.

— Mam pewne plany — powiedział. — Och, jak dobrze być tu z powrotem. O wiele łatwiej będzie prowadzić obie plantacje jako jedną. Seth może tam zostać jako zarządca. Do tego się nadaje. Ale brakowało mu efektywności. Dopilnuję, by to poprawić. Od dawna już planowałem coś takiego.

— Od dawna... — powtórzyłam. — Skąd wiedziałeś, że plantacja mnie przypadnie?

— Jesteś córką swojego ojca.

— Ale skoro moja siostra ma męża, który zarządza dla ojca tą plantacją...

— Bez wielkich sukcesów.

— Clintonie — powiedziałam wolno. — Wiedziałeś, że ja odziedziczę plantację.

Przyjrzał mi się uważnie.

— A jeśli tak?

— Skąd się dowiedziałeś?

— Twój ojciec mi powiedział. Seth nie miał najlepszych pomysłów. Nie zawsze radził sobie z robotnikami. Twój ojciec omawiał to ze mną.

— I naprawdę byłeś pewny, że zapisze mi plantację, tak?

— Tak.

— Więc wymyśliłeś, że ożenisz się ze mną i ją przejmiesz.

— Coś w tym rodzaju.

— Więc to dlatego...

— Och, daj spokój, Saro, nie tylko o to chodzi. Czy nie udowodniłem ci, jaką rozkosz sprawia mi twoja obecność?

— Rozkosz sprawia ci świadomość, że dzięki mnie możesz położyć łapy na plantacji.

— Miałbym ją wcześniej czy później. Wykupiłbym ją w swoim czasie. I to pewnie już niedługo. Ten sposób był prostszy.

Spojrzałam na niego z wściekłością.

— Więc... dlatego z wyrachowaniem ożeniłeś się ze mną. To wszystko było zaplanowane. Ty i mój ojciec...

— Chciał tego, oczywiście. Nikt nie lubi patrzeć, jak marnieje plantacja, na której pracował całe życie. I to tylko dlatego, że zawodzi go zdrowie i musi polegać na zarządcy. Wiedział, czego potrzeba, by przywrócić jej dawną wydajność. A ja byłem człowiekiem, który mógł to zrobić. Zdawał sobie sprawę, że za parę lat i tak do mnie trafi. Ty także potrzebowałaś ochrony. To całkiem niezły plan: ożenić mnie z tobą i zostawić plantację w rodzinie.

— Jesteś wyrachowany i godny pogardy — oznajmiłam.

— Tak — odparł. — Wiem.

A potem roześmiał się i chwycił mnie w ramiona.

— Doskonale. Protestuj. Walcz. Taka mi się podobasz.

* * *

Przebudziłam się wczesnym rankiem. Rozejrzałam się wokół. Nad łóżkiem zwisały moskitiery. Clinton spał obok mnie.

Czułam się schwytaana w pułapkę. To ja wpadłam w siatkę jego intryg.

Naprawdę wcale mnie nie kochał. Byłam dla niego tylko kolejną kobietą. Wiedziałam, że miał ich wiele i zapewne będzie miał więcej.

Leżałam nieruchomo. Wkrótce nadejdzie dzień. Mój pierwszy dzień w obcym kraju.

I wtedy pomyślałam o Tobym. Co robi? Gdzie jest? Z pewnością wrócił już do Indii. A gdybym tak była z nim teraz? Może leżałabym w podobnym pokoju. Z siatkami w oknach... i siatkami nade mną. Ale wszystko byłoby inaczej.

Ściany przygniatały mnie. To dziwne, ale miałam wrażenie, że słyszę z oddali dziecięcy głos mówiący: czy moja ciocia jedzie do nieba?

Te słowa znów wzbudziły taki sam dreszcz, jaki poczułam wtedy, gdy usłyszałam je po raz pierwszy. W powietrzu unosiło się coś groźnego.

* * *

Tego ranka Clytie przyjechała bryczką, podobną do tej, którą jechaliśmy poprzedniego dnia. Zjawiała się, by — jak obiecała — zabrać mnie na plantację Ashingtonów. Seth stwierdził, że skoro teraz należy do mnie, powinnam lepiej ją poznać.

Clinton był w dobrym nastroju. Wczorajsze wyznania wyraźnie nie wywarły na nim wrażenia. Myślał chyba, że chociaż mnie uraził, zdoła to naprawić swoją sztuką miłosną. Byłam głęboko zraniona. Postanowiłam nauczyć się jak najwięcej o uprawie herbaty i dać mu poznać, że plantacja, dla której się ze mną ożenił, należy jednak do mnie.

Gdy wyjechałyśmy z Clytie, nastrój nieco mi się poprawił. Dziwnie wyglądała, powoząc dwukołową bryczką, choć teraz nie miała na sobie sari, a błękitną, jedwabną sukienkę. Przypominała śliczną lalkę, która nie powinna robić nic, prócz czarowania wszystkich dookoła swą filigranową figurą i gracją.

— Dobrze sobie radzisz z koniem — zauważyłam.

— Och... z bryczką to łatwo. Pamiętaj, że jestem półkrwi Angielką. Zostałam wychowana inaczej niż dziewczęta z kraju mojej matki. Chociaż jestem do nich podobna, prawda? Saro, musisz mi opowiedzieć o Anglii. Tak wiele chciałabym się dowiedzieć. Bardzo słabo pamiętam twoją matkę. Lubiłam jej słuchać... miała taki dźwięczny głos. Nie przypominam sobie, jak wyglądała, ale wiem, że była bardzo piękna.

— Tak, była piękna.

— A potem wyjechała... To też pamiętam. Milczący dom... ojciec, który zamykał się sam na całe dni. Taki mroczny nastrój. Ale to było dawno. Opowiadała mi o tym Sheba. Powiedziała, że ona nigdy by się nie przyzwyczała i że w ogóle nie powinna była przyjeżdżać. Ale Sheba kochała moją matkę i uważała, że ojciec nie powinien drugi raz się żenić. Jednak dzięki Bogu, że to zrobił... Inaczej nie byłoby tutaj ciebie, Saro.

Jechałyśmy drogą, którą wczoraj wybrał Clinton.

— Gdy będziemy wracać — zapowiedziała Clytie — pokażę ci skrót przez las. Cieszę się, że zostawili część lasu... właściwie dżungli. Słyszałam, że planują ją wyciąć i obsadzić herbatą. Clinton pewnie by tego chciał.

— Do kogo należy las? — zapytałam.

- Połowa jest Shawa, połowa Ashingtonów.
- No tak — odparłam. — Część Ashingtonów nie będzie wycięta.
- Jeżeli Clinton postanowi...
- Z pewnością to ja mam ostatnie słowo.
- Widzę, Saro, że jesteś stanowczą kobietą.

Dotarliśmy do domu. Clytie wjechała na dziedziniec, a kiedy wysiadłyśmy, służący zajął się bryczką. Niepokojący był dla mnie ten bezgłośny sposób, w jaki służba pojawiała się znikąd, gdy tylko była potrzebna. Miałam wrażenie, że przez cały czas obserwują, by odgadnąć nasze potrzeby. To bardzo użyteczne, lecz musiałam przyznać, że trochę mnie denerwowało.

Z wielką przyjemnością weszłam do chłodniejszego wnętrza domu.

Clytie spojrzała na mnie.

— Co najpierw? Pokażę ci dom, dobrze? Jest bardzo podobny do twojego, ale zupełnie inny niż Grange. Ojciec opowiadał mi o tamtym domu i zastanawiałam się, czy kiedyś go zobaczę. Wyobrażałam sobie, że pilnują go dwa smoki imieniem Marta i Mabel, które mnie nie wpuszczają.

— To ciotki. Marta jest bardzo stanowcza. To kobieta, która za wszelką cenę stara się przeprowadzić swą wolę. — W moich myślach pojawił się przerażający obraz mamy w tamtą zimową noc. To niedorzeczność. Już prawie o tym nie myślałam. — Mabel jest mniej stanowcza — mówiłam dalej. — Po prostu robi to, co każe jej Marta.

— Mieszkałaś z nimi dłuższy czas. Dla ciebie to zupełnie co innego. Jesteś jedną z nich.

— Nie lubiły mojej mamy.

— Piękna aktorka. Żałuję, że nie pamiętam jej lepiej. Czasem leżę w łóżku i próbuję sobie coś odtworzyć. Ale przypominam sobie tylko, jak Sheba przychodzi pewnego ranka i mówi: „Wyjechała”. Oczywiście błyszczały, jakby to był powód do radości.

— Opowiedz mi o Shebie. Interesuje mnie.

— Może napijemy się czegoś chłodnego? Jest herbata, oczywiście... zawsze herbata. Uważam, że pijemy jej nawet więcej niż wy w Anglii. To ten upał...

Ledwie skończyła mówić, gdy pojawił się służący i podał nam lemoniadę w wysokich szklankach.

Po jego odejściu Clytie ciągnęła dalej.

— Pytałaś o Shebę. Pochodzi z bardzo ciekawej rodziny. Jej brat, Nankeen, pracuje jako nadzorca u Clintona. Jest bystry. Clinton bardzo go ceni. Nankeen miał niezwykłą żonę. Portu — galkę. Jak wiesz, Portugalczycy osiedlali się tu kiedyś. Klasa średnia pochodzi właśnie od nich i od Holendrów, którzy też tu byli. Nankeen to przystojny mężczyzna i zainteresował piękną dziewczynę z całkiem niezłej rodziny. Wzięli ślub. Twoja Leila to jedno z ich dzieci. Jest też Ashraf, który pracuje na naszej plantacji. Jest też... druga córka...

— Co ona robi?

— Och... — Clytie zawahała się. — Anula jest dość niezwykła. Ma własny dom. Uważana jest za wielką piękność. I podobno ma to, co tutaj nazywają mocą.

— To ciekawe. Mam nadzieję, że ją spotkam.

— No, ee... może tak.

— Czy tę Anulę otacza jakaś tajemnica?

— Och nie, nie... właściwie nie. Wszyscy trochę się jej boją. Sheba mówi o niej jakby była świętą. Duma rodziny i tyle. Pytałaś o Shebę. Służyła mojej matce, a kiedy się urodziłam, została moją nianią. Była dla mnie jak matka. Jest mi bardzo oddana... a teraz także Ralphowi. Wiem, że jest z nią bezpieczny. Za jakiś czas będziemy musieli sprowadzić mu nauczyciela... angielskiego nauczyciela. Może nawet pošlemy go do szkoły do Anglii. Seth bardzo by tego chciał.

— To musi być cudowne, mieć takiego ślicznego, małego chłopca.

— Jest całym moim życiem. Kocham go nad wszystko.

— A Seth?

— Tak, Seta też kocham. To co innego. Może zrozumiesz, kiedy sama będziesz miała dziecko. Dopiłyśmy lemoniadę. Clytie wstała.

— Pokażę ci teraz dom.

Zgodziłam się chętnie, a ona oprowadziła mnie po całym budynku. Był dość przestronny i bardzo podobny do domu Clintona.

Ralph bawi się na dworze, wyjaśniła. Uczy się jeździć konno.

— Tutaj jazda konna to konieczność. Mamy oczywiście kolej, którą można dotrzeć do Kandy czy Kolombo, ale w okolicy często, używamy koni. A teraz chodźmy do ogrodu.

Wyszłyśmy. Zauważyłam, że dom, podobnie jak nasz, wznosił się nieco nad ziemią. Kiedy zapytałam o przyczynę, Clytie wyjaśniła, że to dla ochrony przed termitami.

— Jest ich tu mnóstwo — powiedziała. — Chodzą całymi armiami, są ich tysiące... może miliony. Idą przez dom i wygryzają sobie drogę tak, że po paru godzinach zostaje tylko pusta skorupa. Dlatego budujemy w ten sposób. Te podpory są nasyczone specjalnym środkiem, żeby trzymać szkodniki z daleka.

— To okropne! Wyjeżdżasz na krótko, potem wracasz i stwierdzasz, że twój dom zmienił się w skorupę.

— Tak może się zdarzyć. Są to zagrożenia, z którymi musimy się tutaj liczyć, Saro, a które nawet ci się nie śniły. Powinnaś uważać na owady. Mieszkając tutaj, zyskaliśmy pewną odporność, ale ty dopiero się zaaklimatyzujesz. Strzeż się moskitów. To najgorsze szkodniki i bardzo niebezpieczne.

— Jest wiele rzeczy, na które muszę uważać. W jej ogrodzie dostrzegłam coś angielskiego.

— Tak sobie życzył nasz ojciec — wyjaśniła, kiedy zwróciłam na to uwagę. — Udało nam się zachować pewne rośliny, które rosną w Anglii.

To prawda. Wśród egzotycznych kwiatów zauważyłam rododendrony, geranium i buldenez.

— Przypominają mi dom — powiedziałam.

Spędziłam przyjemnie godzinę w ogrodzie z Clytie. Im lepiej ją poznawałam, tym większą czułam do niej sympatię. Pochodziła w połowie z innej rasy, lecz to czyniło ją tym bardziej niezwykłą i atrakcyjną.

Kiedy tak wędrowałam wśród pięknych kwiatów, najbardziej uderzała mnie bujność życia wokół. Powietrze wibrowało od brzęczenia owadów. Clytie mówiła, że tego nie zauważa, i że ja też się z czasem przyzwyczaję. Ze względu na deszcze i gorący klimat żyje tu mnóstwo zwierząt i roślin. W pewnej chwili dotknęłam gałęzi jakiegoś krzewu i odskoczyłam ze zgrozą, ponieważ gałąź ożyła. I odeszła. Patrzyłam na to z przerażeniem.

Clytie roześmiała się.

— To patyczak. Wygląda jak gałąź. Tak się maskuje.

— Jest niesamowity.

— Przyzwyczaisz się. Na początku wszystko wydaje się dziwne, ale potem uznasz to za naturalne. Mam nadzieję, że często będziemy się widywać. Masz też Clintona...

Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem, jakby oczekiwała zwierzeń.

— A tak — powiedziałam. — Mam Clintona.

— Trochę nas zaskoczyła wiadomość, że się żeni.

— Doprawdy? Przecież nie jest już taki młody.

— Ale nigdy nie zamierzał...

— Mam wrażenie, że przyjechał do Anglii specjalnie po to, by znaleźć żonę — odparłam, starając się mówić lekkim tonem.

— A więc znalazł i wszystko dobrze się ułożyło. Saro, Seth jest trochę niespokojny... o to miejsce.

— O co chodzi?

— Co zrobi Clinton?

— Clinton nie ma tu nic do powiedzenia. Plantacja jest moja. Nie znam się na tym, ale postanowiłam się nauczyć. Poproszę Seta, żeby mi wszystko pokazał.

— Myślę, że Clinton nie aprobuje Seta. Seth twierdzi, że zawsze go krytykuje.

— Być może Clinton zbyt wiele oczekuje od ludzi.

Spojrzała na mnie dziwnie.

— Tak — powiedziała wolno. — Może to prawda. Kiedy nasz ojciec jeszcze żył, wszystko szło gładko. Seth dobrze sobie radził. Ojciec był z niego zadowolony. Musisz nam wybaczyć, ale myśleliśmy...

— Możesz się mnie nie krępować, Clytie. Sądziliście, że plantacja przypadnie wam. To naturalne.

— Lepiej, gdyby było na odwrót.

— Co to znaczy... na odwrót?

— Dla ciebie perły, dla mnie plantacja. Ale jestem starsza i taka jest tradycja. Nienawidzę tych pereł. Uważam, że sprowadzają nieszczęście.

— Masz je tutaj?

— Tak. Seth twierdzi, że powinny być w banku. Czasami je tam zostawiamy. Ale od czasu do czasu muszę je wkładać. Wiesz, perły trzeba nosić. Tak jakby martwiły się, kiedy tego nie robisz. Tracą połysk. Tak przynajmniej słyszałam. Ojciec często kazał mi je nosić. Zamierzamy urządzić bal, by uczcić twój przyjazd. Wszyscy spodziewają się, że je założę.

— Chciałabym je zobaczyć. Tak wiele o nich słyszałam. Czy naprawdę są tak piękne, jak głosi legenda?

— Sama zobaczysz.

— Mówi się o nich z lękiem. Muszą być warte fortunę.

— O tak, o wiele więcej niż plantacja. Ale plantacja byłaby dla nas lepsza. Clinton jest pewien, że ją przejmie. I tego właśnie boi się Seth. Saro, co się stanie, jeśli Clinton postanowi zwolnić Seta?

— Nie może. Nie pozwolę mu na to.

— Nie znalazłam jeszcze nikogo, kto naprawdę potrafiłby mu się sprzeciwić.

— No cóż, mnie także jeszcze nie znasz. Prawda, Clytie?

Nieoczekiwanie poczułam się pewniej. Nie będzie mną rządził. Popęłnił błąd, sądząc że trafił na łatwą zdobycz i dzięki mej naiwności zdobył to, na czym mu zależało: plantację Ashingtonów.

Jest moja, Clintonie Shaw, powiedziałam do siebie w tym pachnącym ogrodzie. I z tym będziesz się musiał pogodzić.

Nagle rozległ się krzyk radości — to Ralph wbiegł do ogrodu. Wyglądał czarująco w ubranku z chińskiego jedwabiu. Ciemne włosy lśniły, oczy błyszczały mu podnieceniem, a lekki rumieniec pokrywał policzki.

— Mama! — krzyknął. A potem zobaczył mnie i zawahał się.

— To twoja ciocia Sara — powiedziała Clytie. — Znasz ją. Poznaliście się wczoraj.

Kiwnął głową i zwrócił się do matki.

— Mamo, widziałem kobrę. Przyszła tu za nami. Chciała mnie ugryźć. Nadepnałem na nią i wtedy się podniosła. Była wielka... — Chłopiec podniósł rękę, jak potrafił najwyżej. — Syczała na mnie.

Clytie zbladła z przerażenia.

Jeden z Cejlończyków podszedł do nas z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i lekko schyloną głową.

— Nie, pani — powiedział. — Żadna kobra. Nie ma niebezpieczeństwa.

— To była kobra — krzyknął Ralph, aż twarz mu poczerwieniała. — Była... była!

— I co się wtedy stało? — zapytała spokojnie Clytie.

— Jeździliśmy po lesie — opowiadał Ralph. — Uwiązaliśmy konie i przeszliśmy się kawałek. I wtedy przyszła kobra.

— I co z nią zrobiłeś?

— Zastrzeliłem.

— Z czego?

— Z mojego łuku.

— Ale przecież nie miałeś ze sobą łuku i strzał.

— Zrobiłem je.

Clytie rozwichrzyła mu włosy.

— Ralph ma bardzo bujną wyobraźnię — powiedziała.

— Co to jest wyobraźnia, mamó?

— Wymyślanie.

— Co to jest wymyślanie?

— To, co robisz, mój aniołku.

— Czy to ładne?

— No, jeśli z tym nie przesadzasz.

— Czy to trudne?

— Co za chłopak! — westchnęła z uczuciem Clytie. — Jeszcze nie powiedziałeś dzień dobry cioci Sarze.

— Dzień dobry, ciociu Saro. Czy lubisz węże?

— Raczej nie. Jeszcze żadnego nie widziałam.

— Dlaczego nie?

— Tam, skąd przybyłam, nie ma ich wiele. Tylko kilka zupełnie małych.

— Czy to dlatego wyjechałaś?

— Nie, niezupełnie.

— Pokażę ci Kolbę. Mamó, pokażę cioci Sarze Kolbę.

— A gdzie ona jest?

— Wiem, ja wiem.

I pobiegł. Clytie śmiała się, mówiąc do mnie:

— Musisz okazać Kolbie należyty szacunek. To taka zabawka, kobra naturalnych rozmiarów. Coś okropnego. Ale Ralph ją uwielbia. Ma ją już od kilku miesięcy, a wciąż jest jego faworytką. Kiedy ją dostał, nie potrafił jeszcze wymówić „kobra” i nazwał zabawkę Kolba. Stąd to imię.

Pojawił się Ralph, ciągnąc za sobą coś, co z całą pewnością wyglądało na śmiertelnie groźnego węża.

— To Kolba — powiedział. — Boisz się, ciociu Saro?

— Wygląda przerażająco.

To prawda. Zabawka była jak żywa. Obejrzałam żółte szklane oczy po obu stronach głowy.

— Mogę zrobić, żeby wystawiła język — oznajmił Ralph. — Wystarczy nacisnąć tutaj. Patrz. Zaraz cię ugryzie, ciociu Saro. Och, to jest niedobra, zła Kolba. Ale ja jej nie pozwolę. Zastrzeliłbym ją z łuku, gdyby cię ugryzła.

— No to poznałaś Kolbę — powiedziała Clytie. — Gdzie ona teraz idzie, Ralph?

— Położę ją pod krzakiem. Lubi tak.

Patrzyliśmy na chłopca. Był naprawdę pięknym dzieckiem. Kiedy wrócił, matka wzięła go za jedną rękę, ja za drugą, i razem ruszyliśmy do domu.

— Sam Śpioch powiedział dzień dobry — oznajmił.

— Mam nadzieję, że nie podchodziłeś zbyt blisko — odparła Clytie. — Sam Śpioch to taki stary krokodyl. Teraz już zupełnie nieszkodliwy. Przez las płynie niemrawa rzeka z bagnistymi brzegami. Uważaj na krokodyle, kiedy będziesz tamtędy przechodzić, Saro.

— Jaka to jest niemrawa rzeka? — spytał Ralph.

— Po prostu leniwa.

— Taka jak Sam Śpioch?

— Naprawdę go widziałeś?

— Tak. Powiedział, że jest zmęczony i mnie nie ugryzie.

Zjawiała się Sheba, by zabrać Ralpha. Jakby z niechęcią skinęła mi głową na powitanie. Ralph podbiegł do niej i objął ją za kolana. Zaczął opowiadać, jak to zastrzelił kobrę z łuku.

— Pora na kolację, mój dzielny chłopczyku — powiedziała. — A potem trochę odpoczniesz, co?

— Och, Shebo, nie będę odpoczywał. Będę... będę... — spojrzał na nas figlarnie — będę polował na kobry.

— Musisz się trzymać z daleka od tych paskudnych stworów, paniczu Ralphie, bo stara Sheba będzie bardzo niezadowolona.

Ralph podszedł, ucałował matkę, potem nieśmiało mnie, i wyszedł z Shebą.

— Nie podoba jej się nikt, kogo polubi Ralph, a on zaprzyjaźnił się z nauczycielem jeździectwa — wyjaśniła Clytie. — Sheba się skarży, że ten człowiek pozwala się chłopcu brudzić i naraża go na niebezpieczeństwo... a wszystko dlatego, że nie może znieść, by ktoś jeszcze poza nią coś dla niego robił. Taka sama była dla mnie. A teraz przeniosła swoje uczucia na Ralpha. Wiesz, jak to jest z piastunkami.

Nie wiedziałam. Może pewnego dnia opowiem jej, jak wyglądało moje dzieciństwo przy Denton Square.

Podwieczorek podano nam w jadalni. Jadliśmy rybę zwaną seir, która, jak wyjaśniła Clytie, była rodzajem skumbrii.

— Zamówiłam ją specjalnie, gdyż jest dla ciebie nowością, a ty chcesz wszystkiego spróbować. Mamy tu karpie, witlinki i kiełbie, ale one są także w Anglii. Widzisz, będąc na wpół Angielką, zawsze chciałam się dowiedzieć jak najwięcej o Anglii. I teraz wiem już co nieco.

Na deser były owoce mango i maleńkie, słodkie banany, wspaniałe.

— Miałaś mi pokazać naszyjnik — przypomniałam Clytie.

— Rzeczywiście. Chodźmy na górę. Leży w sejfie.

Weszliśmy do sypialni, którą dzieliła z Sethem. Otworzyła kluczem niewielkie drzwi i przeszliśmy do czegoś w rodzaju garderoby. Pokój był niewielki i oprócz sejfu stało tu jeszcze biurko i dwa fotele. Zamknęła za nami drzwi.

— Służba tu nie wchodzi — wyjaśniła. — Sama sprzątam. W tym sejfie trzymam naszyjnik. Jest tak cenny, że powstały wokół niego legendy. Podobno sprowadza pecha i przynosi nieszczęście, jeśli trafi do kogoś poza rodziną. Jestem pewna, że ta historia powstała po to, by odstraszyć złodziei. Widzisz, gdy jakiś przedmiot wart jest tyle pieniędzy, ludzie zaryzykują wszystko, by go zdobyć. Służba nie przyszlaby tu nawet wtedy, gdybym o to poprosiła. Więc to jednak działa.

— Tyle zamieszania z powodu kilku pereł!

— Kochana Saro, to są Perły Ashingtonów — odparła. — Jedne z najpiękniejszych na świecie. Zobaczysz. Wszystkie są idealnie do siebie dopasowane. Znasz się na perłach?

— Wiem, jak wyglądają. Roześmiała się.

— Chociaż nie jesteś fachowcem, od razu dostrzeżesz, jakie są wspaniałe. — Podeszła do sejfu i zaczęła go otwierać. — To łatwe, gdy zna się szyfr.

Drzwiczki sejfu otworzyły się. Wyjęła niewielki futerał z krokodylowej skóry i ostrożnie położyła go na stole. Przekręciła zameczek i wieczko odskoczyło. Wewnątrz leżały Perły Ashingtonów.

Z zachwytu wstrzymałam oddech, gdyż rzeczywiście były wspaniałe. Leżały na ciemnoniebieskim aksamicie... dwa sznury, jeden długi na jakieś sześćdziesiąt centymetrów, drugi trochę krótszy. Miały połysk, jakby lśniły życiem. Każda z pereł była sporych rozmiarów, idealnie okrągła i dobrana do pozostałych. Byłam zafascynowana ich czystą, migotliwą głębią. Zapragnęłam ich dotknąć.

— Proszę — powiedziała Clytie. — Weź je. Przyjrzyj im się z bliska.

Wyciągnęłam rękę, ale ich nie dotknęłam. Coś mnie powstrzymywało.

Klamerka błyszczała oślepiająco. Zdobily ją szmaragdy i diamenty. Przyjrzałam się bliżej czemuś, co wyglądało jak diamentowa pętla. I wtedy zobaczyłam, że klamerkę wyrzeźbiono na kształt węża spoczywającego wśród cisowych liści. Oczy gada były ze szmaragdów, a sploty i liście z diamentów.

— Kiedy tylko słyszę o wężach, myślę o tym — stwierdziła Clytie. — Tak jak dziś rano, gdy Ralph opowiedział nam tę fantastyczną historię o zabiciu kobry. Klamerka jest dość niezwykła. Ojciec mówił mi kiedyś, że wewnątrz jest całkiem spory pojemniczek. Przyjrzyj się językowi węża. Jest tam taka mała dziurka. Podobno jeden z władców Kandy chciał się pozbyć swojej żony i napelnił ten pojemniczek jakąś śmiertelną trucizną. Potem skaleczył biedną kobietę, a trucizna z węża przeszła do krwi i zabiła ją.

— To straszne — stwierdziłam. — Nic dziwnego, że wydaje się odrażający.

— Podobają ci się? Nie uważasz, że są przepiękne?

— Perły tak. Są fantastyczne. Ale wąż nie za bardzo. Oczywiście nie znam się na perłach, lecz takich nigdy jeszcze nie widziałam.

— Nikt nigdy nie widział takich pereł. Są wyjątkowe. Dlatego opieka nad tym depozytem wiąże się z taką odpowiedzialnością.

Uniosła naszyjnik i założyła mi na szyję. Drgnęłam, czując na karku dotyk zimnych kamieni kłamry.

— Pasują do ciebie, Saro — stwierdziła. — O wiele bardziej niż do mnie. Stajesz się inną osobą.

— Pozwól, że spojrzę.

Na stoliku stało niewielkie lustro w ramie zdobionej mozaiką ametystów i turkusów. Uniosłam je i spojrzałam na swoje odbicie. Naszyjnik był wspaniały. Perły jakby rozgrzały się na mojej skórze i przylgnęły do niej jak żywe. Klamerka wciąż uwierała mnie w szyję. Dotknęłam jej ręką.

— Kłuje.

— Masz ją na odwrót — zauważyła Clytie. — Dzisiaj nie ma w niej trucizny — dodała ze śmiechem.

— Rozepnij ją, Clytie.

Posłuchała.

— Mogę je zobaczyć na tobie?

Założyła perły i spojrzała na mnie.

— Są dla ciebie za ciężkie — zauważyłam. — Potrzebujesz czegoś niezwykle delikatnego.

— Tak — zgodziła się. — Są dla mnie zbyt ciężkie.

Zdjęła naszyjnik, ostrożnie ułożyła w futerał i schowała do sejfu.

Przez resztę dnia nie potrafiłam zapomnieć o perłach...

Późnym popołudniem Clytie odprowadziła mnie przez las, między drzewami palmowymi, hebanowymi i atlasowymi.

— Orzechy kokosowe trzymamy dla własnego użytku, chociaż Clinton wpadł na pomysł, żeby nimi handlować. Ludzie z plantacji zjadają owoce, kiedy są zielone. Z dojrzałych wyciskają olej. Robią też coś w rodzaju ponczu z kwiatów, a z łądyg wyplatają maty. Nawet puste skorupy służą jako naczynia. Natura nie jest w stanie stworzyć rośliny, którą można wykorzystać na więcej sposobów niż orzech kokosowy. Z liści robią strzechy chat, a czasem używają jako talerzy.

Nasza droga prowadziła przez bardzo zarośnięte fragmenty lasu.

— Uważaj na węże — ostrzegła mnie Clytie. — Przestraszyłam się, kiedy Ralph opowiadał o tej kobrze. To mogło się zdarzyć naprawdę. Uprowadziliśmy go. Stąd ta historia o łuku i strzałach.

Dotarliśmy do rzeki o bagnistych brzegach.

— Wydaje mi się, że tam leży Sam Śpioch. Popatrz, czapla stoi tak blisko Sama... zupełnie nieruchomo. — Zatrzymałyśmy się na chwilę w ciszy.

— Nie chodź przez las — mówiła dalej Clytie — chyba że jesteś w towarzystwie. Powinnaś zaczekać, aż lepiej poznasz okolice. Łatwo możesz się zgubić.

— A ciemność zapada szybko. Wiem. I nie ma tu zmierzchu, tak jak w Anglii.

— Zmierzch musi być bardzo przyjemny — odparła. — Takie łagodne ostrzeżenie, że zbliża się noc.

Szłyśmy szybko i wkrótce pomiędzy drzewami zobaczyłam białe ściany domu.

Clinton wyszedł nam na spotkanie. Chyba ucieszył się na mój widok.

— Miło spędziłaś dzień? — zapytał.

Odparłam, że bawiłam się świetnie.

— Coraz lepiej się poznajemy — dodałam.

— To dobrze. Wejdz, Clytie. Zjesz coś z nami.

— Powinnam wrócić, zanim się ściemni.

— Wyślę kogoś, żeby cię odprowadził — obiecał Clinton.

— To niepotrzebne.

— Wyślę kogoś — powtórzył.

Chciałam, żeby mu odmówiła, żeby uparła się i zrobiła to, co sama zechce. Z drugiej strony jednak wolałam nie myśleć o tej kruchej, wiotkiej istocie, idącej samotnie nocą przez dżunglę.

Clinton oczywiście postawił na swoim.

Kiedy zbliżyliśmy się do domu, spostrzegłam, jak coś przebiega po ścianie. Krzyknęłam przerażona i odskoczyłam.

Clinton roześmiał się.

— To tylko nieszkodliwy, mały gekon — wyjaśnił. — Jaszczurka. Wiele ich tu zobaczysz, gdy pobędziesz dłużej.

Tak, naprawdę czułam, że jestem bardzo, bardzo daleko od kraju.

* * *

Przez kilka następnych tygodni zaczęłam się z wolna przyzwyczajać do otoczenia. Przestał mnie dziwić widok moskitiery zaraz po przebudzeniu. Pogodziłam się z myślą, że moje małżeństwo, z punktu widzenia Clintona, było małżeństwem z rozsądku. Pożądał mnie gorąco, musiałam przyznać, ale był przecież mężczyzną, który gorąco pożądał wielu kobiet. Codziennie na nowo odkrywałam jego gwałtowność i bezwzględność, której w Anglii mogłam się tylko domyślać. Chciałam mu się sprzeciwić, ale póki trwała między nami namiętność, potrafiła usunąć w cień wszelkie inne uczucia. Nie wyobrażałam sobie jednak spokojnej przyszłości u boku

Clintona. Marzenia, które — jak sądzę — ma każda kobieta: o wychowaniu dzieci, planowaniu wraz z mężem ich losu, jakoś nie pasowały do mojego życia z Clintonem. Byłam pewna, że chciałby mieć syna... nawet o tym wspomniał. Chłopiec zostałby ukształtowany na jego obraz, mógłby go wychować na równie bezwzględного człowieka.

Clinton miał w tej okolicy władzę. To było jasne i codziennie stawało się bardziej widoczne. Obawiali się go wszyscy robotnicy na plantacji. Nankeen, który cieszył się u Clintona świetną opinią, uważał go prawie za boga.

— Jest wart dwóch Sethów Blandfordów — powiedział o nim kiedyś Clinton. — Bez obaw mogę mu powierzyć kierowanie plantacją.

Nankeen mieszkał w domu na plantacji i był nadzorcą robotników. Pamiętałam też, że to brat Sheby. Był człowiekiem energicznym i spokojnym, a przede wszystkim, co podkreślał Clinton, lojalnym.

— Ta cecha, moja droga żono — dodał — jest pożądana ponad wszystkie inne.

W naszym salonie stała biblioteczka pełna książek o Cejlonie. Wiele z nich dotyczyło uprawy herbaty. Postanowiłam je wszystkie przeczytać.

Clinton śmiał się ze mnie.

— Co cię tak bawi? — spytałam. — To chyba naturalne, że chcę się uczyć. Jestem właścicielką plantacji. Czyżbyś zapomniał o tym?

— Mam wrażenie, że chcesz mi zrobić konkurencję.

— To byłoby zabawne.

— A ty, kochana Saro, lubisz takie zabawne sytuacje. Moim zdaniem, najlepiej je połączyć. To by oszczędziło kosztów.

— Nie sądzę, by był to dobry pomysł.

Uśmiechnął się z żalem.

— Twój ojciec to ze mną omawiał. Szczerze mówiąc, Saro, plantacja Ashingtonów już od bardzo dawna nie przynosi takich dochodów, jakie powinna.

— Nie przynosi takich dochodów jak twoja plantacja?

— Właśnie to chcę powiedzieć. I mam pewne plany co do plantacji Ashingtonów.

— Może je rozważę.

Podniósł mnie, zakręcił w kółko i przycisnął do siebie.

— Puść mnie — powiedziałam. — Możesz się przekonać, że ten twój podstęp dla zdobycia plantacji Ashingtonów nie był aż taki sprytny, jak ci się wydawało.

— Moja najdroższa żono — zadrwił. — Czym chcesz mi zagrozić? Chcesz, by Ashingtonowie byli dla mnie konkurencją? Kiedyś pewnie będziesz chciała mnie wykupić... Coś ci powiem: nie można w trzy tygodnie nauczyć się z książek uprawy herbaty w taki sposób, by przynosiła dochód. To metoda prób i błędów, klęsk i sukcesów. W tej pracy jest więcej problemów niż śniło się filozofom. Dlaczego nie chcesz być dobrą żoną? Nie pozwalasz, by kierował tobą mąż, który będzie cię kochał i szanował przez resztę życia?

— Wiem, że będzie kochał i szanował moją plantację — odparłam.

— Przyda się jej trochę miłości i szacunku.

Im bardziej drwił ze mnie, tym bardziej byłam zdecydowana mu się przeciwstawić. Muszę przyznać, że dodawało to uroku kolejnym dniom. Nie mogłam się doczekać naszych sporów. Z satysfakcją stwierdziłam, że on także.

W ciągu dnia widziałam go niezbyt często. Plantacja była bardzo rozległa. Często wyjeżdżał o świcie i wracał po zmierzchu. Większość czasu spędzałam na swojej plantacji. Clytie zawsze witała mnie z radością, a Seth był zadowolony, że interesuję się uprawami. Jeśli nawet miał

pretensje, że odziedziczyłam to, co powinna przejąć jego żona i on za jej pośrednictwem, nie okazywał tego. Myślę, że wiedział o moich sporach z Clintonem i był z nich zadowolony.

Jeździłam z Sethem wokół plantacji. Czasami towarzyszyła nam Clytie. Wyglądała pięknie w zachodnich sukniach, ale najbardziej pasowało do niej powiewne sari, migoczące złotymi lub srebrnymi nićmi i pięknymi haftami. Nosiła je we wszystkich kolorach, głównie w pastelowych odcieniach, odpowiadających jej ciemnej, delikatnej cerze. Czasami miałam ochotę po prostu patrzeć na nią z zachwytem.

Podniósł mnie, zakręcił w kółko i przycisnął do siebie.

— Puść mnie — powiedziałam. — Możesz się przekonać, że ten twój podstęp dla zdobycia plantacji Ashingtonów nie był aż taki sprytny, jak ci się wydawało.

— Moja najdroższa żono — zadrwił. — Czym chcesz mi zagrozić? Chcesz, by Ashingtonowie byli dla mnie konkurencją? Kiedyś pewnie będziesz chciała mnie wykupić... Coś ci powiem: nie można w trzy tygodnie nauczyć się z książek uprawy herbaty w taki sposób, by przynosiła dochód. To metoda prób i błędów, klęsk i sukcesów. W tej pracy jest więcej problemów niż śniło się filozofom. Dlaczego nie chcesz być dobrą żoną? Nie pozwalasz, by kierował tobą mąż, który będzie cię kochał i szanował przez resztę życia?

— Wiem, że będzie kochał i szanował moją plantację — odparłam.

— Przyda się jej trochę miłości i szacunku.

Im bardziej drwił ze mnie, tym bardziej byłam zdecydowana mu się przeciwstawić. Muszę przyznać, że dodawało to uroku kolejnym dniom. Nie mogłam się doczekać naszych sporów. Z satysfakcją stwierdziłam, że on także.

W ciągu dnia widziałam go niezbyt często. Plantacja była bardzo rozległa. Często wyjeżdżał o świcie i wracał po zmierzchu. Większość czasu spędzałam na swojej plantacji. Clytie zawsze witała mnie z radością, a Seth był zadowolony, że interesuję się uprawami. Jeśli nawet miał pretensje, że odziedziczyłam to, co powinna przejąć jego żona i on za jej pośrednictwem, nie okazywał tego. Myślę, że wiedział o moich sporach z Clintonem i był z nich zadowolony.

Jeździłam z Sethem wokół plantacji. Czasami towarzyszyła nam Clytie. Wyglądała pięknie w zachodnich sukniach, ale najbardziej pasowało do niej powiewne sari, migoczące złotymi lub srebrnymi nićmi i pięknymi haftami. Nosiła je we wszystkich kolorach, głównie w pastelowych odcieniach, odpowiadających jej ciemnej, delikatnej cerze. Czasami miałam ochotę po prostu patrzeć na nią z zachwytem.

Seth wiele mi opowiadał o pracach wykonywanych w różnych porach roku. Wyjaśnił, kiedy należy sadzić, by jak najlepiej wykorzystać okres południowo — zachodnich monsunów. Podkreślił znaczenie przycinania, dzięki czemu krzewy nie rosną zbyt wysokie i nie utrudniają zbiorów. Spacerowałam z nim i obserwowałam pracujące kobiety. Spoglądały na mnie z ciekawością i uświadomiłam sobie, że to nie tylko dlatego, iż jestem córką Ashingtona i właścicielką plantacji, ale przede wszystkim dlatego, że jestem żoną Clintona Shawa.

Zdawało mi się, że są trochę zaniepokojone. Zastanawiały się chyba, co przyniesie im przyszłość. Wiele z nich przypuszczało pewnie, że plantacja Ashingtonów znajdzie się wkrótce pod kontrolą Clintona. Dostrzegałam pewną różnicę w zachowaniu robotników, których określałam jako swoich, i tych, których zatrudnił Clinton. Jego ludzie pracowali bardziej solidnie, obawiali się go. Moi robotnicy pewnie nigdy nie musieli bać się ojca, ani teraz Setha, któremu okazywali szacunek.

Wierzyłam, że Clinton jest sprawiedliwy, ale jego bezwzględność powszechnie znano. Jak się zorientowałam, jeśli kobieta lub mężczyzna naruszyli ustalone przez niego reguły, byli natychmiast zwalniani bez odwołania. Gdy raz ustalono prawo, wyjaśnił mi, trzeba egzekwować jego przestrzeżenie. Inaczej stanie się bezużyteczne.

Nie ulega wątpliwości, że to on miał kwitnącą plantację, podczas gdy plantacja Ashingtonów ledwie egzystowała. Przynosiła zbyt małe dochody, by zainwestować pieniądze w udoskonalenia.

Seth był interesującym towarzyszem, gdyż — jak większość ludzi, którzy posiadli pewną wiedzę — lubił ją przekazywać nie zorientowanym w temacie. Opowiadał mi o problemach, jakie czekają plantatora herbaty, i wskazywał, na co trzeba uważać. Razem z nim obserwowałam, jak spryskują krzewy siarczanem cynku, ponieważ, jak mi wytłumaczył, cynku w glebie nie wystarcza. Opowiedział mi smutną historię o tym, jak zaatakowała czerwona zaraza i zmieniła korzenie w wilgotną miazgę. Zauważono chorobę, gdy było już za późno, by ratować zbiory.

Uwielbiałam rozmawiać z Clintonem o czerwonej zarazie korzeni i o węglowej zgniliznie łodyg. Słuchał z uprzejmym uśmiechem, a kiedy kończyłam, rzucał jakieś pytanie, które zdradzało moją niewiedzę. Potem całował, mówił, że mnie podziwia i że początkująca plantatorka herbaty jest równie fascynująca jak dziewczyna, z którą spędził noc w Papuziej Chatce.

Tak mijały pierwsze tygodnie. Więcej czasu spędzałam na plantacji Ashingtonów niż w domu. Jeździłam tam codziennie. Nie mogłam się doczekać poranków z Sethem, a potem powrotów do ich domu, gdzie mogłam przebywać z siostrą.

Był też Ralph, który chyba mnie polubił. Opowiadał mi o fantastycznych przygodach, jakie przeżył z węzami i słoniami. Miał wymyślonego słonia o imieniu Jumbo. Słyszał, że tak właśnie nazwano wielkiego słonia, który przybył kiedyś do ogrodu zoologicznego w Anglii. Ciemne oczy chłopca błyszczały podnieceniem, gdy opowiadał mi swoje historie. Zabierałyśmy go na spacer po ogrodzie i lesie. Zwykle to właśnie dżungla była tłem dla jego opowieści. Pokazał mi wysoką palmę, na której wyryto literę R.

— To moje drzewo — powiedział. — Ożywa, kiedy nikt nie patrzy. I rozmawia ze mną. R — od mojego imienia. Ashraf to wyrył, żeby drzewo nigdy nie zapomniało, że należy do mnie.

Miałam wrażenie, że Sheba jest trochę urażona moją przyjaźnią z chłopcem. Było w niej coś, co budziło mój niepokój. Zawsze mi się przyglądała. Przypuszczam, że miała trochę pretensji, gdyż odziedziczyła plantację, która powinna trafić do jej ukochanej Clytie. Oddanie Sheby dla mojej siostry dorównywało miłości do Ralpha i było naprawdę ogromne.

Wydawało mi się, że podsłuchuje, kiedy rozmawiamy z Clytie. W jednym przypadku przekonałam się o tym.

Po obiedzie usiadłyśmy przy herbacie, którą podawano tu zamiast kawy. Clytie powiedziała:

— Przypuszczam, że Clinton rozmawia z tobą o plantacji.

— Och, bawi go moje zaciekawienie. Wierzy chyba, że wcześniej czy później to mnie znudzi.

— Seth wciąż jest zaniepokojony. Zastanawia się, co planuje Clinton.

— Powiedziałam ci już, Clytie, że to ja będę podejmować decyzje.

— Znając Clintona...

— Musiałabyś znać także mnie.

— Prawdą jest, Saro, że Seth kocha tę plantację. To jego życie. Kiedy zaczął pracować u ojca i wzięliśmy ślub, wydawało się...

— Rozumiem. Nie musisz się martwić. Na plantacji Ashingtonów nie nastąpią żadne zmiany. Obiecuję.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i właśnie wtedy instynktownie wyczułam, że ktoś jeszcze uczestniczy w tej rozmowie. Odwróciłam się gwałtownie. Drzwi były lekko uchylone. To przywidzenie, czy naprawdę poruszyły się trochę?

— Co się stało? — zapytała szybko Clytie.

— Och, nic.

— Sporo myślałam o balu. Wszyscy chcą cię poznać. Córka naszego ojca i żona Clintona! Podwójna rola. Co na siebie włożysz?

— W Grange nie miałam okazji, by nosić balowe suknie. Ciotki planowały chyba jakąś kampanię, by wydać mnie za męża, ale zjawił się Clinton...

— I porwał cię. Może pojedziemy do Kandy i kupimy jakiś materiał? Leila jest wspaniałą krawcową. Uszyje, co zechcesz, szybko i sprawnie.

— Bardzo chętnie.

— Nasze bale są zawsze bardzo oczekiwane. Zresztą, bal to chyba zbyt dumna nazwa na te towarzyskie spotkania. Właściwie nie mamy nawet większego pomieszczenia, ale po rozsunięciu drzwi jest tu całkiem spora sala. Wszyscy już się szykują.

Rozmawiałyśmy o przygotowaniach i tak minęło pół godziny.

Kiedy wstałam, przypomniałam sobie o moich podejrzeniach. Zauważyłam, że drzwi są zamknięte. Sheba, pomyślałam. Rozmawiałyśmy o dziedziczeniu plantacji. Biedna Sheba! Była tak oddana rodzinie, że z pewnością interesowały ją moje plany. Mogły przecież wpłynąć na jej życie. A mimo to czułam niepokój na samą myśl o tym, że te błyszczące czarne oczy mnie obserwują... śledzą.

Próbowałam to zbagatelizować. W końcu byłam tu obca w obcym kraju. To naturalne, że przyjmują mnie podejrzliwie. Może ja też powinnam traktować ich podobnie.

* * *

Wyprawa do Kandy była miłym przeżyciem.

Dojechaliśmy na stację w Manganiyi czymś w rodzaju powozu. Na koźle siedział służący, był też mniej więcej czternastoletni chłopiec, który stał przez całą drogę na tylnych stopniach, i najwyraźniej uważał się za kogoś bardzo ważnego.

Z Manganiyi pojechaliśmy pociągiem do Kandy.

Miasto było cudowne — oryginalne i starożytne, kiedyś ostatnia forteca królów Cejlonu. Zbudowane na najniższym stopniu wielkiego, centralnego masywu górskiego, znajdowało się pięćset metrów nad poziomem morza.

Oczarowała mnie Świątynia Tootha i sztuczne jezioro. Ulice były zatłoczone i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak wiele żyje tu ras. Dotąd widziałam głównie Cejlończyków, ale w mieście trafiali się mężczyźni i kobiety o ciemniejszej cerze — Tamilowie, jak wyjaśniła Clytie. Byli też Maurowie, gdyż arabscy kupcy zjawiali się na wyspie i zostawiali po sobie pamiątki. Maurowie prowadzili większość sklepów. Zamieszkiwali tutaj także Burowie, ludzie pochodzący od holenderskich i portugalskich osadników. To spośród nich wywodzili się kandyjscy prawnicy, lekarze, nauczyciele.

Nie budziłyśmy zainteresowania, gdyż często spotykało się ludzi ubranych po europejsku. Zauważyłam jednak, że większość kobiet nosiła sari, jak Clytie.

Teraz było to kosmopolityczne miasto, ale można sobie wyobrazić, że kiedyś znajdowało się tu centrum górskiego królestwa Kandy, które panowało nad całą wyspą.

Liczne sklepy oferowały przepiękne klejnoty: szafiry, szmaragdy, rubiny i perły. Ale my szukałyśmy materiałów, więc Clytie zaprowadziła mnie do magazynu, gdzie powitał nas niemal kłopotliwie usłużny Arab. Wynosił i pokazywał nam całe bele jedwabiu. Wybrałam bucharski jedwab, ciemnoniebieski, z rzadka zdobiony srebrem. Powinnam dobrze w nim wyglądać.

Po zakupach weszłyśmy do jednego z hoteli, gdzie Clytie zamówiła herbatę. Wypiłyśmy ją, zagryzając małymi ciasteczkami określanymi tu jako angielskie bułeczki, ponieważ przepis został przywieziony z Anglii. Nagle podeszła do nas wysoka kobieta o siwiejących włosach. Karnacja jej skóry wyraźnie wskazywała, że już od kilku lat przebywała w tropikalnym klimacie.

— Ależ to pani Blandford! Co za miła niespodzianka!

Głos miała donośny. Krocząc z triumfalną miną w naszą stronę, wpatrywała się we mnie jasnyniebieskimi oczami.

— A to musi być...

— Moja siostra, pani Shaw — powiedziała Clytie. — Saro, to pani Glendenning, której mąż kieruje koleją w Kandy.

— Nie mogliśmy się doczekać, by panią poznać. — Przyglądała mi się z zaciekawieniem. — Cieszę się, że jestem pierwsza... bo chyba jestem pierwsza?

— Tak. Nie bywałyśmy nigdzie od przyjazdu siostry — odparła Clytie. — Dopiero się przyzwyczajają. Na balu, oczywiście...

— Och, bal! Wszyscy go oczekujemy. Podoba się pani Cejlon, pani Shaw?

— Jest bardzo interesujący, ale, jak już mówiła siostra, dopiero niedawno przyjechałam. Wszystko tak bardzo różni się od domu.

— Dom! — westchnęła pani Glendenning. — Jakże się tu tęskni za domem! Płyniemy tam mniej więcej raz na pięć lat, ale to nie wystarcza. Mój mąż jest tak zajęty koleją... Jako główny zarządca i inżynier musi być jednego dnia tutaj, następnego w Kolombo, a potem jeszcze gdzieś indziej. Awaryjne zdarzają się tu równie często jak... herbata!

— To na pewno bardzo ważne stanowisko — zauważyłam.

— Droga pani Shaw, byłabym dużo szczęśliwsza, gdyby nie było takie ważne. Z pewnością wie pani, co to znaczy mieć zapracowanego męża. Jak się czuje pan Shaw?

— Bardzo dobrze, dziękuję pani.

— Byliśmy pewni, że wróci z żoną. To taka smutna historia z pani ojcem. Nie można jednak tego rozpamiętywać. Wszystko ułożyło się tak, jak oczekiwaliśmy. W klubie się o to zakładali.

— Zakładali? — spytałam.

— O panią i Clintona. Zakładają się o wszystko. W końcu wniosek był słuszny. Pani biedny ojciec! Miał w życiu tyle kłopotów. Teraz na pewno jest szczęśliwy, gdy patrzy z góry i widzi, że wszystko tak dobrze się zakończyło. Clinton pewnie się zmienił... to znaczy ustatkował...

Była irytującą kobietą. Cały czas patrzyła uważnie i wydawało mi się, że usiłuje wysondować, jak układa się w naszym małżeństwie. Odetchnęłam z ulgą, kiedy sobie poszła.

— Kłopot z tymi ludźmi polega na tym — powiedziała Clytie — że są zbyt ciekawi spraw innych. Życie płynie tu tak, jak w Europie. Spotykają się, chodzą do klubu, bez przerwy rozmawiają o Anglii, od czasu do czasu płyną tam. Niekiedy przyjeżdża ktoś nowy...

— I kiedy to jest ktoś taki jak żona Clintona Shawa... — dodałam.

— To prawda — przyznała. — Clinton zawsze stanowił temat rozmów. W końcu tak długo był kawalerem, a sporo matek ma córki na wydaniu. Uznały, że pewnie nigdy się nie ożeni... aż usłyszały, że nasz ojciec wyjeżdża do Anglii, a Clinton razem z nim.

— Rozumiem.

— Jesteś zdenerwowana. Niepotrzebnie. Pamiętaj, że w takich społecznościach ludzie dużo plotkują.

— Dużo plotkowali... o Clintonie?

— Sama wiesz, jak to jest.

— Mogę się domyślić.

— To już skończone — stwierdziła Clytie, a ja nie pytałam, co właściwie jest skończone. Rozmowę w tym stylu o własnym mężu uznałam za poniżającą.

Wracałyśmy późnym popołudniem przez zielone pola, które wydawały się wyrastać z zalesionych wzgórz. Mijałyśmy słonie kąpiące się w rzece i pracujące na jej brzegach. Widziałyśmy wodne bawoły, człapiące ciężko w zaprzęgu.

Na stację wyjechał po nas powóz.

— Będziesz zadowolona z pracy Leili — zapewniła mnie Clytie. — To naturalny talent krawiecki. Jestem pewna, że świetnie poradziłaby sobie w Paryżu czy Londynie.

Bez wątpienia dokonała cudów z moim bucharskim jedwabiem. Patrzyłam zafascynowana, jak zręcznymi palcami upina na mnie materiał. Dziewczyna spoglądała na swoje dzieło, a w jej oczach lśnił podziw.

— Jest pani bardzo piękna — powiedziała.

— To ty próbujesz mnie taką uczynić — odparłam.

— Szyłam suknie dla mojej siostry, Anuli — oznajmiła tonem tak pełnym szacunku, jakby Anula była królową.

Ta Anula zaczynała mnie interesować.

— Przypuszczam, że twoja siostra jest bardzo piękna.

— Jest najpiękniejszą kobietą na Cejlonie. Wszyscy tak uważają.

— Więc musi być rzeczywiście wielką pięknnością.

— Och, proszę pani, to więcej niż piękność. Rozumie pani?

— Nie — odpowiedziałam.

Leila podeszła bliżej i obejrzała się przez ramię. Potem szepnęła mi do ucha:

— Ona ma moc.

— To znaczy co?

— Anula była kiedyś wielką królową.

— Dawno?

— Setki lat temu. Teraz narodziła się znowu. Pewnego dnia znowu będzie królową. Potrafi przewidzieć, co się stanie. Dużo wie o nas wszystkich.

— To może być dla nas dość niewygodne — odparłam lekko.

Widziałam, że Leila czuje dla siostry podziw i odrobinę lęku. Wierzyła w tę jej moc. Chciałam usłyszeć coś więcej o tej niezwykłej kobiecie, ale domyśliłam się, że od Leili niewiele wydobędę rozsądnych informacji. Zapytałam więc Clytie.

— Są niezwykłą rodziną — odparła. — Anula to bez wątpienia piękność i najbardziej poważana osoba. Nankeen ożenił się z portugalską dziewczyną z dobrej rodziny i mają trójkę dzieci. Najstarsza, Anula, jest doprawdy niezwykłej urody. Leilę znasz. Najmłodszy jest Ashraf. Pracuje dla nas na plantacji. Będzie podobny do ojca, przystojny, bystry i pracowity. Wokół Anuli wyrosło coś w rodzaju legendy. Ona wierzy, że kiedyś, w innym wcieleniu, była królową Cejlonu. Z pewnością ma królewski wygląd i monarsze maniery, związane z tą godnością.

— Jest mężatką?

— Nnn... nie. Sądzi pewnie, że nikt nie jest jej godny. Albo jeszcze go nie spotkała...

— Pewnie szuka księcia, by pasował do tej królewskiej przeszłości.

— Och, takie sprawy są tutaj traktowane bardzo poważnie. Wielu ludzi wierzy, że żyło już kiedyś i będzie żyć znowu. Anula ma, jak to mówią, moc. Potrafi zaklinać węże tak, że robią, co im każe. Tak słyszałam. Podobno leczy ludzi. Opowiadają też, że nie zawsze leczy, jeśli woli, by sprawy potoczyły się inaczej... Och, ale to tylko głupie plotki.

— To ciekawe. Opowiedz mi jeszcze o tej niezwykłej Anuli. Clytie wzruszyła ramionami.

— Właściwie nic więcej nie wiem. — Była trochę zakłopotana. A potem dodała wesoło: — Cieszę się, że kupiłaś ten jedwab. Będziesz w nim świetnie wyglądać.

Domyśliłam się, że z jakichś powodów rozmowa na temat Anuli była dla niej niewygodna.

* * *

Ustaliliśmy datę balu. Tego ranka nie pojechałam na plantację Ashingtonów. Clytie miała dużo zajęć, ale zrezygnowała z mojej pomocy. Byłam podekscytowana na myśl o tym, że widziałam, że Leila czuje dla siostry podziw i odrobinę lęku. Wierzyła w tę jej moc. Chciałam usłyszeć coś więcej o tej niezwyklej kobiecie, ale domyśliłam się, że od Leili niewiele wydobędę rozsądnych informacji. Zapytałam więc Clytie.

— Są niezwyklej rodziną — odparła. — Anula to bez wątpienia piękność i najbardziej poważana osoba. Nankeen ożenił się z portugalską dziewczyną z dobrej rodziny i mają trójkę dzieci. Najstarsza, Anula, jest doprawdy niezwyklej urody. Leilę znasz. Najmłodszy jest Ashraf. Pracuje dla nas na plantacji. Będzie podobny do ojca, przystojny, bystry i pracowity. Wokół Anuli wyrosło coś w rodzaju legendy. Ona wierzy, że kiedyś, w innym wcieleniu, była królową Cejlonu. Z pewnością ma królewski wygląd i monarsze maniery, związane z tą godnością.

— Jest mężatką?

— Nnn... nie. Sądzi pewnie, że nikt nie jest jej godny. Albo jeszcze go nie spotkała...

— Pewnie szuka księcia, by pasował do tej królewskiej przeszłości.

— Och, takie sprawy są tutaj traktowane bardzo poważnie. Wielu ludzi wierzy, że żyło już kiedyś i będzie żyć znowu. Anula ma, jak to mówią, moc. Potrafi zaklinać węże tak, że robią, co im każe. Tak słyszałam. Podobno leczy ludzi. Opowiadają też, że nie zawsze leczy, jeśli woli, by sprawy potoczyły się inaczej... Och, ale to tylko głupie plotki.

— To ciekawe. Opowiedz mi jeszcze o tej niezwyklej Anuli. Clytie wzruszyła ramionami.

— Właściwie nic więcej nie wiem. — Była trochę zakłopotana. A potem dodała wesoło: — Cieszę się, że kupiłaś ten jedwab. Będziesz w nim świetnie wyglądać.

Domyśliłam się, że z jakichś powodów rozmowa na temat Anuli była dla niej niewygodna.

* * *

Ustaliliśmy datę balu. Tego ranka nie pojechałam na plantację Ashingtonów. Clytie miała dużo zajęć, ale zrezygnowała z mojej pomocy. Byłam podekscytowana na myśl o tym, że spotkam ludzi, którzy podobno nie mogą się doczekać, by mnie poznać. Niektórzy zanocują u Ashingtonów, a kilka osób u nas. Tylko na jedną noc. Pozostali odjadą po balu do siebie.

W domu panowała świąteczna atmosfera. Służący stali się rozmowni i chichotali między sobą. Dostrzegłam, że obserwują mnie z zaciekawieniem. Pewnie dlatego, że całe to zamieszanie było na moją cześć.

Clinton wydał polecenie, by jeden ze służących zawiózł nas na bal osłoniętym powozem, mieliśmy siedzieć pod daszkiem.

Czułam narastające podniecenie. Włożyłam suknię — była piękna, spływała z ramion kaskadami koronek i wstążek. Dzięki szczupłej talii mogłam uniknąć ciasnego gorsetu, który w tym klimacie byłby nie do zniesienia. Stan sukni przylegał gładko do ciała, a od pasa spódnica spływała falbanami w dół. Muszę przyznać, że wyglądałam wspaniale.

Jak zwykle kłopot sprawiała mi fryzura. Moje niesforne, gęste włosy były trudne do ułożenia. Postanowiłam nosić je wysoko, zaczesane od przodu i mocno spięte.

Przejrzałam się w lustrze. Głęboki błękit jedwabiu odbijał się w moich oczach i nadawał im niezwyklej odcień. Czułam, że wybrałam właściwy kolor.

— No cóż — powiedział Clinton, kiedy mnie zobaczył — naprawdę jesteś piękna.

— Cieszę się, że doszedłeś do takiego wniosku.

— Po prostu podzielam twoją opinię. Czy to nie miłe zgadzać się dla odmiany? Spójrz na siebie. Widać, że jesteś zadowolona.

— Leila jest dobrą krawcową.

— To inteligentna rodzina. A tak nawiasem mówiąc, szyję masz troszkę nagą — stwierdził i stanął szybko za moimi plecami.

Trzymał coś w dłoniach. Wstrzymałam oddech, czując, jak materiał opasuje mi krtań. Clinton zapinał mi na karku pasek aksamitu tego samego koloru co suknia.

— Co robisz? — krzyknęłam.

— Ależ jesteś nerwowa. Myślałaś, że chcę cię udusić? Nie znudziłem się jeszcze moją ukochaną żoną.

Patrzyłam na swoje odbicie. Wstążka migotała jasno.

— Co to jest? — zapytałam.

— Szafiry. Podobają ci się?

— Są piękne, ale...

— Już czas, bym dał ci jakiś prezent, nie sądzisz? A cóż może być odpowiedniejszego!

— Dajesz mi te szafiry?

— Skąd to zdziwienie? Wiedziałem o sukni. Wydobyłem tę wiadomość od Leili. Widywałem już kobiety w takich aksamitkach z klejnotami i pomyślałem sobie: To jest to! Założę uzdę na szyję ukochanej i pokażę całemu światu, że jest moja.

— Nie podoba mi się słowo „uzda”. Jakbym była koniem...

Zbliżyłam się do lustra. Na aksamicie były trzy szafiry: jeden duży w środku i dwa mniejsze po obu stronach.

— Są niezłej klasy — wyjaśnił. — Jestem pewien, że wkrótce dowiesz się trochę o kamieniach, jakie tu znajdujemy. Z czasem będziesz wiedziała o nich, i o perłach, tak dużo, jak o herbacie.

— Dziękuję — powiedziałam. — To ładnie z twojej strony.

— Należy ci się. Chciałem pokazać, jak się cieszę, że jesteś tu ze mną.

Poczułam wzruszenie. Jednak zadał sobie trud, by znaleźć coś tak odpowiedniego. Wysadzana pięknymi szafirami wstążka zmieniła mój wygląd. Dodała błysku elegancji, którego przedtem mi brakowało.

Pochwycił moje dłonie i ucałował. Wyrwałam się z zakłopotaniem. Taka demonstracja czułości z jego strony zawsze mnie zaskakiwała.

— Bardzo mi się podobają — powiedziałam. — I tak świetnie pasują...

— Chodźmy już. Wszyscy mężczyźni będą mi dziś zazdrościć. A ja, jak pewnie wiesz, będę się tym rozkoszować.

Wyszłam w duszną noc, czując się szczęśliwa. Czyżby nasze stosunki miały ulec zmianie? Rozpoczęły się od spraw bardzo przyziemnych, przynajmniej on od tego zaczął, ale może polubił mnie samą?

Siedzieliśmy blisko siebie pod daszkiem powozu. Wsłuchiwałam się w stukot końskich kopyt po drodze. Dotykałam lekko szafirów na szyi i mówiłam do siebie: Może jeszcze wszystko jakoś się ułoży.

Clytie witała gości. Drzwi były rozsunięte, a powstała w ten sposób sporą salę balową udekorowaną kolorowymi kwiatami. Świece migotały w lichtarzach. W tym przyćmionym świetle suknie kobiet lśniły delikatnym pięknem. Clytie wyglądała jak księżniczka elfów. Miała na sobie bładozielone sari z cudownego, miękkiego szyfonu połyskującego srebrem. Jedwabiste włosy zaczesła wysoko i ozdobiła szmaragdami.

Od razu spostrzegłam perły. Były wspaniałe. Dwa sznury lśniącego piękna błyszcząły na oliwkowej skórze Clytie. Kiedy się odwróciła, pochwyciłam błysk zielonych oczu węża.

— Clytie — szepnęłam. — Założyłaś je!

— Przy takich okazjach po prostu wypada — odparła. — Chodź, stań przy mnie. Wszyscy chcą cię poznać. Wspaniale wyglądasz. Te szafiry...

— Przed chwilą dostałam je od Clintona.

— Są doskonałe.

Stałam obok niej, a goście podchodzili do mnie kolejno.

Clytie przedstawiała mnie z wdziękiem, tak dla niej charakterystycznym. Tłumaczyła, kim są ci ludzie i czym się zajmują na Ceylonie. Było tu kilku plantatorów kaczuki i handlarzy kokosem, ale większość pracowała w służbach publicznych i administracji. Niektórzy spędzili na tej wyspie wiele lat, inni przybyli niedawno. Większość mieszkała w Kandy, ale część zjawiała się aż z Kolombo. Wszyscy należeli do angielskiej społeczności, która tak daleko od kraju trzymała się razem. Poznałam sędziego, sir Williama Carstairsa, i jednego czy dwóch ludzi z jego departamentu. Dostrzegłam kobietę, którą spotkałyśmy w Kandy — panią Glendenning. Pozdrowiła mnie krzykliwie oraz zapewniła, że wszyscy są oczarowani i z radością witają mnie na Ceylonie. Stwierdziła, że muszę odwiedzić klub w Kandy i koniecznie zostać jego członkiem.

Zlustrowała mnie całą swym przenikliwym spojrzeniem i zatrzymała się na szafirach.

— Cóż za boskie kamienie! — krzyknęła. — Dam głowę, że to dar od kochającego męża.

— Nie powinna pani tak łatwo ryzykować głową, pani Glendenning — odparłam.

— Proszę mi nie mówić, że tak nie jest! Czy ktoś by się ośmielił? Droga pani Shaw, mąż pani to człowiek, z którym należy się liczyć. — Podeszła bliżej. — Nie ma tu nikogo, kto chciałby go urazić. Ja z pewnością nie. To musiałby być mężny człowiek... Ach, ci mężczyźni. Inne prawo dla nich, a inne dla nas, prawda? To by im się podobało. Och, widzę, że pani siostra nosi te słynne perły. Mój mąż bardzo się nimi interesuje.

Clytie usłyszała to i zauważyłam, że nerwowo dotyka naszyjnika.

— Pani Blandford, Reggie chce panią prosić, by mu pani pozwoliła przyjrzeć się im z bliska — mówiła dalej pani Glendenning. — Tyle o nich słyszeliśmy.

— Wszyscy o nich mówią, kiedy je noszę — odparła Clytie.

— To bezcenne dziedzictwo — ciągnęła pani Glendenning. — Są pewnie tyle warte, co wszystkie inne klejnoty w tym pokoju razem wzięte.

Clytie odwróciła się. Nie znosiła rozmów o perłach, a ja czułam, że nie lubię pani Glendenning. Pochwyliłam spojrzenie sędziego i uśmiechnęłam się. Podeszedł do mnie, a ja zrobiłam krok do przodu, ucinając przemowę natrętnej kobiety.

Sędzia był czarującym mężczyzną. Przybył tu dwadzieścia lat temu, jak mi wyjaśnił, i teraz ta wyspa była dla niego ojczyzną. Mniej więcej co pięć lat odwiedza stary kraj. Rodzina cieszy się z jego wizyt, i on również.

— Spotka tu pani kilku Cejlończyków, ale większość to Anglicy. Wielu Cejlończyków pracuje w agencjach rządowych. Niektórzy pochodzą ze starożytnych kandyjskich rodów.

— Kobiety w sari wyglądają cudownie — odparłam. — Mam nadzieję, że dzisiaj poznam wszystkich. Moja siostra w tym właśnie celu zorganizowała przyjęcie.

— Jestem pewien, że każdy zechce panią poznać. O, pojawił się Reggie Glendenning. To główny inżynier kolei. Linia między Kolombo i Kandy jest dla nas niezwykle ważna.

Przedstawiono mnie Reggiemu. Potulny, mały człowieczek, pomyślałam, ale przy takiej żonie pewnie nie może być inny.

Szeroko opowiadał mi o swoich obowiązkach, które uznałam za wyjątkowo nudne. Słuchałam tylko przez grzeczność, ale kiedy zaczął mówić o perłach, zrobiłam się czujna.

Powiedział, że zawsze pasjonowały go Perły Ashingtonów. Pamiętał jedną z wizyt tutaj, kiedy mój ojciec wyjął je z tego krokodylowego futerału i pokazał mu.

— Nigdy jeszcze nie widziałem takich pereł — stwierdził. — Co za połysk! Wątpię, czy na całym świecie znajdzie się piękniejszy zestaw. Były darem jednego z królów Kandy dla narzeczonej, tak słyszałam. Podobno przynoszą pecha, gdyż ona zmarła przy porodzie. Potem

przeszły w ręce Ashingtonów i stały się sławne jako Perły Ashingtonów. Zamierzam poprosić panią Blandford, by mi pozwoliła przyjrzeć się im dokładniej. Perły zawsze mnie fascynowały. Chciałbym posiadać łowiska, ale inżynierowie nie zajmują się przecież połowami pereł.

Nie, jeśli mają tak władcze żony, które chcą, by byli inżynierami kolejnictwa, pomyślałam.

— W każdym razie poproszę panią Blandford, by zgodziła się mnie przyjąć i pokazać mi te wspaniałe perły przy świetle dziennym.

— Na pewno z przyjemnością się zgodzi.

— To piękna kobieta — dodał.

Bez wahania przyznałam mu rację.

Clytie przyszła mi na ratunek.

— Wkrótce złączą się tańce, a ty, Saro, powinnaś zatańczyć z każdym — zauważyła.

Clinton znalazł się obok mnie.

— Do mnie należy pierwszy taniec — oświadczył.

— Nie mam doświadczenia — uprzedziłam go. — Nie tańczyliśmy w Grange. Celia Hansen nauczyła mnie trochę, kiedy była z nami. Razem tańczyliśmy dookoła szkolnej sali.

— Będziemy musieli sobie pomagać. Moim zdaniem poruszam się z gracją słońia.

Objął mnie ramieniem i zaczęliśmy walca. Byłam z tego zadowolona, ponieważ miałam pewne wycucie rytmu, którego jemu wyraźnie brakowało.

— Jesteś dziś szczęśliwa — zauważył. — Może lubisz takie wielkie przyjęcia.

— A ty?

— Wolę być z tobą sam.

Roześmiałam się, a on mówił dalej:

— Dziwne rzeczy sprawiają ludziom przyjemność. Na przykład tobie podoba się biegać dookoła, podczas gdy twoje stopy maltretują jakiś...

— Słoń — dokończyłam. Przycisnął mnie mocniej.

— Wszystko to się skończy. Nadejdzie czas, gdy będziemy jechać obok siebie w powozie, przez tę pachnącą noc, do naszego domu...

— Widzę, że w takich chwilach budzi się w tobie romantyk.

— Zawsze tam jest. Drzemie pod tą granitową powierzchnością, czekając na pocałunek życia, jak ta Śpiąca Królewna na swego księcia.

— Moim zdaniem to niezbyt pasujesz do roli Śpiącej Królewny.

— Chyba sięgnąłem do złej bajki. To raczej jak Piękna i Bestia.

Roześmiałam się głośno.

— Zaczęliśmy od dzieci zagubionych w lesie.

— A tak, zagubieni wśród drzew.

— Teraz moglibyśmy przejść do Jasia i Małgosi. Jak wiesz, znaleźli chatkę z piernika, w której czekał ich straszny los. Musiałbyś zmienić rolę i zostać Babą Jagą. To ty mnie zwabiłeś i to w przyziemnym celu. Nie, to zbyt śmieszne.

— Jesteśmy obiektem zainteresowania wszystkich. Czy wiesz, że pytają siebie nawzajem: „Uwierzyłbyś, że Clinton Shaw będzie tak oczarowany jedną kobietą, i to w dodatku własną żoną?”

— Domyślałam się, że jesteś tu znany z bardziej krótkotrwałych uczuć.

— Widzę, że wiele się uczyłaś i to nie tylko o herbacie.

Walc się skończył i wróciliśmy na miejsca. Odańczyłam szybką polkę z sir Williamem, a Reggie Glendenning był moim partnerem przy lansjerze. Z Clintonem tańczyła niezwykle piękna kobieta, ubrana w szkarłatne sari, obręzione złotą nicią w prostokątny, grecki wzór. W wysoko upięte, gładkie, czarne włosy wsunęła rubinowy diadem. Wyróżniała się spośród pozostałych

Cejlonek. Pomyślałam, że chyba ma w sobie europejską krew, podobnie jak moja siostra. Była wysoka, choć niższa ode mnie, i pełna gracji. Niewątpliwie to najpiękniejsza kobieta wśród zgromadzonych.

Sprawiła wrażenie, jakby dobrze znała Clintona. I nagle uświadomiłam sobie, że jest jedną z niewielu osób, których mi nie przedstawiono.

Przy pierwszej okazji spytałam o nią Clytie.

— To Anula, córka Nankeena.

— Och! — zawołałam. — Ta słynna Anula. Rzeczywiście jest niezwykła. Nie powiedziałaś, że ją zaprosiłaś.

— Właściwie ja jej... nie zaprosiłam...

— Chcesz powiedzieć, że przyszła bez zaproszenia?

Clytie rozejrzała się niespokojnie.

— Widzisz, ona już bywała na takich spotkaniach. Ktoś ją przyprowadził i...

— Clytie — przerwałam. — O czym ty mówisz?

— Anula różni się od swoich krewnych. Oni dla nas pracują. Anula nigdy dla nikogo nie pracowała. Ma własny dom przy granicy plantacji, własny powóz...

— Jest więc bogata?

— No... tak. Zdobyła majątek. Ma dużo wolnego czasu... — I nie trzeba jej zapraszać. Po prostu przychodzi...

To było dość dziwne. Jednak nie mogłam teraz wypytywać Clytie. Poproszę, żeby jutro wszystko mi wytłumaczyła.

W sali balowej było gorąco, a taniec rozburzył nieco moją fryzurę. Postanowiłam więc pójść do sypialni Clytie, którą teraz wykorzystywano jako szatnię, i tam poprawić włosy.

Dyskretnie wyszłam i po schodach udałam się na górę. Zasiadłam przed lustrem. Tak, fryzura z pewnością wymagała poprawek. Wyjęłam spinki i włosy opadły mi na ramiona. Były w takim stanie, że pozostało mi tylko czesanie ich od początku.

Pochłonęło mnie to zajęcie i nie usłyszałam otwierania drzwi. Gdy uniosłam głowę, spostrzegłam z lękiem, że nie jestem w pokoju sama. Serce zabiło mi bezsensownie szybko: w lustrze zobaczyłam stojącą za mną kobietę w szkarłacie.

To była Anula.

Odwróciłam się. Z włosami w połowie zaczesanymi, w połowie rozpuszczonymi, poczułam się niepewnie wobec tej smukłej, pełnej gracji istoty.

— Nie słyszałam, jak pani wchodzi — powiedziałam.

— Doprawdy? — Głos miała niski i melodyjny. Pasował do niej.

— Przyszłam poprawić fryzurę — wyjaśniłam, jakbym musiała się tłumaczyć.

— To tańce... i ten upał. Nie jest pani przyzwyczajona do takich temperatur.

— Przypuszczam, że się w końcu przyzwyczaję.

Starannie układałam włosy, a ona obserwowała mnie w milczeniu.

— Bardzo chciałam panią poznać — odezwała się wreszcie.

— Przypuszczam, że w tym towarzystwie ktoś nowy zawsze jest ciekawostką.

— W dodatku żona Clintona Shawa... oczywiście. Mogę pomóc? Jest tu jeden kosmyk niezbyt dobrze umocowany. W czasie polki z pewnością się uwolni.

Zręcznie upięła mi włosy. Poczułam zapach jej egzotycznych perfum.

— Już! Chyba będzie się trzymał.

— Dziękuję bardzo. Rzadko kiedy trzyma się tak, jak bym tego chciała.

— Piękne włosy — powiedziała. — Bardzo gęste.

Wstałam. W jakiś dziwny sposób budziła we mnie niepokój. Czułam, że jej ciemne oczy coś ukrywają, że stara się odczytać moje myśli, znaleźć odpowiedzi na pewne pytania.

— Przyniosłam pani drobny podarunek — oświadczyła. — Mam nadzieję, że go pani przyjmie.

— Podarunek? To bardzo miłe.

— Siostra pokazała mi błękitny jedwab na pani suknię i odcięła dla mnie kawałek. Stąd miałam wzór. Damy tutaj często używają wachlarzy. Dlatego przyniosłam pani taki, by pasował do sukni. Proszę.

— Dziękuję bardzo. Mogę otworzyć?

— Oczywiście. Chciałabym wiedzieć, czy się ten pani spodoba.

Był owinięty w bibułkę. Kiedy ją rozwinęłam, zobaczyłam wspaniały wachlarz z pawich piór. Ten głęboki błękit był moim ulubionym kolorem.

— Jest piękny — zawołałam. — Cudowne barwy!

Skłoniła głowę.

— Cieszę się, że sprawiłam pani radość.

— Ze względu na tańce wolę nie korzystać z niego dzisiejszego wieczoru — stwierdziłam. — Zapakuję go i zabiorę ze sobą do domu. Bardzo dziękuję.

— Chciałam go pani podarować, ponieważ jest pani teraz z nami i jest pani żoną Clintona Shawa.

— To bardzo miło z pani strony.

Zostawiłam ją w sypialni i sama zeszałam na dół, gdyż usłyszałam pierwsze dźwięki kotyliona, a partner już czekał.

Jakieś pół godziny później, po tańcu ze mną, sir William Carstairs zaproponował dla ochłody spacer po ogrodzie.

Wyszliśmy razem i usiedliśmy na bambusowej ławeczce wśród krzewów rododendronu, o wiele wyższych niż te, które zapamiętałam z domu. Sir William opowiedział mi trochę o swojej pracy i o praktyce adwokackiej w Anglii, jeszcze zanim przyjechał na Cejlon. Był ornitologiem amatorem i korzystał z okazji, by obserwować tu ptaki. Mówił o sowach, a szczególnie o jednym gatunku, który wydawał głos tak niesamowity, że miejscowi nazwali ptaka „diabelskim”.

— Zimorodki, cukrzyki, złote wilgi i papugi długoogonowe występują tu licznie, ale szczególnie dużo jest ptaków brodzących. Musi pani zobaczyć czaple białe, warzęchy i bociany.

Zapewniłam go, że spróbuję, gdy nagle usłyszałam jakieś głosy. Pewnie gdzieś blisko, osłonięta przez rododendrony, stała druga ławeczka.

Ktoś powiedział dość głośno:

— Nie powinna tu dziś przychodzić. Myślisz, że Clytie Blandford ją zaprosiła? Oczywiście, że nie!

Uświadomiłam sobie, że słyszę panią Glendenning. Jej rozmówca coś mruknął, a wysoki głos kontynuował:

— Nie wątpię, że przyszła bez zaproszenia. W końcu zmusił nas wszystkich, byśmy ją zaakceptowali. Ona pewnie uważa, że wciąż ma jakąś pozycję, nawet teraz, kiedy wrócił z żoną.

— Zobacz pani flamingi na mokrych piaskach — sir William mówił coraz głośniej. Był chyba tak pochłonięty ptakami, że nie słyszał strzępków tamtej rozmowy.

— Nigdy mi się nie podobało, jak pysznił się swoimi kochankami — ciągnęła pani Glendenning. — Lecz ta była najważniejsza... *maitresse en titre*, jak nazywają to Francuzi. Ale nie jesteśmy we Francji, droga Emmo. Prawda? Oczywiście Clinton Shaw ma tu władzę i wydaje mu się, że może się zachowywać, jak zechce. No cóż, skoro przywiózł sobie żonę, można by oczekiwać, że stanie się człowiekiem odpowiedzialnym.

— Wewnątrz ładu — mówił dalej sir William — znajdzie pani cyraneczki i kaczki.

Nie chciałam dłużej tu zostawać. Wstałam i pochwyciłam spojrzenie mego towarzysza. Zrozumiałam, że słyszał tę rozmowę, ale jako człowiek dobrze wychowany, udawał, że nic się nie stało.

Wtedy przyszło mi do głowy, że wszyscy obserwują Anulę, była kochanką mojego męża. Miała dom na plantacji i własne pieniądze, na pewno od Clintona. A kiedy przyjechałam i zostałam przedstawiona jako jego żona, ona także była na miejscu. Mógł jej zabronić przybycia, ale tego nie zrobił. Tańczył z nią, powitał z radością. Jaka byłam głupia myśląc, że moje małżeństwo jakoś się ułoży.

Wróciliśmy do sali balowej. Tańczyłam jak automat. Zauważyłam, że Clinton tańczy z Anulą. Poczułam mdłości z gniewu i żalu.

— Dobrze się czujesz? — szepnęła Clytie.

— Dlaczego zaprosiłaś tę kobietę? — spytałam. Nie musiała pytać, o kogo mi chodzi.

— Nie zaprosiłam — odparła. — Sama przyszła.

— Więc przyjmujesz ludzi, których nie zapraszasz.

— To wydawało się najrozsądniejsze.

Wracaliśmy o północy. Siedząc w powozie obok Clintona, czułam się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy jechaliśmy na bal.

— Jesteś zmęczona — powiedział, a czuły ton jego głosu budził we mnie już tylko nienawiść.

Muszę ukrywać swój gniew, pomyślałam, dopóki nie zostaniemy sami. Wtedy dopiero wybuchnę. Wyjaśnię mu, że nie pozwolę się poniżać.

Czwórka gości miała zostać u nas na noc, gdyż mieszkali zbyt daleko, by wracać o tej porze. Wyjadą o świcie. Dlatego po przyjeździe musiałam pokazać im pokoje i dopiero po dłuższym czasie zostałam z Clintonem sama.

Spojrzałam na niego stanowczo.

— Chcę znać prawdę — oświadczyłam.

— Co cię napadło? — zapytał.

— Ta kobieta, Anula, kim jest dla ciebie?

— Dobrą przyjaciółką.

— To znaczy... twoją kochanką?

— Wyjątkową.

— Cieszy się wspaniałym tytułem *maitresse en titre*. Tak ją opisywano dzisiejszego wieczoru.

— Naprawdę? Brzmi pięknie. Jestem pewien, że się jej spodoba.

— Mnie się nie podoba.

— Moja droga, dlaczego chcesz pozbawić Anulę tej odrobiny sławy?

— Nazywasz to sławą?

— Ty to tak określiłaś.

— Chcę wiedzieć wszystko.

— Nienasycona żądza wiedzy... cała ty. Jeśli nie chodzi ci o herbatę, to o klejnoty, a teraz o moje przedmażeńskie związki. Tracisz energię, najdroższa. Co się stało, to się nie odstanie. Anula przez kilka lat była moją kochanką. To rozsądny związek. Została zaakceptowana. Przez pewien czas myślałem nawet o małżeństwie. Ale nie popieram mieszanych małżeństw. Trzeba myśleć o dzieciach. Wiedziałem, że muszę znaleźć angielską żonę.

— Najlepiej z plantacją. Przypuszczam, że Anula, mimo swej doskonałości, nie mogła ci tego zapewnić!

— Masz rację. Nie mogła. Tutaj zdobyłaś punkty.

— Nienawidzę cię — zawołałam. — Jesteś taki... zimny i wyrachowany.

— Przy rachunkach należy zachować spokój, jeśli chce się otrzymać właściwe rozwiązanie.

- Doprowadzasz mnie do szału.
- Wiem. Lubię, kiedy szalejesz.
- A ja cię w ogóle nie lubię.
- Saro, nie bądź zazdrosna. Anula to piękna istota, wiem o tym, ale...
- Możesz iść do niej, kiedy tylko zechcesz, a ja wracam do Anglii.
- Co? Do ciotki Marty? Założę się, że i ona nie jest wzorem cnót. Sądzę, że nawet ja jestem

lepszym rozwiązaniem.

Czułam, że ogarnia mnie rozpacz. Byłam taka szczęśliwa, gdy wyjeżdżaliśmy na bal, wrzuszona jego prezentem. Ale to, co odkryłam, poniżyło moją godność. Wciąż myślałam o plotkach, jakie muszą krążyć w tej zamkniętej społeczności. Ludzie będą mnie obserwować, przyglądać się Clintonowi i Anuli. Wspomniałam chwilę, gdy cicho jak pantera weszła do sypialni, a potem stała i patrzyła na mnie.

Ściągnęłam wstążkę z szafirami i rzuciłam na toaletkę.

- Może wolisz dać to Anuli — powiedziałam.
- Dla niej nie byłyby odpowiednie. Jej kamienie to rubiny... rubiny i szmaragdy.
- To może jednej z mniej ważnych przyjaciółek?

Roześmiał się i chwycił mnie w ramiona.

— Najdroższa Saro, nie masz powodów do zazdrości. Jesteś tutaj i jesteś jedyną. Ty jesteś moją żoną. Póki sprawiasz mi rozkosz, po co miałbym szukać kogoś innego?

— To coś w rodzaju ultimatum, prawda?

— Niezły pomysł. Zadanie dla ciebie. Postaraj się tak mnie oczarować, bym nie mógł patrzeć na inne kobiety.

— Proszę mnie puścić.

W odpowiedzi przycisnął mnie tylko mocniej. Bezsukutecznie próbowałam go odepchnąć. To go rozbawiło. Lubiał okazywać mi swoją siłę.

— Posłuchaj — zapłakałam. — Nie zniosę litości innych ludzi.

— Litości! Oni wszyscy ci zazdroszczą. Nie rozumiesz tego?

— Nie mówiłam o odrzuconych kochankach. Słyszałam w ogrodzie rozmowę. Pani Glendenning...

— Ta kobieta jest bardziej jadowita niż kobra! Zapewniam cię, że w jej otoczeniu nie ma osoby, której by o coś nie oskarżyła.

— Wszystko jedno! To mi się nie podoba.

— Nie powinnaś wychodzić do ogrodu. Nie ostrzegałem cię, że można tam spotkać węża? — Ujął dłońmi moją twarz i powiedział z powagą. — Moja droga Saro. Znałem już wiele kobiet. Czego się spodziewałaś? Anula mi odpowiadała. Jest niezwykle, tajemniczą istotą. Często bywałam w jej domu...

— Który jej dałeś...

— W domu, który jej dałem.

— I klejnoty, które miała na sobie?

— I klejnoty, które miała na sobie. Wiesz, jaki jestem hojny.

— Teraz posłuchaj mnie uważnie — powiedziałam. — Nie zostanę tutaj, jeśli myślisz, że będę tolerowała twoją niewierność. Nie żeby mi zależało...

— Naprawdę, Saro? Wydaje mi się, że to niezbyt moralne.

— Czy możesz być poważny? Nie chcę, by się nade mną litowano. Nie pozwolę się poniżyć. Jeżeli odkryję, że mam cię dzielić z innymi kobietami, wyjadę.

— Nie zniósłbym myśli o tym, że wracasz do tych strasznych ciotek.

— Mogę się przenieść na swoją plantację. Nie przyszło ci to do głowy?

— Pójdę za tobą i sprowadzę cię z powrotem, gdziekolwiek pojedziesz. Poślubiłaś mnie, skarbie, na dobre i na złe, pamiętaj o tym.

— Byle tylko nie było dużo gorzej.

Przytulił mnie mocno i znów zapłonęła między nami namiętność. Nagle zmienił ton. Przestał żartować.

— Najdroższa Saro, kocham cię... i tylko ciebie. Niech tak zostanie. To może być najcudowniejsza rzecz, jaka się nam obojgu przytrafiła.

W tych chwilach fizycznej zgodności byłam skłonna w to uwierzyć.

* * *

Goście wyjechali wczesnym rankiem, a ja ruszyłam na plantację Ashingtonów, by zobaczyć się z Clytie. Czekala na mnie, żeby poplotkować o balu.

— Myślę, że wszystko się udało — powiedziała. — Goście, którzy zostali u nas na noc, już wyjechali. Zawsze wyjeżdżają wcześniej, niemal o świcie. Przypuszczam, że twój także. Byli zachwyceni spotkaniem z tobą. Niektórych będziesz widywała o wiele częściej. Wyglądasz na zamysloną, Saro.

Kiedy usiadłyśmy, popijając lemoniadę z wysokich, zielonych szklanek, spojrzała na mnie pytająco. Chciała wiedzieć, czy dobrze się bawiłam.

— Droga Clytie — odparłam. — Miałaś sporo kłopotu z mojego powodu. Nikt nie mógł być lepszą gospodynią ani bardziej się starać, by wprowadzić mnie do towarzystwa. — Spojrzałam na jej zaniepokojoną twarz i nagle postanowiłam zdradzić jej powody mojego złego humoru. — W ogrodzie podsłuchałam rozmowę o Clintonie i tej kobiecie, Anuli.

— Och, kochanie. — Spojrzała niespokojnie. — Bardzo żałuję, że przyszła. Za dawnych czasów nie była zapraszana, ale przychodziła, kiedy tylko chciała. Czasem przyprowadzał ją Clinton i nikt nie śmiał odmówić jej wstępu, gdyż bali się go urazić... a może ją. Krążą pogłoski, że jest kimś w rodzaju czarodziejki.

— To panią Glendenning słyszałam w ogrodzie.

— Mściwa kobieta o złośliwym języku.

— Tłumaczyła komuś, że jest zaszokowana przybyciem Anuli. Od razu się domyśliłam, jakie łączyły ich stosunki. Dzisiaj w nocy pokłóciłam się o to z Clintonem.

— Och, Saro!

— Nie bądź taka przestraszona. Rozumiemy się z Clintonem doskonale. Wyjaśniłam, że nie będę tolerować dalszych z nią kontaktów.

— Jestem pewna, że nawet mu się to nie śniło.

Kochana Clytie! Uświadomiłam sobie, że jej małżeństwo z Sethem było bardziej konwencjonalne. Mówiła dalej:

— Niestety się złożyło, że usłyszałaś, co mówiła ta kobieta.

— Spotkałam Anulę w czasie balu w twojej sypialni. Przyniosła mi wachlarz. Zostawiłam go tutaj. Zupełnie o nim zapomniałam. Weszła do pokoju, kiedy poprawiałam włosy. Wydawała się bardzo przyjaźnie do mnie nastawiona.

Clytie zmarszczyła brwi.

— Co cię martwi? — spytałam.

Zawahała się.

— Anula to kobieta o wybuchowym charakterze. Często kłócili się z Clintonem. Była straszliwie zazdrosna. Raz próbowała go zabić. Drasnęła go nożem. Miał ranę na ramieniu. Sprawę wyciszono, ale ja nigdy o tym nie zapominałam. Widzisz, Sheba to jej ciotka. Powiedziała mi, że

Anula jest odrodzoną królową Cejlonu. Była kiedyś królowa Anula, czytałam o niej. Pierwsza królowa, jaka tu panowała, nienasycona, jeśli chodzi o mężczyzn. Otruła pięciu swoich kochanków. Została spalona żywcem przez pasierba, którego też chciała otruć, by jej własny syn został następcą tronu.

— I oni naprawdę w to wierzą?

— Jak najbardziej. Sheba twierdzi, że Anula ma czarodziejską moc. Wykorzystała ją, by przywabić Clintona. Sheba nie wierzyła, że Clinton wróci do domu z żoną.

— Mam wrażenie, że wpadłam w sieć intryg.

— To wszystko bzdury. Anula to po prostu kobieta, która lubi stawiać na swoim i jak dotąd udawało jej się to całkiem nieźle.

Wstałam.

— Pokażę ci prezent od niej. Jest bardzo piękny i najwyraźniej zadała sobie sporo trudu, by pasował do koloru mojej sukni.

Weszliśmy do sypialni. Na stoliku, owinięty w bibułkę, leżał mój wachlarz.

Rozpakowałam go i rozłożyłam piękne pawie pióra. Clytie spojrzała raz tylko i z wrażenia aż zaparło jej oddech.

— Dała ci coś takiego?

— Tak. Czyż nie jest piękny?

— Saro, nie możesz tego zatrzymać. Nie możesz mieć tego w domu. Nigdy ich tu nie używamy. Pawie pióra przynoszą nieszczęście.

Patrzyłam na nią zdziwiona.

— Naprawdę wierzysz...

— Czasem robi się takie wachlarze dla cudzoziemców. Naprawdę nikt ich tutaj nie używa. To przynosi pecha. Wiem o tym. Pawie pióra oznaczają śmierć.

Clytie wyrwała mi wachlarz i zbiegła po schodach. W ogrodzie przyłożyła do piór zapalną. Stałam patrząc, jak zwijają się w płomieniach.

— Och, Clytie — powiedziałam. — Były takie piękne.

— Ona ci źle życzy — odparła cicho Clytie. — Saro, musisz być bardzo ostrożna.

Cudowna kraina

Okup

Pod koniec następnego tygodnia Clinton oznajmił, że musi pojechać do Kolombo, by spotkać się z kilkoma agentami. Potem zamierzał udać się na południe, do Galie, i na północ, na łowiska pereł. Miało go nie być około dwóch tygodni. Nie chciał, żebym zostawała tylko ze służbą, zaproponował więc przeprowadzkę do siostry.

Clytie była zachwycona. Uznała, że zaoszczędzi nam to podróży między plantacjami. Przyjechała po mnie. Pożegnałam się z Clintonem, zabrałam trochę niezbędnych rzeczy i wsiadliśmy do powozu.

Okno mojego pokoju wychodziło na ogród i las za nim. Na moje powitanie Clytie ułożyła w wielkim wazonie buldenez. Ciągłe powtarzała, jak bardzo jest szczęśliwa, że zamieszkam z nią pod jednym dachem.

Zastanawiałam się, czy Clinton odwiedzi Anulę lub inną kobietę. Nigdy nie byłam go pewna. Niepewność stała się istotą naszego związku. Nie miałam poczucia bezpieczeństwa, brak było między nami zaufania.

Przez ten krótki czas będę się starała o nim zapomnieć. Spróbuję nauczyć się od Setha czegoś więcej o uprawie herbaty. Będę rozmawiać z Clytie, która szybko stała się moją najdroższą przyjaciółką. To cudowne: tak późno odkryć siostrę, znaleźć ją i przekonać się, że jest tak niezwykła i że doskonale do siebie pasujemy.

Rozejrzałam się po pokoju. W oknach tkwiły druciane siatki, po bokach zsunięte kremowe zasłony z madraskiej bawełny, nad łóżkiem obowiązkowa moskitiera. Pokój był bardzo przytulny. Postanowiłam cieszyć się moim tu pobytem i nie myśleć o Clintonie ani o tym, jak spędza czas podczas podróży. Po spotkaniu twarzą w twarz z Anulą, po kłótni o ten romans i tak szczerym wyznaniu mojego męża, potrzebowałam kilku dni samotności, by poukładać wzburzone myśli. Clinton niewątpliwie posiadał jedną zaletę: nigdy nie próbował kłamać. Nie kręcił, jak zrobiłaby to większość mężczyzn. „Tak, była moją kochanką” — powiedział wprost. Chciałam tylko wiedzieć, czy jest nią nadal. Znałam Clintona i poznałam już Anulę... Zrozumiałam, że bez żadnych skrupułów mogliby powrócić do dawnych kontaktów.

Teraz miałam chwilę spokoju. Może przez ten czas zastanowię się, jak mam postępować dalej.

Rankami wychodziłam z Sethem i objeżdżaliśmy plantację. Spoglądałam z dumą na zielone zbocza porośnięte tak ważnymi dla nas krzewami. Lubiłam patrzeć na pracujących zbieraczy z koszami na ramionach. W większości były to kobiety. Wyglądały malowniczo, z głowami osłoniętymi przed słońcem. Ich postacie widać było do połowy, resztę przesłaniały krzewy.

Najbardziej cieszyły mnie popołudnia z Clytie, gdy przybiegał do nas mały Ralph i spacerowaliśmy po ogrodzie i w lesie. Lubił zatrzymywać się pod drzewem, na którym był wyryty jego inicjał. Rozmawiał z nim. Chłopiec był pełen życia, potrafił rozpoznać wiele roślin. Nigdy ich nie zrywał.

— To je boli — wyjaśniał. — One lubią rosnąć w ziemi.

Przynosił dumę rodzicom, a miłość Clytie do syna była widoczna w każdym jej spojrzeniu i geście. Ralph chciał być samodzielny i niecierpliwił się, gdy okazywano mu zbyt wielką troskę. Wyglądał na starszego niż na swoje cztery lata. Potrafił już trochę czytać i lubił słuchać bajek, choć nudził się, gdy trwały zbyt długo. Często nie podobały mu się zakończenia i wymyślał własne.

Sheba krążyła wokół niego bez przerwy i zauważyłam, że stale mnie obserwuje. Rozumiałam to zainteresowanie, zwłaszcza teraz, gdy znałam jej pokrewieństwo z Anulą i związku Anuli z moim mężem. Nie wiedziałam, czy wciąż liczyła, że Clinton poślubi Anulę. Miała wiele powodów, by

mnie nie lubić. W dodatku odziedziczyłam plantację, a z pewnością sądziła, że będzie ona należała do Clytie i Seta. Trudno się dziwić, że mnie tutaj nie chciała. Taka była wymowa tych ponurych spojrzeń, jakimi mnie obrzucała. Czasami budziły we mnie wręcz obawę.

Kilka dni po moim przyjeździe usłyszałam, że w Manganiyi ma być parada. Poprzednie odbywały się w Kandy i Clytie zastanawiała się, czy tam nie pojechać. Ralph na pewno chciałby to zobaczyć. Ale uroczystości zaczynały się dopiero wieczorem, więc wyjazd z dzieckiem tak daleko nie wchodził w rachubę. Zatem dobrze się złożyło, że teraz parada będzie bliżej domu.

Na całej plantacji zapanowało niezwykle podniecenie. Każdy chciał to zobaczyć. Widowisko, znane tu jako *esala perahera*, odbywało się zwykle przy świetle pochodni.

— Wszyscy powinniśmy jechać — stwierdziła Clytie.

Sheba pokręciła głową i oznajmiła, że dla chłopca to za późno. Lecz Clytie ucięła jej protesty, mówiąc:

— Nigdy by ci nie wybaczył, Shebo, gdyby wiedział, że go zatrzymałaś. Nic mu się nie stanie, gdy raz pójdzie spać trochę później.

W dniu wyjazdu na plantacji i w domu panowało niezwykle ożywienie. Tej nocy do Manganiyi z pewnością zjadą tłumy. Parada miała się rozpocząć o ósmej wieczorem, zaraz po zmroku.

Wykonawcy zaczęli przybywać już od rana. Wyjechaliśmy przed obiadem, by ich obejrzeć. Ralph szalał z radości. Bez przerwy podskakiwał na siedzeniu powozu i pokazywał nam słonie.

— Będę jeździł na słoniu — oznajmił. — Mam jednego słonia. Jest cały mój. Nikomu innemu nie pozwala na sobie jeździć.

Uśmiechałyśmy się do siebie ponad jego głową.

— Dzisiaj położysz się dopiero późno w nocy, dlatego musisz przespać się po obiedzie — oświadczyła Clytie.

— Nie chcę iść do łóżka po południu.

— Jeśli nie pójdiesz, to potem zaśniesz i nie zobaczysz parady.

Zastanowił się.

— Nie chcę — odparł bez przekonania.

Wróciliśmy do domu. Po obiedzie Sheba wzięła go na ręce i zaniósła do pokoju.

Kiedy piłyśmy z Clytie herbatę, wyczułam, że jest niespokojna. Spytałam, co ją martwi. Wahala się przez chwilę.

— Obawiam się, że to zbyt długo dla Ralpa. Jest bardzo podniecony.

— Och, ten jeden raz mu nie zaszkodzi — zapewniłam. — Poza tym teraz nie możesz go zawieść.

Zgodziła się i zaczęła opowiadać mi o paradach, które widziała. Przed urodzeniem Ralpa, wraz z naszym ojcem, a potem i Seta, jeździli do Kandy na pokazy tamtejszych tancerzy. Było to bardzo ciekawe. Te same tańce wykonywano przez stulecia. Zwykle wyrażały jakąś legendę.

— Musimy się tam kiedyś wybrać i to obejrzeć — powiedziała. Opisała mi dokładnie kostiumy i tańce, ale odnosiłam wrażenie, że myśli o czymś innym.

Idąc do swego pokoju zajrzałam do Ralpa. Siedział na łóżku ze zbolalym wyrazem twarzy.

— O co chodzi, Ralph? — spytałam. — Coś się stało?

Wykrzywił usta i zalał się łzami. Pierwszy raz widziałam, jak płacze. Podeszłam do łóżka i objęłam go mocno.

— Powiedz mi, kochanie — poprosiłam. — Co się stało?

— Nie mogę usnąć — szlochał. — I to jest powód do płaczu?

— Tak, bo zasnę wieczorem, kiedy przyjdą słonie i będą tańczyć. Mama powiedziała, że jeśli nie usnę teraz, zasnę wtedy. A potem będzie już po wszystkim i nic nie zobaczę.

Roześmiałam się z ulgą.

— Na pewno nie zaśniesz wieczorem — powiedziałam. — Będziesz zbyt podniecony. A teraz wytrzymaj oczka. Jeśli będziesz leżał spokojnie i odpoczywał, wytrzymasz przez cały wieczór.

— Naprawdę?

Poweselał wyraźnie. Szczęśliwy uśmiech odmienił mu buzię. Nie mogłam się powstrzymać, by go nie ucałować, choć wiedziałam, że tego nie lubi. Wybaczył mi wyjątkowo, bo przyniosłam mu dobre wieści.

— Wystarczy, że będziesz spokojnie leżał — zapewniłam. — Po prostu odpoczywaj. Nie myśl o tym, że musisz zasnąć. To wystarczy. Kiedy pojedziemy do Manganiyi, na pewno wszystko obejrzysz.

— Ciociu Saro, czy słonie tańczą?

— Nie wiem. Musimy poczekać i zobaczyć, prawda?

— Mój słoń tańczy. O wiele lepiej niż te słonie z Kandy.

Uśmiechnęłam się i okryłam go lekko. Przyłożyłam palec do ust.

— Nie zapomnij — szepnęłam. — Leż cichutko i nic się nie martw. Wypoczynek jest równie dobry jak sen.

Konspiracyjnie skinął głową, a ja wyszłam na palcach. Zajrzałam do niego po kilku minutach. Spał już mocno.

* * *

Pojechaliśmy brekiem: ja, Clytie, Seth, Sheba i Ralph. Drogi pełne były wszelkiego rodzaju pojazdów: wozów zaprzężonych w woły, furmanek, różnych powozów, jeźdźców i rikszy. Panował niesłychany gwar i zamieszanie.

Ralph nie mógł usiedzieć na miejscu. Dużo ze mną rozmawiał i czułam, że nawiązała się między nami nowa więź przyjaźni. To dlatego, że zapewniłam go, iż wypoczynek jest równie dobry jak sen.

Zostawiliśmy brek przy zajeździe i przeszliśmy na skwer, skąd mogliśmy obejrzeć przygotowania. Trzymałam Ralpha za rękę, a on biegł obok mnie. Panował straszny ścisk. Dostrzeżliśmy w tłumie Ashrafa. Ralph go zawołał. Ashraf był jego specjalnym przyjacielem. Zastanawiałam się, czy jest tu i Armia.

Obchody już się zaczynały. Wysoko uniesione pochodnie oświetlały scenę. Kilka powozów przystrojono kwiatami, byli też ludzie w barwnych kostiumach. Kobiety nosiły piękne sari, większość mężczyzn miała na sobie tradycyjne białe koszule noszone na wierzch, na spodnie. Wszyscy z napięciem oczekiwali parady.

Kiedy nadeszły słonie, Ralph aż tańczył z radości. Miały przepiękne czapraki. Wyglądały jak przyozdobione tysiącami klejnotów. Na grzbietach, pod baldachimami siedzieli przywódcy różnych regionów.

Dobosze wystąpili do przodu, a potem, w samym środku skweru, słynni tancerze z Kandy odegrali starożytną pantomimę. Ich dłonie mówiły więcej niż stopy. Potem wykonali swój pokaz diabelscy tancerze — groteskowi i niezwykli, napełniali widzów zdumieniem i lękiem. W tłumie panowała absolutna cisza.

Było to niezwykle i zupełnie inne niż wszystko, co dotąd widziałam. Tak dla mnie obce... Nie byłam przyzwyczajona do takiej muzyki. Oczarowały mnie powolne, pełne gracji ruchy tancerzy, kolory kostiumów, zapach kwiatów, światła pochodni padające na twarze zasłuchanych ludzi.

Ralph wyrwał rękę z mojej dłoni. Klaskał głośno w rytm muzyki. Tancerze przeszli obok nas. Tłum westchnął z zachwytem. Potem rozległy się śpiewy. Te dziwne melodie poruszały mnie w niezwykle sposób. Nie potrafiłam oderwać oczu od wirujących postaci.

Po długim czasie wszystko się skończyło. Tancerze przeszli wolno przez skwer. Odmaszerowały przystrojone słonie. Ludzie ruszyli przed siebie.

Nagle usłyszałam głos Clytie, piskliwy z przerażenia:

— Gdzie jest Ralph?

Zaskoczona, spojrzałam wokół. Nie było go.

— Na pewno z Shebą — uspokoił nas Seth.

— A gdzie jest Sheba? — krzyknęła Clytie. Rozejrzeliśmy się dookoła. Nie było jej także.

Clytie była niespokojna, ja też czułam ukłucia lęku. Powtarzałam sobie, że Ralph poszedł z Shebą. Z pewnością cały czas nie spuszczała go z oka. W tym ścisku nie warto było nawet go szukać.

— Wracajmy do breku — zaproponował Seth. — Pewnie tam czekają.

Clytie rozejrzała się.

— Nie widziałas, jak odchodzą?

— Nie. Myślałam, że jest tu przy nas.

Patrzyliśmy tylko na tańce.

— Myślałam, że trzyma cię za rękę.

— Bo trzymał. Ale potem zaczął klaskać. Stał tuż obok ciebie.

Clytie przygryzła wargi i nie odpowiadała.

— Seth ma rację. Musimy wracać do breku. Sheba na pewno go tam przyprowadzi.

Długo trwało, nim przedostaliśmy się przez tłum. Dotarliśmy do zajazdu i weszliśmy na dziedziniec. Sheba wybiegła nam na spotkanie.

— Chłopiec musi wracać do domu — powiedziała. — Zbyt długo już jest na nogach.

— Skoro więc już jesteśmy, to jedźmy — odparł Seth.

Następne słowa Sheby wzbudziły we mnie dreszcz przerażenia.

— A gdzie jest chłopiec?

— Shebo! — krzyknęła zatrwożona Clytie. — Nie ma go z tobą?

— Ze mną? Przecież stał z państwem.

— O Boże! — szepnęła Clytie. Zrozumieliśmy, że Ralph zaginął.

Na kilka sekund skamienieliśmy ze zgrozy. Wreszcie powiedziałam:

— Musimy coś zrobić. On tam gdzieś jest, w tłumie. Na pewno. Zwyczajnie odszedł. Pewnie pobiegł za słoniami.

— A co możemy zrobić? — krzyknęła Clytie. Dygotała cała.

— Przede wszystkim musimy wszędzie poszukać — rzekł Seth. — Idź z Sarą. Ja pójdę z Shebą.

— A jeśli go nie znajdziemy... — zaczęła słabo Clytie.

— Znajdziemy — uspokoił ją Seth. — Musimy.

Wędrowaliśmy po ulicach. Tłum rozpraszał się szybko, ale wciąż było dużo ludzi. Zaglądałyśmy za każdy róg. Prawie nie rozmawiałyśmy. Opanował mnie straszliwy lęk. Ale powtarzałam sobie, że gdyby zdarzył się jakiś wypadek, z pewnością już byśmy wiedzieli. Ten nieznośny chłopiec na pewno się gdzieś schował. Znalazłyśmy kornaka i spytałyśmy, czy nie widział małego chłopca. Ralph mógł przecież pójść za słoniami. Mężczyzna widział kilku małych chłopców, lecz ani jednego samotnego. Rozpytywałyśmy ludzi. Niektórzy z nich zaczęli szukać razem z nami. Wreszcie wróciliśmy do powozu. Po kilku minutach pojawili się Seth i Sheba. Bez Ralpa.

— Teraz musimy podjąć jakieś działania — powiedział Seth.

Był opanowany i tej nocy moja opinia o nim bardzo się poprawiła. Cieszyłam się, że jest z nami. Możliwe, powiedział, że podeksytowany Ralph pobiegł gdzieś, a potem usiadł w jakimś kątku i zasnął. W domu często mu się to zdarza.

Musimy wrócić do domu i zebrać grupy poszukiwawcze. Zbadają każdy kąt. Seth nie miał wątpliwości, że wkrótce znajdą dziecko.

Objął Clytie ramieniem.

— Moja droga — powiedział. — Musisz wracać i czekać. To jedyne wyjście. Saro, zostaniesz z nią?

Nigdy nie zapomnę tej jazdy do domu przez noc. Myślałam o zagrożeniach, jakie czyhają na dziecko: o bagnistych brzegach rzeki w lesie, o Samie Śpiochu, o węzłach przyczajonych w trawie. Co robi Ralph, gdy stwierdzi, że się zgubił? Jest inteligentnym dzieckiem, na pewno spróbuje nas znaleźć. Może nawet wyruszy do domu.

Nie mogłam znieść myśli o tym, co się mogło wydarzyć. Ale musiałam pocieszać Clytie.

Seth zebrał ludzi i wyruszyli na poszukiwania. Usiadłyśmy z Clytie w tym samym pokoju, w którym tak często spokojnie popijałyśmy herbatę i lemoniadę.

— Co się z nim stało? — powtarzała zrozpaczona. — Dlaczego nas zostawił?!

Potem czekałyśmy w milczeniu.

— Muszą go znaleźć — oświadczyłam po raz dwudziesty. Nie miałam pojęcia, jak ją pocieszać.

Czas mijał powoli. Północ... Pierwsza... Druga.

Myślałam o małym chłopcu, samotnym pośród nocy, i czułam lęk. Miałam go w pamięci, leżącego w łóżku tego popołudnia, przestraszonego, że jeśli nie zaśnie, prześpi widowisko.

Czy teraz spał? To była najbardziej pocieszająca myśl, że może śpi w jakimś bezpiecznym miejscu.

Clytie siedziała nieruchomo i mięła w palcach jedwab sari. Przy każdym dźwięku oglądałyśmy się z nadzieją. Najpiękniejszą rzeczą na świecie byłoby usłyszeć teraz głos Ralpha.

Gdyby był tu Clinton, myślałam...

Tak, gdyby Clinton tu był, na pewno już by znalazł chłopca. Cóż za głupia myśl! Jak gdyby oni nie robili wszystkiego, co możliwe, by go odszukać. Co więcej mógłby wymyśleć Clinton? Chociaż on miał w sobie siłę i niezłomność. Gdyby tylko tu był...

— Co to? — Zerwałam się.

Byłam pewna, że coś słyszałam. Lekkie kroki... Ktoś przy drzwiach. Wybiegłam. Clytie była tuż za mną. Nic. Ale czy to szelest liści? Instynktownie czułam, że ktoś jest w pobliżu... i obserwuje nas.

I wtedy zobaczyłam na podłodze kartkę. Podniosłam.

— Co to jest? — krzyknęła Clytie.

— Ktoś nam to przyniósł.

Wyrwała mi papier z ręki i poniosła do światła. Na kartce zobaczyłyśmy wycięte i przyklejone, drukowane litery:

MAMY CHŁOPCA. BĘDZIE BEZPIECZNY, JEŻELI ZAPŁACISZ OKUP. DALSZE WIADOMOŚCI PÓŹNIEJ. RÓB, CO CI KAŻEMY, ALBO DZIECKO UMRZE.

Miałam wrażenie, że Clytie zemdleje. Doprowadziłam ją do fotela i usadowiłam.

— Jest więc bezpieczny — powiedziałam. — Przynajmniej tyle wiemy.

— Co tam jest napisane? Pozwól mi jeszcze raz spojrzeć, Saro. Co to znaczy?

Było jasne, co to znaczy. Ralph został porwany, a porywacze chcieli pieniędzy za jego uwolnienie.

— Ale jest bezpieczny, Clytie — powtarzałam. — Jest bezpieczny.

— Dlaczego Seth nie wraca? Och, dlaczego on nie wraca? Co my teraz zrobimy?

— Uspokój się — prosiłam. — Pomyślmy, co to oznacza. Żądają okupu, to znaczy, że chłopiec jest bezpieczny. Mają go. Nie zrobią mu krzywdy. Gdyby spróbowali, nie dostaliby okupu, prawda?

— Och, Saro, jak myślisz, co oni z nim zrobią?

— Jestem pewna, że teraz śpi i nie ma pojęcia, jakie wywołał zamieszanie.

— Och, moje dziecko! — szepnęła. — Saro, ty nie wiesz, ile on dla mnie znaczy.

— Wiem — odparłam. — Rozumiem cię doskonale. Ale nie wolno nam rozpaczać. Aby go odzyskać, musimy zachować rozsądek.

— Chciałabym, żeby Seth już wrócił.

Nastał świt, nim zjawił się Seth: blady, z zaczerwienionymi oczami, zrozpaczony. Kiedy spojrział na kartkę, wyglądał jak ogluszony. Stwierdził, że powinniśmy zawiadomić policję.

* * *

Przygnębiony nastrój zapanował w całym domu. Seth wyjechał do Kandy, by zobaczyć się z sir Williamem Carstairssem i uzyskać jakąś poradę. Clytie nie chciała opuszczać domu. W napięciu czekała na jakąś wiadomość od ludzi, którzy uwięzili jej syna. Była pewna, że wkrótce nadejdzie.

Rzeczywiście nadeszła po południu, podczas najgorętszych godzin dnia, kiedy w domu panowała cisza. Nic nie słyszeliśmy. Przed drzwiami, przyciśnięta kamieniem, leżała kartka.

Zastosowano tę samą metodę, co poprzednio — drukowane litery przyklejono na kawałku papieru.

DO MATKI CHŁOPCA. NIE WZYWAĆ POLICJI. JEŚLI TAK, CHŁOPIEC UMRZE. JEDNA RZECZ ZWRÓCI CI DZIECKO. O SIÓDMEJ PRZYNIĘŚ PERŁY ASHINGTONÓW I POŁÓŻ POD DRZEWEM Z LITERĄ R NA PNIU. KIEDY TO ZROBISZ, ODZYSKASZ CHŁOPCA. JEŚLI NIE, ON UMRZE. NIE MÓW NIKOMU, MATKO CHŁOPCA. POWIESZ I CHŁOPIEC UMRZE.

Clytie upuściła papier. Potem podniosła i przeczytała jeszcze raz.

— Perły — szepnęła. — Chcą pereł... Nieszczęsnych pereł. Zawsze coś się dzieje, kiedy je wkładam. Nienawidzę ich. Nienawidzę. Kiedy muszę tam iść...? — Rozłożyła kartkę. — Dzisiaj... o siódmej. O Boże, Saro. Myślisz, że będzie tam na mnie czekał?

Byłam straszliwie przerażona.

— Clytie — powiedziałam. — Musimy to pokazać Sethowi. Musimy zawiadomić policję. Niech złapią tych ludzi.

— Tu piszą, żeby nie wzywać policji! — krzyknęła ze zgrozą.

— Oczywiście, że piszą.

— Saro, jeśli zawiadomimy policję, oni zabiją Ralpha!

— Nie ośmielą się.

— Piszą, że tak.

— Sądzę, że nie powinnaś tego sama załatwiać.

— Ale tu piszą, że go zabiją, jeśli tego nie zrobię.

— Ci nikczemnicy chcą pereł. O to im chodzi.

— Mogą je sobie zabrać. Myślisz, że dwa sznury pereł są dla mnie ważniejsze niż życie mojego dziecka?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale czy możemy im zaufać?

Chwyliła mnie za rękę i spojrzała w oczy. Nieszczęśliwa, smutna twarz i podkrążone oczy zdradzały lęk.

— Muszę im ufać, Saro — powiedziała. — Zrobię wszystko, by odzyskać syna.

— Sir William Carstairs radziłby...

— Jeśli go tu sprowadzimy, oni zabiją moje dziecko.

— Skąd to możemy wiedzieć?

— Jak możemy ryzykować? Nie, nie. Oddam im perły. Oddam im natychmiast. Chcę mieć swoje dziecko.

— Spróbuj się uspokoić, Clytie. Jak możemy być pewni... Nie dokończyłam. To byłoby zbyt okrutne, gdybym powiedziała, że może oddać perły, a mimo to nie odzyskać syna.

— Saro, wyjdźmy stąd. Chodźmy do tego drzewa. Sprawdzimy, ile czasu zajmuje droga.

Musiałam ustąpić. Wyszłyśmy w ten upał. W głowie mi się kręciło ze zgrozy i zmartwienia. Dotarliśmy do drzewa z wyrytą literą R. Wspominałam dzień, gdy Ralph pokazał mi je z dumą.

— Jeszcze tyle czasu zostało do wieczora — rzekła Clytie.

Przytaknęłam. Miałam wrażenie, że minął już tydzień od chwili, gdy podekscytowane jechałyśmy na paradę. A to było zaledwie wczoraj.

Clytie czytała w moich myślach.

— Wczoraj o tej porze byliśmy tu z małym — powiedziała. — Nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Och, gdybyśmy tam nie pojechali. Gdybym przez cały czas trzymała go za rękę. Jak to się stało, Saro? Jak to mogło się stać?

Zaproponowałam powrót do domu. Może spróbuje odpocząć, napić się herbaty?

Spojrzała na mnie tępo, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

Przez całe popołudnie siedziałyśmy razem w pokoju z żaluzjami opuszczonymi dla ochrony przed palącym słońcem.

Seth był w Kandy. Zastanawiałam się, co tam robi. Powinien się dowiedzieć o tej ostatniej wiadomości. Clytie obiecała, że jeśli tylko jakaś nadejdzie, prześle ją przez jednego z chłopców prosto do biura sir Williama. Ale teraz odmówiła.

Przyszła Sheba i usiadła przy nas. Milczała, patrząc tępo przed siebie. Czulałam dla niej coraz większą sympatię. Jej oddanie Clytie i miłość do chłopca budziły wzruszenie.

— Pani Clytie — powiedziała Sheba. — Tej nocy on będzie w moich ramionach. Wiem o tym.

— Miałaś widzenie? — spytała niespokojnie Clytie.

Sheba skinęła głową.

— Widzę go w lesie. Śmieje się. Opowiada mi dziwne historie. To będzie tej nocy.

Clytie pokazała jej kartkę z wiadomością i wtedy zrozumiałam, jak bardzo jej ufa.

— Co tu piszą? — spytała Sheba. — Powie mi pani?

Clytie przeczytała.

— Perły — powtórzyła Sheba. — Więc będziemy miały naszego chłopca. Oni wezmą perły... wtedy dostaniemy chłopca.

— Dziś wieczór — szepnęła Clytie. — Gdy tylko się ściemni. Pod drzewem z literą R na pniu. On kocha to drzewo... Mój drogi synek. Dam im perły, a wtedy oni zwrócą mi dziecko.

Sheba złożyła ręce.

— Znów będzie z nami... nasz chłopiec.

Chciałabym być tak pełna optymizmu, jak one. Ralph wpadł w ręce bezlitosnych ludzi. Planowali kradzież fortuny... perły były bezcenne. Nie mogli żądać większego okupu. Wiedzieli, że Clytie jest właścicielką tego, czego pragną. Żeby tylko mieć pewność, że oddadzą chłopca żywego.

Uważałam, że Clytie i Sheba nie traktują tej sprawy z należąca ostrożnością. To jasne, że Clytie wpadała w histerię ze strachu i żalu. Przypuszczam, że Sheba także. Chciały tylko jednego — powrotu dziecka. Nie myślały nawet, że bezlietni przestępcy mogą planować oszustwo: zdobyć perły i zatrzymać chłopca. Nie potrafiły uwzględnić takiego faktu.

Gdyby był tu Clinton, pomyślałam znowu. On potrafił myśleć rozsądnie. Wiedziałyby, co trzeba zrobić. Próbowałam sobie wyobrazić, jak załatwiłby tę sprawę. Byłam pewna, że nie zostawiłby pereł w lesie. Z drugiej strony, perły byłyby pewnie dla Clintona bardzo ważne. Dla Clytie stanowiły jedynie środek do odzyskania syna.

Jak wolno mijał czas! Popołudnie ciągnęło się bez końca. Szósta... Jeszcze godzina.

Clytie nasłuchiwała w napięciu. Obawiała się, że Seth wróci i przywiezie ze sobą kogoś z sądownictwa. Chciała, żebyśmy były same... ona... ja... i Sheba. By mogła wymknąć się do lasu.

Tuż po szóstej znalazłyśmy kolejną wiadomość. Ktoś zapukał do drzwi, a kiedy wybiegłyśmy, nie było nikogo. Tylko kawałek papieru pod kamieniem.

MATKO CHŁOPCA, NIECH PRZYJDZIE NIAŃKA. BĘDZIESZ OBSERWOWANA. POŁOŻYSZ PERŁY POD DRZEWEM. NIAŃKA PÓJDZIE NA PRAWO. IDŹ ZA NIAŃKĄ, KIEDY PERŁY POŁOŻONE. ODZYSKASZ CHŁOPCA. JEŚLI SPROWADZISZ INNYCH, CHŁOPIEC ZABITY.

Clytie weszła do sypialni. Ruszyłam za nią. Sięgnęła do sejfu w garderobie i wyjęła futerał. Palce jej drżały, gdy go otwierała.

— Nasze ostatnie spojrzenie na Perły Ashingtonów, Saro — powiedziała łamiącym się głosem.

Leżały na ciemnoniebieskim aksamicie, cudowne i doskonałe. Zdawało mi się, że szmaragdowe oko węża migocze złośliwie.

Przyglądała im się, jakby wbrew jej woli przyciągały wzrok. Myślałam o tych wszystkich latach, kiedy były własnością rodziny, i o kobietach, które je nosiły. A potem przypominałam sobie ciotkę Martę, która pragnęła, by ojciec ożenił się znowu, miał syna, który z kolei miałby żonę, a ta nosiłaby te przekłete perły. Było w nich jakieś zło, które skłaniało ludzi do przestępstwa. Okrutni i nikczemni porywacze z ich powodu grozili Ralphowi.

Dziś wieczór w ręce tych złodziei trafi legenda i tradycja. Clytie była zdecydowana. Zatrzasnęła futerał.

— Jakie to ma znaczenie! — zawołała. — Nic na ziemi nie jest warte więcej niż życie mojego dziecka.

Zgadzałam się z nią. Bałam się tylko, że uleganie temu porywowi emocji może nie być najlepszym rozwiązaniem. Wiedziałam jednak, że nie przekonam Clytie. Ona dostrzegała tylko szansę odzyskania syna i była gotowa zaryzykować wszystkim. Dla niej było to jedyne wyjście. Nie ufała urzędnikom, którzy próbowaliby szukać innej drogi. Ralph mógł zginąć, podczas gdy oni planowaliby jakąś akcję. Instynkt macierzyński wart był więcej niż wszystkie chytre działania sędziego i policji.

Niecierpliwiła się, gdy próbowałam przemówić jej do rozsądku. Wiedziałam, że to na nic. Postanowiła, że ona i Sheba pójda do lasu i dokładnie wykonają polecenia porywaczy.

Za kilka minut miał zapaść zmrok. Clytie była rozgorączkowana i niecierpliwa. Dłonie, trzymające futerał z krokodylej skóry, drżały nerwowo.

— Musisz tu zostać, Saro — powiedziała. — Napisali: nikt więcej. Musisz zostać w domu. Nie wiadomo, co mogliby zrobić, gdyby cię zobaczyli.

Sheba kiwnęła głową.

— Pani Sara musi zostać — potwierdziła.

Milczałam. Wiedziałam, że w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. Clytie wydawała się tak delikatna w blad różowym sari, ze srebrnymi bransoletkami na ramionach, z oczami otwartymi szeroko z bezsenności, z widocznym na twarzy napięciem.

Sheba natomiast była spokojna i pewna siebie. Widziała to wszystko w wizji i wiedziała, że wrócą z chłopcem.

— On tam będzie — szepnęła Clytie. — Będzie w lesie. Och, moje dziecko. Mam nadzieję, że się nie przestraszył.

— On nigdy się nie boi — odparłam. — Dla niego to będzie kolejna przygoda.

— Tak — szepnęła. — Właśnie tak.

Za kilka minut wybije siódma. Ciemność zapadła nagle. Często dziwiłam się, jak to możliwe, że w jednej chwili słońce świeci jasno na niebie, a w następnej opada nagle za horyzont. Światło gaśnie, jakby ktoś zamknął okiennice.

Clytie spojrzała na mnie.

— Zostań tu, Saro. Obiecuj, że zostaniesz. Przysięgnij.

Przysięgłam.

Zdawało mi się, że minęły całe godziny, nim wróciły. Usłyszałam je w ogrodzie i wybiegłam natychmiast na spotkanie.

Ralph tkwił w ramionach matki. Łzy ściekały Clytie po policzkach. Sheba mruczała coś, co przypominało zaklęcia.

— Sara! — Clytie dostrzegła mnie.

— Usłyszałam was i wyszłam naprzeciw.

— Jest tutaj. Mamy go. Wszystko dobrze. Saro... Saro... czy to nie cudowne!

Ralph spoglądał to na jedną z nas, to na drugą. Uścisnęłam go mocno.

— Byłem z moim słońcem — powiedział. — To największy i najlepszy słoń na świecie.

— Musisz pójść do łóżka — oświadczyła Clytie, głosem łamiącym się ze szczęścia. — Pora spać.

Ralph mówił dalej:

— Tam był cudowny słoń. Miał klejnoty na grzbiecie. Siedziałem na nim, a nade mną był parasol. Byłem wodzem. Spałem w takim śmiesznym łóżku...

— Wejźmy do domu — powiedziała Sheba. — Chłopiec może nam jutro wszystko opowiedzieć.

I tak za cenę Pereł Ashingtonów odzyskałyśmy Ralpha. Przynajmniej był cały i zdrowy, a tylko to się liczyło.

* * *

Przypomniałam Clytie, że powinnyśmy wysłać wiadomość do Kandy, poinformować, że odzyskałyśmy chłopca. Tym razem się zgodziła.

Ralph był wyraźnie zmęczony. Zasnął, nim zdążyły go do końca rozebrać. Clytie nie chciała go zostawić. Siedziała przy łóżku, a Sheba razem z nią.

Nie byłam zdolna do jakichkolwiek reakcji na ostatnie wydarzenia. Wszystko potoczyło się tak szybko, ale cieszyłam się z tego. Nie byłam pewna, do jakiego stanu doprowadziłoby Clytie jeszcze kilka dni takiego napięcia.

Sir William Carstairs przyjechał razem z Sethem. Poszli na górę i obejrzelili mocno już śpiącego chłopca.

Clytie była wciąż zbyt wstrząśnięta, by zwracać na nich uwagę. Sheba stale powtarzała, że wiedziała, iż tak się stanie. Widziała to w swojej wizji.

Obaj mężczyźni rozmawiali ze mną. Pokazałam im kartki od porywaczy i opowiedziałam, jak Clytie wzięła perły i zostawiła je pod drzewem.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Seth. — Straciła perły!

— Uznała, że warto je poświęcić, by odzyskać syna całego i zdrowego.

Seth kiwnął głową.

— Powinna pozwolić, żebyśmy się tym zajęli — zauważył sir William.

— Bała się o życie dziecka. Przypuszczam, że większość matek zachowałaby się tak samo — powiedział Seth.

Byłam tego pewna.

— Niełatwo będzie im sprzedać perły, prawda? — spytałam.

— Mamy ich dokładny opis — odrzekł sir William. — Podzielią je, naturalnie. Każda perła w tym naszyjniku jest unikalna. Być może uda nam się je wysledzić. Ale to mało prawdopodobne. Pewnie zdążyli już wywieźć je z kraju. Obawiam się, że musimy się pogodzić z faktem, iż zaginęły na zawsze.

— Powinnaś się położyć, Saro — zaproponował Seth. — Dla ciebie to również był ciężki dzień.

Pożegnałam się z nimi i wyszłam.

Przede wszystkim zajął się Clytie. Nadal siedziała przy łóżku Ralpa, chociaż chłopiec spał mocno i pewnie miał tak spać aż do rana.

Poszłam do mojego pokoju. Kręciło mi się w głowie. Nie zmrzyłam oka, odkąd to się wydarzyło.

Rozebrałam się i wsunęłam pod moskitierę. Byłam wyczerpana, ale wciąż nie mogłam zasnąć. Leżałam, rozmyślając o wydarzeniach poprzedniej nocy i dnia... Kartka papieru z naklejonymi literami. To takie melodramatyczne... jakby nierealne. Zaginięcie Ralpa, sposób przekazania wiadomości, odzyskanie chłopca... sama nie wiedziałam, jak to opisać. Gładko, płynnie... jak w sztuce. Nie do końca realnie.

Myśli krążyły i krążyły po mojej głowie. Było w tym wszystkim coś dziwnego. Coś groźnego. I wtedy przyszło mi do głowy, że od mojego tu przyjazdu, odkąd odkryłam, jak zostało zaaranżowane moje małżeństwo, pojawiło się niejasne dla mnie zagrożenie.

Coś ostrzegało wśród ciemności nocy, wśród brzęczenia owadów, w ich zderzeniach z siatką w oknie. Działo się tu coś, czego nie rozumiałam. Zostałam pochwycona.

Strzeż się, mówiła noc.

* * *

Cała ta sprawa tak wpłynęła na Clytie, że przez dzień czy dwa nie mogła wstawać z łóżka. Rozumiałam, w jakim żyła napięciu. Uświadomiliśmy to sobie dopiero teraz, gdy nadeszła ulga.

Następnego ranka Ralph zachowywał się tak, jakby nie stało się nic niezwykłego. Jakby porwanie było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Opowiadał, jak to jeździł na słońcach, a jego historie były tak szalenie nierealne, że mogły się zdarzyć tylko w wyobraźni. Ale jeden czy dwa szczegóły z tego opowiadania wskazywały trop.

Spał w śmiesznym łóżku. Jadł ryż z cukrem. Było więcej cukru niż dawała mu Sheba.

— A kto dał ci ryż z cukrem, Ralph? — zapytałam.

Zgarbił się i roześmiał.

— On — odparł.

— Mężczyzna?

— Tam była kobra — mówił dalej. — Miała żółte oczy i przyszła do mnie. Wziąłem swój łuk i strzały i strzeliłem do niej... prosto w serce.

— Co to był za mężczyzna? — spytałam.

— Rozśmieszał mnie. „Dobre polowanie”, powiedział. Ta kobra... Wiesz, jak atakuje kobra, ciociu Saro? Mam obrazek w książce. Pokażę ci.

Nic nie mogliśmy wywnioskować z tej mieszaniny faktów i fantazji.

— Nie wypytuj Ralpa — poprosiła Clytie. — Niech lepiej nie zdaje sobie sprawy, że wydarzyło się coś strasznego. I jak bardzo byliśmy przerażone.

Obiecałam.

Seth też o tym ze mną rozmawiał.

— To było dla Clytie ogromne przeżycie — powiedział. — Ale jestem przekonany, że chłopiec nie miał pojęcia, jakie groziło mu niebezpieczeństwo. Najwyraźniej dobrze go traktowali.

— To dziwne — stwierdziłam. — Mam wrażenie, że znał tych ludzi.

Seth spojrział posepnie.

— Clytie nosiła te perły na balu. Zastanawiam się, czy to nie ktoś stamtąd...

— To dość ryzykowne, trzymać tak cenne klejnoty w domu.

— Jest jakaś zasada, która mówi, że trzeba je nosić od czasu do czasu. W przeciwnym razie tracą połysk. Clytie je czasem zakładała.

— Pierwszy raz usłyszałam o nich, gdy matka pokazała mi swój portret z perłami na szyi.

— Matka Clytie też je nosiła. Tak samo jak Clytie: na specjalne okazje, a nawet kiedy byliśmy sami. — Przygarbił się. — No cóż, to już koniec Perł Ashingtonów.

— Może uda się je odzyskać.

— Może. Clytie ma rację — mówił dalej. — Nie chce, żeby wypytywać chłopca. Lepiej, by jak najszybciej zapomniał o tym zdarzeniu.

Zgodziłam się z nim. Dla dziecka tak skłonnego do fantazji, wszystko to mogło się wydać czymś zupełnie zwyczajnym.

— Cieszę się, że jesteś z nami — kontynuował Seth. — Clytie bardzo cię polubiła. Zawsze chciała cię poznać, a kiedy przyjechałaś, pokochała cię od razu. Zostań z nią parę dni, Saro. To wszystko bardziej ją wstrząsnęło niż sobie uświadomiamy. Nie chodzi tylko o chłopca, ale też o perły. Wcześniej czy później zacznie sobie zdawać sprawę z tego, co zrobiła. To ją głęboko poruszy.

— Przecież nigdy by nie mogła ich sprzedać.

— Nie. Twój ojciec dał je kiedyś w zastaw. Były rodzajem zabezpieczenia, jak nam powiedział. Przypuszczam, że w krańcowej sytuacji, gdybyśmy zapomnieli o legendach, prorocत्वach i tak dalej, moglibyśmy je sprzedać. Ale Clytie może się obawiać jakiejś kary. Pamiętaj, że jest w połowie Cejlonką i choć wychowana została po angielsku, matka i Sheba opowiadały jej stare legendy. To wszystko musiało ją bardzo zatrwożyć. To o Clytie się martwię. Ralphowi już nic nie grozi. Nie uświadamia sobie, co zaszło. Źle się składa, że muszę wyjechać w interesach do Kolombo. Nie mogę tego odwołać. Niechętnie ją zostawiam, ale będę spokojniejszy wiedząc, że jesteś przy niej.

— Zostanę, dopóki nie wróci Clinton.

— Tak się cieszę. Nie będzie mnie tylko parę dni. Będę pewniejszy wiedząc, że nie zostawiam jej samej.

Powtórzyłam, że na pewno zostanę z siostrą do jego powrotu.

Miał rację. W Clytie nastąpiła jakaś zmiana. Stała się nerwowa, niespokojna. Sheba dawała jej specjalny wywar, który pomagał zasnąć. Obiecałyśmy, że ani na chwilę nie zostawimy Ralpa samego. Argumentowałam, że skoro porywacze dostali już perły, po co mieliby jeszcze raz porywać chłopca. Nie słuchała jednak. Jedna z nas musiała być zawsze na straży i to w taki sposób, by Ralph się niczego nie domyślił.

Minął dopiero tydzień od wyjazdu Clintona i został jeszcze jeden. Przez ten czas Ciytie z pewnością poczuje się lepiej.

Następnego dnia po wyjeździe Setha spacerowałam po ogrodzie wśród słodko pachnących kwiatów. Usłyszałam, że ktoś nadchodzi, i obejrzałam się zalekniona. Od tej strasznej nocy byłam bardzo nerwowa, całkiem jak Clytie.

— Clinton! — krzyknęłam.

Stał przez chwilę i uśmiechał się, a potem porwał mnie w ramiona.

— Jak dobrze cię widzieć — zawołał. — Tęskniłem za tobą.

Unióś mnie i patrzyłam z góry na jego twarz, na gęstą strzechę jasnych włosów i ciemne oczy, tak silnie z nią kontrastujące. Spojrzałam na zmysłowe wargi i poczułam jego bliskość.

— Szybko wróciłeś — zauważyłam.

— Powinnaś być zadowolona — stwierdził z wyrzutem.

— Wszystko poszło dobrze... twoje interesy?

— Doskonale.

— I o wiele szybciej niż sądziłeś.

— Tak bardzo chciałem znów być z tobą, że nie mogłem się doczekać powrotu.

Roześmiałam się niedowierzająco.

— Jesteś za dobrym biznesmenem — odparłam. — Nie zapominaj o tym. Połowa Cejlonu należy do ciebie. Nigdy w życiu nie poświęciłbyś interesów dla kaprysu.

— Kaprysu! Moje płonące żądze nazywasz kaprysem?

— Postaw mnie — rozkazałam. — Ktoś może na nas patrzeć.

— Pod warunkiem, że natychmiast zaczniesz się pakować.

— Coś się zdarzyło, Clintonie. Pewnie nie słyszałeś.

— Co się stało? — zapytał.

Opowiedziałam mu o tych dramatycznych wydarzeniach. Słuchał z lekkim uśmiechem.

— Czemu się uśmiechasz? — zapytałam. — Czy to cię bawi? To straszne.

— Cóż za dylemat — powiedział. — Perły... albo chłopiec.

— Biedna Clytie ciężko to przeżyła. Nie mogę jej teraz zostawić, Clintonie. Muszę zostać. Miewa przywidzenia. Tylko ja potrafię ją uspokoić.

— Możesz odwiedzić ją jutro.

— Muszę zostać do końca tygodnia, tak jak to ustaliłam z Sethem.

— Nie opowiadaj głupstw. Wszystko zakończone, prawda? Chłopiec się znalazł. A ja wróciłem do domu.

— Tak, ale nie spodziewałam się ciebie, a Seth wyjechał. Obiecałam mu, że zostanę z Clytie. Jestem jej potrzebna, Clintonie.

— A mnie nie? Chodź. Wracasz ze mną.

— Wrócę pod koniec tygodnia.

— Wrócisz teraz.

— Obiecałam zostać do powrotu Setha i zostanę. Wrócę w piątek, tak jak planowałam.

— Kochana Saro, wracasz do domu natychmiast.

— Czy nie rozumiesz, jaki to był wstrząs dla Clytie?

— Ale teraz już jest po wszystkim.

— Straciła Perły Ashingtonów.

— Oddała je.

— Za swego syna. Na miłość boską, bądź raz człowiekiem.

— Jestem, Saro. — Roześmiał się. — Do tego stopnia, że pragnę swojej żony.

— Nie mogę zostawić Clytie.

Spowaźniał nagle.

— Wróc przed zmrokiem — powiedział. — Czekam na ciebie.

Po czym odwrócił się i odszedł.

Byłam zdumiona, że tak niespodziewanie się rozgniewał. Zaniepokoił mnie. Wyglądał groźnie. Wróciłam do domu. W holu zatrzymała mnie Sheba.

— Pani Saro — powiedziała. — Ja martwię się o panią Clytie.

— Śpi, prawda?

— Tak. To był dla niej szok. Ona kocha chłopca... Och, jak ona go kocha. To całe jej życie, pani Saro.

— Wiem.

— Pan Seth... on jest dobry mąż. Miły mąż... bardzo dobry. Ale ten chłopiec... to jej życie. Pani dobra dla niej, pani Saro. Ona bardzo panią kocha. Ona mówi mi: „Pani Sara taka spokojna... taka dobra dla mnie. Co ja będę robić bez niej?” Niech pani zostanie... opiekować się nią.

— Zostanę, dopóki nie wróci jej mąż — odparłam.

Sheba kiwnęła głową. Wydawała się zadowolona. Przyszło mi do głowy, że obserwowała scenę w ogrodzie i bała się, że wrócę do swojego domu. Skoro tak mi polecił Clinton... Chciała, bym została tutaj... dla dobra Clytie. Jednak wolałabym pozbyć się tego uczucia, że ktoś mnie ciągle obserwuje.

Nie powiedziałam Clytie o powrocie Clintona. Wiedziałam, że kazałaby mi wracać. Wiele o nim myślałam. Chciałabym być przy nim, ale nie miałam zamiaru poddawać się jego aroganckim rozkazom. To on postanowił jechać i on wrócił przed czasem. Więc dobrze, ale nie może wymagać, abym z jego powodu zmieniała plany.

Następnego dnia Clytie czuła się lepiej. Wciąż nalegała, by pilnować Ralpha. Rzadko się zdarzało, by chłopiec zostawał sam. Trzeba to było tak organizować, żeby nie zorientował się, że go strzeżemy.

Spędzałam z nim sporo czasu i pilnie uważałam, czy nie powie czegoś, co wyjaśni zdarzenia tamtej nocy.

Raz w jego pokoju zapytałam:

— Pamiętasz te śliczne słonie ze złotymi palankinami i baldachimami?

Kiwnął głową.

— Mój był najlepszy — stwierdził.

— Przecież tak naprawdę nie jeździłeś na słoniu.

— Jeździłem. Jeździłem. Jechałem przez dżunglę. Mój był najszybszy.

— A co zdarzyło się w dżungli?

— Stał tam taki mały domek, a w środku był mężczyzna.

— Jaki mężczyzna?

— Miły.

— Po prostu mężczyzna?

— I kobieta. Ona powiedziała: „Wszystko w porządku. Niedługo zobaczysz mamę”.

Serce biło mi szybko.

— A gdzie wtedy była mama?

— No wiesz.

— Nie wiem — odparłam. — Gdzie była?

— Z innymi.

— Z jakimi innymi?

— Z tobą, z tatą i Shebą i... moim słoniem i Kolbą...

— Jak wyglądał ten mężczyzna?

— Miał żółte oczy.

— Żółte oczy?

— Błyszcząły. Pokażę ci, ciociu Saro.

Wyjął swoją kobrę, dość przerażającą, gdyż wyglądała jak prawdziwa. Ze śmiechem ścisnął jej głowę, aż wysunął się język.

— Boisz się, ciociu Saro? On by cię zabił. Ma truciznę na języku. To nic. Zastrzelę go z mojego łuku.

Zabawka kołysała się chwilę i wolno upadła na ziemię. Ralph podniósł ją.

— Żółte oczy — powiedział.

— Opowiadałeś mi o tym człowieku — przypomniałam.

— Mama mówi, że są jak topaz. To taki kamień. Jest żółty jak oczy Kolby.

Zrozumiałam, że dalsze wypytywanie nie ma sensu. Clytie miała rację: Ralph nie zdawał sobie sprawy, że tamtej nocy zdarzyło się coś niezwykłego. Po prostu odszedł z jakimiś ludźmi, którzy byli dla niego dobrzy, a po jakimś czasie trafił do domu. Zwyczajna przygoda... drobiazg w porównaniu z jego węzami i słoniami.

Wrócił Seth. Powiedziałam, że Clinton już jest i że powinnam wracać do domu. Wyjechałam późnym popołudniem, gdy upał nieco się zmniejszył.

Kiedy dotarłam na miejsce, w domu panowała cisza. Przypuszczałam, że Clinton wróci wieczorem. Nie mogłam się doczekać naszego spotkania. Wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że nie pozwolę sobie rozkazywać.

Tęskniłam za nim. Czyżbym go polubiła? Nie rozumiałam uczuć, które mnie opanowały. Różniły się od wszystkiego, co sobie wyobrażałam na temat romantycznej miłości, o jakiej marzy chyba każda młoda kobieta. Rozstałam się z nim na dwa tygodnie i wydawało się, że to bardzo długo. Czy on też tak to odczuwał? A może wrócił wcześniej po prostu dlatego, że załatwił szybciej swoje sprawy?

Zastanawiałam się, jakie zawierał kontrakty. Z pewnością pochłonęły go całkowicie, a kiedy już skończył, stwierdził: pora na żonę. Pstryknął palcami i spodziewał się, że natychmiast przybiegnę.

— Nic z tego, Clintonie — powiedziałam głośno.

Czas do wieczora dłużył się. Służący bezszelestnie zapalili lampy. Czekałam i czekałam. Była już prawie północ, a on się nie pojawiał.

Poszłam do sypialni. Cały czas nasłuchiwałam, czy nie nadchodzi. Usiadłam przy toalecie i rozpuściłam włosy.

Nagle usłyszałam jakiś szelest za drzwiami. Drgnęłam. Ktoś zapukał delikatnie.

— Proszę — zawołałam.

Weszła Leila. Patrzyła na mnie z udawaną niewinnością. Ukrywała jakąś tajemnicę, która sprawiała jej satysfakcję.

— O co chodzi, Leilo? — spytałam.

— Pościelę dla pani łóżko.

— To niepotrzebne.

Odwróciłam się do lustra, obserwując jej odbicie. Zwlekała z wyjściem. Dostrzegłam uśmiech na jej ustach.

— Pan nie wraca do domu — powiedziała. — Nie wracał przez cały czas, kiedy pani nie było.

— Doprawdy?

Leila podeszła do łóżka i zaczęła poprawiać poduszki. Nie spieszyła się. Minę miała złośliwą i triumfującą. Chciałam krzyknąć, by wyszła, ale bałam się zdradzić swój niepokój. Nie chciałam okazywać, jak zirytowały i rozgniewały mnie jej słowa. Mój wzrok padł na brązowego Budę, który wydawał się obserwować mnie wyniośle.

— Nie chcę tego tutaj, Leilo — powiedziałam. — Możesz go sobie wziąć.

Odwróciła się, patrząc na mnie ze zgrozą.

— Och nie, proszę pani. To zły znak. — Uśmiechnęła się chytrze. — Pan bardzo go lubi.

— Nie wierzę w złe znaki — odparłam. — Zabierz to i trzymaj w swoim pokoju.

Kręcąc głową wzięła ode mnie posążek. Potem spuściła wzrok i zachichotała.

— To dała moja siostra, Anula — oświadczyła. — Kiedy tutaj była...

Rozejrzała się po pokoju, jakby wtedy, gdy przebywała tu jej siostra, był świętym miejscem. Jej wzrok padł na łóżko.

Miałam ochotę rozkazać jej, by wyszła, ale milczałam.

Odstawiła Budkę, a ja zrozumiałam, co chce przez to powiedzieć. I wiedziałam, gdzie jest Clinton.

— Dobranoc, Leilo — powiedziałam. Wyszła, uśmiechając się tajemniczo.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Na policzkach miałam rumieńce, a w sercu gorycz.

Leżałam pod moskitierą, myśląc o nim i o Anuli. I o tym, że wszyscy wiedzieli o ich związku, którego nie uznał za stosowne zerwać nawet wtedy, gdy powrócił z żoną.

Ogarnęła mnie wściekłość. Byłam rozpaczliwie zazdrosna. Bezskutecznie próbowałam usunąć z myśli wciąż powracające obrazy. Zasnęłam dopiero nad ranem i spałam długo.

Przez cały następny dzień czekałam w napięciu. Nasłuchiwałam za każdym razem, kiedy rozlegał się tętent konia. Zastanawiałam się, co mu powiem.

Zauważyłam, że Leila obserwuje mnie z chytrą miną.

— Pani nie czuje się dobrze?

— Bardzo dobrze, Leilo. Dziękuję ci — odparłam chłodno.

— Pani wygląda na zmęczoną. Nie wyspała się pani?

Drwiłaby ze mnie, gdyby się ośmieliła. Wiedziała, że myśli teraz o Anuli, ponieważ nawet w jej spojrzeniu widoczne było uwielbienie dla siostry.

Czułam się niepewnie, samotna w obcym domu. Myślałam, czy nie wrócić do Clytie, ale to nie byłoby rozsądne. Poza tym nie chciałam, by ona i Seth wiedzieli, że Clinton mnie opuścił.

Wysłałam służącego, by zapytał, jak się czuje Clytie. Dodałam, że z powodu dłuższej nieobecności muszę dopilnować kilku spraw. Zobaczymy się wkrótce.

Służący wrócił z wiadomością od siostry. Dziękowała mi za wszystko, co dla niej zrobiłam. Przekazywała, że czuje się lepiej i że wreszcie spała długo, bez koszmarów.

Jakoś przetrwałam ten dzień, minął kolejny, ale on nie wracał.

Zjawił się o północy. Leżałam już, kiedy wszedł do sypialni. Udałam, że śpię.

Przygotował się do snu, stanął przy łóżku i przyglądał mi się chwilę, zanim odsunął moskitierę.

— I co, Saro? — zapytał.

Nie odpowiadałam i nie otwierałam oczu.

— Wiem, że nie śpisz — stwierdził. — Przestań udawać. Przyznaj, że leżałaś tu rozgorączkowana i niecierpliwa, oczekując mojego powrotu.

Otworzyłam oczy.

— Więc to ty?

— A ty jesteś na mnie zła.

— A dlaczego powinnam być?

— Ponieważ nie było mnie tu, gdy zechciałaś powrócić.

Usiadłam.

— To, co robisz, nie ma dla mnie znaczenia.

— Nie dodawaj kłamstw do zachowania niegodnego żony.

— Już późno — odparłam. — Jestem trochę zmęczona.

— Nie chcesz wiedzieć, co mnie zatrzymało?
— Chyba już wiem — powiedziałam, wstając z łóżka. — Dlaczego tam nie wrócisz? Jestem pewna, że będziesz powitany radośniej.
— Chodzę, gdzie mi się podoba. A nie tam, gdzie mi każą.
— Ja również — rzekłam. — Wychodzę do drugiego pokoju.
Dogonił mnie przy drzwiach i położył palce na wargach.
— Służba — wyjaśnił. — Patrzą. Szepczą.
— Niech patrzą.
— Tak — zgodził się. — Niech patrzą. Ale mimo to, teraz mnie nie zostawisz.
— Chodzę tam, gdzie chcę.
Chwycił mnie i przycisnął mocno.
— Nie rób tego więcej, Saro. Nie lubię tego.
— O co ci chodzi?
— Nie odmawiaj mi.
— A co z tobą? Gdzie byłeś przez ostatnie noce?
— Chciałem udzielić ci lekcji.
— Nie potrzebuję lekcji.
— Miejmy nadzieję, że już nie.
— Jeśli myślisz, że jestem twoją niewolnicą i wystarczy klasnąć w dłoń: chodź tu, idź tam...
— popełniasz błąd.

W odpowiedzi chwycił mnie, zaniósł na łóżko i rzucił niezbyt delikatnie. Wbrew woli poczułam, że ogarnia mnie dawne podniecenie. Nie chciałam uciekać. Chciałam zostać i walczyć.

Oboje wiedzieliśmy, jaki będzie rezultat. On osiągnie zwycięstwo, ale nie będzie ono pełne, gdyż nie pozwolę mu wierzyć, że pokonał mnie inaczej, niż tylko siłą fizyczną.

Kogo bogowie chcą zniszczyć

Triumfował. Był z siebie dumny. Rankiem zaproponował, żebym pojechała z nim na objazd plantacji. Wiedziałam już dostatecznie dużo, by zauważyć, że panuje u niego rodzaj porządku, którego brakowało plantacji Ashingtonów. Nie tylko robotnicy byli jakby żwawszy — może tylko chwilowo, gdy on się zjawiał — ale nawet rośliny wydawały się bardziej błyszczące, jaskrawozielone.

— Przy następnym wyjeździe zabiorę cię ze sobą — powiedział. — Chcę ci pokazać drzewa kauczukowe i oczywiście łowiska perel.

— Zobaczmy — odparłam, a on roześmiał się.

Zwrócił moją uwagę na staranne przycinanie, które właśnie wykonywano.

— To cała sztuka. Mam najlepszych ludzi. Niektórych podkupiłem Ashingtonom, jeszcze za czasów twojego ojca. Mawiał do mnie: „Boję się powiedzieć, że mam dobrego pracownika, bo mi go zabierzesz”.

— W to mogę uwierzyć.

— Pozwalałem ci tak wiele czasu spędzać u Ashingtonów, żebyś mogła porównać obie plantacje. Myślę, że teraz wiesz już co nieco i może nawet dostrzegasz różnice.

— Uważam, że moja plantacja jest znakomita.

— Widzę, że zbyt mała porcja wiedzy jest rzeczą bardzo niebezpieczną. Chciałbym tam wprowadzić pewne udoskonalenia, Saro.

— Moim zdaniem Seth robi to, co uważa za najlepsze.

— Seth robi to, co mu się każe.

Milczałam. Wzbierała we mnie niechęć. Wiedziałam, o co mu chodzi. Chciał wydawać Sethowi rozkazy. Zamierzał połączyć obie plantacje i być właścicielem największej, najbardziej dochodowej plantacji nie tylko na Cejlonie, ale w całych Indiach.

Nie! — pomyślałam. Nie dopuszczę do tego.

Wspominając ostatnią noc, nienawidziłam siebie i jego.

Jestem pewna, że celowo zaprowadził mnie do domu Anuli. Było to czarujące miejsce, otoczone kwiatami. Nankeen pracował przy ogrodzeniu.

— Czyj to dom? — spytałam.

— To dom córki Nankeena.

Nankeen podniósł głowę i skłonił się nam.

— Dużo pracy, Nankeen? — spytał Clinton.

— Moja córka prosiła o tę małą naprawę — odparł Nankeen. — Ale to drobiazg.

— Ogród wygląda pięknie. Moja żona lubi ogrody. Prawda, Saro?

Odburknęłam coś. Niechęć wzrastała. Był demoniczny. Pokazywał mi, gdzie spędził te noce, gdy na niego czekałam.

— Piękne kwiaty, mem sahib — powiedział Nankeen. — Sahib założył tu piękny ogród.

Sahib! To znaczy Clinton.

— Moja żona chętnie obejrzałaby ten ogród. Spojrzałam na zegarek.

— Mamy mnóstwo czasu — rzucił Clinton z odrobiną złośliwości. Zsiadł z konia i — jeśli nie chciałam od razu zawrócić i odjechać — mogłam tylko iść za nim.

Nankeen uwiązał nasze konie. Potem otworzył bramę i skłonił się nisko.

— Powiem córce — powiedział z uśmiechem. Uśmiech ten zdradzał, że dostrzega dramatyzm sytuacji. Zniknął we wnętrzu domu.

— Nie mam zamiaru składać uprzejmej wizyty twojej metresie... — zaczęłam.

— Nikt nie oczekuje nieuprzejmości u damy, która tak niedawno przybyła z Anglii — odparł.

W drzwiach stanęła Anula. Musiałam przyznać, że jej uroda jest oszałamiająca. Miała gładkie, czarne, lśniące jak jedwab włosy i ogromne, ciemne oczy. Jakże piękne były tutejsze kobiety... szczególnie w ruchu. Wtedy ich ciała nabierały gracji dzikiego zwierzęcia w dżungli. Poczulałam się przy niej niezgrabna. Moje włosy rozwichrzyły się pod kapeluszem, który zawsze opadał mi za bardzo na oczy. Miałam na sobie muślinową bluzkę i czarną spódnicę do konnej jazdy. Przegrywałam porównanie z tą piękną, zwinną istotą, która gracją Cejlończyków łączyła z godnością portugalskich przodków. Z obu stron wzięła to, co najlepsze. Naprawdę można było uwierzyć, że jest reinkarnacją tej grzesznej królowej.

— To wielka radość. — Przyglądała się, rozbawiona moim zakłopotaniem. — Proszę wejść.

— Anula chciałaby pokazać ci dom — wtrącił Clinton. — Sara nie może się tego doczekać. Ona uwielbia tutejsze domy, prawda Saro? Są tak różne od tych, które знаła w Anglii.

— Proszę wejść — powtórzyła Anula, brzęcząc bransoletami na ramionach. — Ale najpierw coś dla odświeżenia.

Klasnęła w dłonie. A więc Clinton przysłała jej służących, pomyślałam.

— To specjalność Anuli — powiedział Clinton, gdy podano napoje. — Nikomu nie chce powiedzieć, jak je przyrządza.

— Nie uderzają do głowy — zapewniła Anula. — W każdym razie nie bardzo. — Uśmiechnęła się. — Leila mówiła, że przyzwyczajają się pani do życia na Cejlonie.

— Tak — odparłam.

— Moją żonę bawi poznawanie naszych obyczajów.

Roześmiali się razem. Było w tym coś znaczącego. Anula uśmiechała się bez przerwy, ale byłam pewna, że coś się kryje za tymi uprzejmymi spojrzeniami. Sprawiała wrażenie troszkę zakłopotanej. Zastanawiałam się, czy Clinton próbuje ją ostrzec, tak samo jak mnie. Sytuacja była groteskowa i poniżająca. Czyżby mówił: „Oto moja żona!” swojej kochance i „Oto moja kochanka!” swojej żonie? Czy chciał nam pokazać, że taka sytuacja mu odpowiada, a zatem musimy ją zaakceptować? Był na to wystarczająco arogancki. Uważał się za feudalnego księcia, który posiadał władzę nad wszystkimi.

Nigdy się z tym nie pogodzę, powiedziałam sobie. A jednak ostatniej nocy...

Coś było w tym napoju. Ich głosy zdawały się dobiegać z daleka. Pokój pochylił się lekko. Słyszałam własny głos, przemawiający gdzieś z oddali. Moje wypowiedzi musiały być sensowne, gdyż żadne z nich nie zauważyło niczego niezwykłego.

Wreszcie wstali, ja także. Kołysałam się lekko, ale Clinton wziął mnie pod rękę.

— Doskonale — mówił. — Rozejrzemy się szybko, a potem musimy jechać.

Tak więc Anula pokazała mi swój dom. Był niewielki, lecz uroczy. Delikatne zasłony w oknach zakrywały nieodzowne siatki. W półmroku sypialni, gdzie zaciągnięto kotary, zobaczyłam łóżko z opadającymi z baldachimu draperiami, na toaletce z trójskrzydłowym lustrem piętrzyły się słoiczki zdobione półszlachetnymi kamieniami. Od razu zauważyłam Buddę z brązu, dokładną replikę tego z naszej sypialni. Spostrzegła, że mu się przyglądam. Podniosła figurkę, gładząc ją długimi, białymi palcami.

— Jest dla mnie bardzo ważny — powiedziała. — Porozumiewam się z nim. Nie mogłabym zasnąć, gdyby nie stał obok mnie.

Spoglądała tajemniczo. Zadrżałam wewnętrznie, czując mimo upału nagły chłód. Gdy stała tak z Buddą w dłoniach, naprawdę potrafiłam uwierzyć, że jest złowrogą istotą, że faktycznie posiada jakąś moc, którą kieruje przeciwko mnie.

Odstawiła Buddę i uśmiechnęła się. Clinton przyglądał mi się złośliwie. Wyobrażałam sobie ich razem i on o tym wiedział. To było celem tej wizyty.

Niezwykły zapach unosił się w całym domu, a szczególnie w tym pokoju. W niszy ściennej stał posąg. Przyjrzałam mu się uważnie.

— Moja imienniczka — odezwała się za mną Anula. — Pierwsza królowa Cejlonu.

— Godna podziwu dama — dodał Clinton.

— Ludzie bardzo się jej bali — wyjaśniła Anula. — Miała wielką moc.

— I duży talent do przyrządzania napojów — wtrącił Clinton. — Tak samo jak ty, Anulo. Myślę, że to, co nam podałaś, było mocniejsze niż zwykle. Nie sądzisz, Saro?

— Czy zawierało dzin? — spytałam.

— To moja tajemnica — odparła, odsłaniając w uśmiechu idealnie równe zęby.

— Słyszałam — rzekłam, wskazując statuę w niszy — że ta dama źle skończyła. Czy nie spalono jej na stosie?

— Przestała być sprytna — odparła Anula. — To był jej błąd. Gdyby nie postępowała głupio, rządziłaby dalej.

— Mogłaby brać sobie kochanków i podawać im zatrute napoje, kiedy przestawali ją zadowalać — zasugerował Clinton. — To zaoszczędziłoby jej wielu kłopotów.

— Mogłaby żyć wiecznie. — Oczy Anuli błyszczały. — Była już blisko odkrycia sekretu wiecznego życia.

Poczułam, że chcę już wydostać się z tego domu, jak najdalej od tych aluzji, poniżeń, od tego mdlącego aromatu.

— Co to za zapach? — spytałam.

— Podoba się pani? — podjęła Anula. — To olejek z drewna sandałowego, od wielu, wielu lat święty aromat Hindu. Podaruję pani trochę.

Chciałam odmówić, powiedzieć: nie, nienawidzę tego. Uznałam jednak, że zdradziłoby to moje uczucia. Wymruczałam więc jakieś uprzejme podziękowanie.

Otworzyła szufladę, wyjęła buteleczkę i wcisnęła mi ją w dłoń.

— Wytwarza się go z białego drewna rośliny zwanej *santalum album*, pasożyta, który atakuje korzenie innych drzew. Z cetnara wiórów uzyskuje się zaledwie trzydzieści uncji olejku sandałowego. To chyba jedyne drewno, którego nie lubią białe mrówki. Krążą o nim legendy. Jeżeli ktoś spryska się tym olejkiem, zmyje wszelkie grzechy, jakie popełnił przez ostatni rok.

— Już wiesz, dlaczego jest taki popularny — wtrącił lekko Clinton. — To przyjemnie: grzeszyć do woli, a potem... Gdzie jest olejek sandałowy? Kilka kropli i jestem święty, gdyż zmyłem z siebie wszystkie grzechy.

— Wygodne — przyznałam. — Jeśli ktoś w to wierzy.

— Sama widzisz, Anulo — westchnął Clinton. — Moja żona jest sceptyczna.

Z ulgą opuściłam dom Anuli, którego atmosfera była trudna do zniesienia.

Clinton obserwował mnie po drodze, ale postanowiłam ukryć swoją wściekłość. Zastanawiałam się tylko, w jaki sposób mogłabym się zemścić.

* * *

Kiedy przyszedł mi do głowy ten pomysł, nie mogłam się doczekać jego realizacji. Pojechałam na plantację Ashingtonów, a Clytie powitała mnie z radością. Czula się o wiele lepiej.

— Śpię już spokojnie — powiedziała. — Koszmary minęły.

— Teraz, kiedy jest już po wszystkim, na pewno myślisz o tym, co się zmieniło. Straciłaś swoje dziedzictwo.

— Wiem. Seth bardzo się tym martwi.

— Jeżeli chodzi o plantację, nie macie się czego obawiać. Nie pozwolę, by ktoś was... usunął.

Milczała przez chwilę.

— Tego właśnie Seth się lęka — wyznała.

— Podjęłam pewną decyzję. To na pewno was uspokoi. Póki ja jestem właścicielką plantacji, nic wam nie grozi. A po mojej śmierci... Mam zamiar spisać testament i zostawić wam plantację.

— Ale przecież nie umierasz!

— Na razie nie mam zamiaru, ale nigdy nie wiadomo, prawda? Wyobraź sobie, co by było, gdybym teraz umarła...

— Nie chcę. To zbyt okropne.

— Trzeba myśleć praktycznie. Jadę do Kandy, żeby zobaczyć się z prawnikiem. Ale nie z adwokatem Clintona. Chcę się upewnić, że to wszystko zostanie załatwione zgodnie z prawem. Wtedy nie będziecie musieli się o nic martwić. Dopóki żyję, jesteście bezpieczni, a kiedy umrę... nadal będziecie bezpieczni.

— Och, Saro, tak bardzo cię kocham!

— Oczywiście. Przecież jestem twoją siostrą.

— Ale co powie Clinton?

— To nie jego sprawa.

Nie zdołałam ukryć uśmiechu ponurej satysfakcji. Szczerze mówiąc, postępowałam tak nie tylko po to, by zabezpieczyć los siostry. Chciałam pokazać Clintonowi, że nie może traktować mnie jak swoją niewolnicę.

Clytie bez szczególnego przekonania próbowała odwieść mnie od tego pomysłu, a przynajmniej skłonić do zastanowienia. Nie ustąpiłam.

Zaraz następnego dnia wyjechałam do Kandy, odwiedziłam prawnika i spisałam testament poświadczony przez dwóch jego pracowników. Zostawiłam mu go na przechowanie, a kopię zabrałam ze sobą.

Dopiero teraz zaczęłam się lekko niepokoić.

Clinton ożenił się ze mną dla plantacji. Gdyby nie to, mógłby wziąć za żonę Anulę. Dlaczego nie? Mieszane małżeństwa nie były zbyt dobrze przyjmowane przez obie strony, lecz gdy stawały się faktem dokonanym, mogły liczyć na akceptację. Tak było z małżeństwem mojego ojca.

Myślałam, jak rozgniewa się Clinton, gdy wszystko odkryje. Teraz mu nie powiem. Zaczekam do jednej z tych chwil, gdy będę potrzebowała mocnej broni, by go uderzyć. Byłam pewna, że taki moment nadejdzie.

* * *

Gdy przyszedł list, wciąż jeszcze się denerwowałam. Czasami w pełni uświadamiałam sobie siłę Clintona. Był tak władczy, że ja również musiałam się z tym godzić. Swoich uczuć nigdy nie byłam do końca pewna. Czasem nienawidziłam go i pragnęłam pokonać. Kiedy indziej... no cóż, nadal potrafił wzbudzić we mnie namiętność i póki trwała, nie mogłam mu się oprzeć.

Drżałam ze strachu, gdy przypominałam sobie, co zrobiłam.

List był jak wyciągnięta do mnie przyjazna dłoń, jak ukryta wiedza, że jego nadawca przyjdzie mi z pomocą w razie potrzeby.

Pocztę odbieraliśmy dwa razy na tydzień w Manganiyi. Lubiłam tam jeździć. Zwykle dostawałam jeden lub dwa listy od ciotek, nic więcej. Poczta przychodziła głównie do Clintona.

Tym razem czekał na mnie jeden list. Radość ogarnęła mnie na widok tak dobrze znanego pisma. Rozerwałam kopertę i przeczytałam:

Kochana Saro,

Od tak dawna chciałem do Ciebie napisać i zapytać, jak sobie radzisz. Na Cejlonie wszystko musiało Ci się wydać niezwykle, a sam przecież wiem, jak bardzo można tęsknić za domem. Wróciłem tu i rzuciłem się w wir pracy. Potrzebowałem tego. Wiele o Tobie myślałem. Doprawdy nie widzę powodu, byśmy nie mieli się kontaktować i pisywać do siebie od czasu do czasu. Co Ty na to?

Bardzo chciałbym dowiedzieć się od Ciebie, że wszystko jest w porządku.

*Szczerze oddany,
Twój dawny przyjaciel i nauczyciel,
Toby*

To śmieszne, by z powodu jednego listu poczuć się tak lekką i szczęśliwą, doświadczać tego, co można nazwać tylko ulgą.

Spojrzałam na adres w rogu listu. Delhi. Mieszkaliśmy na wyspie obok czubka Indii. Toby, najmilsza osoba jaką znałam, był więc niedaleko. Mogłam mu przecież odpisać. Cóż to będzie za ukojenie!

Przypuścimy, że Clinton odkryje mój testament i się rozgniewa. Przemyślnie zaplanował to małżeństwo, gdyż miałam być właścicielką plantacji. O tak, będzie wściekły... będzie bardzo wściekły.

Gdybym chciała uciec, mogłabym pojechać do Toby'ego.

Wsunęłam kopertę pod bluzkę. Przyjemnie było czuć jej dotyk.

Zaraz po powrocie napisałam długi list. Opowiedziałam Toby'emu o plantacji, o nowo poznanej siostrze, którą już pokochałam, i o moim cudownym siostrzeńcu Ralphie. Nie wspomniałam nic o porwaniu. Uznałam, że to zbyt dramatyczne wydarzenie, jak na początek korespondencji. Po wysłaniu odpowiedzi nadal czułam się szczęśliwa.

Dwa, może trzy tygodnie później spotkała mnie wielka niespodzianka. Pewnego ranka przybiegła do ogrodu Leila z informacją, że jakaś dama chce się ze mną widzieć. Wróciłam do domu. Patrzyłam w zdumieniu i przez chwilę miałam wrażenie, że śnię.

Naprzeciw mnie stała Celia Hansen i uśmiechała się.

— Celio! — krzyknęłam. — To naprawdę ty!

Podeszła do mnie wyciągając ręce, jakby lekko zakłopotana.

— Powinam cię zawiadomić, że tu jestem. Nie byłam pewna, czy trafię we właściwe miejsce. Nie mogłam wyjechać, dopóki się nie przekonam. Musiałam się z tobą zobaczyć.

— Celio, co za cudowna niespodzianka! Jak się tu dostałaś?

— Wiesz, że podróżowałam z kuzynką.

— Tak, pisałaś, że wybierasz się w podróż, a potem nie miałam już od ciebie wiadomości.

— Zawsze chciałam wysłać do ciebie list, ale nie lubię pisać. Wyjechałyśmy na jakiś czas, a kiedy wróciłam, złożyłam wizytę w Grange. Twoje ciotki powiedziały, że wyszłaś za mąż i wyjechałaś tutaj. Podały mi twoje nowe nazwisko i adres. Powiedziałam, że napiszę do ciebie. A potem razem z kuzynką znowu ruszyłyśmy w podróż. Trafiłyśmy do Indii i powiedziałam sobie, że lepiej się z tobą zobaczyć niż pisać. Zgubiłam jednak adres i musiałam polegać na własnej pamięci. Wtedy moją kuzynkę odwołano nagle do domu. Powinam z nią wyjechać, ale pomyślałam, że zostanie jeszcze trochę i sprawdzę, czy potrafię cię odnaleźć.

— Tak się cieszę, że przyjechałaś. Na pewno jesteś zmęczona. Jak tu dotarłaś?

— Statkiem do Kolombo, stamtąd pociągiem. Na pakach w porcie zobaczyłam napis „Plantacja Clintona Shawa”, więc zapytałam o adres. Twój mąż jest powszechnie znany. Zatrzymałam się w hotelu przy stacji w Manganiyi. Pomyślałam, że zostanę tam tydzień. Czy to ci nie przeszkadza?

— Bardzo mi przeszkadza — odparłam. — Mamy tu mnóstwo pokoi. To naprawdę przyjemnie znowu cię widzieć, Celio.

— Och, Saro, wiele razem przeszliśmy. Często wspominam twoją piękną matkę.

— Byłaś jej najgorętszą wielbicieleką. Kochała cię za to. Cieszyła się wiedząc, że jest ktoś, kto wciąż ją podziwia.

— To wszystko bardzo smutne, ale już się skończyło. Jesteś szczęśliwa, Saro?

— Tu jest tyle ciekawych rzeczy — odparłam. — Wiesz, że odziedziczyłam plantację i uczę się uprawiać herbatę? Musisz się napić... zaraz.

— Herbata mnie odświeży, a skoro pochodzi z twojej plantacji, z pewnością będzie mi smakowała.

— Czemu tak długo tu stoimy! To taka niespodzianka. Powiem, żeby przygotowano ci pokój. Musisz poznać moją siostrę. Tak się cieszę, że przyjechałaś.

Leila krążyła w pobliżu, a jej ciemne oczy błyszczały ciekawością.

— To moja przyjaciółka z Anglii — powiedziałam. — Proszę przygotować pokój. Zostanie z nami.

* * *

Celia sprawiła, że dom stał się bardziej normalny. Obecność europejskiej kobiety zmieniała nieco tutejszą atmosferę. Ja także poczułam się pewniejsza.

Zachwyciła się pokojem, który dla niej przygotowaliśmy. Wciąż przeproszała, że sprawia kłopot. Ciągle na nowo musiałam ją zapewniać o mojej radości z powodu jej przyjazdu.

Podziwiała ogród i była tak wszystkiego ciekawa, że przyjemnie było z nią spacerować. Polubiły się z Clytie. Ralph pokazał jej swoje słonie i spróbował przestraszyć kobrą. A kiedy mu się udało, natychmiast się z Celią zaprzyjaźnił. Darzyła chłopca coraz większą sympatią, a kiedy usłyszała historię o porwaniu, była przerażona. Doskonale rozumiała, że Clytie oddała perły.

— Na jej miejscu zrobiłabym to samo — powiedziała.

Jakąż przyjemność sprawiała mi rozmowa z nią.

Clinton także ją polubił. Powiedział nawet, że dobrze mi zrobi jakaś towarzyska z kraju. Zabrał ją do Kandy i do klubu, którego byłam już członkiem. Przedstawił kilku osobom, w tym nieznośnej pani Glendenning. Została ciepło przyjęta.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. To dziwne, obchodzić je w tym upale. Myślę, że większość z nas tęskniła za domem i zimą, może nawet za śniegiem, za kołędami, bluszczem i ostro — krzewem. Staraliśmy się urządzić święta możliwie jak najlepiej. Ralph powiesił pończochę i zaplanował kilka zabaw. Clytie udekorowała drzewko i cały dzień spędziliśmy na plantacji Ashingtonów. Następnego dnia wszyscy przyjechali do nas.

To zdarzyło się kilka dni później. Pamiętam dobrze ten wieczór, gdyż odtąd wszystko zaczęło się zmieniać.

Celia i ja bawiliśmy się z Ralphem w lesie. Z dumą pokazał jej drzewo ze swoim inicjałem. Nie potrafiłam patrzeć na nie bez drżenia. Byłam pewna, że Clytie czuje to samo.

Wróciłyśmy z Celią do domu. Zjawił się Clinton i wypiliśmy razem drinka. Po kolacji usiedliśmy w bawialni. Na zewnątrz było przyjemnie, ale krążyły moskity i Clinton zażartował, że Celia będzie w niebezpieczeństwie, gdyż lubią świeżą angielską krew.

Rozmawialiśmy o różnych sprawach, aż zesłiliśmy na temat śmierci mojej matki. Celia nagle się zaniepokoiła. Wreszcie powiedziała:

— Nie mogę o tym zapomnieć. Nie jestem pewna, czy słusznie postąpiłam, zachowując milczenie. Wtedy uznałam, że tak będzie lepiej...

— O co chodzi, Celio? — spytałam. Spojrzała na Clintona.

— Czy to jakiś sekret? — zdziwił się.

— Nie, nie — odparła szybko Celia. — Jestem pewna, że Sara nie ma przed tobą sekretów.

Clinton pochylił się i położył rękę na mojej dłoni.

— Oczywiście, że nie — powiedział. — Prawda, Saro?

Nie odpowiedziałam. Pomyślałam o tym wielkim sekrecie i wyobraziłam sobie jego gniew, gdyby dowiedział się, co zrobiłam.

— Nie mogę przestać o tym myśleć — oświadczyła Celia.

— Więc opowiedz nam — ponaglił ją Clinton. Zwróciła na niego swe szczere spojrzenie.

— Wiesz, jak było w Grange. Mam na myśli pannę Martę i pannę Mabel...

— Poznałem je — odparł. — Para smoków. Przynajmniej jedna z nich. Druga chodziła za nią jak cień.

— Tak, właśnie tak. Czasem wydaje mi się, że sobie to wszystko wymyśliłam. Twoja ciotka Marta jest bardzo stanowczą kobietą, Saro. Kobieta, która zawsze próbuje postawić na swoim.

— To dość typowe dla pań — mruknął Clinton.

— Miała obsesję — kontynuowała Celia — na punkcie rodzinnych pereł. Opowiedziała mi o nich. Widzisz, ułożyła sobie pewien plan. Wydawał się szalony... właściwie był szalony. Właśnie do tego zmierzam. Twój ojciec ożenił się z kobietą, która nie dała mu syna. Żyli z dala od siebie. Ciotka Marta rozpaczliwie pragnęła, by ojciec splodził syna. Przyszędłby na świat dziedzic Ashingtonów. To wszystko jest dość skomplikowane i mnie samej trudno w to uwierzyć, ale wiem, Saro, że wtedy zdawałaś sobie z tego sprawę. Ciotka wybrała mnie na kolejną żonę twego ojca, choć twoja matka jeszcze żyła. Czy to nie szalony pomysł?

— Przyszło mi do głowy, że coś takiego planuje — wyznałam.

— Miałam odpowiednie pochodzenie. Nie dysponowałam wtedy pieniędzmi... ale tu nie chodziło o majątek. Chciała, bym stała się trzecią panią Ashington, bym urodziła syna, którego żona będzie nosić Perły Ashingtonów. To zupełnie obłąkane i tak do niej niepodobne. Na ogół była taka praktyczna... mocno stąpająca po ziemi. Ale tak to bywa. Twój ojciec miał wrócić do domu i ożenić się ze mną. Lecz wtedy miał jeszcze żonę. Uważam, że ona oszalała. Ten rodzaj obłądzenia to takie pozornie rozsądne szaleństwo... rodzące się z obsesji.

— Celio — spytałam — co próbujesz nam przez to powiedzieć?

— Nie jest mi łatwo... Pamiętasz, Saro, mój pokój był na tym samym piętrze, co pokój twojej matki. Kiedyś w nocy usłyszałam dziwne dźwięki. Twoja matka była chora. Zwykle przeziębienie, nic więcej, ona ciągle się przeziębiała. To jednak przeszło w zapalenie płuc. Zauważyłam, że ciotka Marta wchodzi do jej pokoju. Myślałam, że niesie coś ciepłego do picia. Nie zwróciłam na to uwagi. Rano twoja matka czuła się gorzej. A potem, tamtej nocy... Pamiętasz tę noc, Saro? Weszłaś na górę i sama widziałas... Zimny pokój i lodowaty wiatr, dmuchający przez okno. Obudziłam się nagle. Czułam, że dzieje się coś złego. Pamiętałam, że panna Marta weszła wtedy do pokoju cicho... niemal ukradkiem... A następnego ranka twoja matka była taka chora. Gdy ty przyszedłaś do jej pokoju, znalazłaś otwarte okno i zgaszony ogień. Tak musiało już być przynajmniej od godziny. Nie miałyśmy pewności... Chora mogła zrobić to sama. Czasami myślę, że pewnie tak było. Ale parę dni wcześniej widziałam pannę Martę, jak wchodziła do tego pokoju...

— Chcesz powiedzieć, że zamordowała moją matkę!

— W pewnym sensie było to morderstwo... jeśli to zrobiła. Twoja matka zmarła na zapalenie płuc, ale rozchorowała się śmiertelnie w tym straszliwym zimnie. Zaczęłam się zastanawiać, jak można było tego dokonać. Najpierw podać jej napój z jakimś środkiem nasennym, potem otworzyć okna, wymknąć się i przed świtem wrócić, by je zamknąć. Jeśli mam rację, twoja ciotka była szalona. Oczywiście mogę się mylić. Dlatego milczałam. Ale nie dawało mi to spokoju... przez cały ten czas. Nie mogłam dłużej trzymać tego w tajemnicy.

— Wtedy nic nie powiedziałaś? — zdziwił się Clinton.

— Nie, bo nie byłam pewna. Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że matka Sary sama to zrobiła. Była rozgorączkowana i nie wiedziała, co robi. Próbowałam samą siebie przekonać, że tak właśnie się stało. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że panna Marta była szalona... że jest szalona.

Milczałam. Nie zaskoczyła mnie jej opowieść, gdyż od dawna dręczyły mnie podobne podejrzenia co do ciotki Marty. To prawda. Byłam pewna, że chciała usunąć mamę z drogi. Dostrzegłam również, że próbuje przygotować Celię Hansen do roli trzeciej żony ojca.

Ciotka Marta, posepna, stanowcza i władcza — szalona! Tak, mogłabym w to uwierzyć.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę i widać było, że Celia odczuła wyraźną ulgę. Była wrażliwa i dochowywanie takiego sekretu bardzo ją męczyło.

Kiedy zostaliśmy z Clintonem sami w pokoju, spytałam go, co sądzi o opowieści Celi. Wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem ta staruszka byłaby do tego zdolna. Należy do tych osób, które podejmują decyzję, a potem robią wszystko, by ją zrealizować.

— Zdarzają się tacy ludzie — rzuciłam ironicznie.

— Chyba rzeczywiście. — Przyciągnął mnie do siebie. — Będę musiał bardzo uważać na moją Sarę. Szaleństwo w rodzinie... Kto by pomyślał?

* * *

Długo miałam pamiętać tę rozmowę.

Pod koniec tygodnia Celia oznajmiła, że powinna już jechać. Namawiałam ją, by została trochę dłużej.

— Czy masz jakieś ważne powody, żeby wyjeżdżać? — spytałam.

Pokręciła głową.

— Nie mam właściwie do czego wracać, ale nie chciałabym nadużywać twojej gościnności.

— Wiesz przecież, jak się cieszę, że jesteś przy mnie. Clinton też jest zadowolony. Wie, że nie zostanę sama, gdyby wyjechał gdzieś i nie mógł wrócić na noc.

— Skoro tak twierdzisz...

— Kochana Celio, zostań tak długo, jak tylko masz ochotę.

— Więc zostanę jeszcze kilka dni. Muszę przyznać, że liczyłam na to zaproszenie. To miejsce mnie fascynuje. Zawsze lubiłam twoje towarzystwo, a Ralph jest kochany. Uczenie go byłoby dla mnie przyjemnością. Lepiej bym sobie radziła niż w twoim przypadku.

— Wszystko dobrze się skończyło — odparłam. — A więc załatwione. Zostajesz.

Potem nie wspominała już o wyjeździe. Kiedy powiedziałam Clintonowi, że zaprosiłam ją na dłuższy pobyt, poparł mnie całym sercem.

— Lepiej dla ciebie, że masz towarzystwo — stwierdził.

Domyśliłam się, że chodzi mu nie tylko o te okazje, kiedy wyjeżdża gdzieś dalej. W myślach wciąż powracały obrazy dusznej sypialni Anuli.

Dni mijały szybko. Nadszedł kolejny list od Toby'ego. Musiał odpisać natychmiast, gdy tylko otrzymał mój. Był zachwycony, że dostał wiadomość ode mnie. Pisał barwnie o swojej pracy i o społeczności, w jakiej żyje; niemal zobaczyłam jego bungalow. Domem zarządzał szelmowski Khansamah, który oszukiwał go na prawo i lewo, ale bez którego ciężko byłoby się obejść.

Robi dla mnie zakupy i oszukuje na każdym artykule, ale jeśli próbowałbym zrobić to sam, płaciłbym o wiele więcej. Widzisz, wszyscy tu się jednoczą przeciwko biednemu sahibowi, zwłaszcza kiedy jest sam, bez mem sahib, która by się nim zajęła. Często bywamy u siebie z wizytami. Angielska społeczność trzyma się razem. Przypuszczam, że na Cejlonie panują te same zwyczaje.

Odpowiedziałam mu natychmiast. W dość lekkim tonie napisałam o naszym klubie, o balu, który wydano na moją cześć, i o wścibskiej pani Glendenning. Byłam pewna, że i w kręgu znajomych Toby'ego znajdzie się ktoś o podobnym charakterze.

Wkrótce potem nastąpiło pierwsze z serii niezwykłych zdarzeń. Pewnego dnia postanowiłam wrócić od Clytie piechotą. Byłam u niej sama, co zdarzało się dość rzadko. Idąc, myślałam o mamie i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek spacerowała sama po tym lesie. Oczywiście, słowo „dżungla” było tu właściwsze. Dawniej musiała się rozciągać całymi milami. Spory obszar wykarczowano i użyźniono pod uprawę herbaty. Gdyby decyzja należała do Clintona, ten skrawek dżungli także stałby się częścią plantacji.

Nie pozwolę na to! — myślałam. Cieszyłam się na samą myśl o tym, jak wściekły byłby Clinton. Nigdy nie dostanie plantacji, dla której się ze mną ożenił.

Pod wpływem emocji ludzie zdolni są do niezwykłych czynów. Ja również. Byłam szalona ze złości, kiedy pojechałam do kancelarii adwokata. Nigdy Clintonowi nie zapomnę, jak mnie poniżył, zostając z tą kobietą. Ale najbardziej złościło mnie to, że gdy wrócił, pozwoliłam mu spędzić ze sobą noc. Powinnam walczyć do ostatka sił. I chociaż udawałam, że ustępuję niechętnie, wiedział, że nie całkiem jest to prawdą.

Jakże go nienawidziłam! Jak mogłam się z nim związać? Nie o takim mężczyźnie marzyłam. Pragnęłam kogoś delikatnego, łagodnego, kto gorąco by mnie kochał. Kogoś, kto by mnie pocieszał i opiekował się mną przez całe życie.

Przyjemnie było utrzymywać kontakt z Tobym.

Dżungla wydawała się dzisiaj inna niż zwykle. Z jakiego powodu? Zatrzymałam się, nasłuchując. To chyba Clytie powiedziała, że z czasem przyzwyczaję się do odgłosów dżungli. Miała rację, przyzwyczałam się. Nie bałam się nawet słysząc, jak coś przemyka wśród liści. Co prawda, węże zawsze były groźne. Jednak, przy zachowaniu ostrożności, nic człowiekowi nie groziło. Leila mówiła, że wczoraj nad wodą w dżungli widziała anakondę. Były tu rzadkością. Za to na kobrę natknęłam się sama — dość przerażający widok. Spała zwinięta pod drzewem. Szybko przebiegłam obok. Nad bagnistymi brzegami rzeki często spotykałam krokodyły, zwykle śpiące i dość łagodne, dopóki nie ruszały ogonami. Wtedy należało uciekać. Nie przerażało mnie już nagłe ukąszenie komara czy niespodziewane spotkanie z jaszczurką lub kameleonem. Gekony były bardzo pospolite. Często widziałam, jak przemykają po ścianach wewnątrz domu.

Przyzwyczałam się do tego świata, gdzie w nieznanym w ojczyźnie upale tętniło bujne życie.

Ale tego popołudnia było w dżungli coś, co budziło lęk. Wyczułam, że jestem śledzona, zanim jeszcze sobie to uświadomiłam.

Usłyszałam nagły trzask gałązki... potem jakby odgłos stąpania. To mogło być jakieś małe zwierzę... Może babirusa przesuwająca się ostrożnie przez gąszcz, świadoma grożącego zewsząd niebezpieczeństwa. Gdyby spostrzegła ją anakonda, o której opowiadała Leila, niedługo by się z

nią bawiła. Nie, to chyba jednak nie było zwierzę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak nagle ogarnął mnie strach.

Sama w sercu dżungli! To prawda, ale dom był niedaleko. Chodziłam już tędy samotnie i nigdy nie wydawało mi się to groźne. Znowu! Ostrożne kroki. Teraz, kiedy się zatrzymałam, one także ucichły. Ruszyłam dalej. I znowu te delikatne szmery... jakby ktoś skradał się za mną.

Ogarnęła mnie jakaś dziwna, niezrozumiała panika. Zaczęłam biec. Ten ktoś podążał za mną, głośno szeleszcząc pomiędzy drzewami. Zwierzę... To niemożliwe. Nie zatrzymałoby się, kiedy przystanąłam.

Znieruchomiałam. Serce biło mi tak szybko, że aż boleśnie.

— Kto tu jest? — krzyknęłam.

Nikt nie odpowiadał. Ktokolwiek za mną szedł, zatrzymał się w tej samej chwili.

Teraz poznałam prawdziwy strach. Znowu ruszyłam biegiem, a ten ktoś mnie ścigał.

Biegłam, jak najszybciej potrafiłam. Gdy dotarłam do miejsca, gdzie las się przerzedzał, odczułam niemal obezwładniającą ulgę. Dobięłam do ogrodu. Odwróciłam się i patrzyłam na dżunglę, czekając, aż ktoś wynurzy się spomiędzy drzew.

— Kto tam jest? — krzyknęłam, pewniejszym już teraz głosem.

Nikt nie odpowiadał. Nikt się nie zjawiał. Nic się nie stało. Wolno odeszłam do domu.

Ktoś musiał za mną iść w nadziei, że mnie dopadnie, nim dotrę do bezpiecznego miejsca. Kto? Dlaczego ścigał mnie przez las?

Poszłam do sypialni i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Cóż za widok! Rozwichrzone włosy, szeroko otwarte oczy i ten wyraz zdumienia i lęku na twarzy...

Umyłam się, przebrałam i zeszłam na dół.

Celia siedziała w bawialni i czytała coś. Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Nie wiem. Przestraszyłam się w lesie.

— Przestraszyłaś się? Czego?

— Miałam wrażenie, że ktoś mnie ściga. To było... niesamowite.

— Ściga? Któż mógłby cię ścigać?

— Nikt nie przychodzi mi do głowy. Ale to było trochę... przerażające.

— Może jakieś zwierzę?

— Chcesz powiedzieć, że mnie tropiło?

— Może. Więcej ode mnie wiesz o życiu dżungli.

— Celio, to było straszne. Naprawdę się przeraziłam.

— To z pewnością tylko wyobraźnia — powiedziała.

— Nie — przekonywałam. — To działo się naprawdę.

— Chodź tu i usiądź. Widzę, że jesteś wstrząśnięta.

Zaczęła mówić o innych sprawach i wiedziałam, że próbuje mnie uspokoić.

* * *

To był początek niezwykłych wydarzeń. Kolejne nastąpiło jakieś dwa dni później. Zwykle odpoczywaliśmy popołudniami, w czasie najgorętszych godzin dnia. Z wyjątkiem Clintona, wszyscy zażywaliśmy sjesty. Teraz, kiedy była u mnie Celia, nie tak często odwiedzałam Clytie. Jeżeli już się tam wybierałam, to zawsze bryczką i tylko z poranną wizytą.

Pamiętam, że tego ranka panował nieznośny upał. Razem z Celią pojechałam na plantację Ashingtonów. Z Clytie i Sethem siedliśmy przy herbacie, a Celia wyszła z Ralphem do ogrodu. Zaprzyjaźnili się bardzo; bawiła mnie obserwacja, jak w nauczycielskim odruchu próbuje dzielić

się z malcem swoją wiedzą. A że był obdarzony bujną wyobraźnią, bardzo mu to odpowiadało. Często widywałam ich razem, zatopionych w rozmowie lub pochylonych nad książką.

Seth omawiał ze mną jakąś nową metodę nawadniania. Był ożywiony i zrozumiałam, że po mojej wizycie u prawnika ciężar spadł mu z serca. Wyraźnie miał teraz motywację do intensywniejszej pracy i starań o rozwój plantacji. Nie znaczy to, że przedtem tego nie robił, jednak poczucie bezpieczeństwa wywarło pozytywny wpływ.

Po powrocie do domu zjadłyśmy lekki lunch i rozeszłyśmy się do swoich pokoi. Nie spałam, odpoczywałam. Rzadko sypiałam po południu. Czasem czytałam, a niekiedy dumałam nad tym, co się wydarzyło, odkąd tu przybyłam. Wspomniałam już, że przyjazd Celi w pewien sposób doprowadził nasze życie do normalności. Clinton zmienił się, nie spierałiśmy się już tak często jak kiedyś. Celia była z nami i oczywiście jej obecność powstrzymywała kłótnie. Nie byłam pewna, czy jest z tego zadowolony, ale z pewnością uważał, że przyda mi się towarzystwo.

Leżałam na łóżku, gdy usłyszałam głośne pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołałam, spodziewając się Celi. Clinton, gdyby wrócił, raczej by nie stukał.

Nikt nie wchodził.

— Kto tam? — krzyknęłam i wciąż nikt nie odpowiadał. Wstałam i podeszłam do drzwi. Nikogo nie było.

To dziwne! Stukanie było tak głośne. Ktoś musiał przecież tam być. Może ktoś ze służby. Ale dlaczego nie wszedł, kiedy zawołałam? Dlaczego odszedł, skoro przedtem zastukał?

Po przeżyciach w lesie czułam się trochę nieswojo.

Zajrzałam do Celi. Drzwi jej pokoju, tak jak i mojego, były zamknięte. Zastukałam.

— Proszę! — zawołała.

Leżała na łóżku i czytała.

— Nie pukałaś do mnie? — zapytałam.

— Pukać do ciebie? Po co?

— Ktoś zastukał. Powiedziałam „proszę” i nikt nie wszedł. Wstałam i wyjrzałam. Nikogo nie było.

— To na pewno Leila miała jakąś sprawę.

— Ale dlaczego zapukała i odeszła?

Celia wruszyła ramionami. Było jasne, że nie przywiązuje wagi do tego incydentu.

* * *

— Leilo — spytałam — czy pukałaś do mnie dziś po południu? Przyniosła mi ciepłą wodę, bym mogła się umyć, nim przebiorę się do kolacji.

— Pukać, pani? Ja... pukać?

— Tak, po południu. Ktoś zapukał, a kiedy zawołałam „proszę”, nikt nie wszedł.

Pokręciła głową.

— Nie.

— To bardzo dziwne. Pukanie było takie wyraźne. Usłyszałam je, gdy odpoczywałam na łóżku.

— Dziś w nocy będzie pełnia — oznajmiła Leila, szeroko otwierając oczy. — To mógł być Duch Księżyca.

— A po cóż miałby stukać do moich drzwi?

— Może myśli o pani przy dzisiejszej pełni.

— Leilo, jesteś pewna, że czegoś nie przyniosłaś, a potem postanowiłaś, że nie będziesz mnie niepokoić?

Leila stanowczo pokręciła głową.

— Przecież ktoś to zrobił — powiedziałam niemal gniewnie.

— Duch Księżyca — oświadczyła Leila z powagą.

Widziałam, że niczego się od niej nie dowiem i że przecież nie mam właściwie powodów do niepokoju. Ale zirytowało mnie, że nikt się nie zainteresował tym zdarzeniem. Prócz Leili, która sugerowała Ducha Księżyca. Celia chyba sądziła, że wszystko mi się śniło, i nie rozumiała, o co chodzi.

Clinton wszedł, kiedy się przebierałam. Był w dobrym nastroju i pocałował mnie gorąco.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytał.

— Tak, ale... Clintonie, co to znaczy, kiedy mówią, że postanowił cię odwiedzić Duch Księżyca?

— To znaczy, że w powietrzu unosi się szaleństwo.

Poczułam nagły lęk. Wolałam nie wspominać o stukaniu do moich drzwi.

* * *

Działo się coś dziwnego. Znowu szłam przez las i wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Słyszałam te same, skradające się kroki. Byłam naprawdę przerażona.

Oddychałam ciężko, dobiegając do polany. Tam zaczekałam. Gdyby to było jakieś zwierzę, z pewnością wybiegłoby za mną. Nic się nie zjawilo. A więc to nie zwierzę. To był ktoś, kto nie chciał być widziany. Ale kto?

Wieczorem wspomniałam o tym Clintonowi i Celii.

— To nerwica dżungli — stwierdził Clinton.

— A cóż to jest, na miłość boską?

— To coś w rodzaju ogarniającej cię w dżungli obsesji. W efekcie zaczynasz sobie wyobrażać różne rzeczy.

— To nie była wyobraźnia. Ktoś za mną szedł.

— Mało prawdopodobne.

Pochwyciłam wzrok Celii. Przyglądała mi się z niepokojem. Odgadłam, że myśli o tym pukaniu do drzwi, które, jej zdaniem, też sobie wyobraziłam.

Następnym razem, gdy ktoś będzie za mną szedł, dowiem się kto to, obiecałam sobie.

Kolejny dziwny przypadek nastąpił kilka dni później. Znowu leżałam na łóżku podczas sjesty. Czytałam, gdy nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Obejrzałam się i spojrzałam na drzwi. Gałka poruszała się lekko. Tym razem leżałam cicho i patrzyłam. Drzwi uchyliły się bardzo — wolno.

Nie wiem, dlaczego czułam się taka przestraszona: nagle uświadomiłam sobie panującą w domu ciszę. Czekałam, aż ktoś bezgłośnie wejdzie do pokoju. Duch Księżyca? Upiorna postać, która wskaże na mnie i powie: „Myślmy o tobie”.

Nic się nie stało... trwała cisza.

Wyskoczyłam z łóżka na korytarz. Był pusty.

Działo się coś bardzo dziwnego.

Musiałam odkryć, co to takiego. Tym razem zabrałam się do tego bardzo ostrożnie.

— Wczoraj po południu przyniosłaś mi ręczniki, prawda? — zapytałam Leilę, kiedy weszła z ciepłą wodą.

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc.

— Nie, proszę pani. Wysłałam na całe popołudnie. Chciałam kupić bawełnę do szycia.

— A o której wyszłaś?

Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie, że była trzecia. Drzwi otworzyły się tajemniczo o wpół do czwartej. Oczywiście, mogła kłamać. Później opowiedziałam o wszystkim Celii.

— Niczego nie słyszałam — odparła.

— Ale ktoś musiał otworzyć te drzwi. Dlaczego?

— To bez sensu. Po co miałyby to robić?

— To coś w rodzaju ogarniającej cię w dżungli obsesji. W efekcie zaczynasz sobie wyobrażać różne rzeczy.

— To nie była wyobraźnia. Ktoś za mną szedł.

— Mało prawdopodobne.

Pochwyciłam wzrok Celii. Przyglądała mi się z niepokojem. Odgadłam, że myśli o tym pukaniu do drzwi, które, jej zdaniem, też sobie wyobraziłam.

Następnym razem, gdy ktoś będzie za mną szedł, dowiem się kto to, obiecałam sobie.

Kolejny dziwny przypadek nastąpił kilka dni później. Znowu leżałam na łóżku podczas sjeisty. Czytałam, gdy nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Obejrzałam się i spojrzałam na drzwi. Gałka poruszała się lekko. Tym razem leżałam cicho i patrzyłam. Drzwi uchyliły się bardzo wolno.

Nie wiem, dlaczego czułam się taka przestraszona: nagle uświadomiłam sobie panującą w domu ciszę. Czekałam, aż ktoś bezgłośnie wejdzie do pokoju. Duch Księżyca? Upiorna postać, która wskaże na mnie i powie: „Myślimy o tobie”.

Nic się nie stało... trwała cisza.

Wyskoczyłam z łóżka na korytarz. Był pusty.

Działo się coś bardzo dziwnego.

Musiałam odkryć, co to takiego. Tym razem zabrałam się do tego bardzo ostrożnie.

— Wczoraj po południu przyniosłaś mi ręczniki, prawda? — zapytałam Leilę, kiedy weszła z ciepłą wodą.

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc.

— Nie, proszę pani. Wyszłam na całe popołudnie. Chciałam kupić bawełnę do szycia.

— A o której wyszłaś?

Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie, że była trzecia. Drzwi otworzyły się tajemniczo o wpół do czwartej. Oczywiście, mogła kłamać. Później opowiedziałam o wszystkim Celii.

— Niczego nie słyszałam — odparła.

— Ale ktoś musiał otworzyć te drzwi. Dlaczego?

— To bez sensu. Po co miałyby to robić?

— Rzeczywiście. Po co? — zgodziłam się.

— To na pewno Leila przyniosła coś, a potem przypomniała sobie, że wypoczywasz.

— Nie było jej wtedy w domu. Tak powiedziała.

— A czy jesteś pewna, Saro, że nie zostawiłaś drzwi uchylonych? Może jakiś podmuch...

— Nigdy nie zostawiam otwartych drzwi.

— Ale może zdarzyło się to jeden raz. To chyba jedyne wyjaśnienie, chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że drzemałaś i to ci się przyśniło.

— Celio, nie spałam. Wstałam z łóżka i drzwi były otwarte.

Wzruszyła ramionami.

— To chyba nie takie ważne, prawda? Spojrzała na mnie badawczo.

— To jest ważne — odparłam. — Zbyt wiele dziwnych rzeczy zdarzyło się ostatnio. Dwa razy ktoś podążał za mną przez las. I nie warto powtarzać, że sobie to wyobraziłam. To się stało naprawdę. A potem to stukanie do drzwi.

— Co z tego wynika?

Myślała wyraźnie, że robię z igły widły, więc porzuciłam ten temat. Jednak nie mogłam przestać o tym myśleć.

Postanowiłam odwiedzić Clytie. Zastałam ją z Ralphem w ogrodzie.

Chłopiec podbiegł do mnie i objął rękami za kolana — miał taki wzruszający zwyczaj. Goście odnosili wrażenie, że naprawdę bardzo się cieszy na ich widok.

— Mam nowego słonia — oznajmił. — On chodzi.

— Kiedy go nakręcisz — dodała Clytie. — Ralph jest nim zachwycony. Zanedbuje wszystkie inne zabawki.

— Zabierze mnie do kąpieli — powiedział Ralph. — Wchodzimy do wody, a ja siedzę mu na grzbiecie. Jestem w złotym palankinie z parasolem. On trochę się boi, ale ja mu tłumaczę, że wszystko jest w porządku. Nie dam mu utonąć. A potem idziemy polować na pantery. Mamo, czy możemy mieć panterę? Taką co biega, żeby mój słoń mógł na nią polować?

— Zobaczymy — odparła Clytie. — Przede wszystkim musimy znaleźć taką panterę.

— Pantery są ładne — stwierdził Ralph — ale słonie ładniejsze.

I odbiegł polować wraz ze swoim słoniem. Usiadłyśmy obie z Clytie w cieniu palm.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Jeszcze nie wiem. Dzieją się dziwne rzeczy. — I opowiedziałam jej o wszystkim.

Słuchała z uwagą. Byłam jej wdzięczna, że nie powiedziała: to tylko twoja wyobraźnia.

— Wygląda na to — stwierdziła po chwili — że ktoś robi jakieś sztuczki.

— Ale po co?

Zamyśliła się.

— Te kroki w dżungli... Może ktoś próbował sobie zażartować, dość nieprzyjemnie zresztą. Próbował cię przerazić. Pukanie do drzwi i ich otwieranie... to rzeczywiście dziwne.

— Następnym razem wyskoczę z łóżka i pobiegnę za tym kimś. Także przekonam się, kto za mną idzie.

— Bądź ostrożna, Saro.

— Co masz na myśli, Clytie? Mówisz tak, jakbyś uważała, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

— Ktokolwiek to wszystko robi, musi mieć jakiś motyw.

— Niektórzy twierdzą, że to tylko wyobraźnia.

— Może ktoś próbuje cię podenerwować.

— Ale z jakiego powodu?

— Nie wiem — odparła, ale jakoś bez przekonania.

— Clytie, pomożesz mi, jeśli zdołasz?

— Oczywiście.

— Więc jeśli coś wiesz, powiedz.

— Niczego nie wiem. Mogę się tylko domyślać. To dość kłopotliwa sprawa. Sądzę, że może dotyczyć... Nie, jestem pewna, że się mylę. To tylko głupie podejrzenia.

— Clytie, jestem twoją siostrą. Jakkolwiek głupie są te podejrzenia, chcę je poznać.

Skok tygrysicy

— Ludzie tutaj różnią się od ciebie, Saro. Mają inny kodeks postępowania... inaczej rozumują... Myślałam o Anuli. Och nie, to niemożliwe. Nie powinnam o tym mówić.

— Powinnaś, a ja dopowiem resztę. Wiem, że Anula była kochanką Clintona. Przyznał się do tego. Moja obecność wcale jej nie cieszy. Może próbuje jakoś mnie przepędzić.

— Ta sprawa była powszechnie znana — przyznała Clytie. — Nie robili z tego tajemnicy. Mogła uwierzyć, że on się z nią ożeni. Może nawet tak by się stało. Poprzez matkę pochodzi z arystokratycznej rodziny, a ponieważ od dzieciństwa się wyróżniała, rodzice dali jej wykształcenie, jakiego nie otrzymały inne dzieci. Jest najstarsza. Dorastała, gdy jej matka zmarła przy urodzeniu Ashrafa, a Leila była wtedy bardzo mała. Anula została wychowana zgodnie z

normami europejskimi. Dlatego tak wyróżnia się i lepiej pasowała do naszego grona. To możliwe, że czuje do ciebie niechęć i próbuje sztuczek, by cię zaniepokoić, a może nawet zmusić do wyjazdu.

— Nie wierzy chyba, że osiągnie to, chodząc za mną po dżungli albo prosząc Leilę, by stukała do moich drzwi.

— Powiedziałam ci przecież, że to tylko takie podejrzenie. Anula jest dziwną istotą. Sporo ludzi wierzy, że naprawdę jest reinkarnacją królowej o tym samym imieniu, pierwszej królowej Cejlonu. Została nią poprzez małżeństwo z królem. Są ludzie, którzy mówią o Clintonie jak o królu Kandy. Ma tu taką władzę i stopniowo przejmuje kolejne zyskowne gałęzie produkcji tego kraju. Rozumiesz, jest królem swojej ery. A Anula stałaby się królową poprzez małżeństwo z królem Clintonem i może na to właśnie liczyła. W ten sposób wypełniłaby swoją Karmę. Wprawdzie raz jej się nie powiodło, ale teraz powinna odnieść sukces. Tak pewnie myślała. I nagle Clinton wrócił z Anglii z młodą żoną.

— Naprawdę sądzisz, że posunęłyby się do tego, żeby się mnie pozbyć?

— Naprawdę nie wiem. Po prostu próbuję znaleźć jakieś wyjaśnienie.

— Nie potrafię sobie wyobrazić tej pięknej istoty śledzącej mnie w lesie.

— Mogła posłać Ashrafa. A Leila mogła stukać do drzwi. Są jej absolutnie posłuszni. Wierzą, że posiada szczególną moc i nie śmia się jej sprzeciwiać.

— Co powinnam robić, Clytie?

— Ignorować to. Nie pozwól, by cię to niepokoiło.

— Clinton i Celia uważają, że wyobrażam sobie to wszystko. Widzę wyraźnie, że tak jest.

— Więc nie opowiadaj im już nic więcej. Zatrzymaj to dla siebie. Bądź ostrożna i spróbuj odkryć, kto cię chce przestraszyć.

To było rozsądne. Musiałam pamiętać, że znalazłam się w dziwnej krainie i to, co w domu wydawałoby się absurdem, tutaj nim nie było. Ludzie myśleli w inny sposób. Ktoś mógłby powiedzieć, że żyli bliżej natury. Podtrzymywali wierzenia dla nas niezwykle, ale dla nich zupełnie naturalne. Nie wolno mi popełnić błędu, jakim byłoby stosowanie wobec nich takich samych norm, jak wobec moich rodaków.

Anula rzeczywiście mogła wierzyć, że ona i Clinton są sobie przeznaczeni. Jak stwierdziła Clytie, nazywano go nawet królem Kandy — królem w innym znaczeniu niż starożytni władcy, a jednak był najpotężniejszym człowiekiem w okolicy i w pewien sposób rządził krajem.

Rzecz wydawała się śmieszna, ale byłam wdzięczna Clytie, że wysłuchała mnie i potraktowała poważnie.

Anula była z pewnością najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem.

* * *

To było jak ogarniający mnie z wolna koszmar. Na pozór zwykle drobiazgi: kładłam jakąś rzecz w miejscu, które zawsze zajmowała, a potem znajdowałam ją gdzie indziej. Próbowałam o tym nie myśleć, ale było mi coraz trudniej.

Clinton dostrzegał to. Twierdził, że jestem roztrzepana. Leila też zauważyła. Robiła tajemnicze miny i wiedziałam, że myśli o Duchu Księżyca. Celia zaczynała się martwić, ale ona z kolei starała się tego nie zdradzać. Co do mnie, byłam coraz bardziej niespokojna. Możliwe, że to lęk czynił mnie wyczuloną na takie dziwne zdarzenia. Nie mogłam tego zrozumieć.

Kiedy wchodziłam do sypialni, ogarniał mnie niepokój. Za każdym razem zastanawiałam się, co tam zastanę. Gdy leżałam w łóżku i usiłowałam odpocząć, spostrzegałam, że wpatruję się w drzwi i czekam, aż nagle się otworzą.

Clinton wyjechał, a ponieważ została ze mną Celia, nie przeprowadzałam się do Clytie. Czasem żalowałam tego, bo miałam wrażenie, że ten dom robi mi na złość.

Na plantacji Ashingtonów czułam się lepiej. Łatwiej przychodziła mi rozmowa z Clytie niż z Celią. Ale nawet Clytie zaczęła okazywać pewne zakłopotanie.

Co się ze mną działo? Miałam wrażenie, że rzucono na mnie czar. Czasem nawiedzały mnie niewyraźne sny, jak po narkotykach. Wydawało mi się, że widzę w pokoju dziwne postacie.

Wszystko to miało wpływ na moje zdrowie. Byłam blada, straciłam na wadze, pokazały się cienie pod oczami.

Próbowałam ukryć ten stan przed Clintonem. Tacy ludzie jak on uważają, że choroba wynika z winy chorego. Wiedziałam, że nie okaże cierpliwości inwalidce. Inwalidka! Jeszcze nią nie byłam. Stałam się ofiarą jakiegoś niezwykłego czaru... rodzaju zaklęcia, któremu ulegałam.

Pewnej nocy zdarzyło się coś dziwnego. Clinton znowu wyjechał, a ja położyłam się wcześniej, jak radziła mi Celia. Lei — la przygotowała jakiś ciepły napój, który miał mnie uspokoić. Spałam głęboko. Obudziło mnie coś, co sprawiało wrażenie lekkiego dotknięcia na policzku. Usłyszałam moje imię: Saro, Saro, to Duch Księżyca cię wzywa...

Przebudziłam się z wysiłkiem. Oczywiście, w pokoju nie było nikogo. To tylko sen.

Któregoś dnia weszłam do pokoju i wyczułam delikatny aromat sandałowego drzewa. Zemdlił mnie i przywołał myśli o Anuli. W szufladzie leżała buteleczka olejku, którą od niej dostałam. Wystarczy jedna kropla, by zmyć grzechy z całego roku... Wyobrażałam sobie, jak śmieje się z tego Clinton.

Butelka musi przeciekać. Była wilgotna przy korku. Powąchałam ją — dziwny, egzotyczny aromat wschodu.

Weszła Leila.

— Czuję drzewo sandałowe — powiedziała. — Czyni ten pokój tajemniczym.

— To twoja siostra, Anula, dała mi tę butelkę.

Spojrzała z szacunkiem.

— A zatem jest wyjątkowy. Ten pokój staje się świętym miejscem.

— Wcale tak nie uważam — odparłam.

— To najważniejsze pachnidło, pani Saro. W czasie świąt ludzie dają dużo pieniędzy za pałeczki z sandałowego drzewa. To znak, że zasłużyli na odpuszczenie grzechów.

— Mam wrażenie, że te perfumy mają jakiś związek z grzechem.

— O tak. Smaruje się nimi stopy tych, którzy mają umrzeć, by zapach poszedł z nimi do nieba.

— Bardzo ciekawe, ale trochę mdli mnie ten aromat.

— Pani Sara przemawia przeciwko temu, co święte.

Dotknęłam butelki i zapach przyłgnał do moich palców.

Zauważyła to Celia, gdy zesłam na dół. Powiedziałam jej, że dostałam olejek od Anuli. Wiedziała o niej; nie byłam pewna jak wiele, ale jasno dała do zrozumienia, że jej nie aprobuję. Powtórzyłam, co mówiła Leila na temat świętych właściwości sandałowego drzewa.

— To niezwykły zapach — powiedziała. — Nie jestem pewna, czy mi się podoba.

Kiedy wróciłam do pokoju, nadal czułam mocny zapach; miałam wrażenie, że przesiąka zasłony. Przypomniał mi dom Anuli. Miałam ochotę otworzyć okno.

Pewnego ranka obudziłam się z ciężkimi powiekami i senna, co ostatnio często mi się zdarzało. Gdy wciągałam pończochy, wyczułam aromat sandałowego drzewa i uświadomiłam sobie, że to moje stopy pachną! Po skórze przebiegł mi dreszcz, a włosy zjeżyły się na głowie. Smarują olejkami stopy tych, którzy mają umrzeć. Czy tak mówiła Leila?

Przeraziło mnie to bardziej niż cokolwiek, co zdarzyło się do tej pory.

* * *

Dwa dni później pisałam list do Toby'ego. Musiałam coś zrobić. Ostatnio dużo myślałam o ciotce Marcie. Raz czy dwa śniła mi się, jak skrada się korytarzem do pokoju mamy. Zamordowała ją. Podejrzewałam to już wcześniej, ale teraz miałam pewność. Była obłąkana. A można by pomyśleć, że jest najzdrowszą osobą na świecie. Skrupulatna, konwencjonalna, pewna siebie, a jednak zdolna do obsesji. Wszystko przez te perły. Opętały ją, a w nich czaił się obłąd.

Obłąd! Straszne słowo, którego starałam się od jakiegoś czasu nie używać... odkąd zaczęły mi się zdarzać te dziwne przypadki.

Czy to możliwe, by w mojej rodzinie naprawdę przytrafiło się szaleństwo? Czy ciotka Marta była szalona, gdy skradała się korytarzem, by zabić mamę? Wybrała nawet dla ojca narzeczoną. Tak, to szaleństwo. Byłam przerażona. Dotąd zawsze panowałam nad sobą. Myślałam rozsądnie, w miarę logicznie, ale teraz zaczynałam zachowywać się dziwnie. Widziałam niezwykle rzeczy, których inni nie zauważali. Halucynacje. Postacie, które wyobrażałam sobie we własnym pokoju. Co właściwie widziałam? Nie wiem. Światło było zbyt słabe. To była obecność... nic więcej. „Saro, Saro, jestem Duchem Księżyca”.

Duch Księżyca sprowadzał szaleństwo.

Czy mogłam powiedzieć o moich lękach Clintonowi? Nie. Wyśmiałyby mnie. Nie był czułym mężem. Pożądał mnie z dziką namiętnością, którą wzmagał konflikt między nami. Ja czułam do niego to samo. Czy to miłość? Jeśli tak, była inna, niż zawsze ją sobie wyobrażałam. Clinton z pewnością nie okaże zrozumienia dla mojej słabości — sam taki silny. Lubił mnie, kiedy z nim walczyłam. Nie pragnął kobiety słabej ani przestraszonej. Domyślałam się, że Anula mu się sprzeciwiała, walczyła, klóciła się. Była taką kobietą.

Nie, nie powiem nic Clintonowi. Opowiedziałam nieco Clytie, która mi współczuła. Uważała, że Anula mnie nienawidzi i, być może, próbuje usunąć z drogi. Jeśli okaże się to konieczne, byłam gotowa z nią walczyć. Ale miałam wątpliwości. Anula nie mogła przecież zakraść się nocą do mojego domu. Była zbyt daleko... może nawet z Clintonem. Mogłabym rozmawiać o tym z Celią, ale przerażało mnie jej zachowanie. Wiedziała o ciotce Marcie i zauważyłam, że często obserwuje mnie z niezwykłą uwagą. Jako dobra przyjaciółka martwiła się o mnie. Była przy śmierci mojej mamy i uważała, że ciotka Marta jest obłąkana.

Czy i ja wpadam w obłąd? — pytałam samą siebie. Czy tak zaczyna się szaleństwo?

A potem wspomniałam dzieciństwo. Wtedy zawsze był przy mnie ktoś, komu mogłam zwierzyć się z kłopotów. Nigdy mnie nie zawiódł, zawsze pomagał, dodawał ducha, gdy brakowało odwagi. Powtarzał, że jest we mnie coś wyjątkowego. „Możesz to zrobić, Saro”, mawiał. „Jeżeli ktokolwiek może, to właśnie ty”.

Toby! Olśniła mnie nagle myśl: miałam przecież kontakt z Tobym.

Więc napisałam do niego. Trochę już zdążyłam mu zrelacjonować. Wiedział, że jest ze mną Celia, i cieszył się z tego. „Wydaje się dobrą, spokojną dziewczyną”, pisał. Nie wspomniałam mu o Anuli. Byłby wzburzony tym, że nadal spotyka się z Clintonem. Łatwiej nic o tym nie wspominać. Ale chciałam napisać o tych niezwykłych wydarzeniach, które pojawiły się w moim życiu.

Najpierw zaczęło się od przekonania, że ktoś idzie za mną przez las. Tak naprawdę to dżungla. Dobrze znasz takie miejsca. Można się tam wystraszyć dziwnych stworzeń, tak różnych od żyjących w kraju. Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania z kobrą i tego dreszczu, który przebiegł mi po plecach. Jaszczurki na ścianach domu... tak nieruchome, a potem nagle pędzące przed siebie. A najbardziej przerażające są kolumny maszerujących mrówek. Dlatego łatwo mogłam przestraszyć się czegoś w dżungli. Ale to zdarzyło się dwa razy. Ktoś szedł za mną. Toby, jestem pewna, że sobie

tego nie wyobraziłam. Wyraźnie słyszałam kroki. I miałam takie wrażenie... bardzo silne wrażenie, że to ktoś mi wrogi. A potem stukanie do drzwi... i nikogo na korytarzu. Drzwi, które się otwierały, niezwykle senność i świadomość, że ktoś jest w moim pokoju. Tuby, zastanów się nad tym i napisz, co myślisz.

Jest jeszcze coś. Na pewno znasz zapach sandałowego drzewa. To święty aromat. Ktoś dał mi butelkę. Nie lubię tego zapachu. Pewnego dnia weszłam do pokoju, a ta woń unosiła się w powietrzu. Zajrzałam do buteleczki. Była w połowie pusta. Na pewno nie rozlałam olejku po pokoju. A jednak był na zasłonach... wszędzie. Nie wiedziałam, jak do tego doszło. Chciałam to wyjaśnić. Pytałam każdego, kto mógł zajrzeć do pokoju, czy używał olejku. Przysięgali, że nie, i przyglądali mi się dziwnie. Wiedziałam, o czym myślą. Ostatnio zachowywałam się trochę nienormalnie. Uważali, że sama rozlałam olejek. Dzień wcześniej rozmawiałam o tym z Leilą. Mówiła, że to święte perfumy. „Na pewno ciągle pani o nich myśli”, powiedziała. Tuby, czy ty wierzysz, że mogłabym porozlewać to po całym pokoju i nie wiedzieć o tym? A pewnego ranka znalazłam olejek na swoich stopach. Smarują nim stopy tych, którzy mają umrzeć. To rodzaj rytuału. Ktoś musiał mnie nasmarować, kiedy spałam. To wstrząsnęło mną bardziej niż wszystko inne. Te dziwne zdarzenia wydały się teraz złowrogie, jakby ktoś mi przepowiadał, że wkrótce umrę.

Najtrudniej mi chyba ukrywać ten niepokój. Coś się dzieje, jestem tego pewna. I tak właśnie myślę w jednej chwili, a w następnej pytam: może ze mną coś się stało? Może to wszystko sobie wyobrażam? O to właśnie siebie pytam. Tuby, pociesz mnie, jak robiłeś to zawsze.

Powiem ci teraz, co zaszło ostatnio. Wzięłam tę w połowie opróżnioną buteleczkę olejku, poszłam do dżungli i wyrzuciłam ją... prosto w splątane poszycie. Miałam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. To naprawdę niezwykle uczucie, Tuby, choć ostatnio staje się znajome. Wróciłam do domu. Wciąż czułam ten zapach w moim pokoju, ale wydawało mi się, że jest słabszy. Stopniowo zniknie zupełnie, pocieszałam się.

To było chyba najbardziej przerażające, Tuby: zajrzałam do szuflady, a tam leżała na wpół opróżniona buteleczka olejku sandałowego. Była wilgotna wokół korka. Z pewnością ta sama buteleczka, którą wyrzuciłam w dżungli. Co mogłam pomyśleć, Tuby? Co mogę myśleć? Przecież zabrałam ją i wyrzuciłam, a teraz była tu znowu. Próbowałam rozumować logicznie. Pomyślałam o Tobie i o tym, co zawsze mówiłeś: że trzeba podchodzić odważnie do swoich problemów. Wiele o Tobie myślałam, Tuby. To nie mogła być ta sama buteleczka, powiedziałam sobie, jest inna. Albo ktoś znalazł starą i przyniósł ją z powrotem. Dlaczego? Potem zaczęłam zastanawiać się nad sobą. Czy naprawdę wyrzuciłam tę buteleczkę, czy tylko chciałam i zdawało mi się, że to zrobiłam.

Wróciłam do dżungli, by ją odszukać. Późnym popołudniem dotarłam na miejsce. Poszycie rosło tu bardzo gęsto. Odsunęłam liście i tam, gdzie leżała buteleczka, teraz czekała na mnie zwinięta kobra.

Wyobraź sobie moje przerażenie. Odskoczyłam i jak najszybciej pobiegłam do domu. Wrócił Clinton. Rzuciłam się do niego, krzycząc, że widziałam kobrę w lesie, blisko domu. Wyszli jej szukać: on, jego nadzorca Nankeen i jeszcze paru innych. Ja także, by pokazać miejsce, gdzie widziałam węży. Mieli kije i broń. Widzisz, to było na skraju lasu, więc bali się, że kobra może się dostać do domu albo do ogrodu.

— Była zwinięta i spała — krzyczałam. — Widziałam ją wyraźnie.

Ale niczego nie znaleźli. Szukali wokół, ale nie było nawet śladu. Stary Nankeen kręcił głową i mówił:

— Żadnej kobry. Ani śladu kobry.

Jakbym ją sobie tylko wyobraziła. Jestem pewna, że tak właśnie myśleli. Clinton śmiał się ze mnie i ludzie też się śmiali.

— Nie ma kobry, pani — powtarzał Nankeen.

Czułam się głupio, ale przecież widziałam ją.

Toby, coś się tu dzieje. Napisz do mnie i powiedz, co o tym myślisz. Mam powody, by wierzyć, że moja ciotka Marta jest niezrównoważona umysłowo. Szczerze mówiąc, jestem przerażona. To jest wołanie o pomoc. Jesteś jedyną osobą na świecie, która może mi pomóc. Byłam tego pewna, gdy mieszkaliśmy na Denton Square, i jestem pewna teraz.

Toby, proszę, proszę, napisz jak najszybciej...

Musiałam pilnie wysłać ten list, chociaż wiedziałam, że poczta odjedzie dopiero jutrzejszym pociągami. Mimo to nie mogłam się doczekać, by go nadać.

Celia pojechała ze mną do Manganiyi. Zdziwiła się słysząc, że chcę iść na pocztę.

— Odjeżdża chyba jutro? — spytała.

— Tak — odparłam. — Ale chcę nadać coś jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na mnie bacznie. Myślała pewnie, że to kolejny przykład mojego dziwnego zachowania.

Poszliśmy razem i osobiście wrzuciłam list do worka.

— Najwyraźniej to bardzo ważny list — rzuciła lekko Celia.

— Do starego przyjaciela, który mieszka w Indiach. Do Toby'ego.

— A tak, pamiętam.

W drodze powrotnej prawie wrócił mi dobry nastrój. Tak wielka była moja wiara w Toby'ego.

* * *

Największy szok i najbardziej tajemnicza historia miała się dopiero zdarzyć. Wstrząsnęła mną do głębi i nie mogłam już dłużej ignorować tych dziwnych halucynacji.

Razem z Clintonem i Celią byliśmy na obiedzie u Clytie. Clinton i Seth rozmawiali o plantacjach. Przy takich okazjach zawsze się bałam, że Clinton odkryje, jak zadbałam o to, by nie dostał mojej. Po ostatnich wydarzeniach czułam się mniej odważna. „Zaczęłam bać się własnego cienia”, jak powiedziałaaby Janet. Zdarzały się jednak chwile, gdy dawna natura brała górę i zapewniała, że na wszystko musi istnieć logiczne wytłumaczenie. Powinnam tylko złapać tego, kto robi mi te sztuczki. Zdawałam sobie sprawę, że mój organizm domaga się kilku zdrowo przespanych nocy. Wróciłyby zwykły, bojowy duch, a moje lęki wydawałyby się absurdalne.

Tego wieczoru byłam właśnie w takim nastroju. Clytie, Celia i ja rozmawiałyśmy o sprawach domowych, o Ralphie i jego żartach, o służbie i temu podobnych sprawach. Potem przyłączyłam się do mężczyzn, co zawsze bawiło Clintona. Muszę przyznać, że chociaż sam na sam lubił odsłaniać moją ignorancję, nigdy nie robił tego w towarzystwie. Celia i Clytie wciąż mówiły o Ralphie. Clytie bardzo polubiła Celię. Myślę, że głównym powodem było zainteresowanie i sympatia, jaką ta darzyła jej syna.

W końcu trzeba było wracać. Pojechaliśmy powozem. Jazda nocą zawsze jest podniecająca. Wprawdzie poruszaliśmy się po drodze, ale dżungla była tuż obok. Nasłuchiwałam, czy wśród nocy nie krążą jakieś zwierzęta. Pośród gąszczu można było dostrzec czasem jakiś ognik, odbłysek światła w otwartym czujnie oku, usłyszeć trzask, gdy jakaś bestia sunęła przez poszycie, a nawet szarpaninę lub krzyk wściekłości i strachu.

Nankeen czekał już na nas w domu. Wyniknęły jakieś kłopoty wśród służby, wyjaśnił przymilnie Clintonowi. Czy zechciałby to załatwić? Żona Gopala znowu była złośliwa. Sahib Shaw na pewno rozwiąże tę sprawę.

Clinton odszedł z Nankeenem. Celia udała się do swojego pokoju. Zjawiała się Leila i opowiedziała mi o żonie Gopala, która nigdy nie była dobrą żoną.

— Jest bardzo piękna. Mężczyźni lubią żonę Gopala. Moja siostra, Anula, twierdzi, że gdzie jest ona, tam są kłopoty.

Ziewnęłam. Byłam zmęczona. Nie wiedziałam, kiedy wróci Clinton.

— Wróci wkrótce — zapewniła Leila. — Żona Gopala wystraszy się sahiba Shawa.

Poszłam do sypialni. Na toaletce paliła się lampa. Dawała dość światła, bym mogła się rozebrać. Miałam wrażenie, że obserwują mnie niechętne oczy spiżowego Buddy. Wzięłam posążek i przyjrzałam mu się uważnie. Wyrzucę go, pomyślałam. A potem zaśmiałam się z siebie. To byłoby głupie, byłoby przyznaniem się do strachu. Powinnam po prostu go ignorować. Przecież to tylko kawałek metalu.

Podeszłam do łóżka i odskoczyłam przerażona. Na kapie, zwinięta jak wtedy w dżungli, leżała kobra.

Kobra w domu! Patrzyłam na nią przez kilka sekund. Była żółtooliwkowa, wyraźnie widziałam biały zygzak na grzbiecie. Dzięki Bogu, że śpi! Wiedziałam, że każdy mój ruch może ją rozbudzić, a wtedy, rozgniewana, zaatakuje. Przekradłam się do drzwi i zbiegłam na dół, wołając głośno:

— Chodźcie tu szybko. Leila... ktokolwiek... Kobra jest w sypialni.

Celia wyskoczyła ze swego pokoju.

— Saro! Co się stało? O co chodzi?

Zjawiała się Leila i jeszcze jacyś służący. Potem w drzwiach stanął Clinton. Rzuciłam mu się na szyję.

— Clinton! — zawołałam. — Jest tam, w sypialni. Na łóżku... śpi zwinięta.

— Co?

— Kobra. Leży na łóżku.

Clinton chwycił laskę. Pojawiło się trzech mężczyzn. Wszyscy ruszyli na górę. Poszłam za nimi z Celią. Za nami podążała Leila.

Clinton otworzył drzwi sypialni i wszedł ostrożnie. Reszta o krok za nim.

Zapadła cisza. Ja również zajrzałam do środka. Patrzyli na łóżko. Niczego tam nie było.

Obok siebie usłyszałam głębokie westchnienie i wiedziałam, że to Celia. Opiekuńczo chwyciła mnie pod ramię.

— Lepiej poszukajmy dokładnie — usłyszałam głos Clintona.

Szukali. Przetrasnęli cały dom. Nie znaleźli niczego.

* * *

Clinton wziął mnie w ramiona.

— Saro, co się stało? — zapytał.

— Widziałam ją, Clintonie. Widziałam wyraźnie.

Pogładził mnie po głowie i milczał.

— Nie wierzysz mi, prawda? — powiedziałam. — Myślisz, że mi się zdawało.

Wciąż się nie odzywał.

— Była tam... leżała na łóżku... taka żółtawa. Widziałam ją. To nie mogła być pomyłka.

— Posłuchaj mnie, Saro. To niemożliwe. Wychodząc, zamknęłaś za sobą drzwi. Wąs nie mógł uciec z pokoju. To wykluczone. A gdyby nawet, wciąż byłby gdzieś w domu. Nie ma go. To niepodobne do kobry, by spała o tej porze. To nocne stworzenia. Nocą polują.

— A jednak była tam. Była.

— Zapomnijmy o tym.

- Zapomnieć! Jak mogę o tym zapomnieć!
- Saro, co się z tobą dzieje?
- Nie wiem, co się ze mną dzieje.
- Mam wrażenie, że myślisz, iż ktoś... lub coś działa przeciwko tobie i próbuje... Co zrobić?

Powiedz mi.

- Może ktoś próbuje mnie wystraszyć.

Roześmiał się.

- Co za nonsens! A jesteś taką osobą, którą łatwo wystraszyć?

— Mam wrażenie, że nie jestem już tą samą osobą, którą byłam, kiedy tu przyjechałam.

- Nie wolno ci tracić bojowego ducha, Saro.

Nagle zapragnęłam przytulić się do niego i prosić, żeby mnie pocieszył. Powiedzieć: wpadam w obłąd, prawda? Co myślisz o ciotce Marcie?

Zamiast tego powiedziałam:

- Nie wierzysz, że widziałam tę kobrę, prawda?

— Nie mogłaś jej widzieć, Saro.

- Więc co się stało?

— To było złudzenie optyczne. Jakiś odbłask światła.

— Mówię ci, że widziałam wyraźnie.

— To mogło się zdarzyć. Myślałaś o czymś i stąd wzięło się to wrażenie. Masz obsesję na punkcie węży, kochanie.

- Uważasz, że coś jest ze mną nie w porządku. Czy tak?

— Myślę, że przeżyłaś atak nerwicy dżungli. Przypląnęłaś tutaj. Jest zupełnie inaczej niż w kraju. Dostosowujesz się... przynajmniej tak sądzisz. Ale nie dostosowałaś się do końca. Nie martw się, za parę tygodni będziesz się z tego śmiała.

Jego zachowanie trochę mnie uspokoiło. Może właśnie taki, zdroworozsądkowy ton był mi potrzebny — sugestia, żebym się otrząsnęła. I Clinton właśnie to mi ofiarował.

Uniósł mnie w ramionach i pocałował.

- Zapomnijmy o tym — powiedział.

— Spróbuję, ale oni wszyscy będą o tym mówić.

— Niech mówią.

— Będą powtarzać, że zostałam wybrana przez Ducha Księżyca.

— Dużo mnie obchodzi, co gadają.

Zgasił lampę. Otuliła mnie ciemność nocy.

— Obiecuję, że będę cię bronił przed wszystkimi kobrai na Cejlonie — powiedział.

Później oświadczył:

— Zabieram cię stąd, mniej więcej za tydzień. Wyruszam na północ, na łowiska pereł. Nie zostawię cię tu samej.

— Zawsze chciałam je obejrzeć.

— Wiem. Odwieczny powab. Zobaczysz, jak po nie nurkują. Wkrótce rozpocznie się sezon.

Nigdy jeszcze nie widziałem tam kobry.

O tak. Z pewnością potrafił mnie pocieszyć.

* * *

Rankiem powrócił niepokój. Nie potrafiłam samej siebie przekonać, że nie widziałam na łóżku węża. Był zupełnie wyraźny. Ale jak mogłam go widzieć, skoro w żaden sposób nie mógł się tam znaleźć?

Kolejne strachy zaczynały krążyć wokół mojego umysłu. Dzięki Bogu, że napisałam do Toby'ego. Może to głupie, gdyż nic nie mógł zrobić, będąc w Delhi. Po prostu wierzyłam, że udzieli mi tak potrzebnej rady. Chciałam, by wiedział, co się dzieje. Pragnęłam wyjaśnić mu, co czuję, i poznać jego opinię.

Clinton wyjechał wcześniej. Powiedział, że za tydzień pojedziemy na łowiska pereł. Nie byłam całkiem pewna, czy powinnam mu towarzyszyć. To prawda, interesowało mnie, jak łowi się perły i jak wygląda ta gałąź gospodarki, która również należała do królestwa Clintona. Ale w miarę jak narastał niepokój, rosła też chęć poznania prawdy. Jakaś część mnie pragnęła uciec, oddalić się od tego posępnego cienia, który unosił się wokół i z każdym incydentem wydawał się bardziej groźny. Z drugiej strony, taką miałam naturę, że chciałam stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem i odkryć, co naprawdę oznacza.

Jeżeli wpadam w szaleństwo, myślałam, lepiej, bym o tym wiedziała. Nie mogłam żyć w ciągłej niepewności.

Kiedy następnym razem zobaczę kobrę, powinnam podejść i dotknąć jej, by sprawdzić, czy jest prawdziwa. Cóż za głupia myśl. Nikt nie ośmielił się dotknąć kobry.

Leila przyniosła mi ciepłą wodę do mycia. Wydawała się zgaszona i spuszczała wzrok. Wyraźnie myślała o zdarzeniach ubiegłej nocy. Milczała jednak, co samo w sobie było znaczące. Zastanawiałam się, co mówi o mnie służba. *Że dotknął mnie Duch Księżyca? Że mam nerwicę dżungli?*

Umyłam się za parawanem i zaczęłam się ubierać. Bosą stopą trafiłam na coś twardego. Pochyliłam się i podniosłam.

To był kamień: nieduży, podobny do topazu. Chyba nieprawdziwy, raczej zrobiony ze szkła. Wypadł pewnie z guzika lub jakiejś ozdoby. Zapytałam Leilę. Włożyłam go do małego pudełeczka na toaletce. Usiłowałam nie myśleć o kobrze i skoncentrować się na niedalekiej podróży do perłowych łowisk.

Zastanawiałam się, jakie ubrania będą mi potrzebne. Może Leila coś przygotuje. Wybieranie nowych sukni będzie miłą rozrywką. Może z Clytie i Celią pojedziemy do Kandy i poszukamy ładnych materiałów.

Pomyślałam o Celi. Jeśli wyjadę z Clintonem, nie zechce zostać w domu jedynie ze służbą. Nie wypadało mi powiedzieć, by wyjechała. W końcu kilka razy sugerowała, że już wyjedzie, a ja przekonywałam, by została jeszcze trochę. Stała się jakby nowym członkiem rodziny. W każdym razie nie chciałam, by mnie opuściła. Zbyt ceniłam jej przyjaźń. Powróciła zażyłość, która łączyła nas w Grange... powróciła w naturalny sposób, jak to się dzieje między prawdziwymi przyjaciółmi.

Zeszłam na dół. Celia była w ogrodzie. Spojrzała na mnie niepewnie, życząc dobrego dnia, i wiedziałam, że myśli o ostatniej nocy.

— Unikanie tego tematu nie ma sensu. Wiem, że widziałam kobrę, i nic mnie nie zmusi, bym przestała w to wierzyć.

— Musiała jakoś uciec — odparła pocieszająco. — Co planujesz na dziś? — szybko zmieniła temat.

— Chcę jechać na plantację Ashingtonów. A potem powinnymy wyruszyć do Kandy. — Przeszłam do sprawy, która była dla mnie najważniejsza. — Clinton chce mnie stąd zabrać. Niedługo wyjeżdża na łowiska pereł. Nalega, bym mu towarzyszyła.

Wolno kiwnęła głową.

— Celio — mówiłam dalej. — Myślałam o tobie...

Uśmiechnęła się.

— Och, nie wolno ci martwić się o mnie. Naprawdę. Mogę zostać w hotelu. Już dawno powinnam wyjechać... tylko nie chciałam cię zostawiać... jeszcze nie.

Uścisnęła mnie za rękę. Byłam poruszona. Chciała powiedzieć, że nie chce zostawiać mnie samej w tym stanie. Głos drżał jej lekko.

— Nie potrafię ci wytłumaczyć, jak wiele znaczy dla mnie twoja obecność — powiedziałam. — W Grange byłaś dla mnie pocieszeniem i tutaj także.

— Jeżeli tylko mogę pomóc, chciałabym zostać jak najdłużej. Naprawdę uważam, że wyjazd dobrze ci zrobi. Odzyskasz siły, zaczniesz lepiej sypiać... A wtedy wszystko to wyda ci się drobną, chwilową dolegliwością. Właściwie mam pewien pomysł. Może mogłabym zostać u Clytie? Pomogłabym jej przy Ralphie. Bardzo lubię tego malucha. Jest taki inteligentny i zabawny.

— Wiem, że darzysz go szczególnym uczuciem. Mam wrażenie, że stara Sheba jest zazdrosna. Oczywiście, Clytie chętnie cię przyjmie. Coś ci powiem. Chcę wybrać się z wami dwiema do Kandy, poszukać jakiegoś materiału na suknię. Jedźmy do niej i od razu możecie się umówić.

Zgodziła się i wkrótce jechałyśmy już bryczką.

Clytie ucieszyła się na nasz widok. A kiedy usłyszała, że wyjeżdżam z Clintonem, od razu przyznała mi rację. Celia nie może sama zostać w domu. A w takim razie musi się przenieść do Ashingtonów.

— Do Kandy pojedziemy jutro — powiedziała. — Dziś już za późno. Gdybyśmy nawet wyruszyły zaraz, dotarłybyśmy około południa i sklepy byłyby pozamykane. A po południu jest za późno na wyjazd. Umówimy się na jutro rano. Dobrze się czujesz, Saro?

— Czemu pytasz? Źle wyglądam?

— Myślałam, że jesteś trochę zmęczona.

Nie chciałam jej opowiadać o kibrze. Zrobię to, gdy zostaniemy same. Celia zmieniła temat, wyczuwając pewnie moje zamiary.

Pomyślałam, że jest dobrą przyjaciółką, i że będę za nią tęsknić, gdy wróci do Anglii. To musi w końcu nastąpić.

* * *

Następnego dnia pojechałyśmy do Kandy. Spędziłam miły ranek, wybierając prześliczne jedwabie w barwach głębokiej czerwieni i jasnego błękitu. Spałam dobrze i nie zdarzyło się nic szczególnego. Nie mogłam doczekać się wieści od Toby'ego, ale na to było jeszcze za wcześnie. Miałam nadzieję, że odpowiedź nadejdzie przed moim wyjazdem z Clintonem.

Próbowałam ocenić fakty. Czy to możliwe, pytałam samą siebie, żeby kobieta taka jak Anula mogła rzucić urok na kogoś, kogo chce usunąć z drogi? Czy naprawdę może sprawić, że będę widziała coś, co realnie nie istnieje? Wiele słyszałam o panującym w Indiach mistycyzmie. Tutaj ludzie mieli takie same poglądy. Opowiadano mi o słynnej sztuczce z liną, choć sama nigdy jej nie widziałam, ani nie znam nikogo, kto by ją oglądał. Ale tłumaczono mi, że to złudzenie optyczne, rodzaj hipnozy, która pozwala występującemu przekonać publiczność, że widzi coś, co jest zupełnie niemożliwe. Czy Anula posiada tę szczególną moc? Zadrżałam na samą myśl, że może to być prawdą. Jeśli tak, mogłaby kierować mną na odległość. Nie mogłam się z tym pogodzić.

Muszę zapomnieć... Obiecałam sobie, że nie będę wracać do początku. Chciałam myśleć tylko o zbliżającej się podróży z Clintonem. Czerwony jedwab z Buchary jest bardzo twarzowy. Muszę znowu stać się kobietą samodzielną, którą byłam, zanim zaczęły się te niezwykle halucynacje.

Zgodnie ze zwyczajem, kłóciłyśmy się o cenę jedwabiu. Clinton i Clytie nauczyli mnie, że sprzedawcy gardzą klientem, który od razu płaci żądaną cenę. Uważają, że odbiera się im przyjemność, jeśli przed zawarciem transakcji nie mogą się potargować.

Potem poszliśmy do klubu i piłyśmy lemoniadę, lekko doprawioną dżinem. Była chłodna i orzeźwiająca.

Zaatakowała nas pani Glendenning. Chciała wiedzieć, co robimy w Kandy i dlaczego tak rzadko nas ostatnio widuje. Była zachwycona słysząc, że przyjechaliśmy na zakupy i że wybieram się z Clintonem w podróż.

— Wszyscy powiedzą, że to słuszna decyzja — oznajmiła. Sugerowała chyba, że wobec reputacji Clintona lepiej, by w wyjazdach towarzyszyła mu żona.

Chciałam ją złośliwie zapytać, co to wszystkich obchodzi, ale jakoś się powstrzymałam.

Najwyraźniej nie miała pojęcia o tym, co nazywałam swoim „zdziwaczeniem”. Byłam wprawdzie pewna, że służący zauważali to i plotkowali jak zwykle, ale widocznie pogłoski nie dotarły poza najbliższą okolicę.

Po odejściu pani Glendenning do klubu weszli sir William i lady Carstairs. Przysiedli się do nas.

Sir William spytał, czy są jakieś wiadomości o tej nieprzyjemnej historii. Chodziło mu o porwanie Ralpha.

— To straszne. — Spojrzał z wyrzutem na Clytie, która pokręciła głową i szepnęła:

— To był jedyny sposób.

— Rozbójnicy. Można było jednak ich złapać i odzyskać perły.

— Nie mogłam ryzykować — oświadczyła gwałtownie Clytie. — Musiałam odzyskać syna. Zrobiłabym to samo po raz drugi. Na pewno pan to rozumie.

— Doskonale — odparł sir William. — Zawsze tak jest. W takich sprawach matki nigdy na nas nie czekają. Ale jestem przekonany, że po pewnym czasie odzyskamy te perły.

Żałowałam, że go spotkałyśmy, gdyż wyraźnie zdenerwował Clytie i zepsuł nam miłą wyprawę. Wracałyśmy jednak z udanymi zakupami w dobrym nastroju. Celia ani ja nie wspominałyśmy o perłach. Ona potrafiła szanować cudze uczucia, zawsze była niezwykle taktowna.

Wyjechałyśmy wcześniej, więc zdążyłyśmy wrócić przed lunchem. Po lekkim posiłku usiadłyśmy, by omówić kroje i nową modę.

O czwartej, kiedy minął już najgorszy upał, poszliśmy do ogrodu. Wybiegł do nas Ralph.

Po chwili spacerowałam z nim sama. Oświadczył, że pokaże mi słonia. Wziął mnie za rękę i paplał o zwierzętach. Zastanawiałam się, czy w ogóle pamięta tę spędzoną poza domem noc, kiedy go porwano. Ralph żył na co dzień w świecie marzeń, co jego matka uważała za szczęśliwy zbieg okoliczności. Nawet takie dramatyczne wydarzenie było w jego wyobraźni jedynie kolejną przygodą.

Właśnie mówił coś o niegrzecznej Kolbie.

— Och, dlaczego była niegrzeczna? — spytałam.

— Uciekła.

— Dokąd uciekła?

— Uciekła zupełnie sama. Myślała, że jest sprytna. A potem stoczyła walkę z mangustą i mogła nawet umrzeć. Ale przyjechałem na swoim słoniu i uratowałem niegrzeczną Kolbę. Choć, pokażę ci.

Pociągnął mnie za rękę i pobiegliśmy razem po trawie.

Wczołgał się pod krzak i wyciągnął wypchaną kobrę. Była tak realistyczna, że poczułam dreszcze. Całkiem jak żywa... rozmiar, kolory... wszystko.

— Patrz! — powiedział. — Wie, że była niegrzeczna. Ciocia Sara już cię nie lubi, Kolbo, woli Jumbo.

Spojrzał na mnie.

— Bardzo jesteś zła? Biedna Kolba, teraz jej przykro. Już nigdy więcej nie ucieknie. Widzisz, ona nic nie wiedziała o mangustach. Dopiero ja jej powiedziałem. Tatuś obiecał, że mi kupi

mangustę. Będzie dobra. Będzie bardzo dzielna, lecz nie zrobi Kolbie krzywdy. Ale ona się boi. I jest smutna.

Zabawka w realistycznych zwojach leżała u moich stóp. Ralph przyklęknął na trawie i pochylił się tak, że nosem niemal dotykał kobry.

— Biedna Kolba. — Spojrzał na mnie. — Trochę oślepla, ciociu Saro. To się stało, gdy walczyła z mangustą. Pewnie by zginęła, gdybym się nie zjawił. — Roześmiał się. — Patrzę na nią, a ona mnie nie widzi. Jest ślepa z tej strony.

Podeszłam i spojrzałam. Kobra straciła jedno oko. Przyklęknłam i dostrzegłam ciemne zagłębienie, gdzie przedtem tkwiło.

— To cię nauczy grzeczności, Kolbo — oświadczył surowo Ralph. — Gdybyś straciła drugie, nic byś już nie widziała.

Nienawidziłam tej zabawki. Za bardzo przypominała mi to, co się stało.

Ralph z dziecięcą spostrzegawczością zauważył, że nie chcę dotykać kobry. Podniósł ją i starannie ułożył w krzakach.

* * *

Myśl przyszła mi do głowy nagle, w drodze do domu. Nie, to zbyt absurdalne.

Po powrocie pobiegłam do sypialni i otworzyłam małe pudełeczko na toalecie. Szkiełko wciąż tam było. Niewielki kawałek żółtego kamienia.

Coś podobnego! W jaki sposób oko kobry Ralpha znalazło się na podłodze mojej sypialni?

Odpowiedź brzmiała: ponieważ była tu także kobra Ralpha.

Trzymałam w dłoni szklany paciorek. Musiałam się przekonać.

Spojrzałam na zegarek. Było wpół do szóstej. Dopiero jutro rano będę mogła sprawdzić, czy ten kawałek szkła pasuje do pustego oczodołu.

Chciałam iść do Celi i wszystko jej opowiedzieć... Coś mnie powstrzymało. Jeśli ten kamyk naprawdę był okiem kobry Ralpha, interesujące będzie wykrzycie, w jaki sposób znalazł się w mojej sypialni. Ale jeśli okaże się tylko kawałkiem szkła, wszyscy uznają, że to kolejny objaw mojego lęku przed kobraми.

Muszę działać ostrożnie. Wprawdzie miałam ochotę od razu popędzić na plantację Ashingtonów, wiedziałam jednak, że mogłoby to wywołać komentarze. Powiedzieliby: oto jeszcze jeden przykład dziwnego zachowania Sary.

Zresztą było już późno. Trzeba zachować cierpliwość i poczekać do jutra.

Tego wieczoru byłam trochę roztargniona. Kilkakrotnie dostrzegłam, że Celia przygląda mi się niespokojnie. Clinton chyba niczego nie zauważył. Uznawał, że najlepszym sposobem wyleczenia mnie z tych dziwactw jest ich ignorowanie.

Dopiero po południu następnego dnia, o czwartej, kiedy upał nieco zelżał, postanowiłam przejść przez las na plantację Ashingtonów.

Kiedy tylko wstałam, sprawdziłam, czy szklany paciorek jest na miejscu. Wobec tego, co się działo przez ostatnie dwa tygodnie, oczekiwałam niemal, że zniknie. Ale nie, leżał w pudełeczku. Starannie włożyłam go do maleńkiej, jedwabnej sakiewki, którą wsunęłam w kieszeń, bym mogła go od czasu do czasu dotknąć.

Clytie jak zwykle siedziała w ogrodzie z Ralphem, otoczona jego zwierzętami. Ucieszyła się na mój widok. Poszła do domu, by polecić służbie zaparzenie herbaty.

Zostałam sama z Ralphem.

— Ralph — powiedziała. — Chodź na chwilę. Coś ci pokażę.

Przybiegł natychmiast, z oczami błyszczącymi ciekawością.

- Chyba znalazłam oko Kolby.
- Gdzie jest, ciociu Saro? Gdzie?

Wyjęłam sakiewkę. Serce biło mi niespokojnie, gdyż niemal podświadomie obawiałam się, że paciorek mógł zginąć. Położyłam go na dłoni.

- To szkiełko — powiedział.
- Tak, ale może też być okiem. Biedna Kolba. Musimy sprawdzić, czy pasuje. Gdzie ona jest?

W ogrodzie?

Ralph spojrział na mnie z wyrzutem.

- Nie pozwoliłbym jej zostać na dworze bez oka. A gdyby przyszła mangusta?
- Więc gdzie jest?
- W moim pokoju.

Pobiegł do domu, a ja poszłam za nim. Sheba czekała w holu.

- Gdzie panicz biegnie? — zapytała.
- Shebo! Ciocia Sara ma oko Kolby.
- To może być tylko szklany paciorek — zauważyłam.
- To jest jej oko! To jej oko! — krzyczał Ralph.
- Paskudny wąż — wymamrotała Sheba. — Pora się go pozbyć.
- Chodźmy, ciociu Saro — zawołał Ralph i ruszył po schodach.

W jego pokoju, na stoliku przy łóżku stała żyrafa, a między jej długimi nogami leżała koszatka.

Ralph zanurkował pod łóżko i wynurzył się z kobrą.

- Podaj mi ją — powiedziałam. — Zobaczmy, czy pasuje.

Palce mi drżały, kiedy brałam szkiełko i porównywałam z drugim, umocowanym na głowie węża. Spojrzałam na pusty oczodół.

- Spójrz, Ralph! — zawołałam triumfalnie. — Pasuje.
- Trzęsiesz się, ciociu Saro.

— Jestem taka podniecona... bo Kolba ma z powrotem swoje oko. Teraz potrzebujemy trochę kleju.

W drzwiach stanęła Sheba.

— Shebo, przynieś kleju — zawołał Ralph. — Kolba dostała swoje oko, ale trzeba je przymocować.

- Poszukam — powiedziała Sheba.

Ralph spojrział na mnie ponuro.

- Sheba nie lubi Kolby.
- Dlaczego?

— Chce ją stąd zabrać. Mówi, że jest za bardzo podobna do prawdziwego węża. Przecież Kolba jest prawdziwym wężem, prawda, ciociu Saro?

- Dla ciebie jest — odparłam.

— Sheba twierdzi, że nie potrafiłbym odróżnić żywego węża od Kolby. Wszędzie poznałbym Kolbę. Jest moja.

Sheba stanęła za nami bezszelestnie.

- Tu klej — powiedziała.

Gdy brałam od niej pojemniczek, czułam na sobie przenikliwe spojrzenie. Wiedziała o moich przejściach. Leila z pewnością wszystko jej powiedziała. Na pewno zastanawia się, gdzie znalazłam to szkiełko.

Posmarowałam oko klejem. Ralph patrzył zaabsorbowany.

— Już — stwierdziłam. — Nie dotykaj, dopóki nie wyschnie. Zwiń ją i schowaj pod łóżko. Niech czeka do rana. Obiecujesz?

Ralph zastanowił się chwilę.

— Ale mogę zajrzeć do niej wieczorem? Pokręciłam głową.

— Najlepiej będzie zapomnieć o niej aż do jutrzejszego ranka. Wtedy oko mocno się przyklei i wszystko będzie jak dawniej.

Do sypialni zajrzała Clytie.

— Co się tu dzieje?

— Kobra Ralpa zgubiła oko, a ja je znalazłam — wyjaśniłam. — Właśnie je umocowaliśmy.

Przez chwilę panowało napięcie... a przynajmniej tak mi się wydawało. Byłam uradowana: dowiodłam sobie, że miałam rację.

— No dobrze. Chodźmy napić się herbaty — zaproponowała wreszcie Clytie. — Szłaś taki kawał tylko po to, by przynieść oko?

— Uznałam, że to dość ważne — odparłam i spojrzałam na Ralpa, który energicznie kiwnął głową.

— Mam nadzieję, że podziękowałeś cioci Sarze — upomniała chłopca.

Spojrzał nieco zdziwiony.

— Podziękowałam, ciociu Saro? Kolba ci podziękuje. Miała zamiar podziękować, gdy przykleiłaś jej oko, ale trochę się wstydzi.

— Zanim zaczniesz dziękować, chce pewnie sprawdzić, czy dobrze się przyklei — wyjaśniłam.

— Każe jej podziękować za to, że przyniosłaś oko. To dla niej nauczka. Nie powinna ode mnie uciekać, prawda? Poszła sobie, a potem wróciła. Wie, że to niegrzecznie.

Tak, zaczynałam to rozumieć. Poszła sobie i wróciła. Oczywiście, że poszła. Ktoś ją zabrał, ułożył pod krzakiem, a potem w mojej sypialni. Oko wypadło i to był dla mnie pierwszy szczęśliwy przypadek.

Bałam się, że Clytie spyta, gdzie je znalazłam. Nie chciałam jej mówić. Nie chciałam mówić o tym nikomu, nawet siostrze, dopóki nie zastanowię się w spokoju nad tym wszystkim.

O zwykłej porze Sheba położyła Ralpa do łóżka. Jeszcze raz ostrzegłam go, by nie dotykał oka. Obiecał, że tego nie zrobi.

Powiedziałam, że muszę już iść, by wrócić do domu przed zmrokiem. Clytie zgodziła się. Przez las należy przechodzić za dnia.

Wyruszyłam i wkrótce pograżyłam się w myślach. Zestawiałam ze sobą fakty. To Kolbę widziałam pod krzakiem. Z pewnością ktoś mnie obserwował, gdy wyrzucałam olejek. Założył, że mogę po niego wrócić. Ułożył więc w tamtym miejscu Kolbę. Na moim łóżku leżała zabawka, która w słabym oświetleniu wyglądała jak prawdziwy wąż. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie z bliska przyglądał się tak groźnemu stworzeniu, więc najprawdopodobniej każdy uzna zabawkę za prawdziwą kobrę. Ktoś ją tam położył i pospiesznie zabrał, kiedy już ją zobaczyłam. Ale tymczasem oko węża wypadło i leżało na podłodze sypialni.

To niezwykle szczęśliwy traf! Los stanął w końcu po mojej stronie. To ta sama osoba pukała do moich drzwi, otwierała je, a później położyła kobrę na łóżku. A wszystko po to, by przekonać, że miewam halucynacje.

Och, jakże dziękowałam Opatrzności za oko Kolby!

Znowu byłam sobą. Poczułam się silniejsza i zamierzałam rozszyfrować całą tę sprawę, odkryć, kto mi to robił i jakim kierował się motywem.

Nagle stanęłam. Byłam w samym sercu lasu i ktoś za mną szedł. Przez moment ogarnął mnie straszliwy lęk. A potem wróciła odzyskana pewność siebie. Nie będę uciekać. Dokonałam jednego odkrycia, teraz spróbuję zrobić drugie.

Stałam nieruchomo, nasłuchując. Wokół panowała cisza. Słońce świeciło nisko na niebie. Wkrótce schowa się za horyzont i zapadnie mrok.

Ale już się nie bałam. Tego popołudnia przekonałam się, że umysł mam sprawny jak zawsze, że to nie moja słabość mnie niszczy, ale próbuje tego dokonać jakaś ludzka istota. Podjęłam decyzję: pozycje ulegają zmianie. Teraz ja będę ścigającym. Dowiem się, kto podąża za mną przez las. A kiedy to odkryję, poznam odpowiedzi na wszystkie pytania.

Ruszyłam w kierunku, z którego przyszłam. Potem zatrzymałam się, by nasłuchiwać. Nie miałam wątpliwości. Odwróciłam role. Teraz ktoś uciekał przede mną! Ścigałam go uparcie. Biegłam coraz dalej. Wróciłam niemal na skraj lasu, kiedy uświadomiłam sobie, że zgubiłam trop.

Znowu nasłuchiwałam. Nie dobiegał żaden dźwięk, który wskazałby mi kierunek. Czekałam chwilę, a potem zawróciłam do domu. Nie odkryłam, kim był mój wróg, ale i tak odniosłam sukces. Nie byłam szalona. Byłam sobą.

* * *

Z pewnością zauważyli we mnie zmiany. Przestałam wyglądać na zaleknioną. Oczy mi znowu błyszczały, a na policzki powracały rumieńce.

Uświadomiłam sobie, jak bardzo się bałam. Przypuszczam, że nie ma nic bardziej przerażającego od myśli, że traci się władzę nad własnym umysłem. A właśnie tego się lękałam. Teraz byłam przekonana, że ktoś chciał mnie zniszczyć. Ale kto?

Kiedy w największy upał będę odpoczywać w swoim pokoju, zastanowię się nad wszystkim... i wszystkimi. Nikogo nie mogę wykluczyć... nawet Clytie. Jaki może być motyw? Ktoś chciał wywołać wrażenie, że wpadam w obłęd. Gdyby zdarzyła się tragedia, łatwo znaleźliby przyczynę. „Była szalona”, powiedzieliby. „Pamiętacie? Już od dawna dziwnie się zachowywała”.

W swych podejrzeniach musiałam uwzględnić Anulę. To Leila mogła być sprawczynią wszystkich wydarzeń. Anula panowała nad nią całkowicie, podobnie jak nad resztą rodziny. Nankeen i Ashraf zrobiliby wszystko, co by im kazała. Zdradziła się, obdarowując mnie wachlarzem z pawich piór. Tak, rozumiałam, jakim wstrząsem był dla niej mój przyjazd. Życzyła mi jak najgorzej. Chciała wyjść za Clintona i żyć z nim jako panująca królowa. Ja byłam przeszkodą. To sposób działania sprawił, że najpierw pomyślałam o Anuli.

A Clinton? Czy to możliwe, żeby znał jej plany? To, co się zdarzyło, nie pasowało do niego. Te powolne, podstępne metody, które miały przekonać całkowicie zdrową kobietę o jej własnym szaleństwie... Coś takiego nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Podjęłaby decyzję i działał natychmiast. A jednak, kiedy czegoś pragnął, umiał to osiągnąć. Potrafił planować. Dowodem była noc w Papuziej Chatce. Chciał się ze mną ożenić, gdyż wiedział, że odziedziczę plantację.

Clytie? Bzdura. Nie moja delikatna siostra, która ujęła mnie od chwili, gdy ją zobaczyłam. A jednak, gdybym umarła, ona przejęłaby plantację. Te dziwne rzeczy zaczęły się przytrafiać po mojej wizycie u prawnika w Kandy.

Szalone myśli. W jaki sposób Clytie mogła położyć kobrę na moim łóżku? Chyba że to zrobił jeden z tych ciemnookich służących. Obserwowali nas i szpiegowali w domu.

Zewsząd czyhała intryga, ale teraz mogłam się z nią zmierzyć. Nie trzeba udawać, że nic mi nie grozi. Powinnam tylko odkryć, z której strony pochodzi zagrożenie.

Nic nie wydarzyło się od chwili, gdy zwróciłam oko Kolby i w lesie przeszłam do ataku.

Naturalnie, że nie. Mój prześladowca został ostrzeżony. Nadal musiałam uważać. Ale poczułam wielką ulgę.

Perły Ashingtonów

Clinton nie mógł się doczekać tej podróży. Twierdził, że zawsze pragnął, bym poznała łowiska pereł, a teraz wreszcie nadeszła właściwa pora.

Leila uszyła mi piękną suknię, z której się ucieszyłam.

Clinton był przejęty naszym wyjazdem. Tak bardzo chciał mi pokazać swoją własność, że przypominał niemal małego Ralpa z nową zabawką, którą dodał do swojej menażerii. Tak zachwyciła go wspólna podróż, że śmiałam się w duchu z podejrzeń, które dręczyły mnie przez ostatnie dni. Nastrój poprawił mi się już w pociągu. Clinton pokazywał mi piękno wyspy, stał się nieoczekiwanie liryczny. Odnosiłam wrażenie, że się zupełnie odmienił. Już dawno nie byłam taka szczęśliwa.

Wyprawa miała potrwać dwa, może trzy tygodnie; spodziewałam się, że po powrocie będzie na mnie czekać korespondencja od Toby'ego. Napisałam do niego przed wyjazdem, opowiadając o oku kobry, i osobiście wysłałam list. Chciałam wiedzieć, co myśli o tym wszystkim i co mi doradza. Było dla mnie ważne, że mogłam wyznać mu to, czego nie powiedziałam nikomu.

Podróżowaliśmy w upale. Nadchodziła najgorętsza pora roku, tuż przed letnim monsunem, który zaleje ziemię i dostarczy herbacie tego, co najbardziej niezbędne — wilgoci.

Przejechaliśmy przez dżunglę, gdzie rosły gęsto obok siebie rozmaite gatunki drzew iglastych, paprocie, palmy i bambusy. Kwiaty ubarwiały pejzaż wspaniałymi kolorami. Rododendrony rozkwitały majestatycznie obok wszelkiego rodzaju orchidei.

Podziwialiśmy drzewa atlasowe i hebanowe, źródło cennego surowca. Zdumiewający był widok wynurzających się z lasu słoni. Ciągnęły ładunki lub kąpały się w pobliskich rzekach.

Wysiedliśmy z pociągu i dalej ruszyliśmy powozem.

Clinton cieszył się moim zachwytem i widziałam, że jest naprawdę przejęty perspektywą pokazania mi łowisk pereł. To było coś wspaniałego, co chciał zatrzymać na sam koniec naszej podróży.

Przyglądał mi się, siedząc naprzeciw w powozie, który wiozł nas na północ. Skrzyżował ramiona na piersiach i uśmiechał się, zadowolony z siebie.

— Czy wiesz — powiedział — że część najsłynniejszych pereł świata pochodzi z Cejlonu? Oczywiście, że wiesz. Przecież stąd właśnie pochodzą Perły Ashingtonów.

— Zastanawiam się, gdzie są teraz — powiedziałam. Wzruszył ramionami.

— Mówi się, że są w morzu ryby lepsze od wszystkich, które złowiono do tej pory. Miejmy nadzieję, że w ostrygach czekają perły równie piękne jak te, które już mamy. Z przyjemnością pokażę ci łowiska, Saro. Cieszę się, że ze mną pojechałaś. Ostatnio lepiej wyglądasz.

— Dziękuję.

— Wychodzisz z tej nerwicy dżungli.

— Chyba nigdy jej nie miałam.

— Daj spokój, byłaś trochę nerwowa... wyobrażałaś sobie różne rzeczy.

Zarumieniłam się lekko.

— Może to nie tylko wyobraźnia.

— Doprawdy? Przyglądałam się okolicy.

— Tajemnice? — spytał. Patrzył na mnie z uwagą.

Nie miałam zamiaru o tym mówić, ale on — jak zwykle — wykazał niesamowitą zdolność czytania w moich myślach.

— Nie, to nie tajemnice. Sądzę, że są tu ludzie, którzy woleliby, bym nigdy nie przyjeżdżała.

— Znam jednego, który jest z tego powodu szczęśliwy.

— Naprawdę?

— W tej chwili siedzi naprzeciw ciebie — stwierdził, i pochylając się ucałował czubek mojego nosa.

— Odnoszę wrażenie, że twoja metresa, Anula, nie jest szczęśliwa, widząc mnie tutaj.

— To chyba naturalne.

— Mam nadzieję, że wasze kontakty się zakończyły, Clintonie — powiedziałam.

— Widzę, że jesteś zazdrosna. Jestem zachwycony.

— Nie zazdrosna, tylko ciekawa. To niezwykła kobieta. Dysponuje wszelkimi środkami, by...

Czekał, ale ja powiedziałam tylko:

— Och, to nie ma znaczenia.

— Ależ ma znaczenie — upierał się. — Jestem ciekawy. „Wszelkimi środkami...” — odpowiedział.

— No cóż — zająknęłam się. — Jeśli tacy ludzie kogoś nie lubią... jeśli kogoś tu nie chcą... mogą spróbować się go pozbyć.

— Ponosi cię wyobraźnia. Nie jesteś lepsza od małego Ralpa. Anula doskonale rozumie sytuację.

— Między tobą a nią wszystko się skończyło?

— Droga Saro, jesteś moją ukochaną żoną. To ty powinnaś zadbać o to, by z nikim się mną nie dzielić.

— Chyba uważasz siebie za coś w rodzaju trofeum.

— Nie zgadzasz się z tym? Choć to właściwie zbędne pytanie. Znam odpowiedź, droga Saro. Zdradziłaś mi ją już setki razy.

Rozgniewałam się. Jest cyniczny i arogancki. Można go podejrzewać o wszystko. Zastanowiłam się, jaka byłaby jego reakcja na wiadomość, że zapisałam plantację Clytie. Wyobraziłam sobie jego gniew i przez chwilę nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy.

I nagle pomyślałam o Tobym. Jak on by się o mnie martwił. Udzielałby mi rad, jak za dawnych czasów. Dziękowałam losowi za to, że Toby istnieje i że znowu pojawił się w moim życiu.

Clinton obserwował mnie z uwagą.

— Sprawiasz wrażenie, jakbyś ukrywała jakiś dość przyjemny sekret.

Nie odpowiadałam, a on nie naciskał. Zamiast tego zaczął opowiadać, co zobaczą na łowiskach.

— Im więcej będziesz o tym wszystkim wiedziała — powiedział — tym bardziej wyda ci się to ciekawe. Natura jest cudowna, Saro. Wyobraź sobie tylko. Jakaś obca substancja wpada do muszli ostrygi i podrażnia ją. Ostryga wytwarza swoistą wydzielinę, którą może pokryć ten kłopotliwy obiekt i otoczyć go. Zupełnie przypadkiem jest to gładka, lśniąca substancja, nazywana perłą. Zobaczysz moich nurków przy pracy. Są bardzo sprawni. Wiedzą już, jakie ostrygi najczęściej skrywają dobre perły. Dziwne, ale przeważnie muszle o nieregularnym kształcie i atakowane przez pasożyty kryją w sobie to, czego szukamy.

— Wiem, że ci ludzie ryzykują życiem. Zastanawiam się, czemu to robią.

— Nurkują tylko kilka tygodni w roku i zarabiają sporo pieniędzy. Nie wierzę, by chcieli robić co innego. To dobra rzecz, od czasu do czasu zakosztować trochę niebezpieczeństw. Zgodzisz się chyba?

— Ale jeżeli niebezpieczeństwo oznacza spotkanie ze śmiercią...

— Trudno by je nazwać niebezpieczeństwem, gdyby nie wiązało się z pewnym ryzykiem. Czy nie wolałabyś życia pełnego przygód od takiego, w którym zawsze wiesz, jak będzie wyglądał dzień następny?

— To zależy od skali niebezpieczeństwa.

— Cóż to, moja Sara robi się ostrożna?

— Opowiedz mi jeszcze o łowiskach.

— Sama zobaczysz. Chcę ci pokazać co piękniejsze wyłowione perły. Są sortowane, zestawiane razem i przygotowywane na sprzedaż. Na Cejlonie jest kilka moich punktów, gdzie perły przerabia się na biżuterię, łącząc je z szafirami, szmaragdami i rubinami. Mam też coś ciekawego, co chcę ci pokazać. Może nawet dostaniesz ode mnie w prezencie jakiś piękny klejnot. Chciałabyś, Saro?

— Dziękuję bardzo — odparłam.

— Zostaniemy na wybrzeżu. Mam tam domek. Mały, ale wystarcza na ten krótki czas, jaki tu spędzam.

— Wciąż dowiaduję się o czymś nowym, co jest twoją własnością.

— Tak być powinno. Gdybyś zobaczyła wszystko na raz, wrażenie nie byłoby tak wielkie.

Przesiadł się obok i objął mnie ramieniem.

— Droga Saro, nie mogę się doczekać, by pokazać ci moje perły.

Miał dość zagadkową minę, jakby coś przede mną ukrywał.

* * *

To był niezwykle dzień. Rankiem dotarliśmy do domku. Znajdował się w przepięknym miejscu, na porośniętym palmami brzegu. Stąd poławiacze wyruszali na łowiska ostryg, znajdujące się mniej więcej sześć mil od brzegu.

Dom otaczał niewielki ogród pełen kwiatów i krzewów. Był tu salon, mała jadalnia i gabinet. Schody prowadziły do sypialni na górze. Zobaczyłam podwójne łóżko z nieodzowną moskitierą i zastanawiałam się, kogo mój mąż przyprowadzał tu przede mną.

Na toaletce stały mosiężne lichterze ze świecami, pokój przygotowany na przyjęcie kobiety. Wyobraziłam sobie siedzącą przed lustrem Anulę.

Czekało już na nas kilku służących, których kwatery przylegały do domu. Pomyślałam, że zawsze są gotowi na wypadek, gdyby Clinton zechciał przyjechać. Jak zrozumiałam, bywał tu zwykle o tej porze roku, kiedy — jak to określił — trzeba było zbierać plony.

Wszystko bardzo mnie interesowało, a on z dużym przejęciem pokazywał mi okolicę. Sukces sprawiał mu wielką radość. Dostrzegłam to już wcześniej. Zachowywał się jak chłopiec, co było ujmujące, gdyż zupełnie nie pasowało do jego zwykłej, męskiej arogancji.

— Spójrz na to! — mówił, a oczy mu błyszczały. A kiedy opowiadał o czymś, co go pasjonowało, jego entuzjazm był zaraźliwy.

Wzdłuż brzegu, skryte pod palmami, stały budynki, gdzie przechowywano łodzie. Dowiedziałam się od Clintona, że choć połowy kończyły się po okresie czterech do sześciu tygodni, jednak sortowanie, wycena i sprzedaż trwały cały rok.

— Zabiorę cię, żebyś zobaczyła, jak wypływa flota. Taki widok robi wrażenie. Wyruszają około północy, by o świcie dotrzeć na łowiska. Lepiej odpocznij dziś po południu.

Odparłam, że nie potrzebuję odpoczynku.

— Będę nalegał. Nie możesz być śpiącą. Chcę, żebyś wszystko zobaczyła.

— Zapewniam cię, że nie będę senna. Bardzo mnie to interesuje.

— To rozkosz mieć cię przy sobie, Saro. To właśnie u ciebie lubię. Jesteś taka ciekawa wszystkiego, co się dzieje wokół.

— Cieszę się, że właśnie to sprawia ci przyjemność.

— Są jeszcze inne rzeczy... jak dobrze wiesz. Ale o tym później.

Długo miałam pamiętać ten niezwykle dzień.

Nauczyłam się sporo o perłach i wiele ich obejrzałam podczas sortowania. Clinton przedstawiał mnie z pewną dumą, co sprawiło mi satysfakcję. Sprawa oka Kolby doskonale na mnie wpłynęła. Od dawna nie czułam się tak zdrowa i wesoła. Oglądałam perły, mające to, co nazywano idealną skórą i pięknym połyskiem. Znaczyło to, że są najlepszego gatunku. Oprócz delikatnego, opalizującego lśnienia i półprzezroczyste — go zabarwienia, musiały być idealnie kuliste. Kolor, połysk i kształt decydują o wartości perły, wyjaśnił mi Clinton. Wyobrażałam sobie, jak podnieceni muszą być ludzie, zaglądający do muszli, niepewni, co tam znajdują. Trafiały się perły pokryte pęcherzykami, puste i nieregularne, były też inne, z maleńkimi wypustkami, zwanymi *coq de perle*. Były perły barokowe, piękne acz nieregularne, lecz każdy poławiacz miał nadzieję na idealny kształt, piękną skórę i kolor — czyli najcenniejszą z pereł.

Późno zjedliśmy kolację i widziałam, że Clinton jest coraz bardziej przejęty. Nie mógł się doczekać, by mi pokazać wyjście floty w morze.

Narzuciłam lekki płaszcz i wyszliśmy w noc. Sceneria była przepiękna: księżyc błyszczał nad wodą, a łodzie czekały gotowe do wypłynięcia.

Miały wyruszyć o północy, by o świcie znaleźć się na łowiskach. Każda łódź nosła dziesięciu nurków. Wskakują do wody nago, wyjaśnił mi Clinton.

— Dzięki temu łatwiej im się poruszać — dodał.

— Co z rekinami? — spytałam.

— To jest ryzyko, ale każdy z ludzi ma przy sobie kolec z żelaznego drzewa. Jest też dwóch zaklinaczy rekinów. Jeden popłynie łodzią, drugi zostanie na brzegu. Przez cały połów będą recytować zaklęcia. Bez nich żaden z tych ludzi nie wypłynąłby w morze. Są zatem niezbędnym elementem pomyślnego połowu.

Wyjaśnił mi, że nurkowie pracują parami. Jeden nurkuje, drugi obserwuje linę, po której tamten się opuścił. Czas pozostawania pod wodą był oczywiście mocno ograniczony, nawet dla tych doświadczonych ludzi. Średnio wytrzymywali pięćdziesiąt sekund, choć niektórzy osiągnęli około osiemdziesięciu. Był też jeden, który wyróżniał się tym, że pozostawał pod wodą sześć minut. Ale Clinton nie zachęcał do takiego współzawodnictwa. Każdy miał nurkować na miarę swoich możliwości. Ryzyko było dostatecznie wielkie.

Staliśmy na brzegu obserwując, jak łodzie wyslizgują się w morze w blasku księżyca. Był to cudowny widok.

— Jestem pewien, że przyniesiesz im szczęście — powiedział Clinton. — Jutro będziemy mieli najpiękniejsze perły.

Wróciliśmy do domu.

Zjawił się służący pytając, czy czegoś nam nie trzeba. Clinton odesłał go i weszliśmy po schodach na górę.

W sypialni posadził mnie przy toalecie.

— To twoja pierwsza noc tutaj, Saro. Podoba ci się?

— Wszystko jest bardzo interesujące — odparłam. — Ciekawe, gdzie są teraz łodzie.

— Niezbyt daleko w morzu. Będzie już świtać, zanim dotrą do łowisk. Zabiorę cię, kiedy będą wracały.

Stał za mną, a ja obserwowałam jego odbicie w lustrze. Wyglądał tajemniczo, a oczy błyszczały mu dziwnie. Odwróciłam się gwałtownie.

— Obiecałem ci prezent, prawda? — powiedział. — Oglądałaś dzisiaj wspaniałe perły, Saro. I sądzę, że potrafisz je ocenić. Potrafisz poznać skórę i połysk naszych najwspanialszych zdobyczy. Prawda?

Podszedł do szafki, mieszczącej wewnątrz sejf. Patrzyłam, jak ustawia kombinację i otwiera drzwiczki. Wyjął futerał i dotknął zamka. Odskoczyła pokrywa.

Patrzyłam zdumiona. Leżały tam dwa sznury pereł. Wiedziałam, że są najwyższej jakości, z diamentową klamrą, przedstawiającą zwiniętego węża ze szmaragdowym okiem.

Byłam oszołomiona.

— Przecież to...

Wyjął naszyjnik z futerału i powiedział:

— Przymierz je. Podobno odmieniają kobietę.

— Są zadziwiająco podobne...

Odwrócił mnie do lustra i zapiął naszyjnik. Silnie odczułam dotyk pereł na skórze. Patrzyłam na swoje odbicie i twarz mi zbladła.

— To kopia... — powiedziałam.

— Kopia! — zawołał. — Myślisz, że dałbym żonie coś, co nie jest prawdziwe?

Sięgnęłam dłonią do szyi. Widziałam, jak poruszają się moje wargi. Usłyszałam swój szept:

— To nie może być prawda. To niemożliwe.

— Pasują do ciebie, Saro. Nie sądzę, by którakolwiek z pań Ashington piękniej w nich wyglądała.

— Nie rozumiem.

— Nie? Myślałem, że od pierwszego rzutu oka poznasz rodzinne perły.

— Ale jak...

— Widzę, że dokonałaś prostej dedukcji.

Odwróciłam się i spojrzałam mu w twarz.

— Więc to byłeś ty. Ty... je ukradłeś.

— Och, daj spokój. Daję ci słowo, że była to uczciwa wymiana.

— Porwałś chłopca! Zażądałeś pereł jako okupu. Mogłam się domyśleć.

— Mogłaś? Jaką ty masz o mnie opinię?

— Taką, na jaką zasłużyłeś. Nie chcę tych pereł. Zwrócę je Clytie.

— Niczego takiego nie zrobisz. Należą do mnie.

— Myślałam, że dałeś mi je w prezencie.

— Wiesz, że kobiety Ashingtonów tylko je wypożyczają. Przypadną naszemu synowi, a jego żona będzie je nosić przez jakiś czas. Wiesz, jak się to odbywa.

Nie chciałam na niego patrzeć. Wciąż widziałam twarz Clytie tamtej nocy, gdy siedziałyśmy razem przerażone, rozmawiając i rozmawiając bez końca. Pamiętałam, jak drżałyśmy ze strachu myśląc, co może się dzieć z Ralphem. A przez cały ten czas on — Clinton — był winowajcą. Zaplanował to wszystko, by zdobyć Perły Ashingtonów. Teraz byłam pewna, że sprowadzają nieszczęście na każdego, kto je posiada.

Chwyciłam naszyjnik. Chciałam zerwać go z szyi. Miałam wrażenie, że mnie dusi.

— Jesteś diabłem — powiedziałam.

Roześmiał się.

— I dlatego mnie lubisz? — zauważył.

— Teraz będę tobą gardzić... na zawsze.

— Ale nie potrafisz mi się oprzeć... jak zwykle. Próbowalam rozpiąć klamrę.

— To specjalny zameczek — powiedział. — Ale chciałbym, żebyś ponosiła te perły jeszcze przez chwilę.

— Nigdy nie będę ich nosić — stwierdziłam zimno. — Ludzie je rozpoznają. Dowiedzą się, jaki z ciebie złodziej.

— Chciałem powiedzieć, że pragnę, byś je nosiła, gdy będziemy sami. Lubię cię w nich widzieć, Saro. Zawsze o tym marzyłem. Czy nie wyczuwasz, że należą do ciebie? Perły nie

powstały po to, by zamykać je w futerałach. Powinno się je nosić. Będziesz je dla mnie zakładać, kiedy zostaniemy tylko we dwoje.

Milczałam, myśląc: Oddam je Clytie. Należą do niej. Odwróciłam się do niego nagle.

— Chcesz dostać wszystko, prawda?

— Zawsze chcę wszystkiego — odpowiedział.

— Ale w życiu tak nie jest.

— Wybacz, że ci zaprzeczę, ale w życiu tak właśnie bywa. Jeśli czegoś chcesz, próbujesz to zdobyć. Jest duża szansa, że odniesiesz sukces.

— Wiesz, że nie zdobyłeś wszystkiego. Ożeniłeś się ze mną dla plantacji, czyż nie?

— Ożeniłem się z tobą, gdyż musiałem cię zdobyć.

— Z powodu plantacji.

— To dodatkowa premia, Saro. Będziesz się gniewać. Nienawidzisz mnie, jak jeszcze nigdy przedtem. To cudowne. Uwielbiam cię... kiedy mnie nienawidzisz, kiedy tak reagujesz, gdyż nie potrafisz mi się oprzeć... nawet w tej nienawiści. Nie mogłem się doczekać tej chwili. Dokładnie wiedziałem, jak się zachowasz. Miałem rację. Miałem rację w każdym szczególe. Pragnę cię tak bardzo, jak za pierwszym razem. Nie, jeszcze bardziej. Saro, jakie piękne chwile spędziliśmy razem!

— Nie zostanę tu ze złodziejem, który dla zdobycia kilku nędznych pereł zdolny jest zadać taki ból matce.

— Nędznych pereł! Dziwię się, że bogowie Kandy nie powalili cię od razu. Nędzne perły! Legendarny naszyjnik, dawno temu подарowany Ashingtonowi jako zapłata za życie dziecka. Naszyjnik przekazywany przez wieki, fundament tradycji Ashingtonów.

— Zamilcz! — krzyknęłam. — Nie chcę już tego słuchać. Zdejmij mi je z szyi. Schowaj do pudełka. Zamierzam oddać je Clytie.

— Nie sądzisz chyba, że po to je zdobywałem? Są twoje, Saro. A ty jesteś moją żoną. I kiedy mówię, że będziesz je nosiła, to będziesz.

Stałam przed nim. Czułam na karku ciężar pereł. Ich dotyk dziwnie na mnie wpływał. Wydawało mi się, że są żywe, że coraz mocniej zaciskają się wokół mojej szyi.

Jeżeli był do tego zdolny, to był zdolny do wszystkiego. To właśnie on mógł być człowiekiem, który usiłował mnie przekonać, że wpadam w obłąd. Ale dlaczego? Musiał mieć jakiś motyw. On zawsze miał silne motywy.

— Nie zawsze wygrasz — powiedziałam. — Myślałeś, że plantacja jest twoja, prawda? — I nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Gdybym oszalała, mógłby przejąć moją własność. Czy do tego zmierzał? — Nie jest twoja, Clintonie. I nigdy nie będzie. Jest moja, a kiedy umrę, trafi do Clytie.

Widziałam, że jest zdumiony.

— Tak — mówiłam dalej. — To prawda. Byłam u prawnika. Ustaliłam wszystko. Gdybym zmarła lub nie mogła zajmować się plantacją, przejmie ją Clytie.

— Ty... zrobiłaś to!

— Mam własną wolę, jak wiesz.

— Ty mała... diablico!

— Ach, widzę, że twoja opinia na mój temat odpowiada mojej o tobie. Ale coś ci powiem: wszystko, co zrobiłam, mieściło się w granicach prawa. Zastanawiam się, co powiedziałby sir William Carstairs, gdyby wiedział, że to ty porwałeś Ralpa i zażądałeś okupu. Uważam to za zbrodnię najgorszego rodzaju. Zwłaszcza gdy chodzi o dziecko.

Jakby mnie nie słyszał. Wyraźnie zaszokował go mój postępek. Myślałam, że mnie uderzy. Rozpoznałam na jego twarzy tę zimną furję. Przyglądał mi się przez kilka sekund bez słowa.

Sądzę, że z trudem panował nad wściekłością. Potem uśmiechnął się wolno i wydawało mi się, że w tym uśmiechu tkwi jakiś posępny podziw.

— Czas do łóżka — powiedział. — To był dzień pełen wrażeń.

— Zdejmij to ze mnie. Rozepnij klamrę.

— Chcę, żebyś je nosiła.

— A ja chcę je zdjąć.

— Niezbyt wdzięcznie przyjmujesz dar.

— Te perły nie należały do ciebie, więc nie możesz ich ofiarować.

— Zdobyłem je.

— Zdejmij.

— Nie.

— Idę do drugiego pokoju.

— Zostaniesz tutaj. Ofiarujesz mi tę szczególną mieszankę miłości i nienawiści, bez której chyba nie mogę już żyć. Oczarowałaś mnie, Saro. Właśnie powiedziałaś, że mnie oszukałaś. Powinienem cię zbić. Wiesz, że to ci się należy. Ale oto stoję gotów, by cię kochać, ponieważ jesteś moją własną, cudowną Sarą. I pragniesz mnie z głębi serca, mimo mych grzechów. Jak ja ciebie pragnę mimo twoich.

— Oszukujesz sam siebie... jak oszukujesz innych. — Innych może... siebie nigdy. Znam cię, Saro. Zmysłowa, namiętna, stworzona do miłości... to znaczy mojej miłości. Nikt prócz mnie, Saro... nigdy.

— Czy zechciałbyś rozpiąć klamerkę?

— Pozwól, że zamiast tego rozepnę ci suknię.

— Nie waż się mnie dotknąć.

— Nie mogłaś wyrazić bardziej kuszącego zaproszenia.

Szarpnął suknię i guziki ustąpiły. Raz jeszcze zdałam sobie sprawę z jego siły fizycznej. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. Nieważne, jak bardzo będę się opierać; w końcu zwycięży.

Tego właśnie chciał. Nęcił go mój opór. Śmiał się, zdecydowany pokonać mnie, jak to się już wcześniej zdarzało. I zmusił mnie, bym nosiła ten naszyjnik.

Walczyłam... rozpaczliwie, ale to go tylko bawiło.

— Krzycz, jeśli chcesz, Saro — mruczał. — Nie zwrócą uwagi. Powiedzą, że to sprawa pana, i będą się uśmiechać ze zrozumieniem.

— Ile kobiet tu sprowadziłeś?

— Nie prowadzę notatek.

— A ile z nich nosiło skradzione klejnoty?

Roześmiał się.

— Zdobyłem te perły, Saro, i umieściłem je tam, gdzie ich miejsce. Będziesz je dla mnie nosić.

— Puść mnie — zażądałam.

— Nigdy cię nie puszcę.

— Nienawidzę cię. Nienawidzę wszystkiego, czym jesteś. Czy nie widzisz, że to, co zrobiłeś dla zdobycia pereł, wzbudza we mnie dozgonną nienawiść?

— Wolę twoją nienawiść niż miłość kogoś innego.

— Nie żartuję, Clintonie. Nie chcę cię.

— W takim razie będzie to dla ciebie nowe doświadczenie.

— To jest... gwałt.

— Pikantna sytuacja, muszę przyznać — zadrwił.

Nie mogłam go powstrzymać. Zmęczyła mnie walka. A kiedy usłyszałam jego triumfujący śmiech, nienawidziłam siebie równie mocno jak jego.

* * *

Leżałam nieruchomo, bezsennie i myślałam: czy ta noc nigdy się nie skończy? Leżałam obok niego i wciąż miałam na sobie perły.

Opuszczę go, pomyślałam. Nie mogę teraz zostać.

Pomyślałam o Tobym. On mi pomoże. Ucieknę. Oddam te perły Clytie i wyjadę do Delhi. Tak, to było rozwiązanie. Poproszę Tobi'ego o pomoc.

I nagle poczułam, że Clinton się obudził. Chwycił moją dłoń. Nie ruszyłam się, udając sen. Wyraźnie czułam na skórze dotyk pereł.

— Saro? — powiedział cicho. — Nie śpisz?

Nie odpowiadałam.

— Muszę ci coś powiedzieć.

— Niczego nie chcę od ciebie słyszeć. Przesunął dłonią w górę, aż dotknął pereł.

— Nie porwałam chłopca, Saro.

Milczałam.

— Nie wierzysz mi, prawda?

— Nie — odparłam.

— Powiem ci, co się stało.

— Nie chcę znać tych ohydnych szczegółów.

— Nie są takie, jak myślisz.

— Oszczędź mi ich.

— Czy kiedykolwiek ci czegoś oszczędziłem?

Objął mnie i pocałował w usta.

— Jestem zmęczona — powiedziałam.

— W tej chwili jesteś całkiem rozbudzona i czy tego chcesz, czy nie, muszę ci to opowiedzieć.

Miałem te perły już od pewnego czasu, jeszcze zanim umarł twój ojciec.

— Bzdura! Widziałam je, zanim je ukradłeś. Clytie mi je pokazała.

— To, co pokazała ci Clytie, to nie były Perły Ashingtonów.

— Widziałam je na własne oczy.

— Widziałas kopię Pereł Ashingtonów.

Odsunęłam się od niego zniecierpliwiona.

— Kochana Saro, nie poznałabyś różnicy. Niby jak? Ta kopia to dzieło sztuki. Wiem o tym. Sam kazałem ją zrobić.

— Wymyśliłeś to wszystko, bo obawiasz się, że mogę cię oskarżyć.

Roześmiał się tylko.

— Czy kiedykolwiek się ciebie bałem?

— Teraz się boisz. Zdradziłeś się, i nie wiesz, co z tego może wyniknąć.

— Czy nie sądzisz, że rozważyłbym to, zanim dałem ci perły? Bądź rozsądna, Saro. Posłuchaj. Jakiś czas przed śmiercią twego ojca Clytie i Seth przyszli do mnie bardzo zrozpaczeni. Mieli kłopoty finansowe. Twój ojciec nic o tym nie wiedział. Chorował ciężko już prawie rok przed wyjazdem do Anglii. Całkowicie powierzył Sethowi plantację. Seth ma swoje słabości, a jedną z nich jest skłonność do hazardu. Wpadł w poważne kłopoty. Pożyczał pieniądze pod zastaw plantacji, którą miał nadzieję uzyskać poprzez Clytie. Rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Ani on, ani Clytie nie chcieli, by twój ojciec się dowiedział, że w jego imieniu pożyczali pieniądze... Słuchasz mnie, Saro?

— Tak — szepnęłam.

— W rezultacie potrzebowali dużej sumy, by uniknąć katastrofy. Przyszli do mnie.

— Chcesz mi powiedzieć, że kupiłeś od nich naszyjnik?

— Mówię ci dokładnie to, co zrobiłem. Wiedziałem, że się z tobą ożenię...

— Zanim mnie zobaczyłeś?

— Wiele o tobie słyszałem. Pokochałem cię, zanim jeszcze się poznaliśmy. Okazałaś się tego bardziej godna niż moje o tobie wyobrażenia. Miałem po prostu szczęście.

— No dalej — ponagliłam. — Opowiadaj wszystko.

— Jak odgadłaś, kupiłem naszyjnik. Och, oczywiście za cenę o wiele niższą niż ta, którą jest wart. W końcu nikt jej naprawdę nie zna. On jest bezcenny. A wraz z pieniędzmi dałem im za niego tak idealną kopię oryginału, że dla niedoświadczonych oczu było to nie do rozpoznania. Trzymałem te perły dla ciebie, Saro, Wiedziałem, że niełatwo będzie wytłumaczyć, dlatego je schowałem. Ale ostatnio zauważyłem, że trochę straciły blask. Potrzebują ciepła twojej skóry, by odzyskać połysk. Słynne perły nie mogą cierpieć z powodu nieodpowiedzialności Setha.

— A więc... według ciebie Clytie pokazała mi kopię.

— Tak było.

— I właśnie kopię dała porywaczom?

— Moja droga, kochana Saro! Czy nie rozumiesz, co się stało? Podczas balu na twoją cześć Clytie nosiła kopię. Te perły zawsze budzą sensację. Słyszałem, jak mówi o nich Reggie Glendenning. Prosił o zgodę na dokładniejsze ich przebadanie, jest koneserem. Clytie była przerażona. Łatwo jest włożyć fałszywe Perły Ashingtonów i demonstrować je w blasku świec, ale nawet dobra kopia nie zmyli eksperta przy świetle dziennym.

— Chcesz mi wmówić, że to porwanie było udawane?

— Oczywiście.

— Nie wierzę ci.

— Dlaczego? Czy to nie wyglądało zbyt prosto? Ashraf był współnikiem, Sheba także. Ona zrobiłaby dla Clytie wszystko. Sama możesz odgadnąć, jak to się odbyło. Podczas parady Ashraf podkraść się i wybrał odpowiednią chwilę. Ralph poszedł z nim bez oporu; zabrali go na noc do ludzi, których znał. Niewiele ucierpiał w wyniku tej przygody. Fałszywe perły trafiły do rzekomych porywaczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby Clytie wciąż je miała.

Byłam wstrząśnięta. Clytie, tak delikatna, tak kobieca i szczerza, zaplanowała porwanie! Udawała ból, który wzbudził we mnie tak wielki niepokój!

Clinton wiedział, o czym myślę.

— Clytie to dobra i piękna żona — powiedział. — Będzie bronić Setha niezależnie od tego, co on zrobi. To jego skłonność do hazardu doprowadziła ich do takiej sytuacji, a Clytie uczyniła wszystko co możliwe, by go ocalić. Jednocześnie nikt nie mógł się dowiedzieć, że sprzedała naszyjnik. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by miała do tego prawo. Ale odkąd go zobaczyłem, wiedziałem, że musi być mój. W końcu, jeżeli człowiek pracuje przy perłach, zna się na nich i często ogląda najpiękniejsze na świecie egzemplarze, pragnie je zdobyć. Rozumiesz mnie, Saro?

— Doskonale rozumiem twoje motywy.

— I już mną nie gardzisz? Tylko mnie nienawidzisz?

— Muszę to wszystko sprawdzić.

— Wielkie nieba! Sugerujesz, że do moich licznych grzechów dodałem kłamstwo?

— Po tobie mogę się spodziewać wszystkiego!

— Saro, kochana Saro, tak się cieszę, że masz teraz ten naszyjnik. Będziesz go nosić, kiedy zostaniemy sami. Myślę, że to potrwa przez jakiś czas. Potem wymyślimy jakiś sposób. Rozpuścimy plotkę, że zapłaciłem wielką sumę paserowi i teraz perły należą do ciebie. Pochodzisz z Ashingtonów. W odpowiednim czasie będzie je nosić żona naszego syna. Z pewnością bogowie

nie będą się gniewać. Teraz musisz tylko urodzić syna. Nie zrobiłaś tego dotąd, Saro. Sądziłem, że przez ten czas powinno ci się udać. To nic, nie ma pośpiechu. Coś ci powiem. Żaden człowiek nie mógłby być bardziej ode mnie zadowolony ze swego małżeństwa. Ono nie może się zmienić, Saro. Nie pozwól, by się kiedykolwiek zmieniło.

Nie odpowiadałam. Myślałam o wszystkim, co mi powiedział. O oszustwie Clytie, o tej strasznej nocy, kiedy siedziałyśmy obok siebie, a ja na próżno starałam się ją pocieszyć. Przez cały ten czas ona tylko grała!

Komu mogę zaufać? — pytałam samą siebie.

A potem pomyślałam o moim przyszłym życiu z Clintonem, o rodzeniu dzieci. Zastanawiałam się, co będzie, gdy zgaśnie ta dzika, fizyczna namiętność, która teraz istniała między nami? To naturalne, że musi kiedyś się skończyć. Nie można budować przyszłości na tak niepewnej podstawie. To jak wznosić zamki na lodzie. Niezbędna jest trwała opoka przyjaźni, miłości, zaufania.

Pomyślałam o Tobym. Kiedy wrócę, będzie na mnie czekał jego list.

Zasnęłam w końcu i śniłam, że czyjeś ręce chwytają mnie za szyję i duszę. Delikatne, lśniące ręce zaczęły od pieszczot i głaskania, a potem przyciskały mocniej i mocniej. Nie mogłam odetchnąć. Zerwałam się ze zgrozą i dotknęłam szyi. Wyczułam perły.

Oczywiście. To one sprowadziły taki sen.

Co za nonsens, by zmuszać mnie do noszenia ich w łóżku. Ale zrozumiałam, o co mu chodziło. To było dla niego typowe. Chciał, bym miała na sobie te perły, gdyż wiedział, że ich nienawidzę. Zmusił mnie, bym je nosiła, kiedy mnie brał wbrew mej woli. Naszyjnik był symbolem jego władzy nade mną... obrozą zakładaną na szyję niewolnicy.

Nie, to tylko wyobraźnia. Najpierw bawił się, przekonując mnie o swej niezwykłej podłości i dowodząc, że nawet wtedy nie potrafię mu się oprzeć. Taki miał cel, gdy sugerował, że to on porwał chłopca. A potem, kiedy wykazał, że choćbym nie wiem jak nim pogardzała, potrafi rozbudzić we mnie namiętność, wyznał mi prawdę.

To było jak wojna między nami. A wojna nie jest dobrym sposobem na budowanie szczęśliwego, rodzinnego życia.

Wszystko byłoby inne, gdyby Toby wrócił trochę wcześniej — zanim przybył mój ojciec i Clinton. Wtedy powrócilibyśmy do tego niezwykłego związku, który łączył nas przy Denton Square.

Zjawił się za późno. I to zaważyło na mojej przyszłości.

* * *

Clinton był w świetnym nastroju. Co wieczór, gdy byliśmy sami, wkładałam perły. Upierał się przy tym, a muszę przyznać, że one w pewien sposób mnie fascynowały.

Od dnia, gdy mi się śniły, miałam wrażenie, że żyją jakby własnym życiem. Myślałam często o kobietach, które nosiły je przede mną. O tych, których portrety wisiały w galerii w Grange, i jeszcze wcześniejszych, żonach władców Kandy.

Matka twierdziła, że przynoszą pecha. Artysta, który malował jej portret, popełnił samobójstwo; Clytie wpadła w kłopoty i musiała je sprzedać, a potem zaaranżować porwanie własnego syna, by ludzie myśleli, że zostały skradzione.

Perły, które tak wiele znaczą dla tylu ludzi, muszą mieć własne życie.

Często studiowałam skomplikowaną klamrę, którą tak trudno było otworzyć. Clinton twierdził, że tak być powinno, ponieważ klamra zabezpiecza perły i nie może odpinać się zbyt łatwo.

Zielone oko węża połyskiwało złośliwie. Zbadałam mały pojemnik, w którym jeden ze starożytnych właścicieli umieścił truciznę, by pozbyć się żony. Wierzyłam, że i Clinton byłby do tego zdolny.

Gdyby te perły mogły mówić, jakież opowiedziałyby historie!

Odzyskiwały swój dawny połysk. Clinton twierdził, że stają się gładkie i zadowolone, jakby wysysały życie z noszącej je osoby.

— Masz idealną szyję dla pereł — powiedział. — Wyraźnie cię lubią. Patrz na ich skórę! Popatrz na połysk! Widzisz chyba, jaka nastąpiła zmiana, od kiedy je zakładasz. Tak często wyobrażałem sobie siebie z tymi perłami, Saro. To rozkosz widzieć na tobie ten naszyjnik.

Lubił wkładać perły na moją szyję, oglądać i badać, gdy je nosiłam. Oczy mu błyszczały; zachowywał się tak, jakby spełniło się coś, o czym marzył od dawna.

Widziałam nurków wracających z połowem. Przyglądałam się, jak otwierają ostrygi, i zachwycałam się tym, co znajdowali wewnątrz. Delikatnie dotykałam warstw macicy perłowej, oglądałam te wydaliny, tak piękne i wartościowe. Obserwowałam sortowanie pereł, pociągały mnie te zajęcia.

Kiedy minął sezon, powróciliśmy na plantację. Z rozczarowaniem stwierdziłam, że nie przyszedł list od Toby'ego. Był za to od ciotki Marty, przeczytałam go niecierpliwie. W Grange życie toczyło się jak dawniej. Mabel przeziębila się zimą dwa razy, a ciotka Marta była jak zwykle zdrowa i krzepka. Nie potrafiłam już o niej myśleć inaczej, niż wyobrażając sobie, jak skrada się korytarzem do sypialni mojej mamy, by przyczynić się do jej śmierci.

Dzień po powrocie pojechałam bryczką na plantację Ashingtonów. Celia mieszkała z Clytie i miała wrócić ze mną do domu.

Były w ogrodzie z Ralphem, który powitał mnie radośnie. Patrząc na moją piękną, filigranową siostrę, nie mogłam uwierzyć, że brała udział w spisku wokół porwania Ralpha. Chciałam zostać z nią sam na sam, by wprost zapytać, czy Clinton mówił prawdę.

Okazja zdarzyła się przed południem. Clytie szła do pokoju, więc ruszyłam za nią.

— Clytie — powiedziałam. — Muszę z tobą porozmawiać. Była trochę zdziwiona, lecz szybko mówiłam dalej:

— Clinton podarował mi perły. Twierdzi, że to Perły Ashingtonów i że kupił je od ciebie.

Oparła się o toaletkę, jakby straciła równowagę. Potem usiadła.

— Więc to prawda? — nalegałam.

Kiwnęła głową.

— Och, Saro, tak się martwiłam. Widzisz, mieliśmy straszne kłopoty. Nie mogłabym powiedzieć o tym ojcu. Nie rozumiałby. Seth...

— Seth grał w karty w klubie w Kandy, czy tak?

Przytaknęła.

— To, i jeszcze inne rzeczy. Nie wiedzieliśmy, co robić. Zapożyczył się licząc, że odziedziczy plantację. Brzmi to strasznie, ale wszyscy wiedzieli, jak bardzo chory jest nasz ojciec. Wydawało się pewne, że kiedyś Seth i ja będziemy jego dziedzicami. Och, Saro, proszę cię, spróbuj zrozumieć.

— Rozumiem — odparłam. — Mielicie kłopoty i zjawił się Clinton. Zapłacił za naszyjnik i dał wam kopię, by nikt nie wiedział, że musiałaś go sprzedać.

Skinęła głową.

— Udałoby się. Nasz ojciec widział coraz słabiej. Prawie całkiem tracił wzrok. Nie zauważyłby różnicy... Och wiem, że to nieuczciwe. Perły nie należały do mnie i nie mogłam ich sprzedawać. Dlatego poczułam ulgę, kiedy to mnie je zapisał. Tak było chyba lepiej.

— Rozumiem, że musiałaś tak zrobić, Clytie — powiedziałam. — Na twoim miejscu pewnie postąpiłabym tak samo. Clinton nie powinien wam tego proponować.

— To wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Jedynym rozwiązaniem.

— A więc naszyjnik, który umieściłaś pod drzewem, był kopią.

Zwiesiła głowę.

— Mam go tutaj — wyznała cicho. — Oddano mi go. Leży w ukryciu. Sheba mi pomogła. Zrobiłaby dla mnie wszystko. Musiałam tak postąpić, Saro. Ktoś odkryłby prawdę, Reggie Glendenning poznałby od razu. Nie lubiłam ich zakładać. Zawsze byłam przestraszona. Bałam się, że ktoś odkryje fałszerstwo. Tutaj ludzie znają się na perłach.

— To był bardzo sprytny plan, Clytie.

— Właściwie to było bardzo proste. Wiedziałam, że Ralphowi nie stanie się krzywda. Zorganizowaliśmy to tak, że odszedł z Ashrafem i został na noc u krewnych Sheby. Już raz spędził tam noc. Chcieliśmy, żeby się przyzwyczaił. Niczego nie podejrzewał. Nie miał pojęcia, co robimy. Więc teraz ty masz naszyjnik. Domyślałam się, że Clinton ci go ofiaruje. Wszystko skończyło się tak, jak powinno. Masz naszyjnik i plantację, ale powiedziałaś, że w swoim czasie przypadnie nam... Ralphowi. Myślę, że tak powinno być od początku, mimo że jestem starsza i perły miały należeć do mnie. Jednak spójrz na nas, Saro. To ty powinnaś nosić Perły Ashingtonów. Muszą pięknie na tobie wyglądać. To los tak chciał.

— Nie będę mogła nosić ich publicznie... nawet jeśli bym chciała.

— Oczywiście, bo natychmiast będą rozpoznane. Ale możesz je zakładać. Nosiłam je czasem, gdy byłam sama. Miałam wrażenie, że mnie przytłaczają. Ten naszyjnik był dla mnie za wielki.

— Cieszę się, że w końcu poznałam prawdę.

— Przykro mi, Saro. Postaraj się zrozumieć powody, dla których to zrobiłam.

— Oczywiście, że rozumiem.

— A teraz ty masz te perły. Są warte majątek.

— Wiem, że Clinton nie zapłacił wam tyle, ile powinien.

— Dał nam dość, byśmy spłacili długi i jeszcze coś zostało na przyszłość. To cudownie, że zdjęłaś mi z ramion ten ciężar. Jesteśmy Clintonowi wdzięczni, Saro. Dał nam kopię tak dobrą, że tylko eksperci potrafiliby zauważyć różnicę. Wszystko jest takie samo, nawet kłamra i ten mały pojemnik na truciznę w paszczy węża.

— Clytie — powiedziałam — wyglądasz na zaniepokojoną. Musisz się opanować. Nikt nie powinien zauważyć, że coś się stało.

Objęła mnie.

— Och, Saro. Tak się cieszę, że wiesz o wszystkim. Było mi strasznie ciężko.

Ucałowałam ją.

— Wszystko rozumiem — zapewniłam. — Kochana Clytie, proszę, nie martw się już więcej. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Potem wróciłyśmy do Celi i Ralpa. Drgnęłam, dostrzegając u ich stóp zwiniętą Kolbę.

Celia spoglądała na Clytie i na mnie. Zastanawiałam się, czy się czegoś domyśla.

Gdy wracałyśmy razem bryczką, powiedziała:

— Przykro mi, że muszę wyjechać, ale otrzymałam wiadomość od kuzynki. Nie czuje się najlepiej i chce, bym do niej przyjechała. Kupiła dom na południu Francji.

— Och Celio, naprawdę musisz jechać?

— Cudownie znów cię widzieć, Saro. Wyglądasz o wiele lepiej niż poprzednio. Była taka chwila... całkiem niedawno...

— Tak, wiem.

— Sprawiałaś wrażenie jakby trochę... dziwnej... rozkojarzonej... jakbyś czegoś się bała.

Zawahałam się. Widok Kolby na trawie ożywił wspomnienia. Nie chciałam o tym mówić. Powrót na plantację przypomniał mi o wszystkim, co się działo... o tym, że ktoś mnie prześladował.

Teraz, gdy wróciłam, musiałam odkryć, kto to był. Uznałam, że w tej sprawie nie mogę ufać nikomu. Nawet Celi.

— Chyba byłam trochę zmęczona — rzuciłam lekkim tonem. — Dobrze mi zrobiła ta wyprawa na łowiska pereł.

Język węża

Często nosiłam te perły. Fascynowały mnie. Wyjmowałam je z futerału, przymierzałam i odczuwałam nieodparte pragnienie, by zapiąć je na szyi.

Zmieniały się. Lśniły nowym życiem. Kiedy dotykały mojej skóry, zdawały się ją pieścić. Zupełnie jakby chciały do mnie należeć.

Nawiedzały mnie w snach... niewyraźnych, zamglonych snach... wypełzały z futerału i owijały się wokół mej szyi. Raz powtórzyło się to, co śniło mi się, gdy pierwszy raz włożyłam naszyjnik. Czułam wtedy, że perły zaciskają się coraz mocniej i próbują mnie udusić. Ta fantazja z pewnością była wytworem opowieści, które słyszałam o tym dziedzictwie. Ale także dramatu fałszywego porwania i tej niezapomnianej nocy, gdy Clinton podarował mi je, pozwalając, bym wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze.

Perły fascynowały mnie i odpychały zarazem. Nie potrafiłam się im oprzeć. Czasem wydawało mi się, że są symbolem związku między mną a Clintonem.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie nadszedł jeszcze list od Toby'ego. Czyżby zignorował moje błaganie o pomoc? Może się przeprowadził i list w ogóle do niego nie dotarł? Ta myśl przerażała mnie.

Pewnej nocy jeszcze raz we śnie pojawiły się perły. Uległy przemianie, stały się wrogie. Tkwiło w nich zło. Słyszałam głos matki, dobiegający z daleka: „Te perły są przeklęte. Sprowadzają nieszczęście na każdego, kto je posiada”. Chwyciłam perły i próbowałam zedrzeć je z szyi, rozerwać, rozrzucić i stracić na zawsze. I nagle sen się zmienił. „Toby”, wołałam. „Gdzie jesteś, Toby? Dlaczego nie przychodzisz, gdy wiesz, że cię potrzebuję?” I wtedy go zobaczyłam. Stał za mną... Rozpiął klamrę, a ja szlochałam z ulgą w jego ramionach.

Niechętnie budziłam się z tego snu. Chciałam w nim zostać... z Tobym. Perły leżały w futerale, Toby był daleko, a ja wciąż nie miałam od niego wiadomości.

Niemożliwe było dalsze ukrywanie naszyjnika. Tłumaczyłam Clintonowi, że nie powinnam go nosić.

— Wcale nie — odparł. — Służba uważa, że to prezent od dobrego męża dla kochającej żony. W końcu handluję perłami i przez moje ręce przechodzi to, co najlepsze.

— Ludzie zaczną podejrzewać, że noszę Perły Ashingtonów. Powinnam myśleć o Clytie.

— Clytie udowodniła, że sama potrafi o siebie zadbać. Pamiętaj tylko o jednym: nie zakładaj ich, gdy spotykasz się z ekspertami.

Zaczęłam nosić perły wieczorami, gdy jedliśmy w trójkę kolację. Celia je podziwiała, lubiła przymierzać. Naturalnie, nie powiedziałam jej, że to Perły Ashingtonów. Musiała wierzyć, że Clinton ofiarował mi cenny prezent. Leila, sprzątając w sypialni, stawiała zwykle z głową przechyloną w bok i spoglądała z zachwytem.

— Są piękne. Moja siostra Anula ma bardzo podobne. Ona ma dużo pięknej biżuterii. — Robiła chytre i tajemnicze miny, sugerując wyraźnie, że te dary pochodziły od kochanka.

Celia przygotowywała się do wyjazdu. Zarezerwowała miejsce na statku „Lankarta” płynącym z Kolombo do Bombaju. Tam miała się przesiąść na wielki statek „Oranda”, kursujący do Anglii. Odczuwałam niepokój na myśl o tym, że wyjeżdża. Dom bez niej będzie pusty. Nie wykryłam jeszcze, kto był moim przeciwnikiem. Ta groźba wciąż istniała, choć teraz byłam dostatecznie silna, by stawić jej czoło.

To zdarzyło się mniej więcej tydzień po naszym powrocie z łowisk perłę. Po południu zaplanowałam wyjazd do Clytie. Zamierzałam wrócić przed zmrokiem. Wyruszyłam bryczką i po kilku minutach spostrzegłam, że dzieje się coś niedobrego.

Bryczka zaczęła zygzakować po drodze. Ściągnęłam lejce... i potem, w ułamku sekundy, ujrzałam, jak jedno z kół toczy się przed wozem. To zadziwiające, że w chwilach zagrożenia tak wiele dzieje się w tak krótkim czasie. Wiedziałam, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo. Odpadło koło i zaraz bryczka się wywróci. Ale przez moment wszystko jakby zastygło. Rozpaczliwie usiłowałam znaleźć jakiś punkt oparcia. A potem koń stanął dęba i poczułam, że wylatuję w powietrze.

Ogarnęła mnie ciemność.

* * *

Leżałam w łóżku. Był przy mnie Clinton, Celia, a także Leila i jeszcze ktoś ze służby. Clinton siedział po jednej stronie łóżka, Celia po drugiej.

— Przychodzi do siebie. — To był głos Clintona. — Saro... Saro... słyszysz mnie?

Otworzyłam oczy. Moje ciało wydawało mi się bardzo ciężkie. Próbowałam sobie przypomnieć, co się stało, i nagle zobaczyłam toczące się po drodze koło. Zamknęłam oczy i natychmiast zatonąłam w mgiełce nicości.

Dopiero po dwóch dniach odzyskałam przytomność. Dowiedziałam się, że miałam bardzo poważny wypadek i tylko wyjątkowemu szczęściu zawdzięczam to, że jeszcze żyję.

Sprawa była prosta. Odpadło koło u bryczki. Zostałam wyrzucona w powietrze i upadłam na drogę. Złamałam nogę w kostce, byłam poobijana, posiniaczona, w szoku. Clinton wezwał dwóch lekarzy. Kostkę udało się złożyć i po jakimś czasie nie powinna sprawiać mi kłopotu. Większym problemem był tak długi brak przytomności.

Jednak nie odniosłam poważniejszych obrażeń i po kilku dniach mogłam już wstać, choć oczywiście nie opuszczałam sypialni. Poruszałam się, kuśtykając o lasce. Lekarze ostrzegali, żebym nie nadwerężała nogi, jeśli chcę, by zrosła się bez śladu.

Clinton spędzał ze mną wiele czasu, podobnie jak Celia, niespokojna teraz z powodu swego wyjazdu. Cieszyło mnie jej towarzystwo. Czytała mi książki i przyjemnie było z nią rozmawiać. Bałam się tej chwili, gdy mnie opuści. Była taka rozsądna i spokojna, a ja znów odczuwałam lęk.

Clinton próbował zbadać całą sprawę. Nie rozumiał, dlaczego odpadło to koło. Stajenni przysięgali, że kilka dni temu sprawdzali wszystkie powozy.

— To tajemnicza sprawa — stwierdził. — Z pewnością ktoś był nieuważny. Chciałbym się dowiedzieć, jak do tego doszło.

Kiedy nadeszła poczta, oczekiwałam, że będzie w niej list od Toby'ego. Nie przyszedł.

Lęk niczym mgła sączył się zdradziecko w moje myśli. Z początku prawie go nie zauważałam... potem wirował wokół mnie, znowu zaczynałam się bać. Nie rozwiązałam tajemnicy pierwszej fazy ataków, których celem było doprowadzenie mnie do obłądzenia. Kiedy znalazłam oko Kolby i powróciłam z perłowych łowisk, uśpiło mnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Na jakiś czas zapomniałam, że gdzieś blisko czai się bezlitosny przeciwnik.

Musiałam się dowiedzieć, kim była ta osoba, a w tym stanie nie bardzo mogłam jej szukać. Dlaczego odpadło koło, kiedy wyjechałam bryczką? Używałam jej częściej niż ktokolwiek inny i była uważana za mój osobisty pojazd. Czyżby ktoś zaaranżował ten wypadek? Czy mój wróg przeklinał teraz zbieg okoliczności, dzięki któremu uszłam z życiem?

Nie mogłam chodzić przez las, by sprawdzić, kto usiłuje mnie śledzić. A muszę to odkryć, nim uderzy ponownie. Nie miałam pojęcia, czego spróbuje tym razem. Czy znowu będzie chciał mnie

przestraszyć, czy zaplanuje coś poważniejszego? Czy awaria bryczki naprawdę była wypadkiem? Czy może to wszystko jest częścią jakiegoś diabolicznego planu? Jeśli tak, jedna rzecz była pewna: ktokolwiek to był, spróbuje znowu.

Clinton stał się wobec mnie niemal czuły. Bardzo rozgniewał go ten wypadek i obwinał stajennych. Bali się go i gorąco przekonywali o swojej niewinności. Spędzał ze mną dużo czasu. Co wieczór przenosił mnie z krzesła do łóżka, chociaż o lasce sama mogłam przejść przez pokój.

Clytie przywiozła do mnie Ralpa. Leila krzątała się dookoła i narzekała — może zbyt głośno — na niedbałość stajennych.

Siedziałam przed lustrem, a ona cesała mi włosy. Opowiadała o tym, że Anula nauczyła ją, jak uczynić kobietę piękną. Czasem nawet pozwalała pomagać sobie przy takim zabiegu. Spytałam o zdrowie Anuli.

— Anula jest w dobrym nastroju, pani. Anula widzi przyszłość i ta przyszłość jej sprzyja.

— Sądzę, że to ją cieszy.

— Jest bardzo zadowolona.

— Przekaż jej moje gratulacje z powodu tej wspaniałej przyszłości.

— Co przekazać?

— Cieszę się, że los jej sprzyja.

— Będzie zachwycona. Mówi o pani... wiele.

— O wypadku?

— Ona mówi, że musiał się zdarzyć. To znak.

— Czego znak, Leilo?

— Zapytam.

Raz wydało mi się, że czuję w pokoju delikatny zapach sandałowego drzewa. Kiedy przyszła Celia, spytałam, czy też to wyczuwa.

Zaprzeczyła.

— Rzeczywiście jest bardzo słaby, ale wyraźny... jakby ktoś, kto go używa, był w pokoju i zapach pozostał.

— To niezwykła woń — stwierdziła Celia. — Lecz w tej chwili niczego nie czuję.

Zjawiała się Leila i ją również zapytałam.

— Używa go moja siostra, Anula — stwierdziła. — W jej domu wszędzie tak pachnie... Sandałowe drzewo tu, sandałowe drzewo wszędzie. Przypomina mi ją.

Zostałam sama i nadal o tym myślałam. Zdawało mi się, że gdzieś czuję ten zapach, a kiedy chciałam sprawdzić, skąd pochodzi, niczego nie mogłam znaleźć. Po prostu ulotny aromat, który mógł istnieć tylko we wspomnieniach.

Muszę walczyć z obsesją na punkcie tego zapachu, ostrzegłam samą siebie.

Podczas sjeisty w domu zapadała cisza. Clintona zwykle nie było, gdyż wychodził rano i wracał dopiero wieczorem. Leżałam w łóżku i skupiona nasłuchiwałam odgłosów domu. Bardzo się bałam.

Kiedy usłyszałam skradające się korytarzem kroki, mogłam tylko leżeć i czekać, aż coś się wydarzy. Gdyby ktoś wszedł do mojego pokoju i zagroził mi, nic nie mogłabym zrobić. Byłam więźniem, jak jeszcze nigdy dotąd.

Nikt się nie pojawił. Mogłam wyobrażać sobie te kroki, tak jak zapach sandałowego drzewa.

Myślałam o Tobym: gdyby do mnie napisał, gdybym poczuła, że jest niedaleko, gdyby przyjechał... Tylko z nim porozmawiałabym o wszystkim.

O tak, bałam się, zwłaszcza wtedy, gdy słońce gwałtownie opadało za horyzont. Kazałam Leili zapalać lampy, nim skończy się dzień.

Kiedys zapomniala. Siedzialam wystraszona w mroku. Noc byla bezksiężycowa i nic nie rozpraszało ciemności. Nagle otworzyły się drzwi, sekundę czy dwie trwała cisza, i weszła Leila.

— Pani jest bardzo nerwowa. — Zachichotała.

Nawet gdy zapaliła lampy, strach pozostał.

Dni mijały i zbliżał się termin wyjazdu Celi. Bałam się tej chwili, gdyż wtedy zostanę zupełnie sama. Przyszło mi do głowy, że być może mój wróg czeka na to, by ona wyjechała.

* * *

Celia miała nas opuścić nazajutrz. Przez cały dzień zajęta była pakowaniem. Chwilami miałam wrażenie, że mnie unika, ponieważ i ją napełnia smutkiem myśl o rozstaniu. Nie lubiła okazywać wzruszeń.

Leila przyszła zapalić lampy.

— Moja siostra Anula pyta o panią — oświadczyła. — Powiedziałam, że pani nie lubi sandałowego drzewa. Obiecała zrobić zapach, który się pani spodoba.

— To ładnie z jej strony.

— Moja siostra Anula jest taka mądra. Robi wiele rzeczy. Perfumy, by zyskać miłość mężczyzny... wodę, która czyni skórę piękną... napój, by zasnąć. I widzi też przyszłość.

— Rzeczywiście jest niezwykle uzdolniona. W świetle lamp czułam się lepiej.

Leila odeszła i natychmiast ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Drgnęłam. Serce biło mi mocno.

— Kto tam? — zawołałam piskliwie.

Drzwi otworzyły się i weszła Celia. Uśmiech przybladł na jej twarzy, gdy spojrzała na mnie.

— Coś się stało? — zapytała nerwowo.

— Nie... nic. Dlaczego?

— Wydajesz się przestraszona.

— Nie. Wejź i usiądź.

— Jak się dzisiaj czujesz? — spytała z wyraźną troską.

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Na pewno smutno ci, że nie możesz wychodzić z pokoju. Niestety, muszę jechać. Żałuję, że zarezerwowałam już miejsce. To nasz ostatni wspólny wieczór.

— Będę za tobą tęskniła, Celio.

Zadrzałam, myśląc, co pocnę bez niej. Była tak dobrą towarzyszką i tyle razy mnie pocieszała. Po głowie wciąż krążyła mi jedna myśl: zostanę całkiem sama.

Clinton wracał czasami bardzo późno. Zostanę zupełnie sama... jeśli nie liczyć służby, która zawsze wydawała mi się obca. Dom zmienił się w więzienie, ponieważ nie mogłam z niego uciec. Jakże bezbronna będę bez Celi!

— Będę o tobie myślała. Musisz do mnie napisać, Saro — mówiła. — Przyślę ci adres, gdy tylko go poznam. Żałuję, że wyjeżdżam. Nie powinnam cię teraz zostawiać. Ale wkrótce znów będziesz mogła chodzić. Co powiedział lekarz?

— Jest dość ostrożny w opiniach. Ale oczywiście czuję się już lepiej. Irytuje mnie, że nie mogę się ruszyć.

— Ale Clytie często cię odwiedza, prawda?

— O tak.

— Kiedy wyjadę, z pewnością będzie przyjeżdżał częściej.

— Tak przypuszczam.

Moje stosunki z Clytie zmieniły się, odkąd poznałam prawdę o perłach. Nie mogłam zapomnieć, jak bardzo wydawała mi się zrozpaczona, a ja wierzyłam, że Ralph został porwany.

Clytie była dobrą aktorką. Przyszła mi do głowy przerażająca myśl: jeśli umrę, ona i Seth dostaną plantację. Pamiętałam słowa Clintona: Clytie zrobiłaby niemal wszystko dla Setha.

— Nie musisz się smucić tej ostatniej nocy — powiedziała Celia. — Wkrótce wyzdrowiejesz i znów będziesz sobą. Sama wiesz, że czujesz się lepiej niż przed wyjazdem. Wtedy naprawdę się o ciebie martwiłam. Kochana Saro, nie masz się czego obawiać. Szczęście ci sprzyja.

Spojrzała na mnie z zadumą i wtedy pomyślałam, że jej życie jest smutne i samotne. Niewiele mówiła o przeszłości, ale odkryłam, że bardzo kochała rodziców. Ile może mieć teraz lat, zastanawiałam się. Pewnie jest po trzydziestce. Była jedną z milionów kobiet, przywiązanych do rodziców tak mocno, że po ich odejściu zostawały całkiem samotne.

Poprosiła, abym raz jeszcze pokazała jej perły — pewnie chciała mnie rozweselić. Wyjęłam je z futerału, który trzymałam w górnej szufladzie toaletki.

Przyglądała im się z uwagą.

— Dar od twego męża — powiedziała. — Na pewno bardzo cię kocha. To wielka pociecha. Jakie te perły są piękne. Każda idealnie pasuje do pozostałych, a klamra jest równie niezwykła jak sam naszyjnik — zauważyła. — Wspaniały szmaragd. Dziś po południu widziałam w ogrodzie siostrę Leili, pewnie ją odwiedziła. Miała przepiękny naszyjnik, chyba ze szmaragdów. Być może nie były prawdziwe, ale imitacja doskonała. Cóż za urocza istota... pełna gracji, jak zwierzę z dżungli. Zgodzisz się chyba, że ta rasa ma wyjątkowy wdzięk.

Zgodziłam się.

— To dziwna kobieta. Krążą o niej przeróżne plotki.

— Jakie plotki?

— Nie zwracam na nie specjalnej uwagi. Leila często o niej mówi. Opowiada, jak bardzo jest uwodzicielska. Podobno mężczyźni gotowi są popełnić dla niej morderstwo! Biedna Leila, szczyci się, że jest krewną takiej syreny.

— Ta rodzina jest bardzo silnie ze sobą związana.

— Jestem tego pewna. Będziesz dziś nosić te perły?

— Nie miałam takiego zamiaru.

— Och, proszę... To moja ostatnia noc. Uwielbiam, kiedy je nosisz. Dodają ci uroku. Mogę ci je założyć? Dość trudno zapiąć tę klamrę, prawda?

— Tak, dość trudno.

Zapięła mi perły na szyi i odstała o krok, by je podziwiać.

— Doskonale do ciebie pasują. Oczywiście, potrzebują pięknej balowej sukni jako tła. W któreś wakacje na pewno przyjedziesz do Anglii. Musisz wtedy wydawać fantastyczne bale, choćby po to, żebyś miała gdzie je pokazywać.

Usiadłam na krześle. Spoglądałam na swoje odbicie w lustrze. Wpatrywałam się w perły. Czułam je, ciepłe, przylegające do skóry.

Rozmawialiśmy, gdy zapukała Leila. Na dole czekał Nankeen. Chciał się ze mną widzieć. Czy go przyjmę?

Powiedziałam, żeby go wprowadziła.

— Czy mam wyjść? — spytała Celia.

— Nie ma potrzeby. Przypuszczam, że ma jakąś wiadomość od Clintona.

Wszedł Nankeen, skłonił się i uśmiechnął służalczo.

— Wiadomość od sahiba, mem sahib. On zatrzymany na noc. Zobaczyć się jutro.

— Dziękuję, Nankeen — odparłam.

Kiedy wyszedł, Celia spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

— Jak wiesz, często zatrzymują go służbowe sprawy — wyjaśniłam.

Skinęła głową. Zastanawiałam się, czy myśli o Anuli, którą dziś po południu widziała w ogrodzie. Po co tam przyszła? Czy chciała zobaczyć się z Clintonem?

— Cieszę się, że jesteś dziś ze mną, Celio — powiedziałam.

— Jutro o tej porze już mnie tu nie będzie.

— Będę za tobą tęskniła.

— Zjedźmy dziś kolację w twoim pokoju, dobrze? Porozmawiamy o dawnych czasach.

Uznałam, że to dobry pomysł.

— Pewnie nie chcesz już nosić tych pereł — powiedziała. — Zdejmę ci je.

Zrobiła to i włożyła je do futerału, po chwili wyszła.

Wróciła niebawem i spędziłyśmy razem miły wieczór. Zastanawiałam się jednak, czy Clinton bawi u Anuli. Byłam tego prawie pewna. Jeśli go spytam, powie mi prawdę. W tym różnił się od większości niewiernych mężów.

Nie zostanę tu, pomyślałam. Jeżeli Anula naprawdę jest jego kochanką, to ja nie będę jego żoną. Gdybym tylko miała jakąś wiadomość od Toby'ego. Może powinnam napisać kolejny list?

* * *

Tej nocy spałam głęboko. Nawiedzały mnie sny. Śniło mi się, że ktoś był w moim pokoju. Mglista postać podeszła do toaletki, otworzyła szufladę i wyjęła perły.

Byłam półprzytomna i wydało mi się, że słyszę zamykanie drzwi. To nic... to tylko sen.

Rano, zaraz po przebudzeniu, pokuśtykałam do toaletki i zajrzałam do szuflady. Futerał leżał na miejscu.

Te perły stają się obsesją. To nierozsądne, trzymać je w tak łatwo dostępnym miejscu. Powinny być schowane w sejfie. To jednak zwróci uwagę na ich wartość, a przecież z uwagi na Clytie nikt nie może się dowiedzieć, czym są naprawdę.

Przy śniadaniu znowu myślałam o tym dziwnym śnie. Wstałam i o lasce podeszłam do toaletki. Wyjęłam futerał, otworzyłam i zamarłam ze zgrozy. Był pusty!

Nie mogłam w to uwierzyć. To było częścią mego snu... a zatem to nie był sen. Ktoś rzeczywiście przyszedł, wyjął perły i zostawił pusty futerał. Byłam oszołomiona. Nie wiedziałam, co robić.

Zadzwoiłam na Leilę. Nie chciałam jej mówić, co się stało.

— Idź do panny Hansen i powiedz, że muszę ją natychmiast zobaczyć — poprosiłam.

Po kilku minutach zjawiała się Celia.

— To wszystko, dziękuję ci, Leilo — powiedziałam. Wyszła niechętnie. Zastanawiałam się, czy nie podsłuchuje pod drzwiami.

— Co się stało, na miłość boską? — zapytała Celia.

— Perły... zniknęły.

— To niemożliwe!

— Naprawdę. Właśnie otworzyłam futerał. Nie ma ich. Celia przyglądała mi się z niedowierzaniem. Zajrzała do

szuflady, otworzyła futerał i spojrzała na ciemnoniebieski aksamit.

— Gdzie...? — Zająknęła się. — Co...?

— Ktoś wszedł tu ostatniej nocy i je ukradł.

— Widziałaś kogoś?

— Wiesz... to było jak sen. Byłam półprzytomna. Wydawało mi się, że ktoś tu wchodzi. A potem uznałam, że to mi się śniło. Ostatnio śni mi się wiele rzeczy... często perły. Celio, co mam zrobić? Trzeba zacząć poszukiwania.

— Poczekaj chwilę — powiedziała. — Zastanówmy się nad tym. Musimy zachować spokój, Saro.

— Te perły, Celio... one są bezcenne.

Spojrzała na mnie z uwagą.

— Kto mógł tu wejść ostatniej nocy? — spytała.

— Nie wiem.

— W każdym razie nie mógł się tu dostać nie zauważony. Służba spostrzegłaby, gdyby ktoś włamał się do domu. To musiał być ktoś, kto miał klucze.

— Clinton? — szepnęłam.

— Był tutaj?

— Nie widziałam go. Miałam ten sen... jakby półsen.

— Ostatnio stale miewasz sny. — Zmarszczyła czoło. — Nie obrazisz się za to, co ci powiem, Saro...

— Nie, mów.

— Jakiś czas temu zachowywałaś się nieco dziwnie.

— Mogę to wytłumaczyć. Ktoś mnie prześladował. Udowodniłam to.

Umilkła na chwilę, przygryzając wargi.

— Posłuchaj — powiedziała wreszcie. — Byłaś bardzo niespokojna. Przeżyłaś ciężki wypadek, który mógł się okazać śmiertelny. Śniły ci się te perły.

— Tak, wiem. Ale...

— Ludzie to zauważyli, Saro.

— Ludzie?

— Na przykład Leila. Służba. Byłaś taka zdenerwowana, wystraszona...

— Wiem. Ktoś chciał wykazać, że oszalałam. Przekonałam się o tym.

— Posłuchaj. Może się mylę, ale chcę cię ochronić. Rozumiesz? Nie lubiłam, gdy ludzie opowiadali o tobie różne rzeczy. Ani przez chwilę w to nie wierzyłam. Wiedziałam, że musi być jakieś wytłumaczenie. I nie podobają mi się bliskie powiązania Leili z tą kobietą. Wcale mi się to nie podoba. Musimy stawić im czoło.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Celio?

— Mówię, że byłaś niespokojna. Te niegodziwości wpływały na stan twoich nerwów... Potem wypadek. Rozumiesz, co mam na myśli? Miewałaś sny. Otóż sądzę, że mogłaś chodzić przez sen.

— Chodzić! Ale przecież ja nie mogę chodzić.

— Możesz poruszać się po pokoju o lasce. Może się mylę, Saro, ale najpierw się upewnijmy. Nie dajmy im szansy, by znów powtarzali to, co wtedy.

— Co proponujesz?

— Żebyśmy dokładnie przeszukały pokój. Miałaś sen, że ktoś zabiera te perły. A mogłaś zrobić to sama... we śnie. Mogłaś wyjąć je z futerału i gdzieś schować.

— Nie, Celio. Nie!

— Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale zgódź się. Chodzi mi o ciebie. Proszę cię, spróbujmy. Pozwól mi przeszukać pokój, zanim kogokolwiek zawiadomisz o zniknięciu pereł. Usiądź spokojnie. Zbadam tu każdy zakamarek, każdą możliwą kryjówkę. Proszę cię, Saro.

— Och, Celio, tak się cieszę, że jesteś ze mną. Co ja zrobię bez ciebie?

— Byłaś dla mnie taka dobra. A teraz siadaj.

— Pomogę ci szukać.

— Nie. Z twoją nogą nie powinnaś za dużo chodzić. Zostaw to mnie.

Zaczęła krążyć po pokoju, otwierać szuflady, zaglądać pod łóżko, do szafy, przeszukiwać moje rzeczy.

Wreszcie stanęła na środku, rozczarowana i zagubiona.

— To na nic, Celio — powiedziałam. — Ktoś je zabrał.

— Czy jeszcze gdzieś nie sprawdziłam? — spytała, marszcząc brwi.

A potem nagle podeszła do łóżka i zajrzała pod poduszkę. Z okrzykiem triumfu podniosła perły. Nie mogłam w to uwierzyć.

— Więc to ja sama musiałam je wyjąć!

— Ciągłe o nich myślisz. Powinnaś porozmawiać z Clintonem i schować je w bezpiecznym miejscu. Teraz to nieważne. Zapomnij o tym. Każdy mógł zrobić coś takiego.

— Odłóż je, proszę, do futerału. Nie chcę na nie patrzeć.

Posłuchała. Zamknęła futerał i schowała do toaletki.

— Powinnaś mieć przynajmniej kluczyk do tej szuflady — powiedziała.

— Sprawdzę, czy znajdzie się coś takiego.

Pocałowała mnie lekko w czoło.

— Wrócę tu jeszcze — obiecała.

* * *

Celia spędziła ze mną ranek. Rozmawiałyśmy o wszystkim prócz naszego bliskiego rozstania, które wprawiało mnie w przygnębienie. Wysłała już bagaż. Miał czekać na przybycie „Lankarty” z Bombaju. Jeszcze tego samego wieczoru statek wyruszał w drogę powrotną.

Clinton zjawił się wcześniej. Powiedział, że zatrzymały go jakieś problemy na plantacji. Został dłużej w biurze, a wiedząc, że skończy pracę dopiero po północy, postanowił zatrzymać się w pokoju przygotowanym właśnie na takie okazje.

— Nie jest tam wygodnie — powiedział. — Dziś rano zaciąłem się przy goleniu. Zawiesili lustro w nieodpowiednim miejscu i było ciemnowo.

Wskazał dość głębokie rozcięcie w kąciку ust.

— Krwawiłem jak świnia — dodał.

— Nie boli cię, mam nadzieję? Pokręcił głową.

— Ale na dzień lub dwa mogę zapomnieć o goleniu. Tęskniłem za tobą, Saro. Dzisiejszą noc spędzimy razem. To będzie szczególna okazja. Będziemy sami. O której wyjeżdża Celia?

— Pociąg odchodzi z Manganiyi do Kolombo zaraz po szóstej. Pojedzie na stację powozem.

— Więc lepiej pożegnaj się z nią już teraz, gdybym nie zdążył na czas.

Był w dobrym nastroju. Nie wierzyłam, by spędził noc z Anulą.

Celia zjadła lunch w moim pokoju — nasz ostatni wspólny posiłek. Przy jedzeniu upuściłam widelec. Celia podeszła i podniosła go.

— Co zrobiłaś sobie w szyję? — spytała wstając. — Jakbyś się podrapała.

Sięgnęłam ręką.

— Niczego nie czuję.

— Drobną ranka. Zastanawiam się... Pewnie leżałaś na tych perłach. Zauważyłam, że klamerka ma ostre krawędzie.

— To może wtedy się skaleczyłam.

— Zajodnuję ci później. Przypomnij mi.

— Och, to niepotrzebne.

— Może nie. A jednak tu jest inaczej niż w domu. Zadrapałam się raz, a jakiś jadowity owad wyczuł krew i usiadł na ranie. Zaogniła się i przez długi czas nie chciała się goić. Zaraz przyniosę jodynę. Lepiej się zabezpieczyć.

Rozmawialiśmy i zupełnie zapomniałam o rance. Jednak ona pamiętała, poszła do swego pokoju i wróciła z buteleczką jodyny.

— To może trochę szczytać — ostrzegła. — Przygotuj się.

Stała za mną. Rzeczywiście poczułam szczypanie. Zwilżyła ranę kawałkiem waty, który przewidująco przyniosła ze sobą.

— No już — stwierdziła. — Teraz powinno się ładnie zagoić. Prawie jej nie widać, ale w takim klimacie nigdy za wiele ostrożności.

Zakręciła buteleczkę i wsunęła do kieszeni spódnicy.

W ciągu dnia parokrotnie czułam ukłucia bólu. Nie zważałam na nie, a wkrótce zapomniałam o wszystkim.

To było bardzo długie i gorące popołudnie. Niedługo nadejdą deszcze. Spodziewaliśmy się ich lada dzień. Krzewy potrzebowały wilgoci. My także. Deszcz ochłodzi trochę powietrze i pozwoli pozbyć się wielu owadów, które o tej porze roku nękały nas bardziej niż kiedykolwiek.

Byłam coraz bardziej zasmucona wyjazdem Celi. Jakże będę bez niej samotna.

Zjawiała się około piątej, ubrana już do podróży i bardzo smutna.

— Nie chcę cię zostawiać — powiedziała. — Kiedy Clinton wróci do domu?

— Lada chwila. Ale spodziewał się, że raczej cię nie zastanie.

— Wiem. Pożegnał się ze mną. Och, Saro, tak bardzo chciałabym zostać trochę dłużej... do czasu, aż będziesz mogła dobrze chodzić. Widzę, że ubrałaś się specjalnie dla Clintona.

Miałam na sobie tę suknię z błękitnego, bucharskiego jedwabiu. Przebrałam się wcześniej, wiedząc, że Celia przyjdzie się pożegnać.

— Jak twoja szyja? — spytała.

— Dziękuję, wszystko w porządku. Zupełnie o tym zapomniałam.

Stała za moimi plecami, uniosła włosy i spojrzała na ranę.

— Przeżyjesz jakoś — rzuciła lekko i dodała: — Czy mogę po raz ostatni popatrzeć na twoje perły? Powinnaś je nosić do tej sukni. Proszę. Zapnę ci klamerkę, dobrze?

Roześmiałam się.

— Zdaje się, że lubisz trzymać w dłoni te perły.

— A kto by nie lubił?

Wyjęła je ostrożnie i założyła mi na szyję. Siedziałam przed lustrem i spoglądałam to na perły, to na nią. Przyglądała im się niemal tak, jakby patrzyła na kochankę.

— To szczęście mieć męża, który daje takie prezenty — powiedziała.

Nie odpowiadałam.

Zwinnymi palcami zapięła klamerkę. Drgnęłam nagle, gdy dotknęła ranki.

— To jest to miejsce. Poczekaj chwilę. Przesunę klamerkę, żeby go nie dotykała. Nic wielkiego, ale lepiej nie podrażniać.

— Czy krwawi? — spytałam.

— Nie... właściwie nie. To tylko zadrapanie. O już. Teraz nic nie czujesz, prawda? Pokręciłam głową.

— Wyglądają wspaniale. — Uroczyście pocałowała mnie w czoło. — Taką chciałabym cię zapamiętać. Z tymi perłami. Pięknie wyglądają na twojej szyi, Saro. — Przerwała, nasłuchując. — Chyba powóz zajechał przed dom. Muszę już iść.

— Wszystko zabrałaś?

— Mam tylko podręczny bagaż. Reszta, jak wiesz, wyjechała wcześniej. Teraz już pewnie jest na pokładzie. *Au revoir*, Saro. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś.

Ogarnął mnie smutek. Celia była dla mnie podporą. Myślałam, jaki będzie ten dom bez niej.

Podeszła szybko do drzwi, zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na mnie. Miała łzy w oczach.

A potem wyszła.
Oparłam się wygodnie, słuchając turkotu kół powozu.

* * *

Nagle zaczęło się ze mną dziać coś niezwykłego. Po kilkunastu minutach uświadomiłam sobie tę przemianę. Miałam wrażenie, że perły zaciskają się na mojej szyi coraz mocniej i mocniej. Dusiły mnie. Pokój przesłaniała mgła.

Próbowałam wstać. Wszystko zakotyłało się ze mną. Chwyciłam krzesło i trzymałam się go mocno.

W tej właśnie chwili wszedł Clinton.

— Saro! — krzyknął, ale zabrzmiało to jak szept. — Co się dzieje? Saro... Saro!

Podbiegł i chwycił mnie, nim upadłam. Usłyszałam swój głos:

— Perły... duszą.

Siedziałam na krześle, a on pochylał się nade mną.

— O mój Boże! — krzyknął. — O Boże, nie!

Perły leżały na moich kolanach. On stał przy drzwiach. Słyszałam jego głos:

— Szybko! Szybko... wezwijcie doktora. Natychmiast! Słyszycie? Bez zwłoki!

Przybiegł do mnie. W rękę trzymał kubek, w którym przechowywałam spinki do włosów, a wargi przytknął do mojej szyi. Byłam zbyt słaba i zmęczona, by wiedzieć co robi. Zemdlałam.

Kiedy odzyskałam przytomność, zobaczyłam Clintona, leżącego na podłodze. Jest taki wielki, pomyślałam bez sensu. Nawet większy niż mi się wydawało. Twarz miał bladą i wyglądał dziwnie, całkiem niepodobnie do siebie.

Usłyszałam głos lekarza:

— Natychmiast połóżcie panią Shaw do łóżka.

A potem nieśli mnie i wciąż byłam półprzytomna. To tylko kolejny koszmar, pomyślałam wtedy. Zaraz się obudzę.

* * *

Ktoś siedział przy moim łóżku. To była Clytie. Trzymała mnie za rękę.

— Saro — szepnęła, gdy zobaczyła, że unoszę powieki. — Wszystko będzie dobrze, Saro. Doktor przybył na czas.

Szeroko otworzyłam oczy. Czulałam się tak, jakby ktoś tłukł mnie młotkiem w czoło.

— Nie wiem, co się stało.

— To nieważne. Teraz śpij.

— Chcę wiedzieć...

Mój głos ucichł i musiałam znowu zapaść w sen. Byłam w niezwykłym świecie, na dnie morza, a zaklinacz rekinów śpiewał swój żaloszny tren. Na dnie wszędzie leżały perły. Zbliżyły się, pokryły mnie i przytrzymały. Walczyłam.

Z daleka słyszałam głos Clytie:

— Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Siedziała przy moim łóżku chyba przez całą noc. Świtało, gdy otworzyłam oczy.

— Clytie — powiedziałam. — Wciąż tu jesteś?

— Tak, Saro.

— Gdzie ja jestem... co się stało?

- Jesteś w swoim łóżku. Nic ci już nie grozi.
- Ale co się stało?
- Zostałaś otruta. Miałaś zadrapanie na szyi i jad sączył się do krwi z klamerki naszyjnika.
- Naszyjnik! — powtórzyłam.
- Tak, ten przeklęty naszyjnik.
- Trucizna... po tylu latach.
- Nie po tylu latach.
- Kto usiłował mnie otruć?
- Nie wiem.
- Clinton... — szepnęłam.
- Clinton leży w sąsiednim pokoju. Gdyby nie pojawił się na czas...
- Co Clinton ma z tym wspólnego?

— Doktor twierdzi, że uratował ci życie. Znał tę truciznę. Wyczuł jej szczególny zapach i wiedział, jak działa. Wysysał ją z twojej rany, Saro. Nie mógł czekać na lekarza. Wtedy byłoby już za późno. Trucizna przedostałaby się do krwi. To śmiertelna trucizna, śmiertelna jak jad kobry. Dzięki Bogu, że Clinton zdążył na czas. Zastosował prymitywną metodę, często wykorzystywaną w dżungli: wysysał truciznę i wypluwał ją. Zrobił to skutecznie i ocalił ci życie.

Clinton... ocalił mi życie! A ja myślałam kiedyś, że chce się mnie pozbyć, że on i Anula spiskują razem. Anula, pomyślałam. To ona umieściła truciznę w naszyjniku. Leila mogła jej w tym pomóc.

— Jest jeszcze coś, Saro — mówiła dalej Clytie. — Clinton jest bardzo chory... naprawdę bardzo.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Miał na twarzy otwartą ranę. Zaciął się. Kiedy wysysał truciznę, odrobina dostała się do jego organizmu i wymieszała z krwią.

— Więc ratując mnie narażał własne życie!

— Tak. Wysysanie trucizny z rany wiąże się z wielkim niebezpieczeństwem. Oznacza narażanie samego siebie. Robią to tylko najdzielniejsi.

— Muszę do niego iść — powiedziałam.

— Jeszcze nie. Nie odzyskał przytomności. Czuwa przy nim lekarz. Wezwaliśmy też drugiego.

— Jest bardzo ciężko chory, prawda?

— Jest także bardzo silny.

— Clinton! — powiedziałam i powtórzyłam w myślach jego imię. Tak trudno w to uwierzyć. Clinton poświęcił się dla mnie! Clinton poważnie chory...

— To nie wszystko — dodała Clytie. — Z Indii przybył twój przyjaciel. Chce cię zobaczyć. Zeszłej nocy przyplłynął „Lankartą” z Bombaju. Zjawił się rano, ale powiedziałam mu, że jesteś zbyt słaba, by go przyjąć. Nie chciał odejść, był taki uparty, niespokojny. Twierdził, że ma ci do powiedzenia coś niezwykle ważnego. Zawiadomiliśmy go, że miałaś wypadek, ale wtedy nalegał jeszcze bardziej.

— Czy podał nazwisko?

— Tak. Tobias Mander.

— Toby! — krzyknęłam. — Och, muszę go natychmiast zobaczyć.

* * *

Jak dobrze znowu go widzieć. Wyglądał jakoś inaczej, starszy, opalony... lecz to wciąż ten sam Toby.

— Saro! — zawołał.

Podbiegł i ujął moją dłoń. Pochylił się, a ja zarzuciłam mu ręce na szyję.

— Och, Toby — krzyknęłam. — Byłam taka przerażona. Nie odpowiadałeś na moje listy.

Chwycił moje dłonie i spojrział mi w oczy.

— Saro — powiedział. — To straszne. Gdy tylko się dowiedziałem, zaraz popłynąłem na Cejlon. Byłaś w niebezpieczeństwie... strasliwym niebezpieczeństwie. Co myślisz o tym, o czym pisałem ci w liście?

— W liście, Toby? Nie mogłam się doczekać listu od ciebie. Nie odpisywałeś.

Był przerażony.

— Pisałem dwa razy. Opowiedziałem ci o moich podejrzeniach.

— Podejrzeniach? Jakich podejrzeniach?

— Pozwól, że zacznę od początku. Spotkałem w Delhi Bonningtonów... przypadkiem, w sklepie. Znasz Bonningtonów. Przez pewien czas on był wikarym w Epleigh i ożenił się z panną Effie Cannon.

— Pamiętam.

— Widziałem ich krótko, na pogrzebie twojego ojca, ale poznaliśmy się. Pani Bonnington powiedziała, że jej mąż został misjonarzem. Zatrzymali się w Delhi tylko na kilka dni przed dalszą podróżą. Stwierdziła, że to dziwny zbieg okoliczności: dzień wcześniej spotkali jeszcze kogoś, kogo znali z Epleigh. W ich hotelu, „Shalimarze”, zatrzymała się Celia Hansen, podróżująca z kuzynką. Bonningtonowie spędzili tam jedną noc, potem przenieśli się do przyjaciół, ale ucieszyli się, znowu widząc Celię.

— Nie wspominała, że spotkała Bonningtonów. To dziwne... Przecież często rozmawialiśmy o życiu w Grange.

— Owszem, to dziwne. Tak bardzo chciałem porozmawiać z kimś o tobie, że postanowiłem odwiedzić pannę Hansen w „Shalimarze”. Poszedłem tam. Ku mojemu zdumieniu dowiedziałem się, że w hotelu nie ma i nigdy nie było żadnej panny Hansen. Zdziwiałem się. Uznałem, że to jakaś pomyłka. Popytałem trochę. Angielska dama z kuzynką, drugą angielską damą? Dowiedziałem się, że w hotelu były dwie damy z Anglii. Wyjechały dzień wcześniej. Były to panna Jessica i panna Cecilia Herringford.

— Herringford!

— Raz, dawno temu, odwiedziłem z ojcem wiejską posiadłość Everarda Herringforda. Miałem wtedy około trzynastu lat. Everard Herringford bywał tam od czasu do czasu, a ojciec potrzebował rządowej pomocy w pewnym przedsięwzięciu. W każdym razie spędziliśmy tam weekend. Pamiętam też, że poznałem wówczas córkę Everarda, Cecilię. Rozumiesz więc, Saro, że kobieta, która zjawiała się w Grange jako Celia Hansen, i ta sama kobieta, która przybyła tutaj, była naprawdę Cecilią Herringford. Pomyślałem, że to dość dziwne, iż została twoją guwernantką. Ale wyjechała, więc uznałem, że to koniec sprawy. A potem napisałaś o tych dziwnych zdarzeniach, jakie cię spotykały. Wspomniałaś też, że odwiedziła cię Celia Hansen. Zacząłem się niepokoić. W tej rodzinie matka była szalona, więc pomyślałem, że córka mogła to odziedziczyć. Wróciła do ciebie. Zdarzały się dziwne rzeczy. Napisałem natychmiast o tym, co odkryłem w Delhi: że twoja Celia Hansen i Cecilia Herringford to jedna i ta sama osoba.

— Ale ja nie dostałam tego listu.

— Czy myślisz, że mogła go przejąć? Wiedziała, że do mnie pisujesz.

— Ale nie wiedziała o tym spotkaniu w Delhi. Nie mogła mieć o tym pojęcia. Nie wierzę w to, Toby. Jeśli nawet jest córką Everarda Herringforda, nie wierzę, by tu przyjechała i próbowała mnie zabić. Po co? Co ja takiego zrobiłam? Myślę, że wiem, kto to zrobił. Jest tu kobieta, Anula, która była kochanką Clintona. Potrafi wyrabiać perfumy, napoje i jestem pewna, że także trucizny. Jej

siostra pracuje u nas. Zrobi wszystko, co jej każe Anula. Ale Toby, jak to dobrze znów cię widzieć. Przyjechałeś aż z Indii!

— Miałem przecucie, że powinienem. Już raz zjawiłem się za późno. Nie mogłem sobie na to pozwolić po raz drugi.

— Tak się cieszę, że jesteś.

— Możesz być pewna — oświadczył — że gdybyś mnie potrzebowała, przyjechałbym do ciebie z drugiego końca świata.

* * *

Odwiedziłam Clintona. Był ciężko chory. Wyglądał niezwykle. Oczy miał szkliste, skórę bladej, a jasne włosy jak martwe. Obdarzył mnie uśmiechem pełnym tej nieustępliwej brawury, uśmiechem, który znałam tak dobrze, a który teraz pobudzał mnie do płaczu.

— Witaj, Saro — powiedział. — To już koniec ze mną. Kto by w to uwierzył...

— Posłuchaj — zawołałam stanowczo. — Wyjdiesz z tego. Wyzdrowiejesz.

Pokręcił głową.

— Dostała mnie, Saro. Znam tę truciznę. Dawni królowie używali jej, by pozbyć się wrogów. Ma dziwny zapach, wyczuwalny tylko wtedy, gdy jesteś go świadoma. Wytwarza się ją z trujących roślin, które rosną w dżungli. Nie ma wielkiej nadziei, gdy już raz przeniknie do krwi. Można przeżyć dzień lub dwa na odtrutkach... ale ona zabija.

— Wiedziałaś o tym... i świadomie...

— Myślałem, że mi się uda. I udałoby się, gdyby nie to skaleczenie. Zapomniałem o nim. To przypadek, Saro. Gdybym nie zaciął się przy gołeniu... Ale wiesz przecież, że takie jest życie. Tak już bywa. Los i tyle. Gdybym nie wyjechał tej nocy... No cóż, zbyt długo stawałem na swoim. To sprawa Anuli. Chciała się ciebie pozbyć. Nie miałabyś ze mnie pożytku, Saro. Nie jestem mężczyzną stworzonym dla jednej kobiety. Nie zmieniłbym się, a ty byś tego nie zniosła. Zbyt wiele jest w tobie nieugiętego ducha... wystarczy wspomnieć twój testament. To mną wstrząsnęło, przyznaję. Wszystko by minęło... ta gorąca napiętość między nami. To coś dla młodych... nie przetrwałaby długo. On przyjechał, jak słyszałem. Dzielny, stary Toby! Wyjdź za niego, Saro. On jest stworzony dla ciebie. I nie zostawaj tutaj. Powinnaś wrócić do kraju. Widzę to wszystko... piękny dom, wspaniałe życie... dzieci... i ten syn, którego żona dostanie w swoim czasie Perły Ashingtonów. Podarowałem ci je. Są twoje, Saro. Ty jesteś tą Ashington, do której powinny należeć.

— Nigdy się nie poddawałeś. Dlaczego teraz nie chcesz walczyć?

— Jestem człowiekiem, który godzi się z tym, co nieuchronne. Zawsze tak żyłem. Za dwa dni będę martwy. Nie usuną tej trucizny. Zwalniają tylko proces, nic więcej.

— Clintonie, posłuchaj. Zawsze chciałeś mieć dziecko, prawda? Myślę, że jestem w ciąży.

Twarz rozjaśnił mu uśmiech wdzięczności.

— Ktoś, dzięki komu będziesz o mnie pamiętać...

— Nie trzeba mi będzie przypominać, nawet jeśli ciebie zabraknie. Ale ty będziesz przy mnie.

— Odchodzę, Saro. Nie mam żalu. Przeżyłem dobre życie. Robiłem, co chciałem. Brałem, co chciałem. Będziesz szczęśliwsza. Cieszę się, że on przyjechał. Aż z Indii, jak słyszałem. No cóż, kurtyna opada po raz ostatni. Wybacz mi, Saro.

— Nie mam ci nic do wybaczenia, Clintonie.

— Daruj sobie te banały. Masz wszystko do wybaczenia. Zmusiłem cię do tego małżeństwa. Nie byłem dobrym i wiernym mężem.

— Ale zrobiłeś dla mnie coś cudownego. Jeżeli umrzesz, umrzesz za mnie.

Na jego twarzy pojawił się cień dawnego uśmiechu.

— Nie planowałem szlachetnych czynów. Co bym robił bez tych naszych potyczek, szamotania między miłością a nienawiścią?

Siedziałam przy jego łóżku i myślałam o naszym wspólnym życiu. Myślałam też o Anuli. Teraz naprawdę go straciła.

* * *

Leżał w trumnie w pokoju obok sypialni, którą wspólnie dzieliliśmy. Nie mogłam uwierzyć, że ten pełen życia, tak męski kochanek i wróg zarazem, już nie żył. Rozpaczałam po nim gorzko, choć wiedziałam, że to, co mówił, było prawdą. Przy nim nigdy nie znalazłabym szczęścia.

Rzeczywiście, czy kiedykolwiek byłam z nim szczęśliwa?

Potrzebowałam miłości. Zawsze potrzebowałam, przede wszystkim dlatego, że brakowało mi jej od dziecka. Chciałam czułości i mocnych fundamentów, na których zbuduję rodzinne życie. Tęskniłam za zielonymi łąkami w rodzinnym kraju, za dobroczynnym słońcem, które grzało, ale nie paliło, za delikatnym deszczem, który nadchodził niespodziewanie. Marzyłam o polach pełnych jaskrów, stokrotek i żółtych chelidonii. A przede wszystkim pragnęłam mieć towarzysza, na którym mogłabym się oprzeć, który zawsze byłby przy mnie, by mnie kochać i pieścić. Dokładnie wiedziałam, czego chcę.

A jednak głęboko żałowałam Clintona.

Jutro go pochowają, gdyż pogrzeby w tym kraju odbywają się szybko. Ten pokój będzie pusty, trumna zniknie, a dumny Clinton na zawsze odejdzie z mego życia.

Zapadał zmierzch, gdy stałam tak przy trumnie. I nagle gałka u drzwi zaczęła się obracać — bezgłośnie, ostrożnie.

Drzwi otworzyły się i poczułam, że włosy jeżą mi się na głowie. W tej ciszy było coś niezwykłego, niesamowitego. Nie wiedziałam, czego w tym momencie mam oczekiwać. A potem pomyślałam, że to Anula przyszła zabrać ciało.

Odsunęłam się od trumny. Ktoś wszedł do pokoju. Opatulona, nierozpoznawalna w mroku postać.

Odsunęłam się na bok. Postać zrzuciła kaptur.

— Celia! — szepnęłam.

Nie odpowiedziała. Kilka sekund stała nieruchomo, patrząc na martwą twarz Clintona. A potem powiedziała cicho:

— A więc to on umarł.

— Myślałam, że jesteś już na statku. Jak weszłaś do domu?

Ten szczegół był zupełnie nieważny, a jednak właśnie on pierwszy przyszedł mi na myśl.

— Zatrzymałam klucz. Nie mogłam odpłynąć. Musiałam wiedzieć, co się stało.

— Co to wszystko znaczy, Celio?

— To znaczy, że wtedy nie zginęłaś. Ale teraz zginiesz.

Ruszyłam do drzwi, ale ona znalazła się tam przede mną.

Miała w rękę rewolwer i wymierzyła go prosto we mnie.

— Celio, ty chyba oszalałaś!

— Mówią, że jestem podobna do matki. To on doprowadził ją do obłądu... większego niż na początku. On i twoja matka. To był jej koniec.

— Celio, wiem kim jesteś. Jesteś córką Everarda Herringforda.

— Tak — odparła. — Twój przyjaciel to odkrył, prawda? Czytałam list, który ci wysłał. Mój ojciec zastrzelił się z powodu twojej matki. Ale ona za to zginęła. Dopilnowałam tego. Jesteś

bardzo naiwna, skoro uwierzyłaś, że twoja zawsze wierna zasadom, stara ciotka Marta popełniłaby morderstwo.

— Oszukałaś mnie, Celio. Zawsze byłaś taka łagodna.

Skinęła głową.

— Jestem łagodna. Jest nas dwie. Celia Hansen to dobra, delikatna kobieta, która lubi ludzi i chętnie im pomaga. Cecilia Herringford jest inna. Kiedy zmarli jej rodzice, pragnęła tylko zemsty. Tych dwoje... to było całe jej życie. Postanowiła, że ich zgon zostanie pomszczony. Jest taki wiersz, który ci się podobał. Pamiętasz...

Zaczęła, recytować. Głos rozbrzmiewał głucho w tym pokoju śmierci. To była prawdziwie makabryczna scena.

*Miłości kobiet — o! poznania warte,
Piękne a groźne, pełne tajemnicy.
Kobieta wszystko stawia na tę kartę,
Gdy przegra, to jej nic oprócz tęsknicy
I żalu życie nie odda rozdarte.
Za to ich zemsta jak skok tygryscy
Krwawa... lecz i ta zwiększa serca rany,
Bo same czują cios drugim zadany.*

Milczała przez chwilę, nim wybuchnęła:

— Poeta mówi o miłości kobiety do mężczyzny. Miłość córki do rodziców może być równie wielka. Widzisz, Saro, nigdy nie miałam kochanka, ale wiem, czym jest miłość. Rodzice byli całym moim życiem. Jakże dumna byłam z ojca. To był ktoś ważny. Z całego świata ludzie przyjeżdżali do niego po radę. Pewnego dnia zostałby premierem. Matka chorowała, więc ja byłabym gospodynią. Rozmawiał o tym ze mną. „Zamieszkamy przy Downing Street 10, Cecilio. Ty i ja”, mawiał. A potem wplątał się w ten romans z aktorką, twoją matką. Odkryłam to. Raz przyszłam popatrzeć na ten dom.

— Widziałam cię — powiedziałam. — Żałuję... żałuję, że wtedy niczego nie wiedziałam. Żałuję, że nie porozmawiałam z tobą.

Pokręciła głową.

— Moja matka zawsze była dziwna, ale to ją dobiło. A potem on się zastrzelił i zupełnie oszalała. Opiekowałam się nią i wiedziałam, co ją doprowadziło do takiego stanu. Zabiła się i zostałam sama. Straciłam ich oboje. Tylko jedno mogło przywrócić mi radość: zemsta. Wendeta. Planując ją, wróciłam do życia.

— Och, Celio, rozumiem twój ból. Zabiłaś moją matkę. Ale ja nie zawiniłam. Nie brałam w tym udziału.

— Grzechy ojców spadają na dzieci — oświadczyła.

— Nie powinno tak być. Myślałam, że mnie lubisz. Zawsze tak dobrze się do mnie odnosiłaś.

— Część mnie, owszem. Ale ja żyłam dla zemsty. Nie mogłam zapomnieć tych strasznych dni skandalu i tego, do czego doprowadził on rodziców. To było straszne, gdy ojciec się zabił. To jest rewolwer. Teraz wiem, że takiej broni powinnam użyć. Dzięki temu zemsta będzie pełna.

— Chciałaś, bym uwierzyła, że wpadam w obłęd, prawda?

— Tak... obłąkana, jak ona. To potworne: tracić rozum i wiedzieć o tym. Myślę, że to gorsze niż cokolwiek innego. Chciałam, byś cierpiała tak jak ona. Tamto było za proste. Twoja matka umarła za łatwo. Ale wtedy myślałam, że musi umrzeć i że to wystarczy. Dlatego zjawiłam się pod fałszywym nazwiskiem z opowieścią, że szukam pracy. A kiedy było już po wszystkim i

wyjechałam, w moim życiu pojawiła się pustka. Pomyślałam o tobie. Odebrałam tylko jedno życie, a przecież zginęli oboje: ojciec i matka. Chciałam wziąć życie za życie. Ale większą tragedią jest stracić rozum niż życie. Wiem, widziałam to. Dlatego postanowiłam, że będziesz obłąkana.

— Więc to ty robiłaś te sztuczki. Pukanie do drzwi, olejek sandałowy...

— Tak, by zrzucić podejrzenia na kochankę twojego męża.

— I kobra.

— Tak, ta zabawka.

— A w końcu postanowiłaś mnie zabić.

— Zaczęłam rozumieć, że muszę odebrać życie za życie. Przeżyłaś wypadek z bryczką i wtedy pomyślałam o perłach. Fascynowały mnie. Chciałam, byś w ostatnich chwilach wierzyła, że dokonała tego kochanka twego męża. Widzisz, twoja matka była kochanką mego ojca. Wszystko układało się w pewien wzorzec. Właśnie tego chciałam...

— Celio, jesteś okrutna.

— Tak, ale kochałam ich. Byli moim życiem. Kiedy odeszli, nie pozostało mi nic... zupełnie nic. Odebrała mi ich niegodziwa kobieta. Odzyskam spokój, gdy dokonam zemsty. Jeśli pozwolę ci żyć, wyjdiesz za Toby'ego Mandera. Wykraść listy, które do ciebie pisał. Przeżyłam szok, gdy dowiedziałam się, że odkrył, kim jestem. Wiedziałam, że płynie z Bombaju na „Lankarcie”. Pisał o tym w liście. Musiałam się spieszyć. Gdybym miała więcej czasu, zrobiłabym to bardziej subtelnie.

— Odłóż rewolwer, Celio.

Pokręciła głową.

— Są w nim dwie kule. Jedna dla ciebie, druga dla mnie.

— To szaleństwo — krzyknęłam.

— Jestem szalona — odparła.

Uniosła rewolwer i wymierzyła prosto we mnie. Poruszyła wargami.

— Tato, mam... — usłyszałam jej szept. — To już koniec. Idę do was. Odizolują mnie, gdybym dalej żyła... tak jak ciebie, mam. Ale będziecie pomśczeni.

Ta chwila na zawsze zostanie w mej pamięci. Niewyraźna sylwetka szalonej kobiety, a pomiędzy nami, w trumnie, martwe ciało Clintona.

Wydawało się, że Clinton ożył na ten moment. Jakby wołał do mnie: „Żyj. Żyj. Jesteś mi winna to życie. Nie chcę umierać na próżno”.

Upadłam na podłogę, a kula przeleciała mi nad głową.

Usłyszałam szept Celii:

— Martwa. To już koniec. A teraz, najdrożsi, idę do was.

Leżałam odrętwiała, gdy huknął drugi strzał.

Postscriptum

Wszystko to zdarzyło się dawno temu, i kiedy teraz o tym wspominam, mam wrażenie, że działo się w innym życiu. Mogłabym niemal uwierzyć, że się nigdy nie stało, gdyby nie żywy dowód w postaci mojego rosnącego syna.

Dałam mu imię Clinton, wygląda dokładnie tak, jak ojciec. I będzie taki sam, wiem o tym: silny, bezlitosny, stanowczy, egoistyczny, pewny materialnego sukcesu i zdolny do najwyższego heroizmu. Kocham go bardzo i wiem, że ojciec byłby z niego dumny.

Miał sześć miesięcy, gdy wyszłam za Toby'ego.

Byłam szczęśliwą kobietą. Przeżyłam dwa małżeństwa i każde z nich tak wiele mi dało. Teraz, kiedy osiągnęłam spokój w miłości i zrozumienie, wiem, że to najbardziej pożądany stan w życiu. Lecz spoglądając wstecz, nie żałuję tego burzliwego okresu gorącej namiętności, która tak dużo nauczyła mnie o sobie.

Jednak to Toby był człowiekiem, z którym połączyło mnie przeznaczenie. Razem stworzyliśmy rodzinę — mamy dwóch chłopców i dwie dziewczynki — i jestem tak szczęśliwa, jak tylko można zamaryć.

Wysłaliśmy angielskiego zarządcę, by prowadził plantację Shawa i teraz jest w rozkwicie. Plantację Ashingtonów przekazałam Clytie i Sethowi. Raz na trzy lata odwiedzamy ich z Tobym. Dziwne i niepokojące uczucia mnie ogarniają, gdy spaceruję wśród drzew w pobliżu mojego dawnego domu i wspominam grozę, jaką tam przeżyłam. Wiem, że nikt ze służby nie wchodzi samotnie do pokoju, gdzie stała trumna Clintona i gdzie zabiła się Celia. Zawsze będą o tym pamiętać.

Anula wyszła za mąż za bogatego Cejlończyka, biznesmena, któremu, jak się domyślam, odmówiła kiedyś ze względu na Clintona.

— Jest teraz bardzo bogatą damą — powiedziała mi Leila.

Po śmierci ciotek odziedziczyłam Grange. Toby pozostawił indyjską część rodzinnego interesu w rękach zarządców i większość czasu spędza ze mną w Londynie. Mamy dom w mieście, ale dzieci uwielbiają Grange i często tam bywamy.

Mój portret wisi teraz w galerii, widnieją na nim perły. Klamerkę dokładnie wyczyszczono. Ciało węża i łodygi liści były wydrążone, tworząc doskonałe miejsce dla ukrycia trucizny.

Od czasu do czasu zakładam ten naszyjnik, gdyż pozycja Toby'ego w świecie finansów zmusza nas do wydawania przyjęć w Londynie i Grange. Myślę, że ciotkom spodobałby się taki obrót spraw. Żałowałyby tylko, że nie pozostał nikt o nazwisku Ashington, kto nosiłby perły.

Pewnego dnia w galerii przybędzie portret żony syna Clintona.

Powtarzam sobie, że byłby z tego zadowolony.